



JUSTYNA  
BEDNAREK



JAGNA  
KACZANOWSKA



# Ogród Zuzanny

TOM 1

Miłość zostaje  
na zawsze



Wydawnictwo  
ab  
two  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Justyna Bednarek  
Jagna Kaczanowska

OGRÓD ZUZANNY

Tom 1: Miłość zostaje na zawsze



Copyright © by Justyna Bednarek, MMXVIII

Copyright © by Jagna Kaczanowska, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa, MMXVIII

## Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

# I

Miało padać, ale na szczęście nie padało. I to był koniec dobrych informacji na początek dnia.

– Przyszło wyrównanie za gaz – mruknęła Krystyna, nie wyjmując papierosa z ust.

Siedziała przy kuchennym stole w ciasno zawiązanym szlafroku. Na włosach miała siatkę przytrzymującą wałki, na twarzy jak zwykle grymas niezadowolenia. Przed nią stała pełna niedopałków popielniczka z żółtego szkła. Wąską kuchnię, z oknami wychodzącymi na ogród zarośnięty czarnym bzem i kaliną, wypełniały stare meble: serwantka ze zdekompletowaną koroną, ciemna komoda służąca jako szafka na garnki i kredens z porcelanowymi talerzami i filiżankami, prawie każdą od innego kompletu, ale za to z długą historią odzwierciedlającą dzieje rodu Czapliczów. Przybyli ze wschodu przez wojenną zawieruchę do Warszawy i w końcu tutaj – do Starej Leśnej, miasteczka zaledwie czterdzieści kilometrów od stolicy, do skromnej drewnianej willi przy ulicy Jeża, ze skrzypiącymi podłogami, schodami i przeciekającym dachem, który uparcie próbowała sforsować mieszkająca w pobliżu rodzina kun.

Obecnie willa była siedzibą czteropokoleniowej rodziny, którą stanowili: Cecylia Czaplicz, jej córka Krystyna, wnuczka Zuzanna i prawnuk, dwunastoletni Wojtek.

Krystyna ze zwinnością slalomisty ominęła kilka stojących na stole kubków po kawie i podsunęła córce pod nos tajemniczą kopertę.

– Mamo, nie przy śniadaniu! – Zuzanna skrzywiła się niechętnie.

– A kiedyż to mogę się zgłosić do panienki w tej sprawie? Mam nadzieję, że wyznaczysz mi jakiś bliski termin, zanim odetną nam gaz, niczym prąd dwa miesiące temu.

Zuzanna już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, że przecież pracuje od rana do wieczora i to nie jej wina, że wszystko tyle kosztuje, a do tego rachunek za prąd zjadł chomik Lulek, kiedy właśnie wtedy na górze trzasnęły drzwi łazienki i na schodach dały się słyszeć ciche kroki. W progu kuchni stanęła Cecylia. W przeciwieństwie do córki i wnuczki stawiała się na śniadanie w pełnej gotowości. Włosy miała starannie ułożone, oczy umalowane, a na ustach tę szminkę...

– Czy mama aby nie przesadza z kolorem?

– Róż Bahama, a co? Krysiu, gdy się ma prawie dziewięćdziesiąt lat, to już naprawdę wszystko wolno. Poza tym taki ładny dzień, otworzyłam okno i po raz pierwszy poczułam to rześkie, wiosenne powietrze!

– Rześkie?! Akurat! Mama ma szczęście, że smog jej trupem nie położył. A właśnie, Wielkanoc za pasem, więc chyba trzeba rozebrać choinkę? – Krystyna dmuchnęła dymem z papierosa w stronę prawie łysego drzewka, z którego smętnie

zwisały anielskie włosy.

– Po co się wysilać, babciu? Może lepiej zostawić ją jeszcze kilka miesięcy i wykorzystać po raz drugi. Recykling jest supercool. – W kuchni pojawił się Wojtek.

Zuzanna wyciągnęła rękę, żeby przyglądzić zmierzwioną czuprynę jedynaka, ale chłopak zrobił błyskawiczny unik.

– Za moich czasów dzieci nie odzywały się tak bezczelnie do starszych – prychnęła Krystyna.

– Coś podobnego! Ja mam zupełnie inne wspomnienia. – Cecylia uśmiechnęła się przekornie i wyciągnęła z szafki puszkę kakao.

– O, tak! – zawołał Wojtek. – Choć jedna osoba w tym domu troszczy się o mnie i pamięta, że człowiek w trakcie nauki potrzebuje magnezu. Dzisiaj klasówka z matmy. Dzięki, Buniu. Zrobisz mi kakałko? – Cmoknął Cecylię lekko w policzek i już go nie było.

– Aleście go rozpuścili! No tak, chłopak bez ojca zupełnie się zmarnuje. – Krystyna zgasiła papierosa w popielniczce z taką miną, jakby z ostatnimi iskierkami zgasła nadzieja na jakąkolwiek poprawę sytuacji.

– Nie widziałaś moich dżinsów? – Zuzanna szybko zmieniła temat.

Z biegiem lat nauczyła się puszczać mimo uszu docinki matki, choć nadal sprawiała jej przykrość.

– Leżą tam, gdzie je zostawiłaś – odpowiedziała Krystyna.

– Zobacz na krzesło w salonie, chyba tam je wczoraj widziałam. – Cecylia dołała mleka do kubka.

Salon był nieduży, ale zapchany tyloma przedmiotami, że znalezienie w nim czegokolwiek graniczyło z cudem. Na wysłużonej kanapie piętrzyły się poduszki haftowane w motywy roślinne. W kącie stało pianino pamiętające straszne czasy wczesnej młodości Zuzanny. Wtedy to Krystyna uparła się, że wychowa ją, za pomocą lekcji muzyki i francuskiego, na dobrze ułożoną pannę.

Na pianinie stały teraz stopy książek. Głównie stare leksykony trujących roślin i reprinty wiktoriańskich bestsellerów o sekretnym języku kwiatów – pasji Zuzanny. Z centralnego punktu na ścianie, obok kaflowego pieca, zerknął z fotografii Bruno, nieżyjący już mąż Cecylii. Jego jasne spojrzenie i ciepły uśmiech powitały wchodzącą do pokoju wnuczkę, jakby chciały ją pokrzepić i wesprzeć. Zuzanna też uśmiechnęła się do portretu dziadka. Tuż pod nim, za orzechowym krzesłem z jedną nogą podpartą opasłym tomem *Zbrodni roślin*, dostrzegła zgubę. Voilà!

Niestety, dżinsy, które jeszcze cztery dni temu leżały jak ulał, z trudnego do wytłumaczenia powodu skurczyły się co najmniej o jeden rozmiar. Zuzanna zaczęła skakać po pokoju, próbując wbić się w przyciasne nogawki. Już była bliska sukcesu, gdy nagle guzik, który i wcześniej ledwo się trzymał, wystrzelił,

a następnie przepadł w czeluści pod kredensem.

– Ojej! Co jest z tymi spodniami nie tak? – Naprawdę chciało jej się płakać.

– Ze spodniami? – Krystyna, która obserwowała te zabiegi z odrobiną złośliwej satysfakcji, zaśmiała się ironicznie. Jej figura, mimo zbliżającej się sześćdziesiątki, była absolutnie nienaganna. Pod tym względem wdała się w Cecylię, ale jej córka odziedziczyła sylwetkę po swoim ojcu. – Trzeba było nie dogadzać sobie przekładańcem. Że już nie wspomnę o tej bombonierce, którą pochłonęłaś sama dwa dni temu. Nawet syna nie poczęstowałaś. A ja musiałam wyciągać sreberka aż spod wanny. Oczywiście przypadkiem je znalazłam. Ale nie jestem twoją służącą, kochanie.

– A szkoda – mruknęła pod nosem Cecylia.

– Mama chciała coś dodać?

– Szkoda, że nie jesteś naszą służącą, bo już dawno byśmy cię wylały z roboty.

W kuchni zaległa cisza. A potem nagle, jak na komendę, wszystkie trzy wybuchły serdecznym, szczerym śmiechem. Krystyna prychnęła kawą wprost na bluzkę córki.

– O nie, mamo, nie mam już żadnej czystej! – wysapała Zuzanna między jednym atakiem śmiechu a drugim.

– Ja cię kręcę. – Wojtek, który wrócił do kuchni po swoje kakątko, z niedowierzaniem patrzył na trzy kobiety, które prawie leżały na podłodze ze śmiechu. – Wy naprawdę jesteście nienormalne. Lecę, bo spóźnię się na klasówkę.

– Jasna cholera! Jak późno! – Zuzanna złapała się za głowę. – Miałam być dziś w pracy pół godziny wcześniej. Kozak mnie zabije!

W panice złapała rozciągnięte dresowe spodnie. Na zmianę bluzki nie wystarczyło jej czasu. Wyskoczyła z ganku prosto w kałużę. Zaklęła. Już wsiadała do swojego starego volvo, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Pędem wróciła do domu, skacząc po dwa stopnie, i wpadła do łazienki na górze. Chwyliła kunsztownie zdobiony i prawie pusty flakon perfum – tych ulubionych, najdroższych, na szczególną okazję. Zdecydowanym gestem wylała na siebie resztkę płynu. Spojrzała szybko w lustro. Może jej się zdawało, ale z naprzeciwna niepozorna szatynka o pełnej twarzy i szarych oczach spoglądała na nią surowo, a nawet z lekką przyganą.

Zuzanna przyjrzała jej się uważniej. Była tuż przed czterdziestką. Z pierwszymi zmarszczkami i bez śladów tak zwanej dawnej urody. Bo niestety jej nigdy nie miała... Wystawiła język.

– A co mi tam. Mnie też się należy coś od życia – powiedziała do swojego odbicia, jakby chciała je przekonać, że jej działanie jest głęboko słuszne i absolutnie usprawiedliwione.

A potem, tą samą trasą i w tym samym tempie, zbiegła po schodach,

ignorując wrzask Krystyny: „Błoto! Wszędzie błoto!”.

\* \* \*

Z głośników popłynęła melodia. Stop. Nie popłynęła, ale zarzęziła. Radio w volvo już od dawna było pełnoletnie, podobnie jak samochód. „To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy” – zawodził drżący męski głos.

– Jeszcze i to – wycedziła przez zęby Zuzanna. – Nie bez powodu przed wojną zakazano tej piosenki, każdy ma po niej myśli samobójcze.

Do samobójstwa było jej rzecz jasna daleko, ale dobry nastrój ulotnił się bezpowrotnie. Choć nie odpowiadała na kąśliwe uwagi Krystyny dotyczące jej samotnego macierzyństwa, to przecież nie mogła w duchu nie przyznać matce racji. Wyraźnie było widać, że Wojtek wkroczył w ten wiek, gdy chłopak szczególnie potrzebuje ojca. I ona najbardziej ze wszystkich na świecie chciałaby, żeby go miał. Ba! W swoim czasie zrobiła wiele, aby jej dziecko wychowało się w pełnej rodzinie. Tomek wydawał się idealnym materiałem na męża i ojca, bo sprawiał wrażenie bezgranicznie w niej zakochanego. Gdy okazało się, że Zuzanna jest w ciąży, nie zważając na nic, natychmiast się oświadczył. Był przy porodzie, przecinał pępowinę. Kto mógłby wtedy pomyśleć, że rola troskliwego taty i czułego męża tak szybko go znudzi? Zuzanna westchnęła, wyłączyła radio, wybrała numer swojej przyjaciółki Kazi i ustawiła telefon na głośne mówienie.

– Czy to coś ważnego? Bo mam tu pożar w burdelu, trzęsienie ziemi i pękające lodowce – odezwała się Kazia po piątym sygnale.

W tle słychać było wrzask dziecka.

– O matko! Co się u ciebie dzieje? – zaniepokoiła się Zuzanna.

– A nic, normalka. Różyczka obcięła sobie jeden warkoczyk i pół grzywki. A właśnie wychodzimy na jasełka!

– Jasełka w lutym?

– No tak, bo wcześniej Święty Józef wsadził sobie pionek do nosa i trzeba go było prosto ze sceny wieźć do szpitala. Dzisiaj mamy powtórkę, ale nie wiem, czy do połowy ogolona Maryja nie położy przedstawienia.

Zuzanna uśmiechnęła się mimo woli.

– Dobra, w sumie nie mam nic ważnego, tak chciałam się pożalić.

– Zadzwoń w weekend. Wchłonę dowolną dawkę żalu – zapewniła serdecznie Kazia i się rozłączyła.

Dokładnie w tym momencie na ekranie telefonu wyświetliła się Wiola. Zuzanna zignorowała dzwonek.

– Przepraszam cię, kochana – szepnęła, jakby jej druga najlepsza przyjaciółka mogła to usłyszeć. – I tak już jestem spóźniona, a z tobą zawsze jest dłuższa rozmowa.

Właśnie parkowała przed siedzibą firmy Kozak Gardens przy ulicy Jelenia.



Przez boczną szybę dojrzała krępa sylwetkę szefa, Roberta Kozaka, który wymownie patrzył na wielki złoty zegarek zdobiący jego owłosiony nadgarstek. Nikt by nie powiedział, że „mister Kozak” – jak lubił sam o sobie mówić – jest szefem sporej firmy projektującej ogrody i największego sklepu ogrodniczego w Starej Leśnej. Na pierwszy rzut oka mógł wyglądać na drobnego złodziejaska lub – w ostateczności – bazarowego sprzedawcę trefnych towarów, ale pozory myliły. Kozak, w przeciwieństwie do Zuzanny, miał dyplom architekta krajobrazu. Tytuł inżyniera chętnie umieszczał na wszystkich materiałach promocyjnych i wizytówkach. Nie omieszkał tego zaznaczyć nawet na tabliczce obok swojego domofonu. Lubiał pozować na szefa wszystkich szefów, ale w rzeczywistości była w jego życiu wyższa instancja: piękna Moniczka Kozak, z domu Pyrka, która trzymała męża krótko. Do tego jego rola w firmie była głównie dekoracyjna. Wszystkim zajmowała się Zuzanna. To ona robiła projekty ogrodów, tak cenione przez mieszkańców Starej Leśnej i okolic. To ona jeździła po cebulki narcyzów, bulwy dalii, nasiona rzadkiej, pomarańczowej odmiany onętki o podwójnych płatkach. A poza tym biegła z łopata, grabiami, a gdy trzeba było – także kosą lub piłą spalinową.

– A którą to mamy godzinę? – odezwał się Kozak. – Czy pani wie, że przez pani spóźnienie zostałem narażony na stratę... Podliczmy... – Wyciągnął z tylnej kieszeni najnowszy model smartfona i zaczął z zapamiętaniem stuknąć w ekran, marszcząc w skupieniu czoło. – Niech diabli porwą to dziadostwo. No, w każdym razie „circa about” w przybliżeniu 22 złote i 76 groszy. Boję się, że w tym roku sru...! I po premii!

– Fiu, fiu, nie miałam pojęcia, że moja praca jest tak wysoko oceniana. Czy nie powinno mieć to odzwierciedlenia w wysokości wynagrodzenia? – Zuzanna rzuciła przełożonemu kwaśne spojrzenie.

– Nie mogę dawać podwyżki komuś, kto się notorycznie spóźnia! – Kozak dreptał za Zuzanną, która odwiesiła palto na wieszak, ukazując szefowi bluzkę z malowniczymi plamami po kawie. W powietrzu uniósł się wyrazisty zapach jej perfum.

– Zuzanno! Przywodzi mi pani na myśl łąki mego dzieciństwa. – Kozak pociągnął nosem. – Ale wygląda pani jak małeletni bratanek Moniczki, któremu po raz pierwszy dano do ręki łyżeczkę! Niech się już pani bierze do roboty, sama się nie zrobi. Ja będę w gabinecie. Mam ważną rozmowę.

Jakby w odpowiedzi, natychmiast zaterkotał telefon.

– O! – rzucił Kozak triumfalnie i zniknął za drzwiami. Słysząc było całkowitą zmianę tonu. – Ależ będzie dokładnie tak, jak sobie szanowny pan zażyczy... Będzie pan zadowolony... Nikt nie będzie miał piękniejszego ogrodu. Moja ekipa pozostaje do pańskiej całkowitej dyspozycji...

Zuzanna przewróciła oczami.

– Moja ekipa – wymamrotała. – Czyli Zuzanna, Zuzanna i jeszcze raz Zuzanna. Któregoś dnia padnę z wycieńczenia. Ale nie, nie mogę. Mam domiar za gaz. Może chociaż mi zapłaci parę groszy więcej?

– Zuzanno! – ryknął Kozak, wypadając z gabinetu. – Co za dzień! Zlecenie marzeń! Zadzwoił właśnie mój dobry znajomy... Zaraz, jak on się nazywa, mniejsza z tym! Z Warszawy, właściciel fabryki, robi w stali. Kupił dom w Starej Leśnej i chce mieć najpiękniejszy ogród w okolicy. Wie pani, reprezentacyjny, na przyjęcia pod chmurką, bogacze tak mają. Choć niby skąd pani ma o tym wiedzieć? – zreflektował się Kozak. – W każdym razie płaci gotówką z góry. No, dla pani to okazja...

Zuzanna spojrzała na szefa z nadzieją. Czyli jednak uda się zapłacić za gaz, nim go wyłączą.

– ...żeby się wreszcie wykazać i udowodnić swoją wartość dla Kozak Gardens – dokończył, a wizja zapłaconego rachunku odpłynęła w bliżej nieokreśloną przyszłość. – No, Robercie, ty, stary cwaniaku, dobrze to rozegrałeś! – rzucił w kierunku swojego zdjęcia, które zdobiło ścianę przy wejściu. – Zasłużyłeś na małą nagrodę. Pani Zuzanno, proszę przygotować sadzonki goździków bylinowych, po południu wpadnie po nie jeden gość. Mnie już dziś nie będzie, zostawiam firmę w pani ślicznych rączkach.

I wyszedł.

\* \* \*

Pod wieczór śliczne rączki Zuzanny omdlewały ze zmęczenia. Przygotowanie trzystu pięćdziesięciu sadzonek było naprawdę ciężką robotą. W dodatku klient się spóźnił i w piątkowe popołudnie musiała zostać w pracy godzinę dłużej. Gdy wieczorem wracała do domu, miała ochotę tylko na to, żeby zwalić się do łóżka i zasnąć. Było to jednak zupełnie niemożliwe, ponieważ w piątki Cecylia urzędowała cotygodniowego brydżyka i liczyła, że wnuczka pomoże jej ugościć graczy. W salonie, przy nakrytym koronkową serwetą okrągłym stole, siedzieli już Wiesław Koczocik, aptekarz, oraz Stanisław Grzybek, cukiernik. Czekano na czwartego gracza, Augusta Fąfarę, który tradycyjnie pojawiał się z półgodzinnym spóźnieniem.

– Ciekawe, co wymyśli tym razem. Wino mu skwaśniało? Siostra dostała grypy żołądkowej? – mruknął Koczocik.

Choć w tym układzie był partnerem Fąfary w grze, nie darzył go szczególną sympatią. A wszystko dlatego, że rosły Fąfara nie dawał zapomnieć Koczocikowi, że jest od niego prawie pół metra wyższy.

– Pani Cecyljo, może umilimy sobie oczekiwanie konsumpcją mojego najnowszego dziełka? – uroczystym tonem zaproponował Grzybek, wskazując na kartonowe pudełko.

– Co to znowu za pyszności, panie Stasiu? – zaciekała się Cecylia.

– Torcik, pani Cecylko, torcik Fedora. Jak u Maxime’a w Paryżu, samo maselko, czekolada i migdały!

– Uch, koronarografia gwarantowana, bo to musi być bomba kaloryczna. – Koczocik gestem podziękował za podsunięty mu przez Cecylię talerzyk, wlepiając pełne potępienia spojrzenie w ociekający czekoladą kopiec, na którego szczycie przeżyła się figurka z cukru. – A to co takiego? – Włożył okulary na nos.

– Dekoracja w stylu angielskim, para zapaśników. Taki sam chcę podarować prezesowi klubu sportowego Jastrzębiec Leśna. – Grzybek uśmiechnął się z dumą.

– Mnie się wydaje... – zaczął niepewnie Koczocik, lecz w tym momencie rozległ się ogłuszający ryk silnika oraz odgłos gwałtownego hamowania.

Przed drewnianą willą Kurza Stopka przy ulicy Jeża, własnością pań Czaplicz, zatrzymał się, bryzgając błotem na prawo i lewo, czarny motocykl typu chopper. Jego właściciel dziarskim krokiem ruszył do drzwi.

– Pokój temu domowi! – zadudnił August Fąfara, zdejmując skórzaną ramoneskę. – Wybaczenie, ale jedna z moich owieczek potrzebowała pomocy.

– Zawsze tak mówisz! – mruknął Koczocik.

– I zawsze to jest prawda! – Olbrzym uśmiechnął się w kierunku ciasta. – A cóż my tu mamy? – Pochylił się nad tortem i uważnie oglądał parę zapaśników. Jego oblicze w jednej chwili spochmurniało. – Kamasutra jakaś czy co!

– No skądże znowu! To para zapaśników – zaprotestował oburzony Grzybek.

– A dlaczego temu z prawej wyrosły takie, o proszę! Piersiątko! Niech pan sam zobaczy, panie Staszku, jakie zgorszenie pan szerzy! – Fąfara wyciągnął figurkę z czekolady i położył sobie na dłoni.

– Faktycznie! A niech mnie! – zachichotała Cecylia. – Chodź, Zuzanno, zobacz, jakie to fikuśne! – zawołała wnuczkę.

– Coś podobnego! W hurtowni cukierniczej zarzekali się, że to para atletów! Oszuści! – powiedział Grzybek łamiącym się głosem.

– A proponowałem panu koledze luteinę na sokoli wzrok. – Koczocik uniósł palec, gotów dać krótki wykład o wpływie zażywania suplementów diety na ogólny dobrostan człowieka.

– Grzech w nieświadomości to nie grzech – powiedział Fąfara. – Zostanie to wybaczone, pod dwoma jednakowoż warunkami... – tu zawiesił głos, wprawnie dozując napięcie. Zgnębiony Grzybek spojrzał na niego pytająco. – Będę potrzebował, powiedzmy, stu pięćdziesięciu cukrowych baranków na Wielkanoc – ciągnął olbrzym.

– A drugi warunek?

– Niech mi pan nałoży podwójną porcję tego tortu.

Grzybek bez słowa podsunął mu talerzyk, którego zawartość została pochłonięta zaledwie w trzech kęsach. Olbrzym westchnął z zadowoleniem,

a potem poluzował koloratkę.

– Karty na stół! – rzucił, zacierając ręce.

\* \* \*

Zuzanna założyła palto i wyszła przed dom, na drewniany ganek, latem ozdobiony donicami pełnymi czerwonych pelargonii. Teraz był oczywiście pusty i martwy, jeśli nie liczyć myszy polnej, która umościła sobie gniazdko za obluzowaną deską. Zuzanna wciągnęła głęboko powietrze, odetchnęła kilka razy. Poczowała jakiś delikatny ruch w okolicach kolan.

– Mrrr! – zamruczała radośnie kotka Brezylka, witając swoją panią i ocierając się o jej nogi całą swoją puszystą, trójkolorową istotą.

– Co? Też już nie mogłaś znieść tego harmidru, moja droga? – Zuzanna nachyliła się i pieścotliwie podrapała Brezylkę za uchem.

Babka grała w karty z gośćmi, którzy, rozochoceni jej nalewką, co rusz pokrzykiwali: „Trzy bez atu!”, „Kontra!”, „Rekontra!”. Wojtek poszedł na noc do kolegi, a Krystyna położyła się spać, zupełnie nieczuła na odgłosy licytacji.

Niebo było bez jednej chmurki. Gwiazdy świeciły jasno. W ich błękitnym blasku plamy rozmiękłego śniegu, za dnia ohydne i poszarzałe, wyglądały niemal magicznie. Nagie jeszcze drzewa stały bez ruchu, w oczekiwaniu na wiosnę. Zuzanna wiedziała, że soki już zaczynają w nich krążyć. Od dwóch tygodni nie było mrozu. Cisza i mgła otulały miasteczko jak miękka kołdra. Było po prostu pięknie. Pięknie.

Ni z tego, ni z owego Zuzannie przypomniał się inny wieczór sprzed trzynastu lat. Pogoda była jak dziś. „Jeszcze nigdy nikogo takiego nie spotkałem, jesteś jedyna w swoim rodzaju” – szeptał jej wtedy ktoś do ucha, a ona spijała każde słowo, szczęśliwa, przekonana, że czeka ich jeszcze wiele takich nocy. Ale...

Wzdrygnęła się i mocniej otuliła szalem. Nie można tak. Nie trzeba wspominać ani marzyć. „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”, mawiała Cecylia.

Energicznie ruszyła w stronę samochodu. Wiola dobijała się do niej od paru dni. Coś się musiało wydarzyć. Zuzanna poczuła wyrzuty sumienia, że dotąd nie znalazła czasu dla przyjaciółki, i postanowiła natychmiast to nadrobić.

– Jak dobrze, że jesteś! – zawołała Wiola, otwierając drzwi malutkiej kawalerki, którą wynajmowała w kamienicy przy ulicy Jelenia, naprzeciwko stacji Stara Leśna Główna. Nawet w słabym świetle korytarza dało się dostrzec jej zaczerwienione oczy. – Chcesz wina? Ojej. Już nic nie zostało.

– Zrób mi herbatę. I opowiadaj. – Zuzanna klapnęła na miękki puf z czerwonego weluru, stojący obok grzejnika. Czego jak czego, ale kreatywności Wioli nie można było odmówić. Mieszkanko było urządzone gustownie, choć

minimalnym kosztem. Rolę stolika kawowego odgrywały stare palety, zabójcowane na biało. W szklanym kloszu żyrandola tylko wprawne oko mogło się dopatrzeć... starych próbek, pomalowanych farbą na wszystkie kolory tęczy. Wiola, która od dziesięciu lat, po śmierci matki, była na świecie całkiem sama, musiała się nauczyć, jak zrobić coś z niczego.

– Co mam opowiadać? Znowu to samo. Powiedział, że zadzwoni. Potem przez tydzień nie odbierał ode mnie telefonów. Dzisiaj przysłał SMS-a, że to już koniec. – Wiola pociągnęła nosem i z rozczarowaniem spojrzała na pusty kieliszek.

– Ale jak to? Przecież spotykaliście się dopiero od dwóch miesięcy? Jak można kończyć coś, co się jeszcze na dobre nie zaczęło! – nie mogła się nadziwić Zuzanna.

– To mój cholerny, życiowy pech. Po prostu nie mam farta do facetów. Nigdy nikt mnie już nie pokocha. Zaraz będę stara, gruba i łysa. – Wiola rozkleiła się już całkiem i przyłgnęła do ramienia przyjaciółki.

– Co ty, łysa w życiu nie będziesz! A nawet jeśli, to i tak będziesz mieć najbardziej czaderskie peruki w całej okolicy! À propos: musisz coś zrobić z włosami Różyczki, rozmawiałam dziś z Kazią. Ta jej mała łobuzica ogoliła sobie pół głowy i wygląda jak półtora nieszczęścia, nomen omen.

– O rety! – jęknęła Wiola z przejęciem, wycierając łzy. – Już widzę tego małego potworka, pewnie przypomina teraz wodza Siuksów! Jutro się nią zajmę. – Oczy miała już całkiem suche. Zuzanna przytuliła mocniej przyjaciółkę.

„Jak wańka-wstańka! – pomyślała z podziwem. – Szkoda, że nie umiem tak szybko wracać do pionu”.

– A ty co? Dosyć miałaś już tego brydzyka Cecylii, prawda? – Wiola spojrzała w oczy przyjaciółce.

– Nie znoszę kart! – prychnęła Zuzanna.

– A szkoda, bo chciałam ci właśnie coś zaproponować! – powiedziała Wiola tajemniczo.

– Ciekawe co?

– Tarota! – Wiola sięgnęła na półkę i zdjęła z niej sporawe pudełeczko ozdobione wschodnimi ornamentami.

– Nauczyłaś się stawiać tarota?

– Jestem w trakcie. Ale Marcin powiedział, że mam wielki talent.

– Powiedział, że masz talent, a potem zerwał z tobą SMS-em?

– Może mężczyźni boją się kobiet obdarzonych szóstym zmysłem? Zresztą zaraz sama się przekonasz. – Wiola wydeła wargi i przesunęła pudełko w stronę Zuzanny. – Wymieszaj karty. Powtarzaj w myślach pytanie, które chcesz im zadać, ale nie wypowiadaj go na głos! – rozkazała.

Zuzanna posłusznie wypełniła polecenie. Wiola z ważną miną przejęła talię kart i zaczęła je układać w okrąg, dwanaście kart jak dwanaście godzin na

cyferblacie.

– To zegar. Wróżba na kolejny rok, widzisz? Po jednej karcie na każdy miesiąc, zaczynając od lutego, czyli od dzisiaj... Hm... Co nam tu wychodzi? – Zmarszczyła czoło i zamaszystym ruchem otworzyła czarną wysłużoną książeczkę z białym napisem *Tarot. Przewodnik pocztukującej wróżki* na okładce. – Luty, Czwórka Buław odwrócona. Może być: niemiły w skutkach romans, przeszłość oddziałuje na terażniejszość, no, ale to nie o tobie, ty nie masz romansów... Nie patrz tak na mnie, przecież to prawda! Czyli będzie: luty – konflikty w rodzinie. Kłócisz się z mamą, co? – zapytała Wiola z nadzieją. Zuzanna kiwnęła głową. To prawda, ciągle się kłóciły – łączyła je tak zwana szorstka miłość. Bardzo szorstka. Jak metalowa tarka. – Marzec, Król Mieczy, człowiek pomysłowy, inżynier... Pewnie Kozak, no nie? Kwiecień, Czwórka Kielichów. Awersja, wstępn, zdarzenia z przeszłości sprawiają, że przyszłość jawi się w czarnych barwach... Nie, raczej chandra. Tak, będziesz mieć chandrę. Maj: możliwość otrzymania wsparcia od kogoś, kogo się lekceważy – ty, nie mówiłaś, że Kozak powinien ci dać podwyżkę? No, sama widzisz, wszystko się składa, dostaniesz ją w maju! A w czerwcu... Nieoczekiwane zakochanie się odpada, ty masz kamienne serce. No, weź! – krzyknęła Wiola, centralnie trafiona poduszką w twarz. Dostało jej się za to kamienne serce, bo w żadne zakochanie się Zuzanna oczywiście nie wierzyła. Ten rozdział życia był już zamknięty. Na zawsze. – A więc przyjaźń i wzajemna pomoc, czyli my z Kazią. W lipcu Koło Fortuny. Skoro się nie zakochasz, to i na wybuch uczuć, i seks nie masz co liczyć. Za to czeka cię wygrana na loterii!

– Przypomnij mi tylko, żebym kupiła los – rzuciła Zuzanna jadowitym tonem.

Wiola zignorowała niestosowną uwagę i nadal z zapalem wertowała książkę, spoglądając na karty.

– Sierpień, czyli Papież. Poszukiwanie prawdy w przeszłości – nie, nie, raczej planowanie podróży, przecież Wojtek będzie miał wakacje, a jak dostaniesz podwyżkę od Kozaka, wreszcie zabierzesz go do Trującego Ogrodu w Alnwick!

– Oby, oby... Ech, byłoby pięknie! – westchnęła Zuzanna, która faktycznie od dawna chciała zobaczyć niezwykłą kolekcję zabójczych roślin w parku otaczającym zamek z filmów o Harrym Potterze.

– Widzisz? Mówiłam ci, że mam talent. Z kolei we wrześniu masz Kochanków, wybór między dwiema kobietami. Pewnie Cecylia z Krystyną się pożrą i będziesz musiała opowiedzieć się po którejś ze stron. Trzymaj z babką, ja ci to mówię, twoja mama to prądnica negatywnej energii, zawsze to powtarzam, próżno i darmo. Dobra, październik. Odwrócona Dziesiątka Denarów. Samotność płynąca z braku rodziny, strata domu? Nieee... O, patrz: kłótnie i rozdzwięki. Czyli wszystko się zgadza, Cecylia wreszcie rzuci się Krystynie do gardła! – ucieszyła się wyraźnie Wiola. – Listopad to koniec złudzeń i pogodzenie się ze stratą, Piątka

Kielichów. Może twoja babcia wywali matkę z domu? A grudzień to z kolei odwrócona Czwórka Mieczy, odzyskanie tego, co się utraciło i powrót. No i styczeń, Słońce, świetna karta. Miłość, jedność i szczęście rodzinne. Jednym słowem: będziecie się kłócić, Krystyna spakuje walizki, ale potem znów zamieszkacie wszystkie razem i będziecie bardzo szczęśliwe! – Wiola zatrzasnęła książkę, nader z siebie zadowolona.

Po zakończonej wróżbie Zuzanna miała jeszcze więcej wątpliwości co do „szóstego zmysłu” przyjaciółki, ale postanowiła się z nimi nie ujawniać, bo nowe hobby wyraźnie poprawiało Wioli humor i odciągało jej myśli od tematu dwulicowego Marcina. Oraz wszystkich poprzednich niewiernych, oszukańczych amantów, których Wiola poznawała albo na czacie, albo w salonie piękności U Dalili, w którym pracowała jako fryzjerka.

– Cudownie, kochana, cieszy mnie niezmiernie, że za rok w moim domu zapanuje zgoda i jedność. Jest po co żyć, można by rzec. Muszę lecieć, jestem przyzwoitką Cecylii. Bo wiesz, ten Grzybek to chyba ma wobec niej jakieś niecne zamiary, ostatnio zasypuje ją słodkościami... – Zuzanna mocno cmoknęła Wiołę w zaróżowiony policzek.

– Pędź. A ja jutro wpadnę do Kazi i zrobię Róży szalową fryzurę à la Natalie Dormer z ostatniej części *Kosogłosa!* – Wiola uśmiechnęła się.

Zuzanna wybiegła z ciemnej klatki schodowej w atramentową czerń nocy.

„Cholera! Jednak pada!” – pomyślała z niezadowoleniem, przeskakując przez kałuże do samochodu.

Wtem aż się wzdrygnęła, bo tuż nad jej głową koszącym lotem sunęła sowa.

– Uhuu! – rozległo się przeciągłe pohukiwanie.

Prawie natychmiast z oddali zawtórował mu podobny dźwięk. A więc zaczął się sezon lęgowy puszczyków! To mogło oznaczać tylko jedno.

Wiosna była naprawdę blisko.

\* \* \*

Stare volvo Zuzanny wjechało do lasu. Wygodna asfaltowa droga płynnie przeszła w wyboistą, podmokłą ścieżkę. Samochód podskakiwał na każdym grubszym korzeniu. Zuzanna wychyliła się w kierunku szyby. Nic nie widziała – dokoła panowały egipskie ciemności. Gdzieś tam przed nią, w oddali, migotało pojedyncze światełko. Okna jakiegoś domu? A może leśniczówka? Czuła narastający niepokój. Nagle coś zarzęziło w silniku i samochód zaczął mknąć przed siebie, jakby docisnęła gaz do dechy – a przecież tego nie zrobiła! Histerycznie kręciła kierownicą to w prawo, to w lewo, w ostatniej chwili omijając kolejne drzewa. Próbowwała nacisnąć hamulec – bezskutecznie. Z przerażeniem uświadomiła sobie też, że przecież nie ma prawa jazdy! Nie umie prowadzić samochodu i zaraz się rozbije! W tym momencie poczuła na policzku ciepły,

wilgotny pocałunek i usłyszała szept: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze...”.

Wtedy się obudziła.

– Co za głupi sen... – jęknęła.

Zdjęła z poduszki Brezylkę, która zapamiętała lizała swoją panią po twarzy w nadziei, że zasłuży na poranną porcję pieśczoł. Pani tymczasem, zamiast podrapać kocicę za uchem, przeciągnęła się, ziewnęła i zaczęła dumać, któraż to może być godzina. Zerknęła na leżącą przy łóżku komórkę... Dwanaście nieodebranych połączeń! Wszystkie od Kozaka! Wydzwaniał do niej od ósmej rano, a była jedenasta. „O matko, znów zasnęłam!” – przemknęło jej przez myśl i już, już miała w panice zrzucić koszulę nocną, lecieć, pędzić, gdy uświadomiła sobie, że jest sobota. Z westchnieniem ulgi opadła na łóżko. Nie zamierzała oddzwaniać, niedoczekanie tego ciemności! Telefonu służbowego, jak na razie, nie miała – to po pierwsze, w swoim prywatnym mogła wyciszyć dzwonek – to po drugie. A poza tym... Jakim prawem ten buc zakłócał jej spokój w dniu wolnym od pracy?! Z prawdziwą satysfakcją odnotowała, że telefon znowu zaczął wibrować i pełnym dostojeństwa krokiem udała się do łazienki.

– Wstałaś już? – Cecylia oczywiście od dawna była na nogach. – To chodź na tosty!

– Pędzę – wybulgotała, nie wyjmując z ust szczotki do zębów i już po chwili dwie panie Czaplicz – najmłodsza i najstarsza – delektowały się chrupiącymi francuskimi tostami z pomarańczowo-imbirową konfiturą.

– Ty, Buniu, wszystko robisz doskonale, twoje konfitury to dowód na istnienie Boga – westchnęła Zuzanna. Stanowczo dała odpór wyrzutom sumienia i sięgnęła po kolejnego tosta. – Wojtek jeszcze nie wrócił?

– Wrócił, wrócił, ale zaraz pobiegł do kolejnego kolegi uczyć się grać na gitarze. Powiem ci, że ten dzieciak naprawdę ma słuch – to po dziadziu Brunonie! Powinniśmy mu kupić instrument.

– Babuniu, przecież wiesz, że przychyliłabym mu nieba, wszystko bym mu kupiła, gdyby tylko było za co! – westchnęła Zuzanna. – Kozak płaci mi marnie i nie chce słyszeć o podwyżce. Naprawdę nie wiem, czy któregoś dnia nie rzucę tej roboty. Kocham urządzać ogrody, zwłaszcza jeśli mi dają wolną rękę w doborze roślin i nie każą obsadzać wszystkiego tujami. Ale czasem jestem tak zmęczona, że mogłabym... mogłabym zająć się haftem, o! – Zuzanna chwyciła połę lnianego obrusa, który Cecylia pokryła czarno-czerwonymi rombami. Rzędy maleńkich krzyżyków układały się w misterny karpacki motyw.

– Przecież ty nigdy nie haftowałaś. – Babka uśmiechnęła się dobrotliwie.

– No to co, nauczyłaśbyś mnie! Poza tym wielka mi filozofia, dzierganie krzyżyków. Wystarczy przerysować wzór...

– Trudne to nie jest. Wymaga jednak czegoś więcej niż kopiowanie. Tu potrzeba szczególnego skupienia i zaangażowania ducha! – Cecylia uniosła palec



w górę.

Wnuczka zauważyła, że babka pomalowała paznokcie pod kolor szminki.

– Zaangażowania ducha?! Chyba przesadzasz, Buniu. – Ciągłe nie mogła oderwać wzroku od paznokci.

Róż Bahama najwyraźniej przypadł Cecylii do gustu.

– Ani trochę. Obie barwy – czerwona i czarna – w hafcie karpackim mają symboliczne znaczenie. Czerwona nitka to twoje marzenia, uczucia, a przede wszystkim miłość. Czarny to sprawy materialne, zawodowe, konkret. Każdy haft zaczyna się od linijki czarnych krzyżyków. To twoja „ścieżka życia”. Potem, gdy rysujesz nitką resztę wzoru, dobierasz proporcje czerni i czerwieni według tego, jak widzisz lub jak chciałabyś widzieć swoje życie. Czy stawiasz na miłość, czy na pieniądze.

– Oj, to faktycznie, słabiutko – zmartwiła się Zuzanna. – Ani miłości, ani pieniędzy. Mogę haftować wyłącznie na szaro.

Powiedziała to lekko kpiącym tonem, jednak wprawne ucho Cecylii wychwyciło nutkę gorzkości, jaką doprawione były słowa wnuczki. Zuzanna, choć na co dzień nie pokazywała tego po sobie, czuła żal do losu. Faktycznie, nie obszedł się z nią łaskawie. Na wymarzone studia – architekturę krajobrazu – dostała się za drugim razem. Okazała się jednak tak zdolną i pilną studentką, że rozważano, czy nie zaproponować jej asystentury, gdy była zaledwie na trzecim roku. Tym większym szokiem stała się dla wszystkich jej decyzja o przerwaniu nauki. Zuzanna, zawsze skryta, milcząca, nie chciała tłumaczyć wykładowcom, dlaczego rzuca studia. Prawda była taka, że nie miała wyboru – u Krystyny wykryto guza piersi. Źle znosiła chemio- i radioterapię. Potem była operacja... Zuzanna wozila mamę do Warszawy na zabiegi, opiekowała się nią w domu. Raka udało się pokonać, ale Krystyna musiała przejść na wcześniejszą emeryturę. To na Zuzannę spadł trud utrzymania rodziny. Początkowo miała jeszcze nadzieję, że uda jej się wrócić na uczelnię, gdy jednak zobaczyła podwójną kreskę na teście ciążowym, zrozumiała, że chyba już nie w tym życiu. Wrodzona uczciwość kazała jej poinformować o ciąży szefa – od niedawna współpracowała z firmą projektującą osiedla i akurat miała podpisywać umowę o pracę. Dyrektor bez mrugnięcia okiem podziękował jej za wysiłek i życzył „szczęścia na nowej drodze życia”. O etacie nie było już mowy. I właśnie wtedy z pomocą przyszedł Robert Kozak, sąsiad ze Starej Leśnej i starszy kolega ze studiów. Najsłabszy student w historii uczelni, jak mówił o nim znany z dosadnego języka profesor Jagoda. Kozak rzeczywiście orłem nie był, projektowanie szło mu beznadziejnie, miał za to zdecydowanie łeb do interesów. Już na początku studiów założył sklepik ze sprowadzonymi z Holandii cebulkami tulipanów. Pierwsze porządne pieniądze zarobił jednak na tujach i cyprysikach, na które zapanowała moda. Zuzanna sprzedawała rośliny, a on jeździł po hurtowniach albo woził swoją ukochaną

Moniczkę do fryzjera i na manicure. Co ciekawe, mimo że znali się dość dobrze i byli w podobnym wieku, nigdy nie przeszli na ty. W pierwszym dniu pracy, gdy Zuzanna zwróciła się do szefa po imieniu, ten w dość obcesowy sposób pokazał, gdzie jej miejsce.

– Dla kogo Robert, dla tego Robert. Dla pani Wasza Wysokość, ewentualnie pan Kozak – rzucił.

Nie zmieniło się to z biegiem lat, nawet wtedy, gdy Zuzanna zaczęła zbierać pochwały za projekty ogrodów, które robiła dla Kozak Gardens – i pod którymi podpisywał się, rzecz jasna, jej szef. Ona nie miała przecież uprawnień. Ba, można by wręcz powiedzieć, że za każdym razem, gdy coś jej się udawało, Kozak od razu demonstrował, kto tu rządzi i kto ma ostatnie słowo. Tak to wyglądało, jeśli chodzi o czarny fragment haftu, czyli sprawy zawodowe. Z czerwoną częścią było jeszcze gorzej.

– Tak, Buniu – westchnęła Zuzanna. – Na miłości chyba wyhaftuję krzyżyk.

– Co też ty opowiadasz, moje dziecko. – Cecylia przygarnęła wnuczkę do siebie. – A moja miłość to pies?! Ty jesteś mój „Herzpinkel”, jak mawiał dziadek Bruno, moje oczko w głowie!

– Dałybyście spokój tym czułościom! – Krystyna stanęła w progu kuchni i jak zwykle miała naburmuszoną minę. – Mamo, zdjęłam przed chwilą z jabłoni torbę z jakimiś kolorowymi kłakami. Sąsiadka powiedziała, że to mama ją tam powiesiła. – Utkwiła oskarżycielskie spojrzenie w Cecylii.

– No, powiesiłam, owszem. – Starsza pani wzruszyła obojętnie ramionami.

– Ale po co, ja się pytam?! – Córka zupełnie nie miała zrozumienia dla ekstrawagancji matki.

W głębi ducha uważała ją za osobę kompletnie nieodpowiedzialną. Zresztą mniej więcej to samo myślała o swojej córce. Nie żeby ich nie kochała. Kochała, i to bardzo. I dlatego tak jej przeszkadzało, że obie różnią się od niej właściwie wszystkim.

– No jak to, po co, Krysieńko! Żeby ptaki mogły sobie wyciągać włóczkę i uszczelniać nią gniazdko. Idzie wiosna! Znowu będziemy mieć drozda śpiewaka na brzozie – gdzieś to tałatajstwo musi mieszkać. Nam te ścinki do niczego nie są potrzebne, a ptaszyska je dobrze zagospodarują.

– Czy mama naprawdę musi być taka dziwaczna?! – Krystyna zaciągnęła się papierosem. – I tak sąsiedzi mają nas za stare wariatki. Trzymaj! – Podetknęła Zuzannie pod nos komórkę.

– Po co mi to dajesz?

– Żebyś oddzwoniła do szefa.

– Jeszcze czego! Nie będę nigdzie dzwonić w sobotę rano.

– Powiedziałam, że zaraz zadzwonisz, poza tym jest prawie południe. – Krystyna nie dawała za wygraną.

– Po jasną cholerę odbierałaś ten telefon, teraz się ode mnie nie odczepi! Na pewno ma dla mnie jakieś wyjątkowe i bezpłatne zadanie na weekend! – Zuzanna czuła, że za moment skapituluje.

– Dobre wychowanie nakazuje odbierać telefony. – Matka wydeła wargi, a Zuzanna niechętnie wystukała numer Roberta Kozaka.

– No, nareszcie pani oddzwania, co tak późno! – Wyglądało, jakby rzeczywiście czekał na jej telefon.

– Nie wiem, czy przebywamy w tej samej strefie czasowej, ale u mnie jest sobota. Dzień wolny od pracy – wysyczała do słuchawki.

– Oczywiście, ale sytuacja jest wyjątkowa. Nasz nowy klient, właściciel fabryki, kupił willę Jolancin – pamięta pani? Rozmawiałem z panią o tym!

– Pamiętam, ale co to ma do mojej wolnej soboty?

– Niech pani nie będzie małostkowa! Nasz zleceniodawca może się z panią spotkać tylko dziś, bo jutro wylatuje za granicę. A chce omówić projekt ogrodu. Po prostu nie mamy innego wyjścia!

– A czemu szef nie może z nim porozmawiać? – Zuzanna jeszcze protestowała, ale czuła, że kielkujące w niej ziarenka buntu powoli obumierają.

– Proszę do niego pojechać, willa Jolancin, ulica Czeremchy. Zapisała pani?

– Zapisałam – mruknęła Zuzanna. Miała ochotę się rozplakać. Powodowana jakimś obcym impulsem wycodziła jeszcze: – Zrobię to pod warunkiem, że da mi pan podwyżkę.

– Dobrze – powiedział Robert Kozak po chwili milczenia, wprawiając tym swoją pracownicę w absolutne osłupienie. – Dostanie pani podwyżkę.

– Dziękuję – wykrztusiła.

– Aha, nie podałem pani jeszcze jego nazwiska...

– Tak?

– Nasz klient nazywa się Adam Przygodzki – powiedział Kozak. – Oczywiście, proszę powiedzieć, że przyjechała pani z Kozak Gardens.

Zuzanna z trudem przełknęła ślinę.

– Jak... się... nazywa?

– Przygodzki, Adam Przygodzki.

Długopis wypadł jej z ręki. Ciężko osunęła się na krzesło.

Samochód właśnie wjechał do ciemnego lasu i gwałtownie przyspieszył.

## II

Ogromny kawał tynku oderwał się od sufitu i spadł prosto pod nogi Adama Przygodzkiego. W tej chwili nowy właściciel willi Jolancin zupełnie nie wyglądał na milionera. Ubrany w zmechaconą flanelową koszulę i wytarte dżinsy prezentował się gorzej niż kierownik budowy, który ponurym wzrokiem lustrował wnętrze pomieszczenia. W czasach świetności zapewne był tu salon. Teraz na samym środku podłogi stała ogromna kałuża, a ściany zamiast tapet pokrywało graffiti – głównie obelżywej treści, choć dało się też dostrzec wyznanie: „Kaśka, kocham cię na zabuj”.

– Mówiłem: kompletna rudera. Ale skoro pan się uparł... Kto bogatemu zabroni? – Kierownik budowy wzruszył ramionami i rzucił Adamowi kpiące spojrzenie.

– Z tym bogactwem to niech pan nie przesadza, panie Henryku. – Przygodzki uśmiechnął się ironicznie. – Zdaję sobie sprawę, że taniej byłoby wszystko zburzyć i zbudować od początku. Nie do końca umiem to wytłumaczyć, ale... po prostu poczułem, że chcę tu mieszkać.

To nie była prawda. Adam umiałby wyjaśnić powody, dla których kupił zdewastowaną willę przy ulicy Czeremchy. Choć oficjalnie nigdy by się do tego nie przyznał, spodobała mu się jej romantyczna historia. Jolancin zbudowano pod koniec lat dwudziestych w modnym wówczas stylu dworkowym. Okazała willa z gankiem i kolumnami była prezentem Olgierda Tomaszewskiego, przedwojennego pilota, dla jego ukochanej żony Jolanty. W okolicy takie dowody miłości wyrastały jak grzyby po deszczu – Teresin, Marynin, Zosin... Ale Jolancin był naprawdę wyjątkowej urody. I wyjątkowa była historia uczucia, dzięki któremu go wzniesiono. Jola pochodziła z tak zwanej lepszej rodziny, a Olgierd był wprawdzie świetnym pilotem, jednak bez korzeni szlacheckich. Do tego – golcem. Za cały kapitał miał bezgraniczną miłość do Jolanty oraz pensję wypłacaną przez PLL LOT. Wysoką zresztą, bo pilotem był wyśmienitym. Często latał na trasie Warszawa – Berlin i zasłynął z tego, że od czasu do czasu fundował pasażerom porcję emocji, prześlizgując się między przesłami mostu Poniatowskiego lub wieżami kościoła Zbawiciela, jeśli akurat pilotował awionetkę. W Jolancinie Tomaszewscy spędzili najszcześniejsze lata swojego życia. Urządzali przyjęcia, na których bawiła się cała śmietanka Starej Leśnej, a Jolanta z pasją oddawała się uprawie róż parkowych. Mąż specjalnie dla niej przywoził je z Paryża. Sadzonki kupował u ogrodnika pielęgnującego Ogród Luksemburski. Widać było, że mimo upływu czasu namiętność, która połączyła Tomaszewskich, nie słabła. Plotkowano o tym w Starej Leśnej, jakby miłość i wzajemna fascynacja erotyczna były towarzyskim skandalem. I może były – a na tle licznych małżeństw aranżowanych, które trwały, bo nie wypadało się rozwieść albo nie było jak podzielić majątku,

Tomaszewscy wyglądali jak kolorowe ptaki. Żal, że wojna ich rozdzieliła. On zginął w kampanii wrześniowej. Ona – w bombardowanej w czasie powstania Warszawie. Dom oddano pod kwaterunek. Ostatni lokatorzy wyprowadzili się piętnaście lat temu. Willa niszczała – bez okien, prawie pozbawiona dachu, pokryta liszczami zielonkawych zacieków.

Adam miał nadzieję, że ta historia zrobiłaby wrażenie na jego żonie, Karolinie. Stara willa, róże prosto z Francji, wielka miłość i mezalians – która kobieta oparłaby się tej wizji?

Na razie jednak dom był w ruinie, a w zachwaszczonym ogrodzie rosły tylko cztery wiekowe drzewa jako pozostałości dawnego założenia. Dwie wysokie sosny, robinia akacjowa i powykręcany ze starości głóg. To z pewnością nie przypadłoby Karolinie do gustu. Zresztą nie było jej w Polsce. Gdzie była? Adam nie wiedział. Może bawiła się ze swoim kochankiem na Riwierze, a może robiła zakupy w Londynie. Odkąd złożyła papiery rozwodowe, nie miał od niej żadnych wiadomości. Poza krótkim esemesem: „Przyślij akt ślubu na adres ojca”.

W pierwszym odruchu Przygodzki miał ochotę cisnąć telefonem o ścianę, ale zrobił to samo co zawsze: spełnił jej życzenie. I choć od tego dnia minęły prawie trzy miesiące, ciągle się łudził, że małżeństwo uda się jeszcze uratować. Nie można przecież, ot tak, wyrzucić do kosza dwunastu lat! Musieliby jednak zacząć wszystko od nowa i on tego pragnął. Tak przynajmniej mu się wydawało. Dlatego kupił Jolancin. Bo czy jest lepszy sposób na odmianę życia niż przeprowadzka?

– O, a tu na przykład jest grzyb! – przerwał jego rozmyślenia kierownik budowy. – Trzeba będzie wszystko skuwać do samej cegły.

– No to niech pan skuwa, panie Henryku, przecież po to pana zatrudniłem! – zniecierpliwiał się Adam, sprowadzony w tak brutalny sposób na ziemię, i spojrzał na zegarek. – No gdzież, do cholery, jest ta projektantka zieleni? Kozak zarzekął się, że będzie za pół godziny, a minęły już dwie. W tym kraju na nikim nie można polegać, ludzie są kompletnie nieodpowiedzialni.

– Skoro już jesteśmy przy odpowiedzialności, to może porozmawialibyśmy o umowie i zaliczce na materiały? – Kierownik budowy uśmiechnął się słodko, ale Przygodzki zdawał się nie zrozumieć aluzji i nie podjął tematu.

Obserwował przez okno manewry starego volvo, które wtoczyło się na podjazd i zatrzymało niepokojąco blisko jego świeżo nawoskowanej terenowej toyoty. Prowadząca volvo uchyliła drzwi, okazało się jednak, że ma za mało miejsca, żeby wysiąść. Zaczęła nieporadnie gramolić się na siedzenie pasażera, by ostatecznie wychynąć z drugiej strony auta. Rozejrzała się i ruszyła w stronę wejścia.

„Zawieszenie trochę za nisko” – ocenił okiem znawcy Adam i nie myślał wcale o samochodzie.

Tymczasem Zuzanna – bo była to właśnie ona – wyciągnęła z torebki

wielkie okulary przeciwsłoneczne, choć dzień był raczej pochmurny. Nasadziła je sobie na nos, a potem ściągnęła czapkę tak, że prawie nie było widać jej twarzy.

– A co tam, pani Zuzko? Wczoraj chyba niejedna butelka pękła, co nie? – rozpromienił się na jej widok kierownik budowy. – Ja też mam takie dni, kiedy bym wolał nie pokazywać ludziom swojego oblicza, he, he! – zarechotał rubasznie.

– Dzień dobry. Zuzanna eee... plicz – wymamrotała Zuzanna w bliżej nieokreślonej przestrzeni, mocno ściskając na powitanie dłonie Adama.

– Ależ pani jest silna! – zdziwił się. – To dobrze, bo czeka nas tu mnóstwo pracy.

– To prawda, będziemy się musieli porządnie napracować, żeby przywrócić ogrodowi legendarną świetność – powiedziała Zuzanna oficjalnym tonem i odwróciła się od Przygodzkiego.

Robiła wszystko, żeby nie mógł jej spojrzeć prosto w twarz. Ale właśnie w tym momencie, jak na złość, zaczął przyglądać się jej z rosnącym zainteresowaniem. Ta twarz wydała mu się znajoma, nawet dobrze... Przez chwilę miał wrażenie, że to jego dawna sympatia – ale zaraz odrzucił tę myśl. No skąd! Takie rzeczy się przecież nie zdarzają...

– Czy my się znamy? – zapytał jednak.

– Niby skąd? – burknęła niechętnie, kryjąc się w cieniu wypadającej futryny.

– No nie wiem... Urząd skarbowy? Poczta? Hurtownia sprzętu sanitarnego? Nie, to niemożliwe... Ale musieliśmy się gdzieś spotkać, dawno temu... Zaraz, czy pani studiowała na SGGW? – dociekał Adam.

Zuzanna odwróciła się bardzo powoli i zdjęła okulary. Miała wrażenie, że sekundy wloką się w nieskończoność. Słońce akurat wyszło zza chmur i zaświeciło jej prosto w oczy. Odruchowo przymknęła powieki. Czekwała. Adam lustrował przez moment jej twarz w poszukiwaniu jakiejś podpowiedzi. Te równe, odrobinę za mocno zarysowane brwi, stanowcze spojrzenie – Boże, jaka ona podobna do... Nie zdążył jednak pomyśleć, do kogo, bo kierownik budowy chrząknął w tym momencie znacząco. Adam otrząsnął się, wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć.

– Tam studiowało tyle osób, nie każdego się pamięta – powiedziała Zuzanna cicho i odwróciła wzrok.

Nagle poczuła, że jest strasznie, nie do zniesienia zmęczona. Słońce znowu zaszło.

– Oj, coś się chyba pani źle czuje! Niech pani usiądzie, pani Zuzko – tym razem kierownik budowy zdawał się naprawdę zaniepokojony, bo Zuzanna oparła się o ścianę tak, jakby miała zemdleć.

To trwało tylko chwilę. Natychmiast podniosła energicznie głowę i wyprostowała ramiona.

– Już mi przeszło, panie Henryku. – Zdecydowanym ruchem wcisnęła

okulary do kieszeni. – To co? Chodźmy zobaczyć, co zostało z tego wspaniałego ogrodu. W miasteczku bajki o nim opowiadali!

Przygodzkiego nie zaszczyciła już ani jednym spojrzeniem.

„Dziwne... No cóż. Chyba faktycznie kobieta ma zły dzień. Tylko mi się wydawało, że podobna do tamtej. Skąd, to nabzdyczone babsko, do niej... absurd” – pomyślał Adam i więcej się nad tym nie zastanawiał.

\* \* \*

Oko miała żółte. Patrzyła nim na Krystynę hardo, a nawet gniewnie. Postawa ta kompletnie nie licowała z wyglądem właścicielki owego surowego spojrzenia. Była bowiem dość żalosa. Choć kurę poddano przymusowemu przepierzaniu na jesieni, to pod koniec lutego miała niewiele piór, a przeważały łyse, różowe placki. Stała sobie na środku ogródka pań Czaplicz i zachowywała tak, jakby była u siebie.

– Ty, paskudo jedna. Zabieraj mi się stąd w try miga! – Krystyna zamachnęła się na kurę miotłą. Ta jednak podskoczyła nadspodziewanie wdzięcznie, jak dziewczynka w trakcie gry w gumę, i opadła na grządkę. Zaczęła wściekle grzebać.

– O niedoczekanie! Moja rzodkiewka, moja marchewka! – wrzasnęła Krystyna i rzuciła się na ratunek nasionkom, które ledwie dzień wcześniej z pietyzmem umieściła w świeżo spulchnionej ziemi.

Łysiejąca kura zdawała się wyjątkowo zagustować w niedoszłych płodach warzywnika pań Czaplicz. Od wczoraj szturmowała grządkę już pięciokrotnie. Nie pomógł strach na wróble, sporządzony naprędce przez Krystynę i Wojtkę („Bo on, babciu, jest na wróble, a kura nie taka głupia, ma świadomość własnego ciała!” – tłumaczył wnuk), nie pomogły krzyki ani nawet błagania, jakie zanosila Krystyna do właściciela kury i dziesięciu jej kuzynek. Stadko sprowadziło się całkiem niedawno – kilka tygodni temu kury przyjechały rozklekotanym busikiem wymalowanym w kolorowe kwiatki i hasła: „Nie bądź jelen, szanuj zieleń!” oraz: „Natura twa mać”. Podobno wykupiono je z fermy.

– Kura to jednak ptak, a ptak – znaczy wolność! Zresztą nie mam serca zamykać tego biednego stworzenia w kurniku. Pani wie, jaką straszliwą procedurą jest wymuszone pierzenie? Ci zbrodniarze, tak, zbrodniarze – nie boję się mówić prawdy, nie boję się konsekwencji! Niech mi pani nie przerywa, ja nie będę milczał! Nie będę milczał! Oni na żywca wrywają nioskom pióra, żeby je odmłodzić i zmusić do znoszenia jaj! No, proszę o odrobinę empatii! Bądźmy żeż ludźmi! – grzmiał Jacek Wtorek, malarz i ekolog, który odziedziczył po ciotce willę Mimoza, sąsiadującą z należącą do pań Czaplicz Kurzą Stopką.

Co było robić? Krystyna cały poprzedni dzień aż do zmroku spędziła z miotłą pod pachą, czatując przy kuchennym oknie. Dzisiaj od rana też pilnowała. Nie zamierzała odpuścić. Warzywnik był jej ulubioną częścią ogrodu. W przeciwieństwie do córki i matki uważała, że kwiaty są zupełnie zbędne

i zajmują jedynie miejsce, które można wykorzystać na uprawę pożytecznych roślin jadalnych.

W oddali dało się słyszeć warkot nierówno pracującego silnika. Krystyna od razu poznała, że to auto Zuzanny. Po chwili zza zakrętu, z ulicy Wiewiórek, wyłoniło się granatowe volvo. Zuzanna jak zwykle zaparkowała przed bramą i wysiadła. Omiotła nieobecny spojrzeniem matkę, kurę i rozgrzebaną grządkę.

– O, nareszcie, ciebie to jak po śmierć posłać! Idź może do tego Wtorka, porozmawiaj z nim, nie mam sił do tego człowieka, to wariat! No, ale ty na pewno znajdziesz z nim wspólny język. Niech zrobi coś z tymi kurami, tak się nie da żyć!  
– zaczęła Krystyna swoją litanię żądań i pretensji.

– Daj mi spokój – odparła Zuzanna głucho, minęła matkę i weszła do domu.

Było to tak niepodobne do najmłodszej z pań Czaplicz, że Krystyna aż zaniemówiła z wrażenia. Zuzanna zawsze była cicha, uprzejma i uśmiechnięta. Niegrzeczne odzywki były nie w jej stylu. Krystyna zapomniała na moment o kurze – która zresztą chwilowo także zdawała się stracić zainteresowanie nasionkami ukrytymi w ziemi – i żwawym krokiem podążyła za córką.

– Moja droga, no tak to nie będziemy rozmawiać! Rozumiem, że masz pracę, musisz być dyspozycyjna, ale to nie jest powód, żeby się wyżywać na starej matce!  
– Stała w progu kuchni, podpierając się pod boki.

Zuzanna siedziała i patrzyła w kąt, zupełnie ignorując przemowę Krystyny.

– Czy ty mnie słuchasz? No nie jest to moja wina, że uparłaś się zmarnować sobie życie i odeszłaś od męża. Nie musiałybyś tyrać w soboty, żadna kobieta, która ma porządnego męża, nie musi! – kontynuowała niezrażona.

I wtedy stało się coś dziwnego. Zuzanna powoli przeniosła na nią wzrok. Krystyna aż się cofnęła, tyle złości, urażonej dumy i żalu było w tym spojrzeniu.

– Szkoda w związku z tym, że ty nie miałaś porządnego męża, bo z tego, co pamiętam, zawsze pracowałaś w soboty! I nie zmarnowałam sobie życia. To ty mi je marnujesz, ciągle tylko narzekasz, jesteś niezadowolona, wiecznie na wszystkich nalatujesz, na mnie, na babcię, Wojtka! Nawet na Wtorka i jego kury! Nie masz serca, wiesz? Dlatego ojciec cię zostawił! Nie odzywaj się do mnie, po prostu się odczep raz na zawsze! – krzyczała Zuzanna, coraz głośniej i głośniej.

Zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że z łomotem przewróciło się na podłogę. Na górze skrzypnęły drzwi. Zuzanna pędem wbiegła po schodach, mijając po drodze Cecylię, i zatrzasnęła się w swoim pokoju. Po chwili dało się stamtąd słyszeć zduszone łkanie.

Krystyna stała bez ruchu. Nawet powieka jej nie drgnęła. Zastygła z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy. Cecylia cicho zeszła do kuchni.

– Krysiu... – powiedziała czułym głosem, delikatnie dotykając chudego ramienia córki.

– Ja... ja nie wiem, co w nią wstąpiło. Co się dzieje z tą dziewczuchą? Znowu



ja jestem wszystkiemu winna? – zająknęła się Krystyna. – I skąd miałam niby wiedzieć, że ona jest taka wrażliwa na punkcie kur? Przecież ja też lubię zwierzątka, nie jestem jakąś sadystką! Robicie ze mnie potwora, a ja chcę tylko, żeby było dobrze! Zawsze tylko tego chciałam. Czy to zbrodnia?! No, świetnie, będę kupowała jaja od zielononózek, z chowu wolnowybiegowego, chociaż są idiotycznie drogie! Ale skoro aż tak wam na tym zależy! Dostosuję się, cóż ja znaczę, najwyraźniej się nie liczę... – Krystyna powoli odzyskiwała rezon.

– Wydaje mi się, że to nie o kury chodzi. Coś się musiało stać. I to poważnego! Ale co? – zastanawiała się na głos Cecylia.

– Co, co? Co się takiego mogło stać, żeby tak znęcać się nad chorą matką? Wy obie jesteście przewrażliwione. Śmiechy, płacze, gusła jakieś. Kompletny brak klasy. Nie tak ją chowałam, ale oczywiście mamusia się musiała wtrącać z tymi swoimi zabobonami – i proszę! Jaki mamy teraz pasztet. Uczucia trzeba trzymać na wodzy! Trzeba się kontrolować!? – huczała Krystyna, która zupełnie się już pozbiała.

Zasnurowała mocno usta. Zaczęła ścierać blat kuchenny, zasypany okruszkami po pierwszym i drugim śniadaniu. Wyjęła z lodówki śmietanę, z szafki – malowany w chabry pojemnik z mąką. Cecylia obserwowała jej ruchy i bez słowa sięgnęła do koszyka po jabłka.

– Umyję je. Bo będziesz robiła jabłka w cieście na obiad, prawda? – zapytała córkę.

Ta kiwnęła nieznacznie głową.

– Histerie, awantury, to nie na moje zdrowie. No nic, przecież trzeba coś jeść. Chłopaka nakarmić, rośnie, potrzebuje obiadu! A czy jego matka będzie w stanie coś mu dziś podać, w to szczerze wątpię – odburknęła.

– Dobrze, Krysieńko, dobrze. – Cecylia pogłaskała ją po plecach. – Ja przecież też wiem, że Zuzanna uwielbia jabłka w cieście. Nic tak nie poprawia człowiekowi nastroju jak obiad u mamy. Może potem dowiemy się, co się stało? – dodała szeptem, żeby Krystyna nie usłyszała, i zadumała się, patrząc na warzywnik.

Łysawa kura przechadzała się po nim dostojnym krokiem. Zza ogrodzenia dochodziło gdakanie innych niosek. Kura jednak nie zamierzała wracać na sąsiednią posesję.

Z leszczyn koło ogrodzenia zwisały tłuste, żółte kotki. Leciutko drżały, poruszane ciepłym wiatrem z zachodu. Niby wszystko było takie jak wczoraj, ale Cecylia nie dała się zwieść pozorom. Intuicja podpowiadała jej, że coś się bezpowrotnie zmieniło.

Tylko co?

\* \* \*

W czasie gdy w domu pań Czaplicz rozgrywały się dramatyczne sceny z udziałem kobiet i kur, parę ulic dalej, w siedzibie firmy Kozak Gardens, jej szef po raz kolejny tego dnia wykręcał numer telefonu swojej pracownicy. Chciał się dowiedzieć, jak przebiegło pierwsze spotkanie z nowym, ważnym klientem i... to chyba oczywiste, że ta sprawa nie mogła czekać do poniedziałku! Tymczasem ze słuchawki raz za razem płynął wdzięczny głos automatycznej sekretarki, która informowała go, że „abonent jest czasowo niedostępny”.

– Szlag mnie trafi! Jeżeli za pięć minut nie odbierze, to inaczej porozmawiamy! – Pogroził palcem w kierunku swojej ukochanej Moniczki.

Ta siedziała na biurku, machając zgrabną nóżką w niebotycznej szpilce i piłowała nadłamani paznokieć.

– Czemu jej po prostu nie wywalisz? – Wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od hybrydy w kolorze wściekłej fuksji.

– No nie, skaaaarbie... przecież jestem ludzki pan. – Twarz Kozaka rozciągnęła się w uśmiechu.

Podszedł do żony i objął ją z tyłu, ale połowica zniecierpliwionym ruchem zrzuciła jego ramię.

– Zabieraj łapska, znowu mi coś zepsujesz! Powiedz lepiej, co to za klient!

– Majętny człowiek, fabrykant... robi w stali. Kupił willę Jolancin przy ulicy Czeremchy...

– Tę rudę? – prychnęła Moniczka. – Też mi bogacz z Koziej Wólki! Kto chciałby mieszkać w baraku bez dachu!

– Kiedyś to była perła, przekonasz się, jak ją wyremontuje! A jaki ogródek mu trzaśniemy przy tej willi! Z tych jego rabatek jeszcze sobie nieźle pożyjemy!

Moniczka zaszczyciła męża przelotnym, ale jednak odrobinę życzliwszym spojrzeniem.

– To dobrze – powiedziała – bo potrzebuję nowego autka. A co on robi z tej stali?

– Tak dokładnie nie wiem, ale podpytam. Właściwie jestem spokrewniony z jego żoną... – Kozak znowu łypnął w kierunku połowicy, by sprawdzić, jak potężne wrażenie zrobiła na niej ta informacja.

– Tak? – Głos Moniczki zdradzał kompletny brak zainteresowania.

– Nie no, musiałaś słyszeć o Karolinie Sokolnickiej, właściwie hrabiance Sokolnickiej! – Kozak był już odrobinę zniecierpliwiony.

Przecież mówił właśnie swojej żonie, że jego ród – a zatem także i ona – jest skoligacony ze szlachcianką! Jednak za każdym razem, gdy o tym przypominał, Moniczka wykazywała zimną obojętność. Kozak odkrył swoje szlacheckie korzenie zaledwie kilka lat temu i był tym całkowicie zaskoczony. Pojechał akurat do Biłgoraja po sadzonki wisterii i przez przypadek zetknął się z doktorem Kierzkowskim, genealogiem. Temu niezwykłemu człowiekowi wystarczyło

zaledwie piętnaście minut, by wykazać, że rodzina Kozaków jest w istocie boczną odnogą rodu Ossolińskich! Ci zaś byli spowinowaceni z Sokolnickimi. Po powrocie z Biłgoraja Kozak natychmiast obstał sobie sygnet z herbem rodowym. Kierzkowski sprzedał mu też – po okazyjnej cenie! – piękne drzewo genealogiczne Kozaków. Natychmiast zawisło w salonie na honorowym miejscu.

Jednak żadna rewelacja nie była w stanie oderwać Moniczki od różowego paznokcia. Niezrażony Kozak mówił dalej:

– Pierwszy mąż mojej babci, dziadek Onufry, i ojciec Karoliny Sokolnickiej to byli dalecy kuzyni, z tym że było tam małe przesunięcie generacji. Wiesz, jak to jest, dzieci kiedyś było w rodzinach dużo, to najmłodszy w jednej linii rodowej byli w tym samym wieku co najstarsi z innej... Właśnie, czy ja ci wspominałem, Monisiu, że Onufry to było u Kozaków imię rodowe? W każdym pokoleniu nazywano tak najstarszego syna. I ja bym chciał, kochanie – Kozak spojrzął namiętnie na swoją połowicę i ponowił próbę przygarnięcia jej do siebie – ja bym chciał, aby nasz pierworodny też miał na imię Onufry...

– Czyś ty, idioto, kompletnie oszalał?! – Moniczka zeskoczyła z biurka i przybrała wygląd chmury gradowej, z której wychodziły różowe błyskawice paznokci.

Kozak cofnął się pół kroku.

– Skarbie... czy ja powiedziałem coś nie tak?! Śliczna ty moja, no przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy mieli dzieci... Dom stoi, samochód przed domem jest, w ogrodzie oczko wodne i huśtawka. To wszystko tylko czeka na bobaska z loczkami, który w przyszłości zostanie dziedzicem rodu Kozaków! – rozmarzył się.

– I trzeba ci Onufrego! Może od razu nazwij go Szlafmyca albo Onuca! Kretyn z ciebie, mój drogi! Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, że ze mną żadnego Onufrego mieć nie będziesz! Sam sobie zachodź w ciążę! – I Monika Kozak z domu Pyrka odrzuciła włosy, dumnie wypięła zgrabną pierś, po czym wymaszerowała z biura firmy Kozak Gardens, pozostawiając osłupiałego męża sam na sam z jego planami prokreacyjnymi.

Posmutniały Kozak kręcił się chwilę po biurze, strzelając spinaczami do własnego zdjęcia. Potem spróbował jeszcze raz dodzwonić się do Zuzanny, ale wciąż bez powodzenia. I wreszcie wściekły wyszedł, trzaskając drzwiami tak, że prawie wypadły z futryny. Przeszedł parę kroków. Kopnął kamień. Jego wzrok padł na Azę – rodowodowego owczarka niemieckiego. Oj, biedna to była suka... Choć kupiona za słuszną cenę i typowana przez hodowców na medalistkę, żyła w siatkowym boksie, przyczepiona łańcuchem do drewnianej budy. Ani Robert, ani Moniczka nie mieli serca do zwierząt. W ich rodzinnych domach traktowano je wyłącznie użytkowo. Pies był od tego, żeby obszczekać obcego, ewentualnie nastraszyć – państwo Kozakowie nie omieszkali przyczepić do furtki tabliczki,

która informowała wszystkich, że posesji pilnuje „zły pies”. Poza tym jednak powinien siedzieć w budzie i nie rozkopywać trawnika.

Teraz Aza patrzyła na swojego pana wzrokiem, w którym odbijał się cały smutek wszechświata.

– I czego się gapisz? – rzucił Kozak do psa.

Aza opuściła uszy. Wyglądała naprawdę żałośnie, nawet on musiał to przyznać. Przez moment poczuł się nieswojo. Nie zdążył jednak dopuścić do siebie żadnej poczciwej myśli, bo poderwał go gniewny głos:

– Czemu pan dręczy to nieszczęsne zwierzę?! Proszę je natychmiast spuścić z łańcucha, w przeciwnym razie zaalarmuję Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt!

Głos należał do ekologa Jacka Wtorka, który właśnie uprawiał jogging w okolicy i przebiegając obok posesji Kozaków, dostrzegł nieszczęsną Azę.

– No, czekam! – zawołał, przebierając nogami w miejscu, by nie stracić ani jednej cennej sekundy z treningu.

– Do usług – syknął Kozak, po czym wszedł do boksu i uwolnił Azę z łańcucha.

A potem pochylił się nad nią i szepnął: „Bierz go!”. Jednocześnie sięgnął do kieszeni po pilota bramy wjazdowej. Nacisnął przycisk i uśmiechnął się, usłyszawszy zgrzyt metalu.

Cóż, trzeba przyznać, że Wtorek uciekał naprawdę szybko. Psisko przebiegło za nim jakieś dwieście metrów, zanim przywołał je z powrotem przeciągły gwizd. Suka wróciła potulnie do boksu, a Kozak zatrzaskał za nią drzwiczki i więcej nią sobie tego dnia głowy nie zawracał. W przeciwieństwie do upokorzonego Wtorka, który dochodząc do siebie w domowym zaciszu, poświęcił psu, a przede wszystkim jego właścicielowi, jeszcze sporo niezyczyliwych myśli. Ukoić go dopiero lektura miesięcznika o wiele mówiącym tytule „Miejski Ekolog”.

\* \* \*

Kilka dni później kroczył dumnie ulicą Lipową, ze wspomnianym periodykiem pod pachą. Znajdował się w nim artykuł na temat roślin jadalnych, porastających nasze polskie trawniki. Wtorek, który z zapałem neofity rzucał się na wszystkie tego rodzaju „nowinki”, postanowił natychmiast uzupełnić swój domowy księgozbiór o kilka pozycji na temat dzikiej kuchni roślinnej. Tego ranka wypatrywał na swoim trawniczku gwiazdnicę i chciał ją natychmiast spożytkować kulinarnie, niestety nie miał pojęcia jak. Dlatego szedł teraz do księgarni Kubuś Puchatek, znajdującej się tuż obok kościoła pod wezwaniem Świętych Aniołów Stróżów. Wielebny August Fąfara, proboszcz, przechadzał się właśnie wśród okazałych różaneczników, których nabrzmiałe pąki stanowiły zapowiedź rychłej eksplozji kolorów. Wtorek skrzywił się lekko. Delikatnie mówiąc, nie przepadał za Fąfarą, podejrzewał też, że z wzajemnością. Zamierzał szybko odwrócić głowę, by

przypadkiem nie wejść w kontakt wzrokowy z księdzem – musiałby wtedy podjąć decyzję, czy otwarcie zmanifestuje swoją niechęć wobec władzy duchownej i nie ukłoni się Fąfarze, czy też skinie mu lekko głową jak ostatni hipokryta. Niestety, proboszcz już dostrzegł ekologa i jego twarz przybrała wyraz oczekiwania.

– Niech będzie pochwalony – wykrztusił Wtorek, czując, że traci szacunek do samego siebie.

– Na wieki wieków. – Fąfara uśmiechnął się, spoglądając na niego szelmowskim wzrokiem. – Piękny dzień! – dodał, ale Wtorek już nie odpowiedział, tylko przyspieszył kroku.

Zapewne dlatego zderzył się z biegnącą chodnikiem Wiolettą Migas. Ta, wyżebrawszy godziną przerwę w zakładzie fryzjerskim, w którym pracowała, pędziła teraz na spotkanie z Kazią Leszczyńską. Przyjaciółki miały do omówienia kilka ważnych i niecierpiących zwłoki spraw.

– Jak pani lezie! – wyrwało się Wtorkowi, zupełnie nieekologicznie.

– Przepraszam – zaszczębiotała Wiola – mam nadzieję, że pana nie uszkodziłam. Bardzo się spieszę, to dlatego.

Wtorek jednak nie zaszczębił jej dalszą rozmową i już naciskał klamkę księgarni Kubuś Puchatek. Tu, niestety, spotkała go kolejna nieprzyjemność. Drzwi ani drgnęły, dopiero po chwili dostrzegł kartkę: „Przerwa do 15”. Zerknął na zegarek i znów wyrzucił z siebie kilka nieekologicznych słów. Była bowiem dopiero trzynasta.

\* \* \*

Nic dziwnego, że wielbiciel dzikich roślin pocałował klamkę. Kazia Leszczyńska, czyli właścicielka księgarni Kubuś Puchatek, siedziała wygodnie w kawiarni tuż obok, czekając na zamówione latte z mlekiem sojowym, i obserwowała wszystko zza szyby. Kręciła głową i wzdychała, widząc, jak Wiola wpada na Wtorka, jak go przeprasza, próbuje otrzepywać z niewidzialnego kurzu. Ależ to było podobne do tej jej przyjaciółki! Wiola, wiecznie spóźniona, roztrzepana, wpadała w tarapaty i niewłaściwe ramiona.

Kazia doskonale pamiętała ich pierwsze spotkanie. Kiedy to było? Trzydzieści lat temu? Trzydzieści dwa? I ona, i Zuzanna, wyszykowane przez matki, w fartuszkach z falbanami, w nowych kapciach, pewnie przekroczyły próg przedszkola przy ulicy Niezapominajki. Tego samego, do którego chodziły później wszystkie ich dzieci. Pierwszą osobą, którą zobaczyły tamtego ranka, była Wiola. Nowa w grupie starszaków. Zasmarkana, w opadających rajstopach, z dziurą na kolanie. Wyróżniała się, i to wcale nie pozytywnie. Gdyby nie fakt, że Zuzanna od razu zapałała sympatią do tej dzikiej, niezbyt starannie ubranej dziewczynki, a Kazia solidarnie przyłączyła się do koleżanki, Wioli prawdopodobnie przypadłaby rola kozła ofiarnego. Tak się jednak nie stało. Od pierwszego dnia

starszaków były nierozłączne – na wieki wieków amen. Parę miesięcy później, tuż przed zakończeniem roku szkolnego, w krzakach na placu zabaw zakopały swój największy skarb: metalowe pudełko po herbacie, do którego włożyły szklaną kulkę, pierścionek z niebieskim oczkiem oraz gumowe różowe prosiątko. Od tego momentu, raz do roku, w czasie wakacji przekradały się na teren przedszkola, by sprawdzić, czy ich cenności dalej siedzą w ziemi. Stało się to ich rytuałem i dało poczucie ciągłości. Świat mógł się walić, jednak dopóki puszką ze skarbami tkwiła na swoim miejscu, ich przyjaźni nic nie zagrozi. „Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną” – ta znana maksyma, zaczerpnięta z *Trzech muszkieterów* Aleksandra Dumasa (Kazia od małego zaczytywała się powieściami spod znaku płaszcza i szpady!), pasowała do nich jak ulał. I znalazła potwierdzenie, gdy miały po dziewięć lat. Choć były ze sobą blisko, nie miały pojęcia, że w domu Wioli bardzo źle się dzieje. Oboje rodzice pili, ojciec bardziej niż matka. Dziewczynka nie raz i nie dwa nocowała na klatce schodowej. Bywało, że rozjuszony tata przyłał jej nieco za mocno i przez parę dni nie chodziła do szkoły, wymawiając się przeziębieniem. Wiola wstydziła się przyznać, w jakiej żyje nędzy. Zamknęła się w sobie, zaczęła się odsuwać od przyjaciółek. Z biegiem czasu coraz częściej była „przeziębiona”. Prawdopodobnie ich drogi rozeszłyby się wtedy, gdyby któregoś dnia na lekcji WF-u Zuzanna nie zauważyła sinych pręg na plecach i udach Wioli. Przyparła ją wtedy do muru i wyciągnęła z niej wstydliwą tajemnicę: pijany ojciec regularnie znęcał się i nad nią, i nad matką. Bały się o życie, bo z roku na rok, z miesiąca na miesiąc stawał się coraz bardziej brutalny. Trzeba przyznać, że Zuzanna i Kazia – jak na dziewięciolatki – okazały się wtedy nad wyraz skuteczne w działaniu. Najpierw przekonały rodziców, że powinni się ująć za ich małą przyjaciółką. Iść do szkoły i do opieki społecznej. A sama Kazia przeprowadziła naprawdę brawurową akcję. Podstępem zwabiła do mieszkania Wioli swojego wuja Witka, komendanta policji w Starej Leśnej. Wiedziała, że gdyby poprosiła go o interwencję w sprawie koleżanki z klasy, być może nie byłby tak chętny, by po pracy iść do obcego mieszkania. Opowiedziała mu więc bajeczkę o lokalnym chuliganie, który jej dokucza. Mundur wuja miał podziałać na niego odstrasżająco. Bezdzienny wujek Witek uwielbiał małą Kazię, więc zgodził się bez oporów. Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że gdy wszedł do mieszkania Wioli, jej pijany ojciec okładał córeczkę bez miłosierdzia starym kablem od żelazka. Został wyprowadzony w kajdankach. Szczęśliwie udało się go odseparować od rodziny i życie Wioli nieco się uspokoiło. Tym bardziej że bliscy jej przyjaciółek roztoczyli nad nią ochronny parasol. Zabierali na wakacje i ferie, zapraszali na weekendy, od czasu do czasu podsuwali jakiś ciuszek, książkę albo kilka zeszytów, myli, dokarmiali. A przede wszystkim przytulali. I tak Wiola dotrwała do dorosłości. Skończyła szkołę fryzjerską i od lat pracowała w zakładzie U Dalili. Z którego właśnie zwolniła się na godzinę. Absolutnie wyjątkowo, rzecz jasna!

– No nie, co ja widzę?! – z rozmyślenia wyrwał Kazię znajomy głos.

Podniosła głowę. Nad nią stał Stanisław Grzybek. Ten cukiernik z dziada pradziada, zakochany w wiejskim maśle, prawdziwej mące i tłustej śmietance, już jakiś czas temu wydał prywatną wojnę wszystkim dietetycznym nowinkom w rodzaju bezglutenowych ciast.

Z odrazą patrzył teraz na latte z mlekiem sojowym oraz niskokaloryczną napoleonkę bez masła, mleka i mąki, które to smakołyki ponura kelnerka stawiała właśnie przed Kazią.

– Jak pani może się tak truć, pani Kazimiero?! Ja nie mogę na to patrzeć, o nie! I nie zamierzam na to pozwolić.

Grzybek ujął Kazię za łokieć. Chcąc nie chcąc, podniosła się z krzesła.

– Ale... ale ja się tu umówiłam... ja muszę zapłacić... – Kazia próbowała się bronić, choć raczej niemrawo.

– Ja za wszystko zapłacę – cukiernik był stanowczy. – Proszę za mną.

Kazia potulnie zabrała torebkę i kurtkę, rzucając przepraszające spojrzenie kelnerce, która jeszcze bardziej spochmurniała i sprzątnęła nietknięte ciastko oraz kawę.

Przed kawiarnią spotkali Wiołę.

– Przepraszam za spóźnienie. – Cmoknęła przyjaciółkę w policzek. – Dzień dobry, panie Staszku!

– Dzień dobry! Pani też pozwoli ze mną – odpowiedział bojowo Grzybek.

Przyjaciółki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i grzecznie podreptały za cukiernikiem, który poprowadził je do Gwiazdeczki, najstarszego lokalu w Starej Leśnej. Przybytek ten, założony przez dziadka pana Stanisława, pamiętał jeszcze czasy, gdy Jolanta i Olgierd Tomaszewscy zamawiali tu torty na swoje przyjęcia. W Gwiazdeczce serwowano cudowne napoleonki z prawdziwej mąki i najtłustszej wiejskiej śmietany. Grzybek zamówił dla przyjaciółek po dwa ciastka – każde wielkości cegły – po czym skłonił się godnie i oddalił do swoich zajęć.

\* \* \*

Gdy fanatyczny wielbiciel masła zniknął z pola widzenia, Kazia złapała przyjaciółkę za ramię.

– Mów, co wiesz!

– Nie no, w sumie chyba niewiele więcej niż ty – odpowiedziała Wiola. – Parę dni temu Kozak poinformował Zuzannę, że ma zrobić ogród jakiemuś milionerowi z Warszawy. A potem okazało się, że ten bogacz to Adam Przygodzki.

– Poczekaj – przerwała jej przyjaciółka – może to zbieżność imion? To chyba nie może być TEN Adam Przygodzki!

– No właśnie, to samo powiedziałam Zuzce, gdy do mnie zadzwoniła w hysterii...

– Ciekawe, czemu do mnie nie zadzwoniła – mruknęła z kwaśną miną Kazia.  
– Owszem, dzwoniła, tylko że byłaś zajęta odrabianiem lekcji z Klarą.  
– Zawsze mi przepada to, co najciekawsze – dąsała się właścicielka księgarni Kubuś Puchatek.

– Oj, nie marudź! Masz cudowne, pełne życie, męża, trójkę dzieci, pracę, którą kochasz... Naprawdę, nie licytujmy się! – Wiola, przy całym jej roztrzepaniu, potrafiła jednak widzieć rzeczy we właściwych proporcjach.

– Masz rację, grzeszę – pokornie przyznała Kazia. – No dobra, więc co z tym Przygodzkiem? Skąd wiadomo, że to na pewno ten sam?

– No więc tego do końca nie wiem, bo rozmawiałam z Zuzanną przed spotkaniem z nim. Potem nie mogłam się do niej dodzwonić. Albo miała wyłączony telefon, albo nie odbierała... Za to rozmawiałam z Cecylią.

– No i co?

– Cecylia powiedziała, że Zuza jest w strasznym stanie, albo płacze, albo kłóci się ze wszystkimi, albo śpi – westchnęła Wiola.

– No to sporo wyjaśnia. – Kazia pokiwała smętnie głową. – To musi być ten Adam Przygodzki, w którym tak beznadziejnie kochała się na studiach. Inaczej nie reagowałyby w ten sposób.

– Ja też myślę, że to on. I Cecylia również jest tego zdania – przytaknęła Wiola.

– Coś o nim wiemy? Żonaty? Rozwiedziony? Kawaler?

– Nie mam bladego pojęcia. Ale zamierzam rozpuścić wici. Jeżeli jest wolny, to może być dla nas szansa... Gdyby wszystko poszło dobrze, wydałybyśmy Zuzę za milionera. To by dopiero było, co nie? – zachichotała Wiola.

Ale Kazia była bardziej sceptyczna.

– Nie przywiązywałabym się do tej myśli. Milionerzy nie chodzą sobie ot tak po ulicy, czekając, aż ktoś ich upoluje. Facet na sto procent ma żonę, a jak nie ma, to tym gorzej: to nieustatkowany czterdziestolatek, lowelas, który rwie wszystko, co mu się nawinie, bo wydaje mu się, że jest królem świata. Bardziej mnie martwi, że tak to rąbnęło naszą Zuzę. Właściwie czemu? Ja też mam stare miłości z czasów studenckich i w życiu by mi nie przyszło do głowy, żeby je po latach opłakiwać. Wręcz jestem wdzięczna Panu Bogu, że mnie ustrzegł przed takim Sebastianem Witczakiem, który z przystojnego chłopca stał się łysym grubasem. Nie ma porównania z moim Ludwikiem...

– No tak – westchnęła Wiola. – Słuchaj, a może ona go kochała całe życie? Może zawsze za nim tęskniła i teraz on się zjawił i wszystkie te uczucia ożyły? – Coraz bardziej rozmarzona Wiola zakończyła swoją tyradę głębokim westchnieniem, ale krytyczna jak zwykle Kazia szybko sprowadziła ją na ziemię.

– Weź ty się, Wiola, puknij. Przestań oglądać tyle telenowel i popatrz na prawdziwe życie. Miałyby go kochać skrycie przez dziesięć lat? I my byśmy nic



o tym nie wiedziały? Nonsens.

– Pewnie masz rację. – Fryzjerka pokornie się uśmiechnęła. – Ale byłoby pięknie, gdyby to była prawda...

– Nie jestem pewna. Boże, nie mogę już tego sernika! – Kazia westchnęła i opuściła łyżeczkę.

W tym momencie do ich stolika podeszła kelnerka, niosąc dwie eklerki. Największe, jakie w życiu widziały. Cukiernicze mutanty.

– Szef powiedział, żeby przynieść paniom jeszcze po ciasteczku. Mam przypilnować, żebyście nie zostawiły ani okruszka! – oświadczyła i postawiła talerzyki przed osłupiałymi przyjaciółkami.

\* \* \*

Wojtek włókł się noga za nogą. Ściągnął czapkę, rozpiął kurtkę i wystawiał się na promienie marcowego słońca. To był pierwszy tak ciepły dzień w tym roku! Z ogrodzonego siatką boiska dochodziły pokrzykiwania chłopaków z klasy: „Podaj do Mikołaja! Do mnie dawaj, no! Nieee! Nie było gola, spalony!”. Wojtek też by pokopał, z miłą chęcią. Ale humor zepsuł mu się na ostatniej tego dnia lekcji, kiedy pani Zajdler, matematyczka, rozdawała sprawdzone klasówki. Niestety – pała. Kakałko od prababki nie pomogło. Nie było to takie znowu dziwne, bo Wojtek niespecjalnie przyłożył się do nauki. Ostatnio w ogóle się nie przykładał. Nie chciało mu się. Wolał biegać po wydmach w parku, do utraty tchu. Staczać się w dół, w kopy zeschniętych liści. Grać na telefonie, pożyczonym od któregoś z kolegów z klasy, bo własnego nie miał. Jeździć na rowerze tak szybko, że bryzgi błota spod kół oblewały przechodniów. Ewentualnie jeszcze pobrzdakać na gitarze Antka, bo własnej również nie miał. Cokolwiek, byle nie siedzieć w domu. Kochał mamę i obie babcie, ale od niedawna miał ich trochę dosyć. Męczyła go Bunia, z tymi opowieściami z lat młodości i magicznymi rytuałami! Babcia, kopcząca jak komin elektrowni Siekierki. No i matka. Gdy tylko przypominał sobie jej zboląłą minę, gdy przekazał, że dyrektor wzywa ją na rozmowę (pani Zajdler przyłapała ich z Antonim, gdy podpalali kosz na śmieci w łazience dziewczyn), robiło mu się słabo. Wiedział, że martwiła się jego ocenami. Jeszcze rok temu miał świadectwo z biało-czerwonym paskiem. Teraz się na to nie zanosilo. Słyszał, jak mama wieczorem rozmawiała o tym z babcią, a ta ją musztrowała, że wszystko przez to, że w domu nie ma mężczyzny. Wojtek aż zaciskał pięści ze złości na babkę. Przecież on był mężczyzną! A ojciec? Jeśli miałby być taki jak jego tata, to lepiej, że go nie było. Nie miał żadnych wspomnień z tego krótkiego okresu, kiedy wszyscy razem mieszkali w Warszawie. Potem tata zjawiał się w Starej Leśnej od przypadku do przypadku. Na pewno nie co dwa tygodnie, jak deklarował w trakcie rozwodu.

Wojtek pamiętał swoje szóste urodziny. Wypadały w sobotę, w dzień

odwiedzin taty. Wtedy jeszcze na nie czekał. Liczył, że ojciec kupi mu zestaw Lego Star Wars, o którym marzył. Obudził się o świcie, przed mamą i nawet Bunią, która wstawiała wyjątkowo wcześnie. Zrobił sobie śniadanie i kanapki dla mamy i babć. Cieszył się na to, co miało się wydarzyć, i postanowił być dla wszystkich bardzo, bardzo dobry. Nawet ugotował torebki z herbatą, bo sądził, że tak właśnie się robi. A potem usiadł na parapecie kuchennym i przez okno obserwował drogę i bramę. Wierzył, że tata na pewno zaraz się pojawi, z ogromną paczką owiniętą kolorowym papierem pod pachą. Już za chwilę. Nie chciał zjeść obiadu, choć babcia specjalnie dla niego upiekła kurczaka, którego uwielbiał, i zrobiła ulubioną pomidorową z ryżem. Nie chciał tortu czekoladowego Buni. Bał się, że jeśli siądzie do stołu, przegapi moment, w którym tata wchodzi do ogrodu.

Pod wieczór mama podeszła do okna, mocno go objęła, przytuliła. „Synku, tata już nie przyjdzie” – powiedziała tylko. Starał się nie płakać. Za to słyszał, że nocą ona płakała – i to długo. Wtedy po raz pierwszy poczuł nienawiść. Do ojca.

Zapamiętał to zdarzenie głównie dlatego, że to były ostatnie urodziny, w które ojciec mógł do niego przyjść z prezentem. Kilka miesięcy później zginął w wypadku samochodowym.

Od tamtej pory starał się nie robić niczego, co mogłoby zmartwić mamę. I dlatego właśnie teraz wracał do domu wolno, okrężną drogą, żeby odwlec chwilę, w której będzie musiał pokazać jej klasówkę pełną czerwonych dopisków i przekreśleń, z ogromną cyfrą 1!, namazaną zamaszystym ruchem na pierwszej stronie.

Doszedł do sklepu spożywczego koło stacji kolejki elektrycznej. Zachciało mu się pić. Zaczął szukać po kieszeniach: może uzbiera kilka złotych na zimną colę? Podniósł głowę i wtedy to zobaczył. Ogromne, czarne, lśniące nowością auto. „Terenówka! Ale jaka! Megawypasiona!” – skomplementował w myślach samochód.

Rozejrzał się. Wokół nikogo nie było. Mógł dokładniej przyjrzeć się karoserii, kołom, zajrzeć do środka. Ciekawe, czy ma górny chwyt powietrza? Reduktor? Wyciągarkę?

– Ej, mały! Ty mi tu nic nie ruszaj! – Ze sklepu wyłonił się mężczyzna. Przed czterdziestką, siwiejący brunet o niebieskich oczach.

Wojtek szybko się cofnął.

– Ja chciałem tylko popatrzeć... – wytłumaczył się.

Brunet się uśmiechnął.

– Jasne, że tak. Każdy facet lubi samochody, nie? Ja wolę takie mocarne maszyny niż sportowe cacka. Ty pewnie też? – zapytał.

Wojtek kiwnął głową. Terenówka bardzo mu się podobała. Zapomniał nawet o coli. Nieznajomy pakował do bagażnika zakupy.

„Ciekawe, czy tu mieszka? Nigdy go nie widziałem” – pomyślał Wojtek.

– Też lubię terenowe. Naprawdę fajny. Do widzenia! – rzucił tylko i ruszył w stronę stacji.

Pasek od plecaka, niedbale zarzuconego na jedno ramię, wlokł się za nim po ziemi.

Adam Przygodzki uśmiechnął się do pleców Wojtka. Przypomniało mu się, że tak samo nosił tornister, gdy był w wieku chłopaka. Wracał ze szkoły wolno, bo nie dostał piątki, jak oczekiwała matka, tylko czwórkę na szynach. I bał jej się powiedzieć, bo wiedział, że będzie niezadowolona i skwituje to lodowatym: „Stać cię na więcej, synu”.

Jak to było dawno temu! A mimo to zdanie wypowiedane przez matkę wciąż dźwięczało w uszach Adama. Ćwierć wieku później nadal miał wrażenie, że nie dorasta do oczekiwań – matki, Karoliny, własnych. Wsiadł do samochodu i zatrasnął drzwi.

I wtedy go olśniło.

– Ale idiota ze mnie! Jak mogłem jej nie rozpoznać! – krzyknął.

### III

Na ścieżce wiodącej do willi Kurza Stopka przysiadł młody szpak. Zupełnie nie zauważył kotki Brezylki czającej się za krzaczkiem bukszpanu. Zuzanna co roku obiecywała Krystynie, że przyszyje go w kształt idealnej kuli, jak w dawnych francuskich ogrodach, ale nigdy nie miała na to czasu ani ochoty. Tak naprawdę to lubiła dzikie ogrody angielskie, w których każda roślina zdawała się opowiadać własną historię i miała osobowość. Było to zgodne z jej naturą. Ona także niełatwo poddawała się regułom i nie lubiła, gdy ktoś narzucał jej swoją wolę. W takich sytuacjach zwykle usuwała się w cień. Nie potrafiła walczyć o swoje, nie była asertywna – ale nie była też uległa. Milczała – i dalej robiła to, co uważała za słuszne. Krystyna doskonale o tym wiedziała. Nie umiała jednak zaakceptować potrzeby niezależności córki. Było to niewyczerpanym źródłem konfliktów pomiędzy kobietami.

Ot, choćby historia z Brezylką. Krystyna nie chciała mieć w domu kota. Ale czy ktoś ją zapytał o zgodę? Jak zwykle nie. I proszę, oto efekty. Odkąd Zuzanna przyniosła zziębniętą kotkę do domu, wszystkie fotele pokrywała sierść, a ulubiona kanapa Krystyny była zryta pazurami. W dodatku Brezylka nie zdradzała najmniejszych oznak poczucia winy z powodu zniszczeń i bezczelnie patrzyła Krystynie w oczy, jakby to ona była tu panią.

Teraz jednak jej wzrok skupiony był na małym, ślicznym ptaszku i Krystyna, choć nie przejmowała się szczególnie losem zwierząt, poczuła, że musi interweniować. Szybko klasnęła więc w dłonie i szpak odleciał. Brezylka rzuciła jej zimne, choć opanowane spojrzenie psychopatycznego mordercy. Powoli wstała, dumnie uniosła ogon i przedfilowała przez sam środek zagonu rzodkiewek. Przeniosła całą swoją uwagę na tyły domu, gdzie pod krzakiem kaliny ukryła się biała kura. Łyse plamy porastało już delikatne pierze. Tego wszystkiego oczywiście Krystyna nie widziała, zajęła się bowiem witaniem przy furtce Stanisława Grzybka, który niósł ogromne pudło zwieńczone różową kokardą.

– Dzień dobry, pani Krysieńko! – zaszcebiotał cukiernik.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry – odburknęła gospodyni. – Diabli nadali całą tę menażerię.

– Czyżby proboszcz już przyszedł? – spłoszył się lekko Grzybek.

– A czy on kiedyś przyszedł na czas? – prychnęła Krystyna. – Nie jest to moja sprawa, ale ludzie powinni być punktualni, zwłaszcza kiedy kulturalna rodzina zaprasza ich w gości!

– Ja jestem punktualny jak szwajcarski zegarek. I w dodatku przyniosłem pani prezencik. Ktoś tu ma niedługo imieninki! – trajkotał bardzo zadowolony z siebie Grzybek.

– Jaki znowu prezencik? – zaniepokoiła się Krystyna. – Mam nadzieję, że

nie jest to nic tłustego!

– Torcik szwarcwaldzki, takim samym zajadała się Marlena Dietrich – opowiadał z przejęciem przybysz.

– A wie pan, że zmarła na niewydolność nerek? – rzuciła Krystyna z pełnym satysfakcji uśmiechem i przypaliła trzymanego w ustach papierosa.

Grzybek wyraźnie się stropił. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, bo na ganek wyszła Cecylia. Miała na sobie niebieską jedwabną sukienkę w motyle. Uśmiechnęła się serdecznie i cukiernik natychmiast zapomniał o swoim *faux pas*. Oraz o Krystynie.

– Ach, widzę, że znowu pan stanął na wysokości zadania, panie Staszku! – Cecylia cmoknęła go w policzek.

– Niewiarygodne. Ileż ona ma lat! – Twarz Krystyny przybrała wyraz całkowitej dezaprobaty. Nie zdążyła jej jednak okazać, bo wydarzyły się dwie rzeczy naraz. Po pierwsze, za ogrodzeniem zadudnił motor proboszcza Fąfary. Po drugie, Brezylka wykonała lamparci skok w stronę ukrytej w kalinowych gałązkach kury. Ta wzbiła się w górę i spadła po drugiej stronie płotu, prosto pod koła hamującej maszyny. Rozległo się przeraźliwe gdakanie, w powietrze wzleciały strzępki piór. Wielebny zaklął szpetnie. Cukiernik jęknął. W tym momencie na drogę wyskoczył ekolog Jacek Wtorek, odziany tylko w barwne legginsy do jogi, w których jeszcze chwilę wcześniej rozciągał się w pozycji świerszcza. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zorientować się, co zaszło.

– Moja kura! Zbrodnia! Morderca! – wrzasnął i oskarżycielskim gestem wskazał na proboszcza, który co prawda był nieco zakłopotany, ale najwyraźniej nie dostrzegał dramatyzmu tej sytuacji, bowiem uśmiechnął się pojednawczo.

– Zwrócę za rosołek – wypalił.

Zaalarmowani hałasem pozostali domownicy i brydżyści wylegli na ganek.

– Nasz proboszcz lubi mocne wejścia – ucieszył się, nieadekwatnie do sytuacji, Koczocik.

Był jedyną osobą w całym towarzystwie, której wypadek sprawił drobną przyjemność. Obserwował spod oka szkarłatny rumieniec rozlewający się po policzkach Augusta Fąfary. Natychmiast jednak przybrał obłudnie troskliwy wyraz twarzy.

– Może potrzeba jakichś leków? – aptekarz zwrócił się do Wtorka, który jednak całkowicie go zignorował.

Miotał się w amoku dookoła motocykla, usiłując schwytać przerażoną kurę. Na razie nikt nie był w stanie ocenić jej obrażeń.

– Nie wygląda na bardzo martwą. Do rosołu jeszcze droga daleka... – westchnął duchowny.

– I proboszcz uważa się za chrześcijanina? Nic dziwnego, że kościoły pustoszeją. Kto mi teraz będzie kurę leczył? Tyle już w życiu przeszła, a tu nowy

cios! – lamentował Wtorek.

– Kolizja z Kościołem katolickim nigdy się dobrze nie kończy – powiedział do siebie Koczocik, jednak rzucone przez Grzybka ostre spojrzenie kazało mu nie rozwijać tego wątku.

– Wojtku, przynieś szybko transporterek podrózny Brezylki! – krzyknęła do syna Zuzanna. – Zawieziemy kurę do weterynarza.

– A faktycznie! – włączyła się do rozmowy Wiola, która godzinę wcześniej wpadła w odwiedziny do przyjaciółki. – Od niedawna na Borsuczej, tuż za rogiem, przyjmuje weterynarz.

– Nawet go poznałam w sklepie dwa dni temu – dodała Cecylia. – Bardzo przystojny doktor... I dobrze ułożony. Podwiózł mi zakupy do domu.

– Nie będę płacił za żadnego weterynarza, dobrze czy źle ułożonego – naburmuszył się Wtorek. – Niech on płaci! – rzucił do proboszcza.

– Nie on, tylko ksiądz proboszcz, synu! – nabzdyczył się Fąfara. – Trzymajmy się jednak pewnych form.

– Nie będę trzymał się form wobec niebezpiecznych maniaków! – darł się ekolog.

– O matko! Dajcie już spokój. Ja zapłacę – ucięła dyskusję Zuzanna.

– Jeszcze czego! Nie mamy pieniędzy na gaz, a ta będzie kurowała kurę! – nie omieszkała dorzucić swoich trzech groszy Krystyna, ale nikt już jej nie słuchał.

Tymczasem Wiola spokojnie podniosła oszołomionego uderzeniem ptaka, który wtulił się w błotnik choppera.

– Ty, biedulko moja kochana – zwróciła się do kury. – Nie martw się, już Zuzanna się tobą zaopiekuje. Ona nikomu nie da zginąć.

Kura nic nie powiedziała, ale mrugnęła pojednawczo okiem, gdy Wiola mościła ją w kontenerze Brezylki.

\* \* \*

Samochody sunęły wiaduktem w żółtym tempie. Dzień był pochmurny, wilgotny i szary. Korek zdawał się nie mieć końca, a ciągnął się prawie od samego lotniska Chopina.

– Jasna cholera! No i nie będę na czas! Bez szans! – Adam nerwowo bębnił palcami po kierownicy.

A tak lubił być w porządku! Chciał uchodzić za człowieka uprzejmego, prawdziwego dżentelmena. Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że zachował się wobec Zuzanny jak... no, nie ukrywajmy, jak burak. Idiota. Zwykły cham po prostu! To prawda, że ich znajomość – wiele lat temu, za czasów studenckich – była krótka. Mimo wszystko głupio jakoś nie pamiętać kobiety, z którą połączyła człowieka bliska relacja. Nawet jeśli chodziło tylko o tydzień, a tak było w ich przypadku.

Adam kochał kobiety. I z wzajemnością. Kiedy to się zaczęło? Chyba jeszcze w przedszkolu. W każdym razie z czasów podstawówki pamiętał maślane spojrzenia koleżanek, gdy nauczycielka wzywała go do odpowiedzi albo kiedy odbierał świadectwo z biało-czerwonym paskiem, albo startował w biegu na sto metrów. Oczywiście wygrywał – w jego domu rodzinnym kładziono bowiem nacisk na cel i sukces. Jako jedyny syn – i w ogóle jedyne dziecko – czuł się w obowiązku przynosić мамie i tacie wszelkie możliwe trofea, jakie tylko chłopak w jego wieku mógł zdobyć. Za każdym razem, gdy wracał z pucharem z zawodów lekkoatletycznych czy dyplomem z olimpiady, miał nadzieję, że usłyszy słowa: „Kochamy cię. Jesteś wspaniały!”. Ale rodzice zachowywali się tak, jakby to było zupełnie naturalne, że ich syn jest we wszystkim dobry lub najlepszy. A matka potrafiła jeszcze skomentować: „Tylko drugie miejsce? Kto zajął pierwsze? Ach, znowu ten Bartek... Gdybyś się postarał, mógłbyś go pokonać”. Adam się starał.

Na rodzicach nie robiło to wrażenia, ale na koleżankach z klasy – owszem.

Poszedł do liceum i zaczął tę sympatię z premedytacją wykorzystywać. Zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Balował, był duszą towarzystwa – ale ciągle także piątkowym uczniem z perspektywami. Dostał się z drugą lokatą („Wciąż drugi... Jakaś kłątwa!” – skrzywiła się matka) na inżynierię środowiska w warszawskiej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. I tu kontynuował swoje radosne podboje złotego chłopca, któremu zawsze wszystko się udawało. W końcu dobra passa się skończyła, Adam zawałił egzaminy w letniej sesji. Musiał powtarzać trzeci rok. Trochę go to otrzeźwiło. Zaczął się zastanawiać nad swoim życiem. Co właściwie chce z nim zrobić? Postanowił, że się usamodzielni, wyprowadzi z domu. Czuł, że musi się oderwać od rodziców, dusiły go ich wymagania i ambicje. Rzucił się do książek. Znow zbierał piątki w indeksie. Złożył wniosek o stypendium i wyjazd na staż do Londynu. W kwestii dziewczyn nic się nie zmieniło. Nadal do niego lgnęły i nadal je lubił, wszystkie tak samo, bez wyjątku.

A, właściwie z jednym wyjątkiem. Była nim właśnie Zuzanna, którą spotkał pod koniec czwartego roku. Sam nie wiedział, jak nazwać uczucia, które do niej żywił przez ten tydzień, gdy zaczęli się widywać. Ciekawość, rezerwa, a może lekka fascynacja? Ta dziewczyna, kompletnie niepodobna do wszystkich jego poprzednich miłości, nie dawała się łatwo sklasyfikować. Był wtedy od kilku miesięcy z tą, no, jak ona miała na imię... Anka? Hanka? Blondyneczka taka, strasznie mu się podobała, wydawało się, że oszalał na jej punkcie. Zabawne, bo dziś nie był w stanie przywołać z pamięci rysów jej twarzy, choć usilnie próbował.

Westchnął i wrócił wspomnieniami do pewnego dnia trzynaście lat temu. Akurat pokłócił się z... Hanką, dajmy na to, imienia już sobie nie przypomniał. Poszedł na balangę do kumpla z roku, którego rodzice wyjechali na kontrakt do RPA. Upił się. I wpadł na Zuzannę w kuchni, przy lodówce. Chciał wyjąć piwo,

a ona podniosła na niego wzrok. Jego niebieskie oczy spojrzały w jej szare i... popłynął po tych chmurnych wodach gdzieś daleko. Zaczęli rozmowę. O czym? Chyba jej się zwierzał – dziwne, bo zawsze starał się trzymać fason, a teraz się rozgadał, pewnie przez alkohol. Było mu z nią jakoś tak... dobrze. Nic nie musiał udawać, chyba po raz pierwszy od lat. Szkoda, że tak niewiele o sobie mówiła, nie chciała się przed nim odkryć. Spotkali się jeszcze kilka razy, ale Zuzanna zaczęła go unikać. Pomyślał wtedy, że jest nieobyta, dzika, nie rozumiał, o co jej chodzi. Miała jakiś żal? Pretensje? Ale też specjalnie dużo się nad tym nie zastanawiał, bo Hanka przyleciała do niego z wyznaniem miłości i propozycją, żeby zaczęli wszystko od nowa. Z ochotą przystał na tę ofertę, a Zuzanna zniknęła mu z oczu. Nawet pytał potem kogoś o nią, kto to, skąd się wzięła, gdzie jest, ale dowiedział się tylko, że rzuciła studia, bo opiekuje się chorą matką i mieszka niedaleko Warszawy. Potem zupełnie pochłonęły go bieżące sprawy, a przed wakacjami dostał wiadomość, że przyjęto go na upragniony staż. W Londynie zaczęło się zupełnie nowe życie – poznał Karolinę Sokolnicką. Smukłą, rudowłosą, chłodną i inteligentną. Zakochał się natychmiast, tym bardziej że po raz pierwszy jakiś jego wybór życiowy pochwalili rodzice. „Znakomity ród. I jaka elegancja, wdzięk!” – nie mogła wyjść z podziwu matka.

Co jest, do cholery! Adam ze złością nacisnął klakson, choć zdawał sobie sprawę, że to kompletnie bez sensu. Oba pasy były zajęte sznurami stojących nieruchomości aut. Jasny gwint, to miasto jest albo w ruinie, albo w odbudowie, albo robią jakąś reorganizację, albo znowu remontują wiadukt. Generalnie nigdy nie da się dojechać na czas – o czym Adam, przez kilka lat mieszkający za granicą, zdążył zapomnieć. Spieszył się na spotkanie z Zuzanną – miała przedstawić mu ogólne założenia dotyczące projektu ogrodu w Jolancinie. Gdy zadzwonił do niej, by się umówić, przeprosił za swoją gafę i powiedział, że oczywiście świetnie ją pamięta. Czekał, aż ona podejmie temat, zaśmieje się, zażartuje coś na temat dawnych czasów. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Zuzanna w ogóle nie odniosła się do jego słów, zaproponowała tylko sucho termin spotkania, a on się zgodził zaskoczony. Przez telefon wydała się odpychająca i niedostępna. Ze zmieszania nie uprzedził jej, że tego dnia wraca z Londynu, gdzie domykał ostatnie sprawy związane z przeprowadzką, sprzedawał auto, odbierał kaucję za mieszkanie. Nie dość, że samolot się spóźnił, bo na lotnisku Gatwick była jakaś awaria, to tutaj te korki... Adam spojrzął na zegarek. Było piętnaście minut po czasie, a co gorsza, rozłądował mu się telefon i nie miał jak przełożyć spotkania.

„Znów się skompromituję przed tą kobietą! Zaczyna mnie to męczyć!” – pomyślał z frustracją i jeszcze raz zatrąbił. Przez tylną szybę auta stojącego tuż przed nim zauważył obelżywy gest kierowcy. Przekłęte miasto! Może to znak? Może nie powinien był wracać do Polski? Może skorzystać z rady, którą rzucił w jego stronę facet z samochodu obok – nic nie było słyhać, ale z ruchu warg



Adam wyczytał: „Sp...laj”.

Tymczasem dwadzieścia kilometrów od wiaduktu, na którym utknęło auto Adama, w ogrodzie willi Jolancin Zuzanna z rosnącą irytacją spoglądała na ekran komórki. Czowała, że wściekłość podchodzi jej do gardła twardą kulą – rzadkie u niej doznanie. Bezcelność tego typu nie знаła granic. Najpierw potraktował ją jak obcą babę – na wspomnienie tamtego upokorzenia znów zachciało jej się płakać. Potem wykonał do niej idiotyczny, wesołkowaty telefon w typie: „Aaaa... my kiedyś tego, coś, nie?”, a teraz umówił się i nie raczył nawet pojawić. No tak, mógł jej nie pamiętać. Przecież to nie on kochał się w Zuzannie przez trzy lata, obserwował ją na korytarzach uczelni i w bibliotece. To, niestety, ona beznadziejnie i skrycie durzyła się w Adamie Przygodzkim. W tym żalonym lowelasie – jak co druga dziewczyna z jej roku! Słabo jej się robiło, gdy przypominała sobie rozmaite fantazje, które snuła na jego temat. Że jest nie tylko inteligentny, ale też prawy, ma szlachetną naturę, ale pogubił się w życiu. Gdyby jednak spotkał właściwą kobietę, to... No właśnie co? Co sobie wtedy roiła? A tak, już jej się przypominało: że przy właściwej kobiecie Adam przestałby się rozmieniać na drobne i uganiać za spódniczkami, okazałby się wspaniałym partnerem, kochankiem, a kiedyś – ojcem. Niestety, ich krótkie spotkanie zdawało się nie obudzić w nim żadnej głębszej refleksji. Co więcej: Zuzanna nie odegrała w jego życiu na tyle ważnej roli, by wykonał minimum wysiłku i zapisał ją w pamięci. Ona tymczasem przez lata nie mogła o nim zapomnieć. Często zastanawiała się, co by było, gdyby wydarzenia inaczej się potoczyły. Dlatego była na siebie tak strasznie wściekła. No i, oczywiście, też na Adama.

Telefon rozdzwonił się nagle, wyrывая ją z ponurych rozmyślań. Dźwięk był tak nie na miejscu w spowitym mgłą ogrodzie, że aż wypuściła aparat z dłoni.

– Halo? – burknęła w słuchawkę, gdy udało jej się wydobyć komórkę spod zeschniętych liści.

– To ja, mister Kozak! Może pani już iść! – zaryczał w słuchawce baryton jej szefa.

– Gdzie mam iść? Czekam w Jolancinie na... na naszego klienta czekam.

– No właśnie, pani już idzie. On się nie pojawi, dzwonił do mnie z jakiejś stacji benzynowej – wyjaśnił uprzejmie Kozak.

– Do pana dzwonił? Nie mógł zadzwonić do mnie? – Gniew Zuzanny powoli zamieniał się w zimną furię.

– A po co? – szczerze zadziwił się Kozak. – Pani jest tylko od projektu, pani jest podwykonawcą, nie ma najmniejszej potrzeby, żeby nasz priorytetowy klient się z panią kontaktował. I w ogóle, proszę ze mną nie dyskutować, pani mi jak zwykle zabiera cenny czas, proszę wracać na Jelenia i zająć się daliami, przyglądałem się bulwom, są prawie suche! Chyba mówiłem wyraźnie, że dziś ma je pani wysadzać do pojemników? Halo? Halo, ha...

Głos Kozaka urwał się nagle, gdy wzburzona Zuzanna rozłączyła się bez pożegnania.

– Nie ma potrzeby? Jestem podwykonawcą? Zabieram czas? – wycedziła, rozglądając się po zachwaszczonym ogrodzie.

Najchętniej zadzwoniłaby do Przygodzkiego i wygarnęła mu, co o nim myśli – szkoda, że zapomniała zapisać jego numer. Zresztą, prawda była taka, że i tak nic nie mogłaby mu powiedzieć. Bo straciłaby pracę. Bo... wtedy by się dowiedział, że był dla niej kimś ważnym, i jeszcze... Nie, nie, absolutnie, on nie może wiedzieć. Cisza, mogła, na wieki wieków.

Jej spojrzenie padło na stary głóg rosnący na prawo od tarasu.

„Głóg – znaczy trudności. A ta robinia, o, tam – symbolizuje skrywaną miłość. I dwie sosny na lewo, czyli...” – przyszło jej do głowy.

– Mam tego dosyć. Powiem mu, co o nim myślę. Powiem mu to wszystko tym ogrodem. Każdy krzaczek i drzewko będą mówiły. A on nigdy, przenigdy się nie zorientuje! – Uśmiechnęła się lekko, ubawiona własnym pomysłem.

Coraz bardziej jej się podobał. Nie wolno jej było powiedzieć Przygodzkiemu prawdy słowami. Ale od czegoż jest wiktoriański język roślin?

\* \* \*

Do Wielkanocy był jeszcze ponad tydzień, ale w willi Kurza Stopka przygotowania szły pełną parą. W wielkim aluminiowym garnku gotowały się jajka. Na blacie kuchennym stały już gotowe dwa mazurki: pomarańczowy i różany. Krystyna trzeci raz mielila mak, zapamiętała kręcąc korbką starej maszynki. Choć wszyscy, łącznie z Cecylią, przekonywali ją, że nie ma się co męczyć i lepiej po latach ciężkich prac fizycznych kupić sobie wreszcie dobry robot kuchenny, ona wiedziała swoje. Żaden automat nie umiałby tego przemielić porządnie! Mak był oczywiście niezbędny do kolejnego ze słynnych mazurków Cecylii. Wyniesione z rodzinnego domu przepisy były jej jedynym dziedzictwem i jedynym materialnym śladem po bajkowym świecie Wołynia, który istniał już tylko w jej sercu. No, czasem też trochę w kuchni przy ulicy Jeża. Cukiernik Grzybek nie raz i nie dwa nagabywał nestorkę rodu Czapliczów o jej receptury.

– Cecylko, pani musi mieć jakiś sekretny składnik!

– Panie Staszku, po prostu każda ręka smakuje inaczej! Widocznie moja odpowiada panu szczególnie. – Uśmiechała się zalotnie.

– Jestem pewien, że daje pani więcej masła!

Cecylia nie tłumaczyła cukiernikowi, że w jej mazurku masła jest tyle, co kot napłakał, a w mazurku różanym – drugim, który doprowadzał Grzybka do ekstazy – nie ma go wcale. Po co mu sprawiać przykrość. Za to każdego roku pan Stanisław dostawał solidną porcję wyrobów sygnowanych przez panie Czaplicz, wraz z kilkoma kolorowymi jajkami i niewielką flaszką nalewki pigwowej –

kolejnego rarytasu, którego nikt nie robił tak dobrze jak najstarsza mieszkanka Willi Kurza Stopka. Nie tylko cukiernik był obdarowywany wielkanocną wałówką. Podobne dostawali sąsiedzi i przyjaciele domu Czapliczów. Nic dziwnego, że prace kuchenne rozpoczynały się przed Niedzielą Palmową. Tak było i teraz. Krystyna mielila mak, a Cecylia ucierała jajka z cukrem na kogel-mogel. W przeciwieństwie do córki z zadowoleniem korzystała z cudu techniki, jakim był mikser. Zuzanna w całym tym procesie twórczym miała odrębne, odpowiedzialne zadanie: z myślą o wielkanocnych wypiekach przygotowywała kandyzowane fiołki i płatki róży damasceńskiej. Ta ostatnia porastała obficie tyły kościoła pod wezwaniem Świętych Aniołów Stróżów, a Fąfara nigdy nie miał nic przeciwko temu, żeby latem ogołocić krzaki z części kwiatów. Oczywiście, za obietnicę różanego mazurka w następnym roku. Upieczone przez matkę i babkę ciasta Zuzanna dekorowała więc jak na projektantkę ogrodów przystało: prawdziwymi kwiatami. Do niej należało również przygotowanie palmy wielkanocnej. A właściwie dwóch: jednej dla Cecylii, tak jak się to robiło u niej w domu, a drugiej skomponowanej – jakżeby inaczej – według wiktoriańskiej mowy roślin. Co roku jej kwietny przekaz był nieco inny, za każdym razem jednak starała się przywołać dobry los. Od dziecka uwielbiała tę świąteczną krzątanicę, choć spotkanie z Przygodzkim na tyle wybiło ją z równowagi, że nie miała siły obmyślać składu swojej palemki. Odłożyła to na później i zajęła się tym, co niezmiennie, czyli palmką dla Cecylii.

– Bacie już mamy, gałązki jałowca i trzcinę też, potrzebny mi jeszcze barwinek... – wyliczała, układając przed sobą zielone witki.

– A nie miała go przynieść Wiola? Ma obok domu cały dywan z barwinka – wtrąciła Krystyna.

– No właśnie, czemu jej nie ma? Chyba powinna dziś wpaść? Coś mi się wydaje, że nasza dziewczynka znów wpakowała się w tarapaty... – zaniepokoiła się Cecylia.

– Rzeczywiście, zamierzała przyjść, ale po pierwsze – zatrzymali ją na dłużej w pracy – wiadomo, ruch przedświąteczny. A po drugie – masz, Buniu, rację... – i Zuzanna pokrótce streściła ostatnie miłosne perypetie przyjaciółki.

Od czasów szkolnych trzy panie Czaplicz dzielnie sekundowały Wioli we wszystkich jej poczynaniach – i zawodowych, i sercowych. Jednak Wiola na swoją ulubioną powiernicę wybrała Cecylię, która z anielską cierpliwością wysłuchiwała jej zwierzeń, doradzała, podsuwała coś pysznego. Albo po prostu tuliła i pozwalała się wypłakać, czego dziewczynie w jej domu brakowało najbardziej. Wiola podziwiała Cecylię – uważała ją za najbardziej elegancką, serdeczną i mądrą osobę, jaką w życiu poznała. Chłoneła wszystkie opowieści starszej pani o ziołach, dawnych zwyczajach, uczyła się od niej robić magiczne lalki motanki. Chciała być taka jak ona. A ponieważ zupełnie nie mogła się przekonać do brydza – w którym Cecylia była mistrzynią, zainteresowała się stawianiem tarota. I teraz też, zamiast

siedzieć w kuchni razem z przyjaciółką i jej rodziną, pochylała się nad kartami, próbując z nich wyczytać jakąś pozytywną odmianę losu.

– Woląca zostać sama ze swoim złamanym sercem – powiedziała Zuzanna.

– Głupi pomysł. W samotności może i coś się da wyleczyć, ale zajmuje to znacznie więcej czasu. – Cecylia wyłączyła mikser i wytarła ręce w ściereczkę. – Dosyć mam już tego mielenia i miksowania. Wszystkiego i tak nie włożymy naraz do piekarnika, więc lepiej zajmę się pisankami.

– Ech, babciu – westchnęła Zuzanna. – Kiedy byliśmy małe, wszystko wydawało się dużo prostsze. Wystarczyło, że przytulisz albo dasz coś ładnego...

– Pamiętam, jak uszyłam Wiołce bluzkę na studniówkę – wtrąciła Krystyna, która poczuła się niesłusznie wykluczona z tego obiegu czułości. – Jej matka akurat wyładowała szpitalu, więc szłam przez pół nocy. A mama ją wyhaftowała w te swoje krzyżkowe ścieżki życia. Trzeba było zmienić kolory, może miałyby więcej szczęścia w miłości.

– Ty się, moja droga, nie wyśmiewaj, w starych wierzeniach zawsze tkwi ziarenko prawdy. A jeśli chodzi o haft – niestety, każdy musi użyć własnej kombinacji kolorów. Na tym to polega. Ja ozdobiłam bluzkę Wioli, żeby było ładniej. Ale gdyby haft miał mieć moc sprawczą, to powinna wszystko wyszyć sama, prawda? Skoro jednak mówiłyśmy o barwinku, to miałabym dla niej podpowiedź, jak zrobić z niego użytek...

– Matko Boska, mam nadzieję, że mama nie chce pchnąć tej sieroty na drogę przestępstwa! – Krystyna złapała się za głowę.

– Krysio, Krysio, barwinek nie jest trujący. Za to ładnie farbuje pisanki na zielono. No i w moich rodzinnych stronach zaklinaczki używały barwinka, żeby przywołać do siebie konkretną osobę. Wystarczyło ugotować kilka gałązek. Gdy woda z barwinkiem zaczynała wrzeć, w jej bulgotaniu rozlegało się imię tego człowieka. Chciał nie chciał, delikwent musiał wstać i iść, prosto w ramiona czarownicy. Czasem nawet unosił się w powietrzu...

– Babcia by mogła pisać scenariusze do gier komputerowych, na przykład do takiego *Wiedźmina* – wtrącił się do rozmowy Wojtek, który wyraźnie zgłodniał po treningu i przyszedł do kuchni sprawdzić, czy czegoś nie uda mu się zwędzić. – Same słodycze! Żadnego kotleta! A dziecko musi mieć siłę! – Popatrzył z wyrzutem na matkę, babkę i prababkę.

– Zaraz ci coś przygotuję. – Krystyna ruszyła ku lodówce.

– Coś podobnego? – zaśmiała się wesoło Cecylia. – Czyżbyś, Krysieńko, wzięła się za rozpieszczanie mojego prawnuka?

Krystyna rzuciła matce ponure spojrzenie i pewnie odpowiedziałaby na jej zaczepkę, jak to miała w zwyczaju, gdyby nie rozległ się dzwonek. Zuzanna zerwała się na równe nogi i pobiegła otworzyć. Po afroncie, jaki jej zrobił Przygodzki, nie miała siły na rodzinną awanturę i teraz liczyła, że niespodziewany

gość ostudzi bojowe nastroje matki i babki.

W progu stała Kazia. Od razu wparowała do środka, nie witając się z przyjaciółką.

– Już nie mogłam wytrzymać w tym domu! Proszę. – Położyła na stole gałązki barwinka. – To od Wioli. Byłam u niej po drodze.

– Moje Kochane dziewczynki. – Cecylia wyściskała Kazię i zmusiła, by przyjaciółka Zuzanny usiadła.

Nie było to łatwe, bo właścicielka księgarni Kubuś Puchatek była wyjątkowo zdenerwowana.

– No mówże wreszcie, co się stało! – nie wytrzymała Krystyna.

– Chodzi o moją Malwinę. Ma jakiś kryzys. Dosłownie z miesiąca na miesiąc z miłej, dobrej, słodkiej córeczki zmieniła się w dzikiego demona! Histerie, krzyki, zero porozumienia... Jakby ją coś opętało!

Najstarsza córka Kazi i jej męża Ludwika skończyła właśnie szesnaście lat i z dziewczynki przeistaczała się w kobietę. Ba, już wyglądała jak piękna młoda dama, co zadziwiało jej matkę i peszyło dość wycofanego ojca. Choć Kazia starała się ze wszystkich sił, by mąż był postrzegany jako głowa rodziny, prawda wyglądała inaczej. To ona w ich domu nosiła spodnie i do niej należało rozwiązywanie wszelkich problemów wychowawczych. Zwykle było więc tak, że wymyślała strategię, a Ludwik wypowiadał ostatnie, najważniejsze zdanie. To, które mu podpowiedziała. Niestety, mąż Kazi czuł się wobec dorastającej córki zbyt onieśmielony, by zrugać ją choć trochę. Tym bardziej że była podobna do matki jak dwie krople wody. Z jedną różnicą: przerosła ją o kilkanaście centymetrów.

– Wiecie, jak ciężko mówić: „Uspokój się, smarkulo” z głową zadartą do góry?! – Kazia wsadziła palec do miski z kogłem-mogłem i szybko go oblizała. – Ludwik nie miałby tego problemu, ale on powiedział, że „do kobiecych spraw mieszać się nie będzie”. Boże – jęknęła, oblizując palec po raz drugi. – Tego mi było trzeba...

– Jakże ja cię dobrze rozumiem – westchnęła Krystyna. – Nikt nie potrafi tak dopiec jak własne dziecko...

– Oj tak... – Cecylia łypnęła złośliwie na córkę. – Ale to normalne. Dojrzewa, i tyle!

– No dobrze, wiem, że dojrzewa, ale wycięła taki numer, że mnie po prostu zatkało!

Kazia znowu chciała włożyć rękę do miski, ale Zuzanna z dobrotliwym uśmiechem podała jej łyżeczkę.

– Czyli co zrobiła? – dopytywała się Krystyna.

– Otóż ona... wpięła sobie kolczyk w dziąsło nad zębami. Właściwie nie sama. Koleżanka jej to zrobiła. W szkolnej toalecie. Jak to koszmarnie wygląda!

– A jak musi boleć. – Zuzanna złapała się za usta.  
– Chybabym padła trupem, gdyby moje dziecko coś takiego zrobiło! – Krystyna była szczerze oburzona.

Na Cecylii jednak występki Malwiny jakoś nie zrobił wrażenia.

– No wiesz – powiedziała – myślałam, że to coś gorszego. W sumie to jej działło, prawda? Może ja ci dam spróbować ubiegłorocznej pigwówki, co? A potem weźmiemy się do malowania jajek.

– Jaki kolor przewodni wybieramy w tym roku, pani Cecylko? – Kazia wyraźnie się rozpogodziła.

– Czerwony! A słyszałaś, moja kochana, skąd wziął się zwyczaj malowania jajek?

Kazia oczywiście słyszała tysiąc razy, ale ponieważ opowieści Cecylii Czaplicz należały do wielkanocnego rytuału, więc zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

– Otóż wszystko zawdzięczamy Marii Magdalenie. Gdy rozpaczała przy Grobie Pańskim, pokazał jej się anioł i przekazał nowinę: Chrystus zmartwychwstał! Uradowana pobiegła do domu, patrzy... a tam wszystkie jej jajka zabarwiły się na czerwono! Rozdała je więc apostołom i znajomym, wraz z wiadomością o cudzie. A my, jak co roku, zrobimy tak samo! – zakończyła Cecylia.

– No i zdaje się, że tym razem będziecie mieć własne jajeczka. Właśnie, jak tam kura? – zaciekawiała się Kazia. – Słyszałam, że przejęłyście nad nią opiekę?

– A jakże – Krystyna wykorzystała okazję, żeby zamanifestować niezadowolenie. – Musiałam jej zmajstrować improwizowany kurniczek, bo przecież wyjadłaby mi wszystkie warzywa. Dostała też imię... zgadnij jakie!

– Czyżby znowu jakaś trująca roślina? – uśmiechnęła się lekko Kazia, zerkając na przyjaciółkę.

Zuzanna jednak błędziła myślami gdzie indziej.

– Tak jest! Mamy już Brezylkę i Lulka, teraz będzie Kulczyba Wronie Oko!

– Brzmi bardzo godnie – chichotała Kazia. – Mam nadzieję, że nie będzie znosić zatrutych jaj.

– Żebyż jeszcze to ptaszysko dostarczało nam jajka, to i ja bym ją zaakceptowała – narzekała Krystyna. – Ale odkąd tu mieszka, nie zniosła ani jednego, choćby malutkiego!

– To na pewno przez stres, mamó. – Zuzanna postanowiła wstawić się za kurą. – Zobaczysz, że wkrótce znowu zacnie się nieść, a wtedy będziesz szczęśliwa, że masz Kulczybę.

– Oby! – głos Krystyny wyrażał wątpliwość. – Bo nie zamierzam trzymać tu darmozjada! Kura musi zarobić na swoje utrzymanie!

Kazia śmiała się już na całe gardło.

– Jak to dobrze, że was mam – przyznała. – Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

– Na pewno nie miałabyś tak ładnych jajek do święconki – odpowiedziała Cecylia, wręczając Kazi jej świąteczny przydział.

\* \* \*

Tydzień później wszystkie cudne kolorowe pisanki trafiły do koszyka, razem ze słodką babeczką, kawałkiem swojskiej kiełbasy, solą, pieprzem oraz różowym konikiem pony. Różyczka, najmłodsza latorośl rodu Leszczyńskich, wcisnęła go zamiast cukrowego baranka, któremu wcześniej odgryzła główkę. Wszystko wydało się w kościele, gdy Kazia zdjęła serwetkę ze święconki. Od razu zauważyła podmianę. Zauważył ją również proboszcz, który uniósł brwi, a potem na jego twarzy odmalował się przedziwny grymas. Ci, którzy go nie znali, mogliby przypuszczać, że się rozgniewał i dlatego tak mocno zaciska usta. Jednak Kazia wiedziała, że August Fąfara z wszystkich sił próbuje powstrzymać wybuch śmiechu. Udało się, święcenie przebiegło bez skandalu.

Dla proboszcza był to tego dnia koniec jego oficjalnej posługi. Czekala go jeszcze część nieformalna, na którą szykował się w szopie przy domu parafialnym.

Sutanę zostawił w pokoju, założył natomiast podkute buty i czarną skórzaną kurtkę. Pochylił się nad motorem. Z niezadowoleniem stwierdził, że jest potwornie ubłocony...

– Cześć, Dziki – usłyszał za sobą.

Brzuchaty brodacz stał przy wejściu do szopy. W pierwszej chwili Fąfara go nie poznał, dopiero gdy tamten zdjął ciemne okulary, proboszcz rozłożył szeroko ramiona i ryknął:

– Gwidon, bracie, ileż to lat będzie... ze dwadzieścia?!

Gwidon zrobił jednak krok w tył i entuzjazm proboszcza trafił w próżnię.

– Przejeżdżałem obok i spotkałem ziomków z dawnego bractwa. Powiedzieli mi, że teraz tutaj urzędujesz. Nieźle się ustawileś. – Ruchem głowy wskazał na kościół i dom parafialny.

– Ano widzisz, tak to teraz ze mną jest. Odnalazłem powołanie i od ośmiu lat proboszczuję w Starej Leśnej. Zaraz jadę święcić pokarmy naszej motocyklowej braci. Co roku robimy taki prowizoryczny ołtarz w lesie – nie zmieściliby się wszyscy przed kościołem. Poza tym niektórzy są na bakier z Panem Bogiem, więc tak jest lepiej. Może do nas dołączysz?

– Nieee... to nie mój styl. – Gwidon nałożył z powrotem okulary. – Chciałem tylko sprawdzić, jak żyjesz.

– A co z tobą? Ułożyło ci się jakoś?

– To długa opowieść, na inną okazję. Zawsze mnie wiatr goni. Zastanawiałem się, czy... myślisz o niej czasem?

Fąfara położył gościowi rękę na ramieniu, chwilę milczał, a potem powiedział:

– Tak, czasem o niej myślę. Myślę też o moim ojcu i o twoich rodzicach, Gwidon. Uwielbiałem twojego tatę, te motory mamy przecież dzięki niemu. Odprawiam za nich wszystkich mszę, raz na parę tygodni.

– No to masz łatwiej. – Gwidon roześmiał się nieszczercze. – Zawsze radziłeś sobie w życiu lepiej niż ja. Na mnie już czas. Bywaj, Dziki!

I odjechał.

\* \* \*

Wkrótce na ulicy przed kościołem rozległ się charakterystyczny warkot motocykla Fąfary, który przejechał parę metrów i zatrzymał się przed cukiernią. Grzybek stał przy samochodzie dostawczym, w pełnej gotowości.

– No i gdzie te baranki, panie Staszku? – zapytał proboszcz.

– Ano cały tył mam nimi wyładowany!

– Jak to, cały tył?! To chyba są barany, nie baranki?! – zaniepokoił się Fąfara.

– No, tysiąc pięćdziesiąt cukrowych baranków zajmuje trochę miejsca – cukiernik był z siebie bardzo zadowolony.

– Tysiąc pięćdziesiąt?! A po cholere mi tysiąc pięćdziesiąt! – krzyknął przerażony proboszcz, a przechodząca obok pobożna dama z pieskiem spojrzała na niego wzrokiem pełnym potępienia i szybko się przeżegnała.

– Kazał wielebny... te baranki... żeby uniknąć wiecznego potępienia... – Grzybek okropnie się jękał i wyglądał tak żałośnie, że Fąfarze zrobiło się go żal.

– Pomyłka o jedno zero, sto pięćdziesiąt mówiłem. A z tym potępieniem to był żart. Litości, gdzież bym wygadywał takie bzdury! No, ale dobrze, nie będziemy się kłócić o dziewięćset cukrowych baranków. – Poklepał Grzybka po plecach, odrobinę za mocno, bo biedak zaniósł się kaszlem.

– Może uda się i z tego jakiś dobry uczynek wycisnąć, kto wie. Na razie niech mi pan da sto pięćdziesiąt, a po resztę zgłoszę się później – powiedział wielebny i gdy Grzybek spełnił jego prośbę, odjechał w stronę lasu.

Na polanie, przy skleconym z surowych desek ołtarzu, czekała na niego cała motocyklowa drużyna, której od wielu lat był kapelanem. Sześćdziesięciu pięciu chłopów i ich stalowe rumaki. Na widok Fąfary wszyscy uruchomili silniki. Ryk maszyn, choć trwał tylko chwilę, poderwał w górę chmurę ptaków, więc proboszcz pokazał gestem, aby zakończyli już powitanie.

– Niech będzie pochwalony! – krzyknął.

– Na wieki wieków! – odpowiedzieli motocykliści, a potem gruchnęli radosnym śmiechem, jakby powiedzieli coś bardzo wesołego.

– Najpierw poświęćmy te wasze wałówki – powiedział Fąfara – żebyście



trochę dobrego zanieśli swoi rodzinom i przyjaciółom.

Wyciągnął z sakwy miotełkę, kropielnicę i butelkę wody święconej.

– Nie będę wam dziś tu długo głądził, kazanie będzie krótkie. Chciałem wam powiedzieć jedną rzecz. Bóg jest dobry, nawet dla tych, którzy w niego nie wierzą. Wystarczy, że on wierzy we wszystkich. Kocha ludzi i ma poczucie humoru. I jak tak patrzę na ciebie, Kapral... – tu Fąfara zwrócił się do wytatuowanego motocyklisty, który trzymał w ogromnych łapskach maleńki słomiany koszyczek z koronkową serwetką, na której leżało obrane ze skorupki samotne jajeczko i nadgryziony kawałek chleba. – Jak tak na ciebie patrzę, to myślę, że Najwyższy ma teraz niezły ubaw, zerkając z góry. Nie krzyw się, stary. Bóg nie chowa urazy, to i ty nie chowaj. To też chciałem powiedzieć: wybaczajcie. Różnie w życiu bywa. Czasem ktoś wam zalezie za skórę albo wymusi pierwszeństwo. Albo zrobi coś naprawdę złego. Odpuście. Im dalej w las, tym wyraźniej to widzę: w życiu najważniejsza jest umiejętność przebaczenia. A jak sami coś przeskrobiecie – przeproście, zróbcie coś dobrego, żeby to jakoś ludziom i Bogu wynagrodzić. Ot, i cała życiowa filozofia, więcej nie trzeba. Tyle tego kazania. Amen. A teraz przyznać się, kto piratował w Wielki Piątek na drogach? No, ręka w górę? – spytał.

Podniósł się las ramion.

– No to ja wam to kolektywnie odpuszczam, ale trzeba będzie zrobić dobry uczynek. Zawieziecie cukrowe baranki do szpitala dziecięcego i domu samotnej matki. Pójdźcie za mną, bracia!

I tak oto ryczący orszak wielkanocny ruszył uliczkami Starej Leśnej, prosto pod cukiernię Stanisława Grzybka.

\* \* \*

W głębi duszy Robert Kozak musiał przyznać rację Moniczce: willa Jolancin to była ruina. Zupełnie też nie umiał sobie wyobrazić, jak z tych chaszczy ma powstać piękny ogród. Tym bardziej że projekt, który mu teraz pokazywała Zuzanna, wydał mu się... dziwny. Przekrzywił głowę to na prawo, to na lewo, ale jakoś nie robił się od tego mądrzejszy.

– Nie widzę tego. I po co pani tyle bazylii? Cały zagon bazylii, przecież to ma być ogród na przyjęcia pod chmurką, a nie jakaś biedadziałeczka babuleńki! Pani Zuzanno, myśmy się chyba nie zrozumieli! – Robert Kozak skrzywił się i gniewnie pacnął palcem w plan ogrodu, który trzymała przed nim Zuzanna.

– Też mam takie wrażenie. Bo, z tego, co sobie przypominam, obiecał mi pan podwyżkę od marca – odparła hardo.

Kozak westchnął ciężko. Świat naprawdę nie był przyjaznym miejscem, a te baby – to już w ogóle poszalały. Żaden przyzwoity mężczyzna ich nie zadowoli. Ta Czaplicz, jego Moniczka... Ech, szkoda gadać.

– Słowo Kozaka jest święte, pani mi tu nie zmienia tematu. Ta bazylia, hm...

No, może i jest w tym jakiś sens. Bogacz, przyjęcia, listki bazylii do drinków. Są jakieś drinki z bazylią? Dobra, pani mu to pokaże, w końcu nie mój cyrk, nie moje małpy. Jak chce, może mieć wszystko obsadzone kalafiorem, byleby zapłacił na czas. – Kozak wzruszył ramionami.

– Ale proszę spojrzeć, ogród jest do zrobienia od zera. Chłopcy z technikum mają praktykę w szkółce i nie mogą mi pomóc. Do tego to nie jest mój jedyny projekt. Muszę mieć jakieś wsparcie – grymasiła Zuzanna.

Kozak aż tupnął nogą ze złości. Podwyżka i jeszcze pomocnicy? W głowie się kobiecie nie przewracało. Już, już miał powiedzieć, że absolutnie, nie ma mowy, ale spojrzał na minę Zuzanny i jakoś mu się odechciało. Poza tym Przygodzki od dwóch dni poganiał go esemesami, że chce wreszcie zobaczyć projekt, a jeśli nie – pójdzie do konkurencji. Nie byłoby roztropnie rozsierdzić w takiej chwili jedyną kompetentną projektantkę w Kozak Gardens. A ostatnie wydarzenia – żądanie podwyżki, rozłączanie się w trakcie rozmowy, domaganie się pomocy – utwierdziły Kozaka w przekonaniu, że jego pracownica z jakiegoś powodu utraciła swoją legendarną stabilność emocjonalną.

– Kobieto, duchu marny... Te wasze hormony, „pijemesy”, menopauzy, się człowiek nie zorientuje nawet... – zamamrotał pod nosem.

– Słucham? Niech się pan liczy ze słowami, dobrze? Nie życzę sobie takich uwag – Zuzanna aż zadziwiła się swoim ostrym tonem. Miała wrażenie, że od czasu kłótni z matką wszystkie nerwy ma napięte jak struny. Wystarczył drobiazg i wybuchała.

– Dobrze, dobrze! Podjadę jutro na targ niewolników do Piaseczna i wezmę jakiegoś Ukraińca. No co pani tak na mnie patrzy? A, ta wasza poprawność polityczna. To moja wina, że tak się mówi? No, giełda pracy to jest, tylko dla obywateli zza naszej wschodniej granicy. Już, już, proszę się nie denerwować, proszę przygotować się ładnie na spotkanie z naszym klientem, żeby mu to pani wszystko ślicznie opowiedziała, o tej bazylii i w ogóle. – Kozak złapał teczkę, kluczyki do samochodu i wycofywał się rakiem w stronę drzwi tarasowych willi.

Zuzanna, zaskoczona tą rejteradą, nawet nie zdążyła zapytać szefa, kiedy konkretnie ma opowiedzieć Przygodzkiemu o projekcie. Zresztą właśnie zadzwonił telefon. Wojtek.

– Mamuś? Potrzebuję kaskę na opłacenie treningów. Zapomniałem ci powiedzieć, dziś muszę dać trenerowi. Podrzucisz mi? – odezwał się głos w słuchawce.

– Ale, synu, jak mam ci to teraz podrzucić, pracuję. Słuchaj, a gdzie ty właściwie jesteś?

– U Antka. Na Jaśminowej.

– No, to rzut beretem, podjedź do Jolancina na Czeremchy, dobrze? Chyba wykrobie parę groszy. – Zuzanna uśmiechnęła się.

Wróciła do wrywania karp nawłoci i wycinania dzikich jeżyn, które oplatały stary głóg koło tarasu. W jej planie nie było na nie miejsca. Nie minął kwadrans, a usłyszała skrzypienie kół na żwirowanej ścieżce. Wyszła na powitanie Wojtka i w tym momencie dostrzegła czarny samochód terenowy, wyłaniający się zza zakrętu. Zastygła z otwartym portfelem w dłoni.

– Hej, mama! – Wojtek rzucił rower na ścieżkę, prowadzącą do domu.

Terenówka Adama Przygodzkiego wtoczyła się powoli na podjazd.

– O, cześć, kolego! – ucieszył się Przygodzki, wysiadając z auta.

Wojtek rozpromienił się i skinął głową.

– Jaki „kolego”? Skąd znasz mojego syna? – zapytała Zuzanna, niemile zaskoczona.

– Przede wszystkim: dzień dobry. A ze sklepu się znamy. Choć oczywiście nie byliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Adam Przygodzki. – Mrugnął okiem do Wojtka.

– Wojtek Czaplicz. A jak się już tak oficjalnie poznaliśmy, to może będę mógł poprowadzić pana samochód? Wuj Ludwik czasem mi pozwala i...

– Wojtek! Przestań się narzucać! I w ogóle, co to znaczy, że wujek ci pozwala, chyba sobie poważnie porozmawiam z ciocią Kazią! Masz pieniądze i zmykaj, znów się spóźnisz na trening! – Zuzanna podała Wojtkowi zwinięty banknot i popychała go lekko w stronę roweru. – No już, już, zbieraj mi się stąd.

Wojtek spojrział na nią dziwnie i wskoczył na siodełko. Na pożegnanie rzucił tęskne spojrzenie czarnej terenówce.

– Fajny chłopak. Super jest mieć dzieci, zazdroścę. Ja, niestety, nie mogłem z żoną... – zaczął Adam.

– Tak, rozumiem – sztywno odparła Zuzanna i zaczęła rozwijać wielgachną płachtę papieru.

Ręce trochę jej się trzęsły, więc szło to dość opornie.

„Tak samo dziko się zachowuje jak przed laty. Jakbym jej coś zrobił. Obraziła się czy co? Głupio, przecież ja jej właściwie w ogóle nie znam!” – przebiegło przez głowę Adama Przygodzkiego.

Pomógł rozprostowywać plan ogrodu i w zamyśleniu przyglądał się kolorowym plamom.

– Do rzeczy. Nie chcę ci zabierać dużo czasu. – Zuzanna odzyskała rezon, znów mówiła spokojnym, opanowanym głosem. – Proponuję zostawić te cztery drzewa: głóg, robinie, dwie sosny po lewej. To pozostałość dawnego ogrodu Tomaszewskich. Sprawdziłam dokładnie, nie przetrwała żadna krzewinka, róża, nic z tego, co kiedyś sadzili. Z tarasu będzie można przejść pod pergolą do ławeczki na końcu ogrodu. Głóg obsadzimy pnącym wiciokrzewem, a na dole – pięciornikami. Potem poletko lebiodki kreteńskiej. Za robinie akacją planuję biały i fioletowy bez, a z przodu, piętrami: peonie, lepnice białą, serdecznik, lawendę, driakiew

gołębią i bazylię. Wiosną po prawej stronie trawnika będą zakwitały żółte tulipany, a jesienią ziemowity.

Przeszli w głąb ogrodu. Zuzanna potknęła się na starym korzeniu, a Adam podał jej ramię.

– Dziękuję. Na lewo od ścieżki mamy te stare sosny. Zamierzam zasadzić pod nimi hortensje, a bliżej ścieżki narcyzy, żółte lilie i bylicę piołun. Pod samą pergolą zaplanowałam ogród irysowy, z kwiatami w różnych odcieniach błękitu. Masz wszystko rozrysowane na planie. Mam nadzieję, że dobrze widać.

Adam kiwnął głową. Miał umysł techniczny i tak naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić tego, o czym mówiła Zuzanna. Było mu to zresztą obojętne.

– Tomaszewski przywoził dla swojej Jolanty róże aż z Paryża. Ja mojej Karolinie dam od razu gotowy ogród... – powiedział cicho.

– To może zasadzę jeszcze więcej bazylii – odparła Zuzanna.

„Bazylia od bazyliuszka, znaczy – nienawiść. Nie cierpię tego faceta, obsadzę mu wszystko bazylią od góry do dołu”.

– Chyba czytasz w moich myślach. Karolina tak lubi włoską kuchnię! – ucieszył się Adam.

Zuzanna milczała. Przyglądała się gałązkom robinii akacjowej. Porastały je grube, długie na trzy centymetry kolce. A pomiędzy nimi pękały już jasnozielone pąki. Przygodzki też spojrzął na drzewo. Zmarszczył nos.

– Dziwne jakieś... Ono nie jest chore? Tam na dole pnia wyrasta jakaś taka huba... Może to rak? Drzewo może mieć raka? – zapytał z niepokojem.

Zuzanna podeszła do robinii i pieśczośliwie dotknęła narośli wielkości piłki futbolowej.

– To nie jest rak, tylko czeczota. Bywa, że drzewo, nie wiadomo dlaczego, przestaje rosnąć prosto. Tkanki drewna skręcają się, zwijają ze sobą i powstaje właśnie czeczota. Bardzo cenny materiał. Robi się z niego chociażby deski rozdzielcze rolls-royce'ów.

Przygodzki spojrzął z powątpiewaniem na zdeformowany pień.

– Skoro tak mówisz... Choć ja bym to raczej wyciął. Niezbyt ładnie wygląda.

– Co, żonie się nie spodoba? Jak sobie życzysz. Wszystko można wyciąć w pień, tak najłatwiej. Ale wiesz, my też tak mamy. Czasem, nie wiedzieć czemu, nasze życie przestaje być proste, zaczyna więc się i szaleć... – Pogłaskała ciemną, popękaną korę.

– Mówisz tak, jakby te drzewa czuły i myślały jak ludzie...

– Bo tak jest. A i mówić potrafią.

– A co ta... czeczota mówi do mnie? – roześmiał się nieco nerwowo Adam.

– Może lepiej, że nie słyszysz – ucięła rozmowę Zuzanna, a Adam po raz kolejny pomyślał, że wyszedł przy niej na kompletnego barana.

Spojrzał na swoją towarzyszkę z uznaniem.

„Mam wrażenie, że moje życie właśnie zamienia się w czeczotę. Dobrze wiedzieć, że to nie błąd, tylko – przyszły rolls-royce. Oby, oby...” – pomyślał.

## IV

Minęła Wielkanoc i wiosna rozpanoszyła się na dobre. Zuzanna obserwowała przez okno nagłą eksplozję kolorów. Forsycje obsypane były żółtymi kwiatami, nieśmiało czerwieniły się pigwowce, z ziemi wyskoczyły szable irysów i bordowe piąstki piwonii. Wszystkie trzy budki lęgowe, sprytnie rozmieszczone w niewielkim ogródku willi Kurza Stopka (wlot każdej skierowany był na wschód, bo ptaki tak lubią) były już zajęte. W jednej mieszkały modraszki, w drugiej – bogatki, natomiast trzecią zaanektowała wyjątkowo hałaśliwa rodzina mazurków. Najchętniej wzięłyby w posiadanie wszystkie trzy lokale, jednak zjawiły się jako ostatnie i musiały zamieszkać w sąsiedztwie pogardzanych przez siebie sikorek. Mazurki lubiły występować gromadą i reszta tej gromady radośnie zasiedliła osiedle domków na drzewach, które rozwiesił na terenie swojej posesji Jacek Wtorek. Od niedawna odkrył w sobie pasję ornitologiczną i teraz z zapalem obserwował życie miłosne mieszkających w okolicy ptaków. Jego szczególny entuzjazm budziła jedna z rodzin sikorek, składająca się z trójki dorosłych.

– Ech, niech pani spojrzy... – rzucił do Zuzanny, która wyszła z domu, by zdjąć z gałęzi jabłoni pustą torebkę, jeszcze do niedawna pełną wełnianych kłaczków. Okazało się, że pomysł Cecylii nie był bez sensu – ptaki wykorzystały wszystkie ścinki, co do jednego.

– Niech pani spojrzy, nasi mali skrzydlaci bracia są mądrzejsi od ludzi. Profesor Tryk, wybitny znawca zachowań ptaków, mówił w audycji radiowej, że wśród sikor nie ma singli. Każde samotne ptaszę może dołączyć do rodziny najbliższej swego miejsca zamieszkania i tam spełnić się w roli rodzica. Przybranego, ale zawsze... A ja co? – powiedział z taką pretensją, że Zuzanna poczuła się w obowiązku coś mu zaoferować.

– Mógłby pan ewentualnie odrabiać matematykę z Wojtkiem – zaproponowała z nieśmiałą nadzieją.

Wtorek spojrział na nią z oburzeniem.

– Chodziło mi raczej o bliskość emocjonalną – powiedział lekko urażonym tonem, po czym odwrócił się na pięcie i powędrował do domu, pozostawiając Zuzannę, mazurki i patchworkowe rodziny sikorek samym sobie.

\* \* \*

Nie tylko Wtorek czuł się tej wiosny wyjątkowo samotny. Parę przecnic dalej było jeszcze jedno spragnione miłości serce. Biło dla Wiesława Koczocika. Codziennie czyjeś rozkochane oczy obserwowały jego zmagania z wielkimi i ciężkimi drzwiami apteki.

– Jaki to delikatny mężczyzna – szeptała czule właścicielka serca, ukryta bezpiecznie za kontuarem baru Pociąg do Pappardelle. Nazwa makaronu napisana

była wielką literą. Goście zakładu gastronomicznego, mieszczącego się na stacji kolejowej Stara Leśna Główna, byli często przekonani, że chodzi o nazwę miasta, i próbowali zlokalizować owo Pappardelle na mapie słonecznej Italii, która wisiała tuż przy wejściu. Tymczasem nazwa wzięła się stąd, że Irena Sławińska – bo to o jej sercu mowa – bufetowa i właścicielka w jednej pulchnej osobie, odczuwała nieodparty pociąg do wszelkiego rodzaju kluch. Były to, oczywiście, kluchy jej własnej roboty. Przepyszne, dodajmy, dlatego zakład prosperował doskonale i Sławińska mogłaby się uważać za kobietę sukcesu. Było tylko jedno „ale”. Brakowało jej odpowiedniego mężczyzny. Często więc, wałkując ciasto na makaron, spoglądała tęsknie w dal, a że dal ta kończyła się po przeciwnej stronie torów, gdzie stała apteka Wiesława Koczocika, więc siłą rzeczy całą swoją tęsknotę przelała na ten jeden, niezbyt rosły obiekt. Koczocik oczywiście o niczym nie miał pojęcia. I właśnie to było głównym zmartwieniem Sławińskiej.

„Gdyby tylko wiedział, z pewnością nie byłby tak obojętny!” – myślała.

Co gorsza, chłodna obojętność aptekarza obejmowała nie tylko osobę pani Ireny, ale także jej wyroby. Wiesław Koczocik uważał bowiem, że wszystko, co serwowane jest w Pociągu do Pappardelle, jest: a) niezdrowe, gdyż b) tuczące. Właścicielce lokalu nie udało się jak dotąd skusić aptekarza ogromną zniżką (osobiście udała się na drugą stronę torów, aby zaprosić opornego klienta) ani nawet tym, że wprowadziła do repertuaru makaron z mąki razowej. Jedynym odbiorcą tego dania okazał się ekolog Jacek Wtorek, niestety, jego niezbyt częste wizyty nie wystarczyły, by utrzymać potrawę w menu. Sławińska próbowała więc zwrócić na siebie uwagę w inny sposób. Podczas niedzielnej mszy stawała w pobliżu Koczocika, by móc mu przekazać znak pokoju. Śpiewała nieco głośniej, wkładając w to całe zbolące serce, marzyła, że śpiewa nie na chwałę Bożą, ale dla niego, dla Wiesława! To on był właściwym adresatem jej treli. Biedna, nie miała pojęcia, że jej działanie przynosi efekt przeciwny.

„Słodki Jezu, czemu ta baba się tak drze!” – myślał Wiesław Koczocik, który generalnie nie lubił zbyt mocnych bodźców, także akustycznych. Przed każdym niedzielnym spotkaniem Sławińska odwiedzała też salon U Dalili, by prezentować się odpowiednio atrakcyjnie. Pewnego dnia, gdy postanowiła wykonać trwałą ondulację, trafiła w ręce Wioli Migas. I jak to zwykle bywa między kobietami o złamanym sercach, od razu przypadły sobie do gustu. A gdy Wiola zdradziła Irenie, że jest obdarzona szóstym zmysłem i stawia tarota, właścicielka Pociągu do Pappardelle natychmiast postanowiła skorzystać z jej wróżbiarskich talentów.

– Pani Wiolu, musi mi pani doradzić, jak mam dotrzeć do tego Wiesława, jak go przekonać...

– Z największą radością, pani Irenko, proszę do mnie przyjść, kiedy tylko pani zechce.

Irena, oczywiście, postanowiła z tej oferty skorzystać od razu. Stała więc

przed drzwiami wejściowymi z cyfrą 3 i energicznie pukała.

– O! Pani Irena! – zdziwiła się nieco Wiola, gdy otworzyła po kilku chwilach. – Przepraszam, że musiała pani czekać, ale właśnie czatuję. Chyba spotkałam bratnią duszę, wie pani, taki uprzejmy i inteligentny mężczyzna, Jarosław ma na imię, ładnie, co nie, nie dalej jak wczoraj powiedział mi...

– Oj tak, pani Wiolu, ja właśnie w sprawie tej bratniej duszy i pani szóstego zmysłu. Rozumie pani, nie mam całego dnia, Pociąg mnie wzywa. – Przerwała jej Sławińska, która nie była aż tak zainteresowana cudzymi perypetiami miłosnymi.

– A, faktycznie... – zreflektowała się Wiola i gestem wskazała gościowi czerwony puf.

Na stoliku kawowym z palet leżała kolorowa talia kart. Sławińska, na polecenie Wioli, wymieszała je i trzykrotnie przełożyła lewą ręką w kierunku serca, myśląc obsesyjnie: „Koczocik, Koczocik... Zdradźcie, jak oczarować aptekarza”.

– Hm... Hm... – wymruczała przeciągle Wiola, bo miała wrażenie, że to dobry wstęp, który zjednuje jej szacunek odbiorców wróżb. – Hm. Diabeł.

– Kto? – przeraziła się Sławińska, która była pobożna, i coś jej się kołatało po głowie, że Kościół katolicki niezbyt przychylnym okiem patrzy na wróżby.

– Nikt, karta taka... To znaczy... Płaski racjonalista odpada, raczej tyran, tak, demon, emanujący niszczycielską siłą. O, kto by pomyślał, że w panu Koczociku drzemie prawdziwy macho – zachichotała Wiola. – Rycerz Kielichów może oznaczać głęboką melancholię, ale intuicja podpowiada mi, że chodzi raczej o perwersję seksualną. Tak, pani Ireno, karty mówią, że pan Koczocik tylko zgrywa takiego twardziela...

– A zgrywa? – zdziwiła się Sławińska, która uważała aptekarza za finezyjne chuchro.

– Proszę nie wchodzić kartom w słowo, bo przestanę mówić! Pani Ireno, pan Wiesław potrzebuje mocnej ręki! Widzę wyraźne potwierdzenie w odwróconej Dziewiątce Denarów. Musi być pani jak generał, jak dowódca, przydałyby się jakieś akcesoria militarne, mundur, broń, może choć czapka policjanta, karty twierdzą, że to obudzi żądze pani wybranka! – Wiola była w swoim żywiole, szeptała tajemniczo i przewracała oczami, żeby wywrzeć na rozmówczyni większe wrażenie.

Sławińska chrząknęła powątpiewająco, ale Wiola spiorunowała ją spojrzeniem.

– Nawet pani nie wie, ilu mężczyzn marzy o tym, by zdominowała ich silna kobieta. Oczywiście, może pani mi nie wierzyć, to jest – kartom, ja przecież przekazuję tylko ich słowa, ale proszę zauważyć, że taktyka, którą pani obrała, nie jest skuteczna, prawda? – zaszczębiotała wróżbitka i od razu zorientowała się, że trafiła w punkt.

Sławińska się zadumała. Koczocik nie wyglądał wprawdzie na



perwersyjnego i wyuzdanego demona seksu, ale kto to wie? Faktycznie, na jej uprzejme zaczepki reagował dość niechętnie. Może więc powinna zademonstrować mu swoje drugie oblicze? Wszak była silną kobietą, świadomą swoich kompetencji, zamożną, zaradną, dlaczego by nie podkreślić tego faktu, skoro taka strategia mogłaby przynieść efekt?

– No, pani Wiolu, ale jak ja mam to zrobić, to jest – jak zdominować pana Wiesława? – zapytała słabym głosem.

Wiola aż klasnęła z radości. Miała już gotowy plan metamorfozy właścicielki Pociągu do Pappardelle. Nowoczesny irokez w kolorze burgunda, wiśniowa szminka, no i koniecznie lakierowane kozaki do połowy uda.

Tymczasem Wiesław Koczocik, zupełnie nieświadomy przygotowywanej ofensywy, spokojnie dreptał sobie na brydżyka do Cecylii Czaplich.

„Jak ja lubię te nasze cotygodniowe rozgrywki! Ten element przewidywalności dobrze mi robi, no, byłoby lepiej, gdyby moją partnerką była pani Cecylka, nie proboszcz... Ale cóż, nie można mieć wszystkiego. A dla mnie najważniejszy jest święty spokój!”

Aptekarz nie wiedział, rzecz jasna, że jego święty spokój legnie w gruzach za trzy dni. Lateksowe kozaki na metalowej szpilce zostały już bowiem zakupione za pośrednictwem serwisu Allegro.pl i następnego dnia rano kurier miał je dostarczyć Irenie Sławińskiej.

\* \* \*

Zuzanna zajęła na podjazd willi Jolancin samochodem wyładowanym po brzegi pudłami.

– A co to, pani Zuzko! Sprowadza się tu pani? – zarechotał pan Henryk, kierownik budowy, wychodząc jej naprzeciw.

Chwilowo – ze względu na zaawansowane prace remontowe – jedyna droga do ogrodu prowadziła przez wnętrze willi i jej oranżerię.

– To rośliny – sapnęła Zuzanna, wyciągając pierwsze pudło z siedzenia pasażera.

– Rośliny? W kartonach? Składane czy jak? – zdumiał się kierownik budowy. Zuzanna uśmiechnęła się i otworzyła pokrywę jednego z pudeł. Było całe wypchane plastikowymi torebkami. W każdej z nich spoczywała beżowa cebulka zwieńczona koroną z równo przyciętych, seledynowych liści.

– Sadzonki. Do ogrodu irysowego. Dzisiaj chcę go skończyć. Wie pan, na lewo od ganku, po drugiej stronie rośnie ten stary głóg... – zaczęła tłumaczyć.

Pan Henryk machnął ręką na znak, że wcale go te botaniczne szczegóły nie obchodzą, i chwycił dwa pudła naraz. Zuzanna wzięła kolejne i ruszyli w głąb domu.

– Ten Kozak to strasznie w panią orze. No, każdy orze, jak może, ale pani to

się chyba nie powinna tak dawać. Sama w takim dużym ogrodzie? – zasmucił się nagle kierownik budowy.

Zuzanna westchnęła. No tak, faktycznie, czuła się bardzo zmęczona. Wprawdzie Robert Kozak obiecał, że zatrudni jej jakiegoś pomocnika, ale do tej pory tego nie zrobił, a indagowany przez Zuzannę machał tylko nerwowo rękami i krzyczał, że przecież się nie rozdzieli, że ludzi do pracy nie ma i każdy w Polsce to wie. „Zarabiać pięć tysięcy na rękę to każdy by chciał, a robić już nie ma komu!” – nakręcał się coraz bardziej i Zuzanna odpuszczała. Naprawdę nie lubiła awantur i nie potrafiła upierać się przy swoim.

Ale uwielbiała irysy – tęczowe dzieci bogini Iris. I cieszyła się, że dziś przez cały dzień będzie się nimi zajmowała. Na razie wszystkie wyglądały podobnie, ale już niedługo, w czerwcu, lipcu, będzie można podziwiać ich wyjątkowe kolory. Będzie Blushing Pink – chłodny lilaróż, War Chief – bordowy, a gdy zaświeci słońce, aż krwisty Black Dragon – tak fioletowy, że prawie czarny, i Acapulco Gold – w kolorze żółtka. Zuzanna wiedziała, że irysy bródkowe są potomkami jednych z najstarszych roślin na ziemi. Ich „bródki”, kępki pręcików na dolnym płątku, to lądowiska dla owadów zapylających. Pszczoła mogłaby zjechać po gładkim kwiecie – ale „bródka” pozwalała jej bezpiecznie wyhamować po locie i dostać się do samego serca rośliny...

Już widziała oczami wyobraźni tę piękną, kolorową rabatę, ten ogród irysowy, gdy nagle na ziemię sprowadziło ją... czyjeś chlipnięcie.

– Malwina? Co ty tu robisz? – zapytała zdumiona widokiem najstarszej córki swojej serdecznej przyjaciółki Kazi.

Malwina miała górną wargę lekko opuchniętą i Zuzannę aż ciarki przeszły na wspomnienie opowieści Kazi o przebijaniu dziąsła w toalecie i o kolczyku. Brrr!

Malwina miała jednak nie tylko wargę opuchniętą. Także oczy. Jasne było, że płakała, i to długo! Zuzannie momentalnie zmiękło serce. Bez słowa przygarnęła do siebie dziewczynę, konstatując jednocześnie z niezadowoleniem, że jest od niej niższa.

„Mój Boże, kiedy ona tak wyrosła... Pamiętam ją jeszcze w wózek, jak chodiliśmy z Kazią na spacer. Jak to się dzieje, że nasze dzieciaki tak szybko rosną, jakby żyły w jakimś innym, przyspieszonym czasie...” – pomyślała i zrobiło jej się żal.

Malwina to już panna. Zaraz jej Wojtek też dorośnie i... zostanie sama. Jak babcia. I matka.

– No już, już, już... Co się stało, kochanie? – odpędziła czarne myśli, głaszcząc Malwinę uspokajająco po plecach.

– Och, ciociu! Ja chyba muszę się wyprowadzić, już z nimi nie wytrzyyyymam! – Malwina rozszlochała się na nowo. – Mama ciągle się mnie czepia, a ojciec patrzy jak na kosmitkę! Nie mam się do kogo odezwać w całym

domu. Prosiłam, żeby chociaż kupili mi psa, to nie czułabym się taka samotna! A mama na to, że mogę się opiekować myszosczkami Różyczki. Myszosczkami! Przecież one nie myślą i nie można z nimi pójść pobiegać na wydmy!

– A czemu ty, Malwiśku, chciałabyś po tych wydmach biegać? – zastanowiła się Zuzanna, bo pierwszy raz słyszała, by najstarsza latorośl Leszczyńskich miała zamiłowanie do jakichkolwiek sportów.

– No... Ciocia nikomu nie mówi, dobrze? Ale Jaś trenuje biegi na wydmach i ja też bym chciała... – zaplątała się Malwina.

Zuzanna pacnęła się dłonią w czoło. No tak. Miłość! To przecież już ten wiek. Westchnęła ciężko. Dlaczego Malwina akurat do niej przyszła w tej sprawie? Jasne, była jej ukochaną ciotką. Ale niestety, nie ekspertem w sprawach sercowych.

– Rozumiem, Malwisiu... – powiedziała jednak, szperając po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki. – Jaś na pewno jest bardzo interesującym młodzieńcem, fajnie, że chcesz się z nim bliżej zapoznać. Ale pies to żywa istota... Chyba nie powinien być tylko pretekstem do zawarcia nowej znajomości?

Malwina pozwoliła sobie otrzeć oczy. Zuzanna kolejny raz tego dnia przeżyła szok, widząc, że na chusteczce zostały ślady tuszu.

– No tak. – Pociągnęła nosem. – Jak zwykle ma ciocia rację. Może ja sama zacznę biegać? Choć psa i tak chciałabym mieć. Ciocia miała jakieś zwierzęta?

Zuzanna się zamyśliła. Nie miała żadnych, oczywiście, bo Krystyna uważała, że zwierzęta w domu to brud i bakterie. Ale tak, marzyła – o kotku, piesku czy choćby kanarku. Raz przyniosła do domu szczeniaka chow-chow, rodowodowego. Wtedy to była rzadkość, oznaka luksusu i bogactwa właściciela. Pieska ofiarowała Zuzannie nauczycielka gry na pianinie. Nie miała przekonania do talentu uczennicy, ale święcie wierzyła w jej złote serce. Krystyna prawie dała się ubłagać, niestety – nocą szceniak zrobił siusiu na dywanie w saloniku pań Czaplicz. Zuzanna do dzisiaj pamięta wrzask Krystyny, gdy odkryła nieestetyczną, żółtą i cuchnącą plamę na wytartym afganie. Piesek, oczywiście, natychmiast został oddany z powrotem.

– Kiedyś na pewno będziesz miała psa. Zobacysz – powiedziała ciepło do Malwiny i cmoknęła ją w czoło.

Dziewczynka popatrzyła na nią z radosną nadzieją.

– Pani Zuzko, wychodzę, do widzenia się z panią! Klucz jak zwykle zostawiam w donicy po prawej stronie drzwi! – huknął jej nad uchem kierownik budowy, gdy pojawił się w ogrodzie cicho jak duch.

Zuzanna kiwnęła głową, zupełnie nie skupiając się na jego słowach. Wciąż pochłaniały ją obrazy i wspomnienia z dzieciństwa. Ale Malwina słuchała nader czujnie.

Klucz?

\* \* \*

Nienaoliwiony łańcuch przeraźliwie zgrzytał, ale Wiola Migas zupełnie się tym nie przejmowała i pedałowiała ile sił w nogach. Od wczesnego dzieciństwa, kiedy to życzliwy sąsiad podarował małej chudej, dziewczynce zdezelowany składak – bo wśród okolicznych dzieci tylko ona nie miała na czym jeździć – wiosna kojarzyła jej się z tym radosnym skrzypieniem.

„Rower to jest świat” – zanuciła w myśli i uśmiechnęła się, zerkając na migdałowiec obsypany różowymi kwiatkami.

– Dzień dobry, przyjacielu! – zawołała wesoło.

Skrecając w ulicę Jeża, zawsze witała się z tym starym migdałkiem, zapewne pamiętającym jeszcze czasy Jolanty i Olgierda Tomaszewskich. Każdego roku wydawało się, że krzak nie przetrwa kolejnej zimy. Połowa była uschnięta, ale żywa część kwitła jak szalona, wyrabiając normę za całość. Dzień, w którym zakwitła migdałowiec, oznaczał, że wiosna zagościła w Starej Leśnej na dobre i tylko patrzeć pierwszych naprawdę upalnych dni. Mieszkanki willi Kurza Stopka oraz przyjaciele ich domu traktowali wiekową roślinę jak członka rodziny, a Cecylia lubiła powtarzać, że tylko migdałowiec wie, co jest naprawdę ważne w życiu.

Wiola zeskoczyła z roweru, oparła go o płot i ruszyła w stronę drzwi. Nie zdążyła nawet położyć ręki na kołatce, gdy otworzyły się na oścież i stanęła w nich Cecylia Czaplicz.

– Cecylko, Buniu kochana, jak się cieszę, że panią zastałam! – zawołała Wioletta.

Cecylia – co było u niej absolutnie niezwykle – nie odpowiedziała na serdeczne powitanie, tylko w skupieniu wpatrywała się w ekran smartfona.

– Kup cebulę – wyartykułowała bardzo starannie. Zmarszczyła brwi, wysunęła dolną wargę – co było dowodem jej najwyższego skupienia. – Kup parawanik – powiedziała znów tajemniczo, nie przestając wgapić się w telefon. – Kup Seszele – dodała jeszcze, a potem skrzywiła się zniechęcona i wsunęła komórkę do kieszeni kwiecistego fartucha. – Witaj, moje dziecko, sprawdzam właśnie, jak działa to głosowe wysyłanie esemesów, ale jakoś mi nie wychodzi – zaczyna się na „ni” i „sz”. Cieszę się, że cię widzę. Nie dalej jak wczoraj mówiłam Zuzannie, że coś nas zaniedbujesz.

– Ach, Buniu, bo tyle się w ostatnich dniach wydarzyło, muszę ci wszystko opowiedzieć!

– No tak, Zuzanna też chodzi zakręcona. Odkąd przyjechał ten Przygodzki, ma mnóstwo pracy i jest jakaś taka nieobecna duchem. Chodź do środka, zrobię ci miętę z pokrzywą. I zostały mi jeszcze jedne konfitury gruszkowo-imbrowe z ubiegłego roku.

– Moje ulubione! – ucieszyła się Wiola.

– Schowałam specjalnie dla ciebie. – Cecylia objęła ją ramieniem i poprowadziła do kuchni.

Kuchnia w Kurzej Stopce była dla Wioli prawdziwym azylem w czasach jej poplątanego dzieciństwa, a i teraz przybiegała tu zawsze, gdy w życiu działo się coś ważnego. Zwykle siadała wtedy na „swoim” krześle pod oknem – tym samym, na którym usiadła trzydzieści lat temu, odwiedzając po raz pierwszy przyjaciółkę Zuzannę. Dokładnie tak samo jak wtedy Cecylia postawiła przed nią biały porcelanowy kubek z lekko przytartym rysunkiem maków i miseczkę z najlepszymi na świecie konfiturami. Wiola natychmiast wpakowała do ust całą łyżeczkę, a na jej twarzy odmalował się wyraz absolutnej błogości.

– No to mów – odezwała się Cecylia.

– Tym razem to jest coś wyjątkowego, Buniu. Czuję wyraźnie, każdym fragmentem ciała! – powiedziała uroczyście.

Cecylia szybko stłumiła chęć uniesienia oczu do nieba i załamania rąk. Obawiała się, że przyjaciółka wnuczki szykuje dla niej właśnie taką rewelację. Niestety, lata doświadczenia nauczyły ją, że ile razy Wiola spotykała kogoś wyjątkowego, to kończyło się to zupełnie niewyjątkową katastrofą emocjonalną. Z drugiej strony przecież nie można powiedzieć dziewczynie, żeby dała sobie spokój z całą tą miłością, bo wyraźnie nie ma do niej talentu. No skąd, czegoś takiego Cecylia nie powiedziała by nigdy w życiu. Przecież nie wiadomo, co się wydarzy, może trafi wreszcie na swoją drugą połówkę.

– Opowiadaj, kochanie – zachęciła więc Wiołę serdecznym tonem, błagając niebiosa, by nie był to kolejny absztyfikant z internetu czy tego, jak mu tam... Tindera.

– No więc tak... dwa dni temu wzięłam zastępstwo za moją koleżankę Magdę i cesałam jej klientki. I czeszę jedną taką panią, i patrzę, a przez szybę ktoś mi się przygląda. Ale jak! Aż mnie dreszcz przeszedł. Piękny był jak gwiazdor filmowy! Czarne włosy, czarne oczy...

– Duszę też ma pewnie smolistą – mruknęła Cecylia.

– No coś ty, Buniu! Właśnie oczy są zwierciadłem duszy, a te jego są najpiękniejsze na świecie. A jakie dłonie...

– A co te dłonie robią w życiu? – starsza pani postanowiła skierować zwierzenia w stronę konkretnego.

– Skończył technikum samochodowe i miał założyć własny zakład naprawczy z kolegą, ale niestety, w dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać... ten kolega go wyrolował i został bez grosza, i bez zakładu. Teraz jest na bezrobociu, ale chciałby się gdzieś zaczepić.

– Rozumiem go świetnie, najlepiej zaczepić się o jakąś miłą, ufną dziewczynę – mruknęła Cecylia, ale Wiola nie usłyszała cierpkiej nutki w jej głosie

i wzięła tę uwagę za dobrą monetę.

– Jak to się wszystko dobrze składa. To nie może być przypadek! Kawalerka obok mnie zwalnia się od początku maja. Jarek mógłby sobie tanio wynająć, a dopóki jej nie wynajmie – to rozłożę mu materac na podłodze w swojej kuchni.

– To ten zdradzony biedaczyna nie ma gdzie przenocować, tak? – Oj, nie podobało się to wszystko Cecylii.

– Bo żona wyrzuciła go z domu...

– No nie! – Cecylia wstała i gniewnie otrzepała fartuch. – Jeszcze i to! On ma żonę?

– Ma, ale to kwestia paru miesięcy. Musi tylko zebrać trochę pieniędzy, wiesz, jakie kosztowne są te rozwody. Ach, Buniu, żebyś ty wiedziała, jaki on jest piękny i czuły! Powiedział mi, że jestem utkana z wiatru i słońca i że nigdy nie spotkał takiej jasnej duszy...

– Dziewczyno kochana, na litość boską! Ile ty masz lat, żeby dawać wiarę takim tanim komplementom. I żeby oceniać ludzi po wyglądzie! Ekscytujesz się jak nastolatka! Przecież właśnie ładujesz się w kolejne kłopoty!

Najstarsza z pań Czaplicz zareagowała zupełnie inaczej, niż miała w zwyczaju, zwykle bowiem wstrzymywała się od ocen – zwłaszcza gdy chodziło o delikatną materię uczuć. Jednak tu nawet nie był potrzebny jej legendarny szósty zmysł, żeby stwierdzić, że te „przepiękne czarne oczy” napytają Wiolce biedy, a ona kochała przyjaciółkę Zuzanny jak własną wnuczkę...

Wiola zamilkła i posmutniała. Ta zmiana była tak gwałtowna, że Cecylii zrobiło się przykro.

– No już, nie chmurz się... Przecież nic nie mówię. Może to faktycznie złoto nie człowiek...

Fryzjerka uśmiechnęła się słabo.

– Zobaczmy. Mam nadzieję, ciągle jeszcze mam nadzieję... Powiedz mi, czy myślisz, że dlatego upieram się przy niewłaściwych facetach, że moja mama nie była w stanie odciąć się od ojca? Że nie umiała od niego odejść, chociaż nas bił i niszczył? Może ja nie umiem właściwie oceniać ludzi, bo wyssałam to z jej mlekiem? Może to wszystko jej wina?

Cecylia spojrzała na Wiolę zaskoczona. To była chyba pierwsza krytyczna uwaga pod adresem Adrianny Migas, jaką usłyszała z ust jej córki. Oczywiście, to, co mówiła, nie było pozbawione odrobiny sensu, jednak przez wszystkie lata, jakie minęły od śmierci matki, Wiola wyłącznie ją idealizowała i wielbiła. A teraz coś takiego?!

– Co ty mówisz, kochana... Nie chcę ci wypominać wieku, bo jesteś ode mnie prawie trzy razy młodsza, więc jednocześnie wypomniałabym go sobie, ale twoje dzieciństwo jest hen, hen, za mgłą... Jesteś dorosłą, silną, mądrą, dobrą kobietą. Nie musisz wracać do tego, co było dawno i do tego nie najlepsze. Nawet

jeśli faktycznie nie wszystkie decyzje twojej matki były słuszne, to przecież kochała cię najbardziej na świecie. Na tej jej miłości się skup. Na niczym innym nie warto. A za swoje życiowe wybory sama bierz odpowiedzialność.

– Widzisz, Buniu, czasem przychodzi mi do głowy, że gdybym się dawno temu zbuntowała, gdybym się odcięła od mamy, żyłoby mi się dziś lepiej.

– Jak miałaś się niby odciąć?

– Nie wiem... gdybym rzuciła wszystko, wyjechała od niej, gdzieś do innego miasta. Albo chociaż jej powiedziała to, co mnie tyle lat męczy!

Cecylia zamyśliła się głęboko. Przez chwilę obie milczały, wreszcie starsza pani Czaplicz podeszła do Wioli i mocno ją przytuliła.

– Mówię ci, jesteś piękna, mądra i silna. Zrobiłaś wszystko najlepiej, jak tylko się dało. Zachowałaś bliską więź z matką, umiałaś być ponad jej niedostatki i słabości. A teraz ciągle masz jej miłość – bo ona nigdy nie umiera – i możesz z niej czerpać do końca życia. Gdybyś zrobiła inaczej – mój Boże, znam cię! Zjadłyby cię wyrzuty sumienia.

– Myślę, że taka rola córki – odparła Wiola – mało kto potrafi inaczej...

– O, bardzo się mylisz! – Cecylia postawiła czajnik na gazie. – Nawet nie wiesz, jak wiele jest matek rozliczanych przez gniewne dzieci.

– Nie znam takich.

– Owszem, znasz... znałaś. Pamiętasz panią Olgę Sobczak?

– Zaraz, to chyba kucharka w naszym przedszkolu, prawda?

– Intendentka, ale mniejsza z tym. Lubiła się z wami bawić, zawsze z domu przynosiła wam kolorowe szerokie wstążki, bo uważała, że ładne dziewczynki powinny nosić duże kokardy we włosach.

– No jasne, oczywiście, że ją pamiętam! Nawet ją dosyć lubiłam, chociaż zdaje się, że byłam w tym odosobniona.

– To prawda, ona nie cieszyła się sympatią – ani w pracy, ani wśród sąsiadów – westchnęła Cecylia.

– Miała córkę? Nie wiedziałam, zawsze myślałam, że jest samotna.

– Miała, miała... Zaparzę nam jeszcze pokrzywy z miętą – nic tak dobrze nie robi jak zioła z własnego ogrodu. A potem ci opowiem, bo to bardzo ciekawa, choć smutna historia. Usiądziemy sobie na ganku, w słońcu, bo jak jest słońce, to wszystko lepiej wygląda.

I Cecylia zaczęła opowiadać.

\* \* \*

*Olga urodziła się niedaleko Wilna, w dużym bielonym wiejskim domu. Pochodziła z bogatej chłopskiej rodziny – ojciec był bardzo pracowity, ale surowy, jak to się wtedy mawiało. W praktyce polegało to na tym, że swoje córki lał równo, a i żona nieraz od niego oberwała. Kobiety chodziły więc jak w zegarku, żadna nie*

*odezwiała się niepytana, pracowały karnie i zachowywały się pobożnie. Wszystkie, z wyjątkiem Olgi. Była radosnym, kolorowym ptakiem – nie tylko na tle swojej rodziny, ale też całej społeczności. Uwielbiała tańczyć, stroić się i czasem tak ojca przekabaciła, że nie potrafił jej skarcić. Swoją żywością i urodą przyciągała chłopców – a szczególnie jeden wpadł jej w oko. Nazywał się Leon Sobczak. Niestety, nie było szans, by ojciec potraktował poważnie takiego kawalera – był zbyt biedny. Zresztą na prawdziwe konkury jeszcze był czas, bo Olga miała zaledwie piętnaście lat, a Leon był od niej niewiele starszy. Miłość jednak o metrykę nie pyta. Ta ich wybuchła pewnej wiosny z namiętą intensywnością, a jej owocem stał się wyraźnie zaokrąglony we wrześnie brzuszek Olgi. Ojciec, który był w stanie wybaczyć jej więcej niż innym latoroślom, tego jednego nie mógł, zdecydowanie. Zbił ją tak, że aż wióry poleciały, i wyrzucił z domu. Wsparcia nie dostała też od ukochanego, zapewne był za młody, za słaby, by umieć wziąć trudny los za rogi i pomóc swojej ślicznej, wesolej kochance. Zamieszkała w domu dla upadłych dziewcząt, prowadzonym przez zakonnice. Mała Urszulka przyszła na świat pół roku przed wybuchem wojny. Olga pracowała u sióstr, opiekując się córeczką, a także innymi dziećmi, których matki zdecydowały się zostawić je w sierocińcu. Tam też zastała ją informacja o powszechnej mobilizacji. Przestraszona dziewczyna wyjechała czym prędzej do rodzinnej wioski, żeby pożegnać się z Leosiem ruszającym na front. Wzięli szybki ślub, którego zgodził się młodym udzielić poczciwy wiejski proboszcz. Chłopak odjechał. Gdy Olga po paru dniach wróciła do zakonnicy, okazało się, że nie może tam dłużej zostać – albo zostawi córkę i odejdzie, albo zabierze ją ze sobą. Zdecydowała się na to drugie. Udało jej się ubłagać znajomą aptekarkową, żeby przygarnęła córeczkę na kilka miesięcy – póki ona nie stanie na nogi i nie znajdzie jakiejś pracy.*

*– Będiesz ją odwiedzać, a jak poukładasz swoje sprawy, to ją zabierzesz – zgodziła się życzliwa kobieta, która uwielbiała dzieci, a jej córki były już prawie dorosłe.*

*Olga wyjechała. Tułała się od miasteczka do miasteczka, trudno jednak powiedzieć, by intensywnie szukała pracy. Zapewne znów doszła do głosu jej młodość i beztroska natura, bardziej myślała o zabawie i o tym, że jest na świecie wiosna, lato, że mimo wojny można iść potańczyć. Czy tęskniła za dzieckiem? Oczywiście! Za Leonem? Szalenie! Ale w jednym człowieku mieści się naraz wiele rzeczy, a w niej mieściła się i miłość do ukochanych bliskich, i tęsknota za radosnym życiem. Któregoś dnia na jednej z potańcówek poderwał ją niemiecki żołnierz. Blondyn z niebieskimi oczami. Tańczyli, a potem rozmawiali uniwersalnym językiem pocałunków i pieszczot, w którym nie istnieją takie słowa jak: wróg, okupacja, strach. Oczywiście, nie było to ani szlachetne, ani*



*patriotyczne, jednak kiedy jest się młodą, śliczną i pełną energii, a także niezbyt mądrą dziewczyną, nie zawsze myśli się takimi kategoriami. Były pachnące, upalne dni, które chciało się zrywać jak dojrzałe czereśnie. To wszystko. Jakiś czas potem zatrzymało Olgę na ulicy dwóch mężczyzn, wciągnęli ją do bramy i ogolili głowę do skóry. Tak skończyła się jej wojenna beztroska. Więcej kolaboracji z wrogiem nie podejmowała, zatrudniła się w miejscowej ochronie, a po pół roku pojechała odebrać swoją Urszulkę od aptekarzowej. Niestety. Na miejscu okazało się, że wyprowadziła się w nieznaną, zabierając ze sobą dziewczynkę.*

*Minęła wojna. Leon wrócił ze stalagu. Nastąpiło połączenie kochanków, ale dawny żar ustąpił miejsca poczuciu rozżalenia. Życzliwi szybko donieśli Leonowi, jak w czasie jego niewoli zachowywała się Olga. Nie umiał tego udźwignąć, rozstali się. I chociaż nigdy się nie rozwiedli, a Olga do końca życia nosiła jego obrączkę, więcej już się nie zobaczyli. Przez kolejne dwadzieścia parę lat Olga szukała swojego dziecka. Przez polski, radziecki Czerwony Krzyż, przez jasnowidzów, prywatnych detektywów i znajomych ludzi. Wreszcie, po tych wszystkich latach, cudem absolutnym udało jej się zlokalizować córkę. Została lekarką, mieszkała we Wrocławiu, miała już dzieci. Gdy jednak dowiedziała się, że Olga chce nawiązać z nią kontakt – odmówiła. Oświadczyła, że nie chce znać kobiety, która ją porzuciła. Nagrodą za lata poszukiwań była mała fotografia, przedstawiająca młodą, ładną dziewczynę, podobną do Olgi jak dwie krople wody. Nosiła ją w portfelu jak najdroższą relikwię. Nie ułożyła sobie życia. Jak ponury cień ciągnęła się za nią historia przelotnego romansu z niemieckim żołnierzem. Zawsze znalazł się ktoś, kto wypomnił jej zdradę, nawet jeśli dokładnie już nie było wiadomo, na czym polegała. Nie lubili jej ani sąsiedzi, ani koledzy i koleżanki z pracy – a wybierała tylko posady przy dzieciach. W żłobku, stołówce szkolnej, przedszkolu. W całej Starej Leśnej, gdzie wreszcie osiedliła się na stałe, tylko ja miałam dla niej odrobinę serca. Polubiłam tę dziwną kobietę, bo obie wywodziłyśmy się ze świata, który już nie istniał. Czasem spotykałyśmy się na herbacie. I pewnie dlatego to właśnie mnie Olga Sobczak powierzyła przed śmiercią historię swojego życia, zamkniętą w niewielkiej plastikowej torebce: dokumenty świadczące o tym, że latami szukała swojego jedyne dziecko, zdjęcie dorosłej Urszuli, akt zgonu Leona i plik listów, które latami pisała do córki, a raczej do swojego marzenia o córce...*

\* \* \*

– O matko, zaraz sobie rozmażę tusz na rzęsach – chlipnęła Wiola, gdy Cecylia zakończyła opowieść o Oldze. – Co za dziewczyna bez serca, ta Urszula! Ja nigdy bym nie odrzuciła własnej matki!

– No więc sama widzisz! – Uśmiechnęła się Cecylia, zadowolona, że historia spełniła swoje terapeutyczne zadanie. – Tak sobie myślę, moja droga... – zaczęła, lecz nie dane jej było dokończyć, bo na ganku zjawiała się Krystyna. Taszczyła plażowy parawan i siatkę z cebulą.

– Te mamy zachcianki kiedyś mnie wykończą! – zawołała, rzucając zakupy u stóp nestorki rodu Czapliczów. – Nie mam pojęcia, po co mamie parawan.

Cecylia zrobiła taką minę, jaką czasem robią dzieci, gdy się je przyłapie na małej zbrodni. Za żadne skarby świata nie powiedziałyby teraz córce, że esemes o treści „kup parawan” – który najwyraźniej do niej dotarł – był tylko testem telefonu. Udanym, jak się okazało.

– A co z Seszalami? – zapytała słabo.

– No tu już mama stanowczo przesadziła. – Krystyna wydeła wargi i opadła na wiklinowy fotel. – Choć z drugiej strony, sama mam ochotę czmychnąć na Seszele albo inne Antyle.

– A to czemu? – zainteresowała się matka.

– Mam już dość waszej kury. Weszłam rano do ogródka, a ona wystartowała do mnie, jakby mnie chciała zadziobać. O, proszę, popatrzcie, podrapała mnie w łydkę! – I Krystyna wskazała na ledwie widoczny ślad na nodze. – Jajek toto nie znosi, ma mordercze zapędy i jakby tego było mało, dziś o świcie zaczęła wydawać z siebie jakieś dziwne dźwięki, ni to gdakanie, ni to skrzypienie. Oczywiście postawiła mnie na nogi, bo wyczyniała te swoje brewerie akurat pod moim oknem. Kto to słyszał, żeby kury piałły!

– Coś podobnego – zatroskała się Wiola. – Może Kulczyba podczas zderzenia z motocyklem doznała jakiegoś urazu i ochrypła?

– Nie mam pojęcia, ale powoli zaczynam się zgadzać z Fąfarą, że najlepszym rozwiązaniem byłby...

– Spokojnie, Krysiu – przerwała jej Cecylia – wiecie, dziewczynki, może nie od rzeczy byłoby skonsultować się jeszcze raz ze specjalistą. Kto wie, czy nasza kura nie pieje z bólu?

Sześćdziesięcioletnia „dziewczynka” w osobie Krystyny spojrzała na matkę ponuro, a potem przyniosła kontenerek Brezylki i wręczyła go Wioli.

– Ale łapać to podłe ptaszysko już będziesz sama. Nie zaryzykuję kolejnego zadrapania.

Wiola uśmiechnęła się i bez najmniejszego oporu ruszyła w stronę kurniczka, do którego wcześniej Krystyna zagnała nieszczęsną Kulczybę. Ta przechadzała się majestatycznie metr w prawo, metr w lewo, dumnie unosząc głowę i przystając co chwila. Na widok Wioli zatrzymała się, nadęła i wydała z siebie dźwięk – coś w stylu kokoko-ryku, jakby rzeczywiście chciała pisać jak kogut.

\* \* \*

Weterynarz Paweł Stasiński siedział pogrążony w czarnych myślach. Jego osiemnastoletni samochód, słynna „Błękitna strzała” – jak nazwała maszynę jedna z licznych dziewczyn, które nie zostały jego żoną – odmówił posłuszeństwa. Wóz był wiekowy, objechał nim pół świata i trzy powiaty, więc nic dziwnego, że tej wiosny mechanik wreszcie rozłożył ręce: bez remontu silnika się nie obejdzie. Tylko za co Stasiński miał ten remont zrobić? Za pieniądze zarobione na wyjmowaniu kleszczy i aplikowaniu tabletek na robaki? Gdyby został lekarzem, tak jak kiedyś marzył, ech... Niestety, dwa razy nie dostał się na medycynę i skończyło się na weterynarii, która nie generowała wystarczających zysków, by czterdziestoletni kawaler bez wsparcia rodziny i własnego mieszkania mógł sobie pozwolić na luksus w postaci remontu silnika samochodu. A w każdym razie nie w kwietniu, a i maj stawał pod znakiem zapytania. Snuł się więc po gabinecie, zastanawiając nad sensem swojej samotnej egzystencji. I wtedy usłyszał pukanie.

– Proszę – mruknął niechętnie.

– Dzień dobry! – W otwartych drzwiach stanęły uśmiechnięta od ucha do ucha Wioletta Migas i ponura jak gradowa chmura Krystyna Czaplicz. Niosły zielony kontener, w którym siedziało jakieś zwierzę. Stasiński w pierwszej chwili nie skojarzył, że już je widział z tym pojemnikiem.

– Co koteczкови dolega? – próbował nadać swojemu głosowi jak najprzyjemniejsze brzmienie, ale tylko zachrypiał. No tak, nie odzywał się do nikogo od poprzedniego dnia. Nie miał do kogo... Odkaslnął i powtórzył. – Na co cierpi kocina?

– Jaka kocina? – zdziwiła się Krystyna.

– No... – Stasiński wskazał na zielony pojemnik.

– Gdyby to był kot, przynajmniej łapałby myszy, a tak... Chodzi o tę kurę, którą pan doktor oglądał. – Środkowa pani Czaplicz machnęła ręką w kierunku pudełka.

Wioletta postawiła je na stole i otworzyła klapkę. Ze środka wyskoczyła Kulczyba. Przedreptała szybko do krawędzi blatu i wykonała dramatyczny skok na poręcz fotela. Tam na moment znieruchomiała, po czym po raz kolejny tego dnia wydała z siebie dźwięk. Niepodobny do niczego. Nie było to ani ko, ko, ko, ani kukuryku – coś zdecydowanie pomiędzy.

– No, to nawet nie musimy wiele opowiadać – podsumowała koncert kury Krystyna. – Sam doktor widzi, co tu się wyrabia. Ptak kompletnie oszalał.

– Rzeczywiście, dźwięki, które wydaje, są – hmmm – nietypowe dla kury – zgodził się Stasiński.

– I to nie koniec! – ciągnęła z zapalem środkowa pani Czaplicz. – Kura przestała się nieść – to raz. Atakuje wszystkich, którzy ośmielą się do niej zbliżyć – to dwa. No i daje koncerty o piątej rano!

– Bardzo ciekawe – mruknął weterynarz, ostrożnie zbliżając się do Kulczyby. Wyciągnął rękę, ale kura w jednej sekundzie nastroszyła pióra i dziobnęła go tak boleśnie, że szybko cofnął dłoń.

– A kiedy zauważyły panie zmianę u... Przepraszam, zapomniałem, jak się kurka nazywa?

– Kulczyba Wronie Oko – odpowiedziały chórem.

– A... oczywiście. Kiedy zaobserwowały panie tę zmianę u Wroniego tego no...

– Oka. Wszystko zaczęło się właśnie od tego wypadku – wyjaśniła Wiola. – Wcześniej była zwykłą kurą. Trochę bezczelną, ale poza tym standardową.

Stasińskiemu udało się wreszcie złapać ptaszysko za skrzydła. Włożył ją sobie pod lewą pachę i unieruchomił tak, że nie była w stanie go dziobnąć. Prawą ręką natomiast zaczął delikatnie gładzić kurze podbrzusze. Kulczyba wyglądała na zadowoloną.

– Bardzo ciekawe... – wymamrotał i ze skupieniem zaczął badać dla odmiany łebek kury. – Fascynujące!

– No niechże pan mówi, co jej dolega! – Krystyna nie wytrzymała napięcia.

– Drogie panie – Stasiński miał bardzo tajemniczą minę – za wcześniej jeszcze na diagnozę. Muszę uprzednio zasięgnąć konsultacji. Szczęśliwie mam kolegę, który jest wybitnym specjalistą od życia seksualnego kur. Filip Tryk, na pewno słyszały panie o nim, ma w radiu własną audycję o ptakach.

Na obu kobietach jednak nazwisko wybitnego specjalisty zrobiło mniejsze wrażenie niż to, co weterynarz powiedział chwilę wcześniej.

– Seksualnego?! – Krystyna aż przysiadła z wrażenia. – Chce pan powiedzieć, że ta pierzasta ladcznica coś ten, tego...

– Bez obaw, kura jest absolutnie niewinna. – Stasiński uśmiechnął się uspokajająco. – Wszystko paniom wyjaśnię, muszę jednak prosić, byście mi na kilka dni zostawiły Kulczybę. Oddam ją w stanie nienaruszonym, chciałbym jednak, aby zobaczył ją mój znakomity kolega.

– Myśli pan, że przyjedzie tu dla naszej kury? – zdziwiła się Wiola.

– Zapewniam panią, że tak! Dla ciekawego przypadku Filip Tryk gotów jest okrążyć kulę ziemską!

\* \* \*

Zuzanna starała się być bardzo delikatna. Z namaszczeniem wyjmowała bulwy spomiędzy trocin, sprawdzała lekko palcem, czy nie ustępują pod dotykiem – bo jeśli tak, to były martwe. Korzeń musi być jędrny i elastyczny, właśnie tak można rozpoznać zdrową peonię w stanie spoczynku. Dłońmi spulchniała glebę i wkładała do wcześniej wykopanych, płytkich dołków nagie bulwy.

– Rośnij zdrowa, kwitnij wiele lat, niech ci się dobrze wiedzie w nowym

domu – szepnęła do niewidocznej jeszcze pod ziemią roślinki, uklepując grunt naokoło sadzonki.

– No nie, twierdziłaś zdaje się, że rośliny mówią do nas, a wychodzi na to, że to ty do nich mówisz! Odpowiedzi jakoś nie słyszę – zakpił jakiś głos z tyłu. Zuzanna odwróciła się błyskawicznie, przestraszona. Poczowała, że policzki jej zapłonęły, i nie czuła się z tym komfortowo. Przywitała Adama Przygodzkiego lekkim skinieniem głowy. Zezłościła się na siebie. Jak to się działo, że za każdym razem, gdy go spotykała, zachowywała się sztywno jak fasolowa tyczka?

– Trzeba mówić do roślin. Lepiej wtedy rosną, wiesz? – szybko wróciła do sadzonek, starając się pokryć zakłopotanie.

– Ale co, wszystko jedno, co będę im mówił? Mogę recytować na przykład... kursy walut? – zainteresował się Adam i przyklęknął koło Zuzanny nad rabatą peoniową.

Odrobinę zbyt blisko. Poczował zapach jej włosów – trochę jak świeże kwiaty, wilgotna ziemia po deszczu i coś jeszcze, może lawenda? Odsunął się błyskawicznie, nim dotarło do niego, jak przyjemny jest ten zapach – i jak chętnie nadal by go chłonał.

– Jeśli znasz je na pamięć i będziesz wypowiadał słowa z odpowiednią czułością, to czemu nie? Rośliny nie znają języka ludzi, ale doskonale rozumieją intencje. Wiesz, że w latach sześćdziesiątych w Nowym Jorku wykonano eksperyment: podłączono dracenę do wykrywacza kłamstw. – Zuzanna starała się zagadać jakoś zmieszanie, bo zauważyła dziwne manewry Adama: najpierw nachylił się do niej, a potem nagle odsunął, jakby coś go zmierziło. – Elektrody reagują na czynność elektryczną na powierzchni skóry albo liścia, jak w wypadku draceny. Okazało się, że wystarczy stanąć koło rośliny z zapalniczką i pomyśleć, że chce się ją podpalić, by na wydruku z wariografu pojawiły się gwałtowne linie, sinusoidy, jak u przerażonego człowieka...

Przygodzki się zadumał.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Ale... nie wydaje mi się to dziwne. Pewnie wszystko, co żyje, ma uczucia, może nawet coś na kształt myśli. Nie trzeba do tego zapewne mózgu i centralnego układu nerwowego. Przeciwnie: czasem ci, którzy powinni odczuwać i okazywać emocje, są jak z kamienia. Albo lodu... – powiedział.

– Masz kogoś konkretnego na myśli? – zaciekała się Zuzanna.

– Nie wiem... Może moją matkę? Odkąd pamiętam, prześladowało mnie podejrzenie, że ona właściwie nic do mnie czuje – odparł Adam i sam się przestraszył, słysząc te zdania.

Co mu się stało? Nigdy w życiu nie określił tak otwarcie tego, co sądził o matce, nawet u terapeuty w Londynie, do którego zaciągnęła go Karolina, żeby „popracowali nad swoim związkiem”.

– Matka nie może nie kochać swojego dziecka, uwierz mi na słowo. Tylko czasem życie tak się gmatwa, że nie potrafi tego okazać... No i w ogóle niektórzy mają problem z wyrażaniem słowami tego, co im w duszy gra. – Zuzanna na chwilę przerwała sadzenie peonii.

Pomyślała o Krystynie, ale też o sobie. Ona także nie potrafiła mówić o tym, co czuje. Prawie co tydzień stawiała w pokoju Cecylii lub w kuchni nowy bukiet – wyznanie. Jej babka akurat doskonale rozumiała ten język, mowę kwiatów. „Bluszcz to wieczna miłość, róża – piękno, a mirt? Powiesz mi, co to znaczy?” – dopytywała wnuczkę.

– Dużo jeszcze tych dołków ci trzeba? – zapytał Przygodzki po chwili milczenia.

– Chyba nie będziesz mi pomagał, nie po to nam płacisz! – oburzyła się Zuzanna.

– Płacę, to wymagam. Jestem takim... rozkapryszonym bogaczem, który chce się rozluźnić, kopiąc doły w ziemi. Może Robert Kozak powinien wprowadzić taką usługę dla klientów, nie sądzisz?

– Tylko mu nie podsuwaj tego pomysłu! Rzeczywiście gotów przygotować specjalną ofertę „terapii ziemnej”, on na wszystkim potrafi zbić majątek! W sumie, jeśli chcesz, możesz mi pomóc. Kozak miał kogoś zatrudnić, ale jakoś się z tym nie spieszy, a roboty jest huk. Tam jest łopata, więc... obsłuż się! – Zuzanna uśmiechnęła się.

Przez chwilę pracowali w milczeniu. Z boku rabaty peoniowej Adam kopał głębokie doły pod trzy lilaki. Słońce przygrzewało, zrobiło mu się gorąco, zrzucił koszulę w kratę i został w samym podkoszulku. Jakie to było przyjemne! Dawno nie pracował fizycznie – wizyt na siłowni i basenie oczywiście w to nie wliczał. Fajne to było zajęcie: miarowo wbijać łopatę, a potem – ustawiać sadzonki tak, by jak najładniej prezentowały się od strony tarasu. Tu decydujące znaczenie miała opinia Zuzanny.

– A tam? Co tam będzie? – zapytał Adam, wskazując na przygotowaną pod zasadzenia grządkę z przodu, przed peoniami i bzami. – Na planie... o, już wiem, driakiew gołębia i bazylii! – ucieszył się.

Zuzanna spojrzała na niego trochę spode łba. Zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Zrezygnowałam z driakwi. I z bazylii też – powiedziała krótko. – Co powiesz na drobną zmianę? Może... maki? Te wschodnie są piękne, możemy wybrać odmianę w kolorze lila, czekoladowym, no i klasyczne, białe.

– Maki są OK. Ale czemu nie tamte roślinki, te z planu? Coś z nimi nie tak? – dopytywał się Adam.

– Nie zasługujesz na tyle bazylii – zaśmiała się Zuzanna.

Przygodzki nie zrozumiał tego żartu, chciał o coś zapytać, ale oboje usłyszeli

kroki dobiegające z wnętrza willi Jolancin.

– Hej, mamuś! O, dzień dobry... – szeroko uśmiechnął się Wojtek, wchodząc do ogrodu przez przeszklone drzwi oranżerii znajdującej się za salonem willi. Remont postępował szybko – efekty działań pana Henryka przynajmniej na pierwszy rzut oka zdawały się bardziej spektakularne niż efekty działań Zuzanny.

– A co tak wcześniej? – Spojrzała na syna lekko podejrzliwie.

– Eee... No, właśnie, mamuś, tylko się nie denerwuj! – zaczął Wojtek, bo już spostrzegł mieszaninę strachu i smutku na twarzy mamy. – Zajdlerowa... To jest pani Zajdler wysłała mnie i Antka do domu – wyrzucił z siebie Wojtek na jednym wydechu, nie patrząc w oczy matce.

– Co? Jak to? Znowu? Coś ty zbroił?! – Zuzannie wypadła z rąk ostatnia bulwa peonii, ale nawet na nią nie spojrzała.

– No, nic znowu takiego. Antek przyniósł do szkoły tarantulę swojego brata i włożyliśmy ją Zajdlerowej... To jest pani Zajdler do torby. Ale się przestraszyła! – Wojtek uśmiechnął się od ucha do ucha na wspomnienie przerażenia nauczycielki.

Przygodzki radośnie zarechotał. Zuzanna zgromiła go spojrzeniem.

– Za moich czasów nie było tarantul, żałuję. Ale na koloniach wpuściliśmy wychowawcy do łóżka trzy pająki ogrodowe, też się działo... Chłopaki muszą coś zrobić, wolisz, żeby mu palma odbiła, gdy będzie po czterdziestce? – Przygodzki poczuł się w obowiązku stanąć po stronie nowego kumpla.

Zuzanna aż pobladła. Ze złości? Adam nie miał pojęcia, ale ta reakcja trochę ostudziła jego zapał.

– No tak, niepotrzebnie się wtrącam, nie jestem ojcem, nie wiem, jak to jest... – próbował się wycofać.

Zuzanna popatrzyła na niego bez jednego słowa. Oczy jej pociemniały – przypomniał sobie, że już kiedyś widział tę reakcję, przed laty, kiedy po tamtej imprezie... Ale nie było czasu, by zagłębić się w te wspomnienia.

– Mamuś, ja bym się pouczył tej matmy, co? Może pan Adam mnie podwiezie do domu, skoro ty pracujesz? – Wojtek rzucił te słowa lekko i chyba faktycznie nie zauważył napięcia pomiędzy dorosłymi.

– Właśnie! I tak miałem już jechać. To żaden problem! – zapewnił Adam. Ucieszyło go, że uda mu się wymknąć pod pozorem odwiezienia Wojtka, sytuacja zagęściła się i nie miał pojęcia dlaczego.

– To super, że się zgadzasz! Mam coś przekazać Buni albo babci? – Wojtek cmoknął mamę w policzek, choć wcale nie wyglądało na to, że się zgodziła na cokolwiek.

– Nie... – odpowiedziała słabo, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale Wojtek już biegł w stronę drzwi oranżerii.

Przygodzki pożegnał się z nią zdawkowo, po chwili obaj znikli w ciemnym

wnętrzu domu, skąd dobiegały odgłosy wiercenia i piłowania.

A Zuzanna stała z opuszczonymi rękoma, bezradnie na środku rabaty, i wyglądała na bardzo zatroskaną.

Tego jednak Adam z Wojtkiem już nie widzieli, bo właśnie wyjeżdżali na wstecznym z podjazdu, wzbijając tumany kurzu. Wojtek mościł się radośnie w fotelu i rozglądał dookoła. Jeszcze nigdy nie jechał takim autem i perspektywa choćby pięciominutowej przejażdżki bardzo go cieszyła.

– Mieszkamy na Jeża... Poprowadzę pana – zaproponował.

– Prowadź, kolego! Ja tylko zadzwonię – powiedział wesoło Przygodzki i korzystając z zestawu głośnomówiącego, wybrał numer telefonu.

– Halo? Pan Adam, dzień dobry bardzo! – rozległ się zachwycony baryton Roberta Kozaka.

– Bardzo jak bardzo, panie Robercie. Byłem właśnie w Jolancinie i jestem niemile zaskoczony, że projektantka pracuje tam sama. Nie mówił pan coś o zespole? Ekipie pomocników? – zgasił entuzjazm szefa Kozak Gardens Przygodzki.

– No tak. Tak, oczywiście, ekipa. Już jutro będzie, zapewniam, jest pan dla nas... – Kozak szybko odzyskał rezon.

– No to świetnie. Do usłyszenia – uciął Adam i rozłączył się. – Na Jeża, powiadasz? W życiu nie słyszałem, żeby ktoś mieszkał pod tak ładnym adresem! A nie jest przypadkiem tak, że wiedzie na ulicę Jeża jakaś alternatywna do asfaltówki trasa, na przykład – przez wydmy morenowe?

Wojtka aż zatkało z zachwytu.

Następnego dnia, od rana do wieczora, mówił tylko o tej wyprawie.

\* \* \*

Czerwony sportowy kabriolet zaparkował trzy numery dalej, w cieniu rozłożystego świerka. Widok stąd był znakomity.

To musiał być ten dom. Z ulicy – nawet niczego sobie, styl dworkowy, lata dwudzieste. Miał swój urok, prowincjonalny, ale zawsze. Prace remontowe wyglądały na dość zaawansowane. Można było dostrzec nowe pokrycie z dachówki ceramicznej i stolarkę okienną, drewnianą, ze szprosami – pewnie robioną na zamówienie.

Na podjeździe stał czarny samochód terenowy. Nowy, ale bardzo podobny do tego, którym Adam jeździł w Londynie. To jego zamiłowanie do udawania ranczera i włóczykija było naprawdę śmieszne! Trzeba go będzie oduczyć tych fanaberii.

Obok stał jakiś granatowy trup. Dobre ćwierć wieku temu było to pewnie ekskluzywne volvo – zadziwiające, że w tym kraju dopuszczają do ruchu takie przerdzewiałe puszki. Pewnie auto jakiegoś hydraulika albo dekarza. A może



kogoś od ogrodów? Chyba tak, bo obok stały donice z sadzonkami i jakieś worki z ziemią.

Drzwi wejściowe otworzyły się nagle i na podjazd wybiegły dwie osoby. On przystojny jak zawsze, postawny i jakiś taki... zrelaksowany? Zadowolony? Ona przysadzista, nieciekawa. Uśmiechała się do niego i przekomarzała, próbując podnieść najcięższą z donic, a on nie pozwalał, chwilę szarpali się o sadzonkę jakiegoś krzewu o jasnozielonych listkach, on wygrał, złapał donicę, jeszcze dwie dodatkowe, zabawnie udawał, że się ugina pod ich ciężarem. Ona rzuciła się, żeby mu pomagać, a wtedy zaczął uciekać z roślinami do wnętrza domu. Ona, zaśmiewając się, ruszyła za nim.

– Ach, więc to tak... – powiedziała zimnym, ale dźwięcznym głosem.

Właścicielka owego głosu w geście bezradności uderzyła pięścią w kierownicę, syknęła, rozprostowała dłoń i zlustrowała krwistoczerwone, owalne paznokcie. Lakier Diora trzymał się świetnie, ani jednego odprysku.

– Nieładnie się bawimy. Ale to się zaraz skończy! – uspokoiła sama siebie, a uruchomiony silnik zamruczał miękko jak rozespany kocur.

Czerwony kabriolet ruszył jak torpeda i przez nikogo niezauważony przemknął przed frontem willi Jolancin.

Oj, nie był to dobry dzień dla Roberta Kozaka, choć dopiero się zaczął. Źle spał tej nocy. Najpierw coś darło się w krzakach tak, że dwa razy wyskakiwał na trawnik przed domem. A że nie udało się tego zrobić po cichu, za każdym razem budził Moniczkę. Jak można się domyślić, nie była zadowolona.

– Nie jesteś jeszcze taki stary, chyba nie masz problemów z prostatą? – zaniepokoiła się.

– No co ty? Jak możesz, skarbie? To nie o prostatę chodzi, tylko o tego psychopatycznego słowika, który się wydziera po nocy.

– Może jest głodny, już dałbyś spokój... Kładź się do łóżka!

Jednak wzburzony właściciel firmy Kozak Gardens nie zamierzał się poddać. Po raz wtóry wsunął klapki i wybiegł do ogrodu, uzbrojony w najnowszy model myśliwskiego karabinka. Tego już jego połowica nie mogła zdzierżyć. Popędziła za nim w różowym peniuarku i objechała z góry na dół.

– Idioto! Zabijesz kota sąsiadów i będziemy musieli płacić odszkodowanie. Co o nas ludzie pomyślą? Proszę natychmiast zdać mi broń! – powiedziała głosem nieznośnym sprzeciwu i Kozak bez wahania spełnił jej rozkaz.

Omal nie zasalutował.

Poczucie klęski towarzyszyło mu i teraz, gdy niewyspany i nieogolony, o nieludzko wczesnej godzinie stał w garażu i przyglądał się swoim samochodom. Po lewej stała Mirella, jego ukochana srebrna limuzyna, w której prezentował się jak bohater gangsterskiego filmu, co mile łechtało jego męskie ego. Zdecydowanie gorzej wyglądał, zasiadłszy za kierownicą wysłużonego dostawczaka, który stał po drugiej stronie. Przez moment Kozak rozważał, czy aby nie wsiąść do Mirelli, zdecydowały jednak względy praktyczne.

– Uwali mi siedzenie – mruknął.

Wybierał się bowiem do Piaseczna, gdzie zamierzał zaangażować pomocnika dla Zuzanny. Droga minęła szybko, pomimo że zajmowały go raczej smutne rozmyślenia. Jego małżeństwo przeżywało kryzys, nie było co owijać w bawełnę. Nie rozumiał, dlaczego Moniczka, która w pierwszych latach ich znajomości ochoczo manifestowała ciepłe uczucia i nazywała go swoim „Mysiem-Pysiem”, od jakiegoś czasu zaczęła spoglądać na męża z mieszanką rozczarowania i pogardy. Gdy przywołał dalekie wspomnienie jej wielkich niebieskich oczu wpatrzonych w niego jak w obraz, wpadł w gniew.

„Co jest, do cholery! Przecież dałem jej wszystko – dom, samochód, basen na stelażu i oczko wodne! A ona co mi dała? Nic! Nawet Onufrego nie mam, a lata lecą! Komu przekażę dziedzictwo naszego rodu!”

Kozakowi z żalości prawie zaszklily się oczy. Na szczęście w tym momencie dotarł na skrzyżowanie Jana Pawła II i Dworcowej. Już z daleka było widać grupki

ludzi stojących po dwóch stronach ulicy. Kozak próbował zgadnąć, po której stronie stoją Polacy, a po której Ukraińcy. Jedni i drudzy wyglądali tak samo smutno. Uwagę Roberta przykuł młody chłopak o wyjątkowo szerokich ramionach. Miał szczerą, niemal dziecięcą twarz i jasne spojrzenie. Kozak podjechał do niego i spuścił do połowy szybę.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście – odparł młody.

– Pozwolenie na pracę jest?

– Jeszcze nie. – Chłopak wyraźnie się zmartwił.

„Świetnie, nie trzeba mu będzie dużo płacić” – pomyślał Kozak, a potem rzucił:

– Wsiadaj!

Twarz chłopca w jednej chwili rozjaśniła się w uśmiechu. Przybił piątkę stojącym obok kompanom i wskoczył do dostawczaka.

– Moje nazwisko Jary, Jurko Jary. Jaka piękna ta Polska! – chłopak mówił prawie idealną polszczyzną, odrobinę tylko zaciągając.

Kozak jednak milczał ponuro. Niezrażony tym Jurko z zapalem nawijał dalej:

– Mój tatko jest filozofem, wielkim wielbicielem Tatarkiewicza. W domu mieliśmy wszystkie jego dzieła.

Kozak się zadumał. Jakiego znowu Tatarkiewicza? O Chopinie słyszał, o Sobieskim słyszał...

„Ten Tatarkiewicz to musi być coś taniego, bo nie mam tego w barku” – pomyślał.

– Dobra, dobra – rzucił tylko i puścił muzykę. Z głośników popłynęły pierwsze dźwięki popularnego utworu dance.

Jurko lekko się stropił. Postanowił jednak wziąć na siebie trud podtrzymywania rozmowy z przyszłym pracodawcą.

– Moja mama jest chemikiem – oznajmił. – Robiła habilitację z estryfikacji.

Kozak łypnął na niego w taki sposób, że Jurko poczuł się w obowiązku doprecyzować.

– Estryfikacja to reakcja między kwasami a alkoholami.

Te słowa już coś Kozakowi mówiły, więc uśmiechnął się porozumiewawczo i wypalił:

– Tak, tak, ciekawe, co matuleńka pędzi na tym kwasie... Ja wiem, że u was, za wschodnią granicą, to po kielichu każdy jest filozof.

Jurko zamilkł. Tym razem on nie zrozumiał. Jednak zgodnie ze swoją pogodną naturą nie przejął się tym specjalnie i pomyślał, że w nowym miejscu znajdzie lepszych partnerów do rozmowy.

\* \* \*

Wyglądało jednak na to, że się przeliczył.

– Tu będziesz spał. – Właściciel firmy Kozak Gardens otworzył drzwi do niewielkiego pomieszczenia przylegającego do magazynu, w którym trzymał rośliny.

We wnętrzu panował niewiarygodny zaduch. Nawet przy maksimum dobrej woli trudno było to coś nazwać pokojem. Przede wszystkim brakowało okna. Na podłodze, pospiesznie i niezbyt starannie zamiecionej, leżał dmuchany materac, na nim stary koc w kratę. Jego poprzedni użytkownik musiał palić przed snem, bo na jednym z brzegów widać było charakterystyczną dziurę od papierosa. Jeśli nie liczyć tego obskurnego legowiska, ciemna klitka była pusta. Przestraszony Jurko cofnął się o krok.

– Aaa łazienka? – spytał słabym głosem.

– No tak, łazienka... – widać było, że pytanie zbiło Kozaka z tropu. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że jego pracownik musi od czasu do czasu zrobić siusiu i się umyć. Szybko jednak odzyskał rezon i rzucił butnie: – Łazienka jest w biurze firmy. Tylko spuszczaś po sobie wodę!

Zaraz jednak pożałował tych słów, bo na twarzy chłopaka odmalowała się przykrość tak wielka, że poruszyłaby nawet kamień. Właściciel firmy Kozak Gardens skonstatował, że w okolicy jego serca pojawiło się jakieś obce, niezbyt miłe uczucie.

– To tymczasowe lokum – mruknął. – Na razie nie mam nic lepszego.

Uśmiech natychmiast wrócił na oblicze Jurka. Świat znowu był pięknym, przyjaznym miejscem. Oczywiście, nikt mu nie każe mieszkać w norze bez okna i łazienki, co za absurdalny pomysł! Na pewno chodzi o jedną, najwyżej dwie noce. Rozejrzał się uważnie dookoła.

– Jak pan chce, to mogę to odmalować... – zaproponował.

– Tym możesz się zająć w wolnym czasie, najważniejszy jest ogród klienta. Jutro poznasz Zuzannę, naszą projektantkę. Ona cię we wszystko wprowadzi, a tymczasem... – Kozak chciał jak najszybciej odejść, jednak Jurko zatrzymał go gestem. – Co jeszcze? – rzucił opryskliwie, nie patrząc na chłopaka.

– Niech się pan nie gniewa, ale... jestem głodny. Miałem tylko pieniądze na podróż.

– Czyś ty się z choinki urwał, chłopie?! Myślisz, że będę twoją niańką? Mam cię jeszcze karmić? Przyjechałeś tu na wczasy czy co?!

Jurko zwiesił głowę, widać było, że ta rozmowa jest dla niego czymś niewyobrażalnie trudnym.

„Patrzy zupełnie jak ten głupi pies” – przemknęło przez myśl Kozakowi.

Miał tego powyżej uszu. Odwrócił się na pięcie i zaczął iść w stronę domu. Przez okno salonu zobaczył Moniczkę. Ciągle jeszcze było dość wcześnie, więc

pani Kozakowa dopiero wstała i przechadzała się po pokoju z filiżanką kawy w ręku.

„Ależ ona jest piękna... o co jej chodzi, do diabła?! Co jej się we mnie nie podoba?! – posępne poranne rozmyślenia wróciły do niego jak stado natrętnych komarów i zaczęły kąsać najdelikatniejsze zakamarki jego duszy. – Co się takiego zmieniło?!” – zastanawiał się z rosnącym smutkiem i nagle, wiedziony jakimś impulsem, odwrócił się w stronę magazynu.

Jurko stał na progu i patrzył na niego żałośnie.

– Przyjdź potem do kuchni, coś ci tam damy, przecież nie pozwolę ci paść z głodu! – krzyknął, przyjmując na moment wielkopańską pozę. – Tylko nie myśl, że tak będzie codziennie! – dodał prędko na widok uśmiechniętej gęby chłopaka.

„A może ofiaruję jej jakiś prezent?” – przyszło Kozakowi nagle na myśl.

Tak, pewnie o to chodzi, trzeba jej sprawić przyjemność! Na początku ich związku obsypywał ją podarunkami, przynosił czekoladki, gerbery i goździki... Tylko co by tu wybrać? Biżuterię? Oczywiście, była łasa na błyskotki, ale miała już tyle tego kolorowego gruzu... Sama ostatnio stwierdziła, że czasem zaskakują ją klipsy i pierścionki leżące na dnie szkatułki, bo zdążyła o nich zapomnieć. Tak, to musi być coś innego, bardziej osobistego, wyjątkowego. Coś, co będzie jej przypominać, że mąż ją kocha i jej pożąda, i że jest dla niego najważniejsza w życiu.

„Czy ona przypadkiem nie mówiła ostatnio, że o czymś marzy?”. – Kozak wysilił komórki mózgowie, próbując sobie przypomnieć, o czym też jego połowica tak marzyła.

Zaraz, kiedy to było? Siedzieli przed telewizorem, oglądali jakiś program... Co to było? Chyba coś o rolnictwie?! Tak! Tak jest! To był program o hodowli i Moniczka ni z tego, ni z owego powiedziała, że marzy o tym, żeby mieć świnkę miniaturkę!

„Słodzusi różowy ryjek” – roztkliwiła się i wydeła wyszminkowane usteczka w kierunku ekranu.

– Robercie, ty geniuszu!?! – palnął się w czoło. – Jak mogłeś wcześniej na to nie wpaść? No jasne! Trzeba babie skołować miniaturowego warchlaka!

Po czym pędem ruszył do domu, na chwilę zapominając o nowym pracowniku i jego niezbyt komfortowym lokum.

\* \* \*

Kolejne godziny spędził, wertując strony internetu w poszukiwaniu mikroświnek. Znalazł całkiem sporo ofert. Kierując się jednak wpojona mu przez ojca – w czasach komuny czołowego producenta goździków i gerber – zasadą, która brzmiała: „nie wolno przepłacać”, porównywał opcje i szukał tej najkorzystniejszej. Czyli najtańszej. A tanio nie było, o nie! Prosiak ceną

dorównywał rasowym kotom i psom. To, szczerze mówiąc, osłabiło nieco zapach właściciela firmy Kozak Gardens. Wreszcie, gdy dotarł już w najdalsze zakamarki sieci, wyszukiwarka wypluła krótkie, lakoniczne ogłoszenie: „Mikroświnki tanio sprzedam”. I numer telefonu. Wybrał, choć bez przekonania. Po trzech dzwonek usłyszał zaspiane i niezbyt przyjazne „halo”.

– Ja w sprawie mikroświnek – przeszedł od razu do rzeczy.

– A tak – głos po drugiej stronie wyraźnie się ożywił. – Mam, mam na sprzedaż, mikroświnki wysokogatunkowe!

– Ile pan chce za sztukę? – dopytywał.

– Taaanio, cztery stowy – rzucił rozmówca.

Ta odpowiedź zdecydowanie przypadła do gustu Kozakowi, postanowił więc kuć żelazo póki gorące.

– A gdzie można je nabyć?

– A skąd pan szanowny będzie jechał?

– A ze Starej Leśnej.

– No to się doskonale składa, właściwie jesteście sąsiadami – głos brzmiał tak, jakby za moment miał zaproponować Kozakowi przejście na „ty”. Podał adres. Nie było to całkiem po sąsiedzku – 40 kilometrów to jednak trochę dalszy rzut beretem, ale Robert Kozak nie kaprysił. Szczęście Moniczki, a w konsekwencji i jego, warte było tej dodatkowej godziny za kółkiem. Wyobrażał sobie chwilę, gdy poda jej śliczne łąciate prosiątko z różową kokardą, a ona, zachwycona, przytuli najpierw zwierzaka, a potem i jego, tak spragnionego czułego dotyku. Kiedy więc wczesnym popołudniem dotarł do Nowej Pułapiny, czuł się tak, jakby szykował się na pierwszą randkę, od której wszystko zależy. Właścicielem hodowli mikroświnek okazał się mężczyzna mniej więcej w wieku Roberta, aczkolwiek ze śladami pewnego zmęczenia na obliczu.

– Co? Główka boli? – zarechotał Kozak, mrugając porozumiewawczo, a tamten wykonał grymas, który można było od biedy interpretować jako próbę naciągnięcia uśmiechu na szarawą twarz.

– Chodź pan, pokażę panu zwierzęta – powiedział, kierując się na tył domu, gdzie w niewielkim boksie baraszkowały prosiaki. Brudne jak nieboskie stworzenia.

– Myślałem, że będą łąciate – zmartwił się Kozak. – I... czy one nie powinny być mniejsze?

– Panie, to są mikroświnki pierwszego gatunku, nic dziwnego, że są większe niż przeciętne osobniki. To championy! Po medalowcach!

– No... doskonale, doskonale. – Kozak właściwie był zadowolony, że za nieco mniejsze pieniądze dostanie odrobinę więcej. Szybko wybrał zwierzaka. Hodowca włożył go do zardzewiałej drucianej klatki, za którą właściciel Kozak Gardens musiał dopłacić ekstra, ale co tam – pomyślał – czego się nie robi dla

miłości? Jak szaleć, to szaleć.

– Będę cię musiał umyć – mruknął do prosiaka, idąc do samochodu. – Przecież nie dam mojej bogini takiej uwalanej świni!

Gdy więc dotarł do domu, nie wjechał do garażu, tylko zaparkował przed posesją, żeby Moniczka zbyt wcześnie go nie zauważyła. Wziął klatkę z mikroświnką i poszedł na tył budynku gospodarczego, gdzie znajdował się pięknie rzeźbiony zlew ogrodowy. Niewiele myśląc, wyciągnął prosiaczka z klatki i władował do zlewu. Puścił wodę. Niestety, najwyraźniej poszła uszczelka, bo lodowaty strumień prysnął mu prosto w nos.

– Szlag! – Odruchowo cofnął się i wypuścił świnkę, która tylko na to czekała. Wyskoczyła ze zlewu i zaczęła uciekać. – Cholera jasna – syknął właściciel firmy Kozak Gardens i ruszył pędem za kwiczącym nieborakiem.

\* \* \*

W tym samym czasie Moniczka siedziała przy stole w salonie i przeglądała ulubiony magazyn. Poprzedniego dnia dała z siebie wszystko na siłowni i teraz uważała, że ma pełne prawo do porcji relaksu i wysokokalorycznej przyjemności. Ta przyjemność przybrała akurat formę eklerek, które kupiła, wracając z treningu, w cukierni Stanisława Grzybka. Już, już miała włożyć do ust ten cud z czekolady, śmietany i masła, gdy jej uwagę przykuło coś, co działo się za oknem. Jej, pożał się Boże, mąż, Robert Kozak, pędził na oślep po rozmokłej od wiosennego deszczu ziemi, a przed nim kłusowało... o właśnie, co takiego?!

– To wygląda jak prosiak! – zadziwiła się Moniczka i odłożyła ciastko na talerzyk.

Musiała przyjrzeć się zjawisku z bliska. Podeszła do drzwi tarasowych i otworzyła je na oścież. Dokładnie w momencie, gdy jej ślubny wyłożył się jak długi na mokrej trawie, a przerażony prosiak wskoczył do boksu Azy. Moniczka podbiegła do Roberta.

– I co ty, idioto, znowu wymyśliłeś?! Nie dosyć ci nocnych polowań na słowiki?! Czemu ścigasz to nieszczęsne zwierzę, sadysto? Co to w ogóle jest za stworzenie?

– Kochanie – ubłocony i poplamiony trawą Kozak uniósł się na kolana i złożył przed sobą ręce jak do modlitwy – kochanie, to wszystko dla ciebie. Pamiętam, że marzyłaś o małym słodkim prosiaczku... Chciałem ci zrobić niespodziankę i...

Moniczka przyglądała się uważnie prosiakowi, który czuł się w boksie Azy jak u siebie w domu. Wyjadał suce z miski resztki kaszy z mięsem i radośnie pokwikiwał.

– No nie wiem, nie wiem... – powiedziała z powątpiewaniem. – A gdzie my go będziemy trzymać?!

– Czytałem, że mikroświnki można trzymać w mieszkaniu. – Kozak nie tracił nadziei na korzystny dla siebie obrót sytuacji.

– Myślę, że to nie jest zły pomysł. – Moniczka odważnie weszła do boksu Azy i podniosła do góry prosiątko. – Zrobimy jej legowisko w naszej sypialni. Trzeba pomyśleć jeszcze, jak ją nazwać...

– To twój pieszczoszek, ty wybierzesz mu imię. – Kozak podszedł do żony i objął ją ramieniem.

O dziwo, nie odtrąciła jego ręki.

– Co powiesz na Onufrego? – rzuciła lekko, a widząc pełne pretensji spojrzenie męża, wybuchła wesołym śmiechem, odwróciła się na pięcie i pobiegła domu, niosąc prosiaka w ramionach.

\* \* \*

Cecylia siedziała na ganku willi Kurza Stopka, a przed nią, na niewielkim rattanowym stoliczku, piętrzył się stos kolorowych ścinków materiału. Najstarsza z pań Czaplicz uformowała z białego gałganka głowę i ręce, a potem przepasała laleczkę kawałkiem czerwonego kretonu w kropki. Włożyła jeszcze do środka kilka bukowych orzeszków.

– Żebyś odganiała pioruny – szepnęła do motanki i z zadowoleniem przyjrzała się laleczce.

Zrobiła ją na zamówienie matki proboszcza Fąfary, która kilka dni temu przyjechała z wizytą na plebanię. Starsza pani uznała, że jej syn ma stanowczo za dużo pracy, i postanowiła temu zaradzić, a motanka miała cudowną zdolność przejmowania części obowiązków swojego właściciela. Cecylia zachichotała, wyobrażając sobie minę duchownego, gdy zobaczy magiczny przedmiot pogańskiego kultu w swojej kuchni.

Przymknęła oczy i głęboko odetchnęła. Uwielbiała zapach kwitnącego głogu, a lada moment dołączyć miały do niego bzy. Zbliżała się jej ulubiona pora roku, która przenosiła ją w myślach do krainy dzieciństwa, pierwszej miłości i chwil, gdy czuła się najszczęśliwsza na świecie. Oczywiście i teraz była szczęśliwa, ale było to już zupełnie inne uczucie. Z podszytych melancholią rozmyślań wyrwał ją hałas silnika.

– Coś podobnego! – krzyknęła na widok czarnego terenowego samochodu i roześmianej twarzy prawnuka, który... siedział za kierownicą. Auto zakrzusiło się gwałtownie i zgasło, a siedzący na fotelu pasażera otworzył drzwi i powitał nestorkę rodu Czapliczów.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, ale chłopak ma prawdziwą smykałkę do samochodów. Będzie z niego kierowca pierwsza klasa! Ale może niech pani nie wspomina o tym wydarzeniu Zuzannie, zdenerwowałyby się niepotrzebnie...



– A o czym mam jej nie wspominać? Starsi ludzie mają krótką pamięć! – Cecylia mrugnęła porozumiewawczo do Przygodzkiego. – Po poprzedniej waszej wspólnej eskapadzie Wojtek przez parę dni nie mówił o niczym innym, panie... – tu zawiesiła głos, przyglądając mu się badawczo.

– O, przepraszam! – Przybysz się stropił. – Nie przedstawiłem się. Adam Przygodzki. – Pochylił się ku wyciągniętej w jego stronę upierścienionej dłoni.

Przez moment jakby się zawahał, tak silne wrażenie zrobił na nim kolor paznokci starszej pani.

– Zielone. Na wiosnę. – Uśmiechnęła się zalotnie. – Niech pan wejdzie. Zrobię panu napar z płatków róży i hibiskusa. Na dobry humor! A ty, Wojtku, biegnij do Antka i zanieś mu zeszyty, dzwonił pół godziny temu.

– O rany, faktycznie, jest chory, a ja mam mu przynieść lekcje. Zostanie pan tu trochę? Ja szybko wrócę...

– Nie chciałbym przeszkadzać... – Adam zamierzał się wycofać, ale w tym momencie napotkał pełne nadziei spojrzenie Wojtka. – Ale w sumie! Dobry humor zawsze się przyda – powiedział prędko i przekroczył próg Kurzej Stopki. – O matko jedyna! – wyrwało mu się na widok obfitości przedmiotów.

Nad drzwiami wisiały wielkanocne palmy. W stojaku na parasole zatknięto kolekcję miotełek z kolorowych piór – rzadko ich używano, ale zdaniem Cecylii ładnie wyglądały. Na parapecie okna, naprzeciwko wejścia, stała ogromna stara klatka, w której mieszkał chomik Lulek, ulubieniec Wojtka. Na niej, na posłaniu z wełnianego szala, mościła się kotka Brezylka. Wszędzie pełno było książek, bukietów, egzotycznie wyglądających roślin doniczkowych i bibelotów z porcelany. W powietrzu unosił się zapach drożdżowego ciasta.

Adam, syn lekarzy, wychowywał się w warunkach higienicznego minimalizmu. Była to też stylistyka bliska jego żonie. I teraz, wobec nadmiaru bodźców, czuł się oszołomiony. Stanął w progu, wodząc wzrokiem na prawo i lewo, aż Cecylia chwyciła go za łokieć i poprowadziła w kierunku kuchennego stołu.

– Bardzo byłam ciekawa nowego zleceniodawcy mojej wnuczki! W Starej Leśnej opowiada się już o panu legendy!

– Tak? – zaciekawiał się Adam. – A co takiego opowiadają?

– Że milioner, fabrykant z Warszawy, mąż hrabianki...

Przygodzki zaśmiał się gorzko.

– Czegóż to ludzie nie wymyślą! Milionów nie miał nawet mój teść, a po rozwodzie nie będę już fabrykantem. Moja hrabianka znalazła sobie innego królewicza – westchnął.

– W takim razie dobrze, że pan zawitał w nasze strony. Stara Leśna to idealne miejsce, żeby zacząć wszystko od początku, a ja wiem o tym najlepiej. Przyjechałam tu z jednym kuferkim pełnym porcelany. Była w nim, o! ta filizanka

– powiedziała, stawiając przed Przygodzkim kruche naczynko wypełnione parującym, karminowym płynem.

– Ależ pięknie pachnie! – zachwycił się jej gość.

– To zapach róży damasceńskiej. Przegania złe myśli i napełnia serce otuchą.

– Cecylia uśmiechnęła się. – A ten rozwód to już pewna sprawa? – spytała po chwili milczenia.

– Raczej tak, niestety.

– Bardzo żałuję... – Cecylia delikatnie położyła swoją drobną, ciepłą dłoń na jego ramieniu.

– Nie wiem, czy jest czego żałować. Chyba nie byliśmy najlepszym małżeństwem. Dopiero teraz zaczynam widzieć, że mamy zupełnie inne priorytety.

Cecylia spojrzała na niego pytająco i dołąła mu wonnego napoju.

– Dla mnie zawsze ważna była rodzina. Chciałem mieć dzieci, dom. A Karolina uwielbia przeprowadzki, wystawy, przyjęcia, no i nigdy nie zrezygnowałaby ze swojego menedżerskiego stanowiska w firmie farmaceutycznej – rozgadał się Adam.

Rozejrzał się jeszcze raz po kuchni i ze zdziwieniem skonstatował, że taki lekki rozgardiasz jest nawet przyjemny. Czuł się tu zadziwiająco dobrze, jakby po długiej podróży trafił do swojej przystani.

Cecylia zaczęła kroić ciasto i rozłożyła je na trzech talerzykach. Zdyszany Wojtek wpadł do kuchni. Pod pachą taszczył gitarę pożyczoną od Antoniego.

– Dobrze, że pan nie poszedł! Chciałbym panu zagrać kawałek, który wymyśliliśmy z chłopakami.

Adam poczuł, że robi mu się ciepło wokół serca. Przypomniał sobie swoją pierwszą punkową kapelę, którą założyli z kolegami w piwnicy. Musiał to ukrywać przed rodzicami, którzy chcieli, by koncentrował się wyłącznie na nauce i sporcie. Spodobała mu się otwartość Wojtka. Najwyraźniej Zuzanna była inną matką niż rodzicielka.

„Chyba fajnie jest wyrastać w takim domu” – pomyślał.

– No, to prowadź, szefie! – rzucił do Wojtka i po chwili obaj zniknęli na schodach, odprowadzani wzrokiem Cecylii.

Starszej pani przyszło do głowy, że szybko połączyła ich nić porozumienia. Znała Wojtka i wiedziała, że bywa nieufny w stosunku do mężczyzn.

– Hm, to bardzo ciekawe... – powiedziała do siebie i uśmiechnęła się zagadkowo.

\* \* \*

Zuzannie najpierw odjęło mowę, a potem, zapominając o tym, że stoi przed własnym przełożonym, ryknęła na całe gardło:

– Na litość boską! Pozwolił pan, żeby chłopak spędził noc w tej śmierdzącej

dziurze?! Jeśli jeszcze dziś nie przeniesie go pan do przyzwoitego pokoju, to... to... doniosę na pana na policję!

Kozak zmieszał się, ale tylko na moment.

– Co pani dziś taka wybuchowa, Zuzanno, pewnie to te... no, hormony! – Puścił oko w kierunku Jurka, który postanowił na razie się nie odzywać.

– Zabieram cię, dzieciaku, do siebie, dostaniesz coś do jedzenia, a potem pojedziemy do Jolancina, pokażę ci ogród. Pan Kozak będzie miał czas, żeby zorganizować coś lepszego – powiedziała już nieco spokojniej, wskazując ręką na zaparkowane volvo.

Jurko łypnął niepewnie na swojego pracodawcę, jakby zastanawiał się, kogo w tej sytuacji powinien słuchać. Kozak jednak poparł Zuzannę, tyle że we własnym stylu.

– No, rusz się, młody, mówiłem ci już, nie przyjechałeś tu na wczasy!

Młody więc ruszył się, tym bardziej że wizja ciepłego posiłku, którą roztoczyła przed nim projektantka ogrodów, była więcej niż kusząca.

– Nie przejmuj się panem Kozakiem – powiedziała. – Gdyby się okazało, że nie ma dla ciebie porządnego pokoju, to coś ci znajdziemy. Jestem pewna, że wśród sąsiadów będzie choć jedna dobra dusza, która zechce cię przygarnąć pod swój dach. A jak nie, to zawsze możemy iść do proboszcza.

– Mógłbym to odpracować – zapalił się młody. – Potrafię robić wiele rzeczy, znam się na stolarce, kładę kafelki, kiedyś z tatką sami wymieniliśmy rury w mieszkaniu. Potopu nie było.

– No proszę – ucieszyła się Zuzanna. – Może mógłbyś w wolnej chwili zbudować nam przyzwoitą wolierę dla naszej kury?

– Dla je... jednej kury? – zająknął się Jurko.

– Tak, mamy kurę, Kulczybę. Zrobiłyśmy jej prowizoryczną zagrodę, ale ledwo się trzyma. Przydałoby nam się coś trwalszego, nie mówiąc o tym, że w chłodniejszych miesiącach powinna mieć ocieplony kurnik... Ale teraz ten ptak jest na obserwacji w szpitalu... – przerwała nagle i zwolniła.

Ze zdumieniem wpatrywała się w pobocze. Brzegiem drogi szła bowiem Irena Sławińska. Właścicielka baru na stacji Stara Leśna Główna prezentowała się... no cóż, niecodziennie. Wiola Migas wzbogaciła jej trwałą ondulację pasemkami o barwie głębokiego burgunda i już to sprawiało, że trudno było pani Ireny nie zauważyć. Do tego ta odważna fryzura to był drobiazg, w porównaniu z obuwem Sławińskiej. Swoje dość foremne, ale jednak masywne nogi wbiła w sięgające do pól uda czarne lateksowe botki, zakończone ostrą jak sztylet i niebotycznie wysoką szpilką. Cała ta stylizacja sprawiała, że kobieta wyglądała co najmniej jak niebezpieczny, egzotyczny owad. Dodajmy – który ledwo laźł, bo też poruszanie się na takich szpilkach okazało się wyczynem, który przerósł możliwości Ireny Sławińskiej. Zuzanna zwolniła i opuściła okienko.

– Może panią podrzucić, pani Irenko?

Sławińska oparła rękę na karoserii i ciężko dyszała.

– Niebo mi panią zsyła, pani Zuzko – wysapała. – Postanowiłam wypróbować moje nowe buty, ale okazało się to trudniejsze, niż sądziłam. Już myślałam, że przyjdzie mi złożyć życie na ołtarzu miłości.

– Ołtarzu... miłości? – zdziwiła się Zuzanna.

– A tak! Te buty to klucz do serca Wiesława! – wyszeptała Sławińska tajemniczo.

Jej deklaracja, w połączeniu z nowym image'em właścicielki baru, zrobiła na Zuzannie tak silne wrażenie, że na wszelki wypadek zdecydowała się nie ciągnąć tematu. Obawiała się, że mogłaby nie zachować stosownej powagi. Zerknęła na Jurka. Miał oczy wielkie jak spodki. Zuzannie zdawało się, że słyszy jego myśli: „Co za dziwny kraj”.

– Pani Irenko, niech pani pozna Jurka, mojego pomocnika. Będziemy razem pracować przy urządzaniu ogrodu pana Przygodzkiego.

– Taki młodzieński, taki śliczny. – Sławińska prześwidrowała Ukraińca wzrokiem, a on poczuł, że pod wpływem tego spojrzenia zaczynają go palić policzki.

Próbując zmienić temat rozmowy, rzucił szybko:

– Może pani potrzebuje pomocnika do prac porządkowych albo do przepychania rur... – o Boże, czyżby mu się wydawało, że na twarz bufetowej wypełził odrobinę lubieżny uśmiezek?!

Uff, było to jednak tylko złudzenie. Sławińska spoważniała bowiem i westchnęła.

– Tak, samotna kobieta potrzebuje wsparcia silnego męskiego ramienia. Zjawił się pan w dobrym momencie. Cały strych mam w domu zawalony rzeczami mojego byłego męża. Stare makiety, pudła pełne drucików, śrubek i innych rupieci. Postanowiłam zacząć życie na nowo i muszę się pozbyć tego bajzlu.

– Nie może pani po prostu kazać byłemu mężowi zabrać rzeczy? – zdziwiła się Zuzanna.

– Mieszka od lat w Connecticut, byłoby mu więc trudno – zachichotała Sławińska. – No więc, jeśli chcesz, młody człowieku, możesz zająć się porządkowaniem strychu. Gdyby go posprzątać, mogłoby się okazać, że z tego będzie tam całkiem ładny pokój. Taki był, póki mój były mąż nie zagracił go swoimi kłopotami. Okienko, choć niewielkie, wychodzi na południowy wschód, więc jest dość jasno.

– To się świetnie składa, pani Irenko – ucieszyła się Zuzanna. – Jurko potrzebuje na parę miesięcy pokoju, bo ten łajza Kozak wepchał go do starej i zatechłej nory.

– Ależ będzie mi bardzo miło – ucieszyła się Sławińska, która miała

w gruncie rzeczy poczciwe serce.

Jurko jednak w dalszym ciągu przyglądał się z rezerwą jej szpilkom.

– Czy pani zawsze chodzi w takich butach? – zapytał po chwili milczenia.

\* \* \*

August Fąfara wszedł do apteki z zamiarem kupienia tabletek na ból głowy. Migreny męczyły go ostatnio częściej, zapewne z przepracowania. Bo też duchowny się nie oszczędzał: łątał dach kościoła, przycinał drzewa owocowe i rozwoził paczki po domach najbiedniejszych parafian. Jego bracia motocyklowa pomagała mu tylko od czasu do czasu. Nie mówiąc o zwykłych obowiązkach związanych z funkcją proboszcza.

Teraz zamierzał kupić u swojego brydżowego partnera porcję specyfiku, który zlikwiduje jego dolegliwości. Farmaceuta Koczocika nie było jednak przy okienku, natomiast z pomieszczenia na zapleczu dochodził cichutki, trudny do zidentyfikowania dźwięk. Proboszcz Fąfara bez wahania wsunął się za kontuar i już, już miał położyć rękę na klamce drzwi wiodących na zaplecze, gdy do apteki wpadła młoda kobieta.

– Poproszę coś na gorączkę dla dziecka – wysapała.

– O rety – zmartwił się Fąfara – kompletnie się na tym nie znam!

– No wie pan! – oburzyła się klientka. – I pan chce pomagać ludziom? Co z pana za farmaceuta? Powinien się pan znać na lekach!

– No trochę się znam, tyle że na lekach innego rodzaju, takich bardziej... duchowych.

– Co ksiądz tu robi? Proszę natychmiast odejść od kontuaru! – Rozgniewany Koczocik wyrósł jak spod ziemi.

Widać było, że jest zły.

– Już pani daję lekarstwo – powiedział do klientki. – W jakim wieku jest dziecina?

– Sześć lat. – Klientka wlepiła zdumione spojrzenie w proboszcza Fąfarę. – Przepraszam, nie poznałam księdza w tym cywilnym ubraniu.

– Nic nie szkodzi – zarechotał dobrodusznie duchowny. – Czasem trzymają się mnie żarciki. Jeśli mały wyzdrowieje do niedzieli, przyjdźcie koniecznie zobaczyć nasze pawie. Samica wysiaduje jajka, bardzo możliwe, że w niedzielę będą już małe pawiki...

Gdy zadowolona kobieta opuściła aptekę, Fąfara zerknął pytająco na Koczocika.

– Czemu właściwie siedzisz na zapleczu?

Farmaceuta skrzywił się niechętnie. Fąfara był ostatnią osobą, którą chciał brać na powiernika, jednak brzemień było ciężkie. Musiał się z kimś podzielić swoją troską.

– Ja się ukrywam – szepnął.

– Przed kim się ukrywasz? – zdziwił się ksiądz.

– Przed tą hałaśliwą wariatką z baru naprzeciwko. Nie wiem, co jej odbiło. Ostatnio non stop mnie napastuje. A dziś... dziś przyszła tu i zaczęła na mnie wrzeszczyć, wydawać mi rozkazy. Ja naprawdę się przestraszyłem. Niby żyjemy po sąsiedzku, ale ja wiem, co w tej babie siedzi? Może to seryjna morderczyni?! Była przerażająca! Zabarykadowałem się na zapleczu, bo bałem się, że mi coś zrobi. Żebyś ty wiedział, jak ona wyglądała! Jak... jak turkuć podjadek!

– Może ona się w tobie kocha? No wiesz, marzy o odrobinie męczyzny na co dzień i to taka subtelna kobieca forma uwodzenia? – żartował Fafara.

Koczocik natychmiast się nastroszył.

– Proszę mnie nie obrażać. To, że nie jestem tak wysoki jak co poniektórzy, nie oznacza, że można sobie ze mnie kpić!

– Jakżebyś śmiał? – Proboszcz uśmiechnął się pojednawczo. – No dobrze, to ja zmykam. Dzięki za lek. Mam ci jeszcze przekazać od Cecylii, że w przyszłym tygodniu gramy w brydża wyjątkowo w sobotę. I w plenerze. Robimy majówkę z kartami. Bądź gotowy o szesnastej, obiecałem pani Czaplicz, że cię zabiorę motorem.

\* \* \*

Jurko bardzo się starał, ale nic nie mógł zrozumieć z planów, które pokazała mu Zuzanna. Były pełne przekreśleń, śladów po gumce i korektorze.

– To tu będą... hortensje? To piękny kwiat, jeden z ulubionych mojego dziadka, tuż po piwonii – powiedział, spoglądając niepewnie na Zuzannę.

Od prawie tygodnia pomagał jej w ogrodzie willi Jolancin, ale i przy innych projektach – bo dostała jeszcze do realizacji ogródki przy segmentach, na peryferyjnym osiedlu Starej Leśnej.

– Nie, Jurko, z hortensji rezygnujemy. Ale peonie zostają – oświadczyła stanowczo i znów zaczęła mazać po kartce.

– Ale czemu? Są ładne, pasowałyby do tego ogrodu... – chciał wiedzieć Jurko.

– Słyszałeś o wiktoriańskim języku roślin? – zapytała Zuzanna.

Pokręcił głową.

– Kwiaty od wieków coś symbolizowały. To był często jedyny sposób, by ofiarodawca mógł przekazać obdarowywanemu ważną wiadomość. Nie mógł użyć słów, bo tego zabraniały konwenanse. Ale w epoce wiktoriańskiej Anglii język roślin rozwinął się jak nigdy wcześniej. Ludzie czynili za pośrednictwem bukietów skomplikowane wyznania. Głównie o miłości, zdradzie, rozstaniu, niechęci, namiętności – zaczęła wyliczać Zuzanna.

– A co oznaczały hortensje? – zapytał Jurko.

– No właśnie. Mężczyzna, który wręczał kobiecie bukiet z hortensją, mówił: „Jesteś zimną i wyrachowaną kokietką”. Myślisz, że cała rabata hortensji pasuje do pana Adama? Sam mówiłeś, że jest uprzejmy, uczynny i zawsze uśmiechnięty. Damy tu jaśminy i płaczący, karłowaty buk – zarządziła Zuzanna.

– A co to oznacza? – zainteresował się Jurko.

Ona jednak nie odpowiedziała, bo udała, że nie słyszy, zajęta otwieraniem worków z krowieńcem.

– Mówiące czy nie rabaty potrzebują zasilenia na wiosnę. Jurko, łap łopatę!  
– krzyknęła wesoło.

Rażno wzięli się do pracy.

\* \* \*

Zuzanna padała z nóg. To był długi i męczący dzień, tym bardziej że musiała odwiedzić dyrektora szkoły w sprawie figli Wojtka i Antoniego. Próbowała rozmawiać z synem o jego zachowaniu, ale jedyną odpowiedzią było uparte milczenie. Chłopak zamykał się przed nią, już nie dopuszczał do swoich sekretów, nie opowiadał, co w szkole... „Mówiłam tysiąc razy, że potrzebny mu mężczyzna, bo...” – zaczynała swoje tradycyjne wywody Krystyna, ale gasiła ją bezlitośnie najstarsza pani Czaplicz. „Krysieńko, czy woda się nie gotuje? Idź, zobacz” – mówiła. Krystyna aż tupiała nogą ze złości na matkę, ale, jak zwykle, spełniała jej żądania. Zuzanna nie umiała powiedzieć, jak bardzo była wdzięczna babce za te interwencje. Uwagi Krystyny stały się ostatnio szczególnie bolesne, może dlatego, że coraz częściej obserwowała komitwę Wojtka i Przygodzkiego i rozumiała jak nigdy dotąd, co znaczą słowa: „chłopak, któremu brakuje ojca”.

Westchnęła. Telefon leżący na stole w salonie wśród książek, talii kart i filiżanek rozdzwonił się alarmująco. Na wyświetlaczu pojawiła się Kazia. Zuzanna odebrała szybko, choć miała przecucie, że to nic dobrego.

– Malwina zniknęła! – załkała Kazia.

– Uspokój się, nie ma jeszcze dziewiątej. Może zasiedziała się u koleżanki?  
– powiedziała Zuzanna.

– Nie! Nie! Zostawiła list: „Odchodzę, tak będzie lepiej, nie szukajcie mnie”!

– w głosie Kazi słychać było czystą rozpacz.

Cóż było robić.

– Już do was jadę! – rzuciła w słuchawkę Zuzanna i poderwała się z wygodnego fotela.

– Mamo, Buniu! Malwina uciekła z domu, jadę do Leszczyńskich, pomogę jej szukać – krzyknęła Zuzanna w głąb kuchni.

Streściła szybko rozmowę z Kazią.

– Co ty mówisz! Ja też jadę, natychmiast! – odpowiedział jej jasny głos Cecylii.

– Matko jedyna, w tym życiu nie ma chwili spokoju! Dzieci to istne utrapienie. No, oczywiście ja też jadę, jak by to wyglądało! – zawtórowała jej Krystyna.

– Ty, Buniu, zostań z Wojtkiem, Malwina nas lubi, może tu przyjść i ktoś powinien być w domu. Mamo, zbierajmy się – zakomenderowała Zuzanna.

Wieczory były jeszcze zimne, Zuzanna złapała wełniane poncho, Krystyna sweter i wybiegły do samochodu. Krystyna zapięła pas. Zuzanna przekręciła kluczyk w stacyjce.

I nic. Za drugim razem coś puknęło pod maską, roztańczyły się wskazówki zegarów, ale silnik nie zaskoczył.

– Cholera! – krzyknęła Zuzanna.

Auto szwankowało już od dawna, nawet pan Henryk doradzał jej, żeby sprawdziła u mechanika rozrusznik, ale wciąż nie było na to czasu. No i pieniędzy. W maju trzeba było zapłacić ubezpieczenie za dom – Kurza Stopka była drewniana, stara, więc rata co roku szybowiała.

Zadzwoił telefon. Zuzanna nawet nie spojrzała na wyświetlacz.

– Kaziu, mam chwilę opóźnienia, wysiadł mi samochód, ale podejdę do Wtorka, może podwiezie mnie i mamę swoim busem – rzuciła w słuchawkę.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał.

– Eee... Przepraszam, tu Przygodzki. Chciałem dopytać o te jaśminy, które sadziłaś wczoraj, ale słyszę, że dzwonię nie w porę. Mogę w czymś pomóc? – Adam szybko zorientował się w sytuacji.

– Nie, nie trzeba, dziękuję ci, po prostu auto mi się zepsuło, poproszę sąsiada, który ma wygodny busik i... – zaczęła Zuzanna.

– To ktoś z samochodem? Niech przyjeżdża! Bus Wtorka to jeszcze gorszy grat od twojego volvo, potrzebne jest auto, powtarzam: A-U-T-O, szybkie, musimy szukać Malwiny, bo chce popełnić samobójstwo! – wrzasnęła jej tuż przy uchu Krystyna.

– Nie chce popełnić samobójstwa, mamo, co ci strzeliło do głowy? – zirytowała się Zuzanna.

– Ależ chce, przecież napisała: „odchodzę”, to oczywiste. Czytałam ostatnio w gazecie, że niezrównoważone nastolatki ze skłonnością do samookaleczeń stanowią najliczniejszą grupę wśród młodych samobójców! – upierała się Krystyna.

Zuzanna, zdenerwowana na matkę, dopiero po chwili zarejestrowała, że Przygodzki się rozłączył. Co powiedział wcześniej? „Będę za pięć minut”? To chyba niemożliwe, bo mieszka w Warszawie. Właściwie Zuzanna nie wiedziała, gdzie on mieszka, ale pojawiał się w Starej Leśnej zadziwiająco często jak na kogoś, kto dojeżdża 40 kilometrów.

Boże, co robić? Chyba trzeba lecieć do Jacka Wtorka. Zuzanna wyskoczyła



z samochodu. W tym momencie u wlotu ulicy Dzików pojawiły się dwa reflektory halogenowe. Snop białego światła omiółł pnie sosen i szpaler tui wzdłuż posesji sąsiadów, a samochód szybko skręcał w ulicę Jeża.

– Wsiadajcie. Nie ma czasu do stracenia – powiedział Adam Przygodzki takim tonem, że ani Zuzannie, ani Krystynie nie przyszło do głowy protestować.

Ruszyli z piskiem opon.

\* \* \*

Adam miał dosyć Warszawy. Przez ostatnie lata mieszkał za granicą, głównie w Londynie. Po powrocie niemiłe zaskoczyła go liczba wieżowców, pośpiech ludzi na ulicach, rozświetlone nocami galerie handlowe. Poczł się jak w Anglii. Poza tym prawie codzienne dojazdy do Starej Leśnej były coraz bardziej uciążliwe. A dojeżdżać musiał. Pan Henryk od początku wzywał go na pilne konsultacje: bo na przykład zaginął odpływ w łazience (ktoś mądrze wylał szlichtę bez zabezpieczenia otworu) i trzeba było ustalić, co dalej. Bo należało podjąć decyzję, na jakiej wysokości rura od kominka będzie wprowadzona w przewód kominowy. Bo płytki, krzyżaki, tetki... Bo kaloryfery, piec... I tak dalej, i tak dalej. Adam nie żałował, że przepadnie mu kaucja za wynajęte mieszkanie w Warszawie. Znalazł już tańsze i znacznie ładniejsze – na piętrze wiekowego domu w Starej Leśnej. Miał stąd bliżej do Jolancina i pana Henryka.

Ostatnio jednak coraz częściej jeździł do ogrodu. Sprawiało mu przyjemność obserwowanie, jak wyłania się z nicości. Sadzone rośliny wypuszczały listki, peonie stworzyły zwarty gąszcz, wysoki aż do kolan. Tak mało trzeba było, aby dokonać tak wielkiej zmiany!

Ale najbardziej lubił – z czego zaczął sobie zdawać sprawę dopiero kilka dni temu – obserwować w tym ogrodzie Zuzannę. Patrzyć, jak troskliwie umieszcza w ziemi cebule, dotyka pierwszych pędów na lilakach, duma nad czymś ze zmarszczoną brwią, wpatrzona w plan. No i uwielbiał przejażdżki z Wojtkiem, stały się już ich wspólną tradycją, w trakcie których Wojtek opowiadał mu swoje przygody z Antonim, a także historie z domu. Adam chłonał je jak gąbka, bo zakochał się w willi Kurza Stopka prawie od pierwszego wejrzenia.

Gdy więc teraz usłyszał, że Zuzanna i jej mama potrzebują pomocy, nie wahał się ani chwili. Natychmiast wybiegł do samochodu i pognał na ulicę Jeża, ile miał mocy w silniku. Drogę do Leszczyńskich pokonali w pięć minut.

Wjechali przez otwartą bramę na posesję. Zdenerwowana Kazia, drżąca z zimna, powitała ich na ganku.

– Nie mamy pojęcia, gdzie mogła pójść. Ludwik objeżdża jej koleżanki z klasy. Wiola zaalarmowała proboszcza Fąfarę, razem przeczesują okolice kościoła. Malwiśka lubiła tam chodzić na spacer. – Kazia szybko wprowadziła nowo przybyłych w stan poszukiwań.

– Ale co się stało? Mówiła, że nie możecie się dogadać, ale nie wyglądało to tak poważnie! – Zuzanna mocno przytuliła przyjaciółkę.

– Wróciła ze szkoły później i nie sama. Z jakimś zapchlonym kundlem, którego znalazła na stacji. Oczywiście natychmiast chcieliśmy go odwieźć do schroniska. Malwina pokłóciła się z Ludwikiem. A potem powiedziała, że zaprowadzi psa do straży miejskiej. Wydało nam się to rozsądne. I już nie wróciła! – Kazia załamała rękę.

– Wiem, gdzie może być! Mówiła coś ostatnio o wydmach. Może jest z tym psem w parku! – Zuzanna doznała olśnienia.

Krystyna chwyciła córkę pod łokieć i odciągnęła w bok.

– Jedź tam z panem Adamem, ktoś musi zostać z Kazią. Odchodzi od zmysłów ze zmartwienia, jeszcze dostanie ataku serca. Zrobię jej melisy na uspokojenie – mruknęła.

Zuzanna rzadko zgadzała się z matką, ale tym razem kiwnęła głową. Nie było czasu do stracenia: szybkim krokiem wyszli z Adamem z domu Kazi.

– Wiem, jak dojechać na te wydmy. Czasem szalejemy tam z Wojtkiem – powiedział Przygodzki, uruchamiając auto.

Zuzanna nie miała siły, żeby się zdenerwować.

„W sumie to dobrze. Wolę, żeby spędzał popołudnia, jeżdżąc po wydmach, przynajmniej pod opieką dorosłego, niż latał po miasteczku z Antkiem. Ostatnio przychodzą im do głowy same głupoty” – pomyślała.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Nie wiem, czy wypada zapytać, ale co stało się z ojcem Wojtka? – odezwał się Przygodzki.

Zuzanna zamarła. Dobrze, że wokół było ciemno. Adam nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy.

– Nie układało nam się z Tomaszem. Wyprowadziłam się. Nie był zainteresowany utrzymywaniem kontaktu z Wojtkiem. Może to lepiej, bo zmarł kilka lat temu. Wypadek. Wojtek jakoś bardzo tego nie przeżył, prawie go nie znał – powiedziała słabym głosem.

– Nie do wiary. Gdybym ja miał takiego syna, spędzałbym z nim każdą wolną chwilę – westchnął Adam.

– Może szkoda, że nie masz – powiedziała Zuzanna i zabrzmiała w jej głosie jakaś dziwna, twarda nuta.

Po godzinie krążenia wśród wydm w parku stało się jasne, że Malwina musiała schronić się z psem gdzie indziej. Zaczęło padać.

– Na jej miejscu szukałbym jakiegoś dachu nad głową – rzucił Adam.

Zuzanna aż krzyknęła.

– Tak! Masz rację! Szybko, do Jolancina! – rozkazała mu.

Po kwadransie parkowali przed wejściem do ciemnej, zdawałoby się, willi.

Po chwili dostrzegli, że jedno z okien rozświetla słaby płomycek świecy.

Drzwi były otwarte.

– Malwina! Nic ci nie jest? Wszyscy cię szukamy, dziewczyno! – Zuzanna przypadła do leżącego na podłodze obłego kształtu.

Spod płachty ogrodniczej agrowłókniny wyrzała rozczochrana głowa w kolorze blond, a w ślad za nią równie puchaty i pokryty rozwichrzonym futrem nieokreślonej barwy psi łeb.

– Ciocia... Oj... – jęknął rozespany głos. – Przepraszam, nie gniewaj się, ale podsłuchałam, jak pan Henryk mówił ci o kluczu...

– Ja się nie gniewam. Ale ten pan jest właścicielem domu i nie wiem, czy zalana woskiem podłoga ze starego dębu wzbudzi jego zachwyty – prychnęła Zuzanna, bo dopiero teraz poczuła złość.

Tak się o nią martwili, szukało jej pół miasta, a ona tu spokojnie spała!

– Bardzo miło, że poczułaś się u mnie jak w domu. To dobra wróżba. Odwiedzaj mnie, kiedy chcesz, ale zawsze mów rodzicom, gdzie idziesz. Albo ciotce – powiedział Przygodzki, klękając obok Zuzanny i Malwiny i tarmosząc łeb psiska. Ono zaś w odpowiedzi zaczęło radośnie ziać, odsłaniając rząd białych zębów.

– Rodzice, właśnie... Oni nigdy nie zgodzą się na psa! – krzyknęła Malwina zupełnie już rozbudzona.

– Raczej nie, tym bardziej że twój tata uzna, że byłoby to niewychowawcze. Jak pochwała za zły uczynek. Gdybyś próbowała z nimi pertraktować, kto wie, może by się złamali. Ale tak... Czarno to widzę – powiedziała Zuzanna.

Była pewna, że Kazia i Ludwik nie wezmą do siebie kudłatego kundelka.

– To co z nim będzie?! – Oczy Malwiny napełniły się łzami.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Adam westchnął ciężko. Ale... Dlaczego nie?

– Widzę, że bardzo mu się tu podoba, więc zostanie ze mną. Na razie zamieszka na mojej kwaterze, a za kilka miesięcy wprowadzi się do Jolancina. Obiecuję, że będę się nim troskliwie zajmował, pod warunkiem, że raz w tygodniu zabierzesz go na długi spacer! – Uroczyście podniósł w górę dwa palce, jakby składał ważną przysięgę.

Malwina uśmiechnęła się radośnie od ucha do ucha, ukazując całemu światu srebrne kółko tuż nad przednimi górnymi zębami. Zuzannę przeszedł dreszcz. A jednocześnie poczuła coś jeszcze. Wdzięczność. Dobry człowiek z tego Adama. Można na niego liczyć, lubi rośliny, przejmuje się losem zwierząt... Jak to się stało, że wzięła go za nadętego buca?

– Adam, czy ty kiedyś miałeś psa? Wiesz, jak się nim zająć? – zaniepokoiła się po chwili euforii.

– Nie miałem psa. Nie miałem domu. Nie miałem ogrodu. W ogóle dużo mi się w życiu zmienia i bardzo mi się to podoba. Do tego jakoś nie mam z kim dzielić

tej radości, więc... pies idealnie mi się nada – odparł wesoło Przygodzki.

Śweczka zamigotała i zgasła. W mroku wszyscy troje roześmieli się z ulgą, a pies zamerdał ogonem.

Nie było tego widać, ale cóż innego mogło oznaczać to miarowe pac, pac, pac po drewnianej podłodze?

## VI

Jacek Wtorek był w wyjątkowo złym humorze. Właśnie znalazł na środku ulicy rozjechaną żabę.

– Jak naleśnik! To robota tego furjata. Takich ludzi należałoby izolować. Kto daje im prawo jazdy, kto daje im prawo do decydowania o cudzym życiu!? – gorączkował się, nawet nie zauważywszy, że zaczął prawie krzyczeć z emocji.

– Co pan mówi, panie Wtorek? – zainteresowała się Krystyna, która właśnie wychodziła z ogrodu Kurzej Stopki z koszykiem na zakupy.

– Do żaby mówię! Widziała to pani!? – huknął Wtorek, wskazując teatralnym gestem znalezisko na ulicy.

Krystyna spojrzała beznamiętnie na martwe – i już rozpląszczone – zwierzę i wyjęła z koszyka papierośnicę z zapalniczką.

– No tak, przykróć. Na każdego przyjdzie pora, panie Wtorek – westchnęła filozoficznie, zapalając papierosa.

Wtorek się zirytował.

– To proboszcz! On do pań przyjeżdża, ale czy wie, że tu przebiega szlak migracyjny ropuch? W marcu nosiłem je na drugą stronę drogi, bo chodzą tędy do Parowu Sójek i tam w cieku wodnym składają skrzek! A tu taka krecia robota! Ja je noszę, on rozjeżdża, zero afirmacji życia, zero świadomości społecznej!

– Chce pan, żebym mu to wszystko powiedziała? Co proboszcz ma do cieków? Tym się gmina zajmuje – odparła Krystyna, nadal nieporuszona tragedią ropuchy.

– Niech pani zażąda, żeby zachowywał się jak cywilizowany człowiek, zamiast rozbijać się tu tą maszyną! Za rękę go nie złapałem, ale jestem pewien, że to jego wina! – grzmiał Wtorek.

– Nie sądzę. Jakby się pan z bliska przyjrzał, panie Jacusiu, zobaczyłby pan, że toto przejechał ciężki samochód i chyba z łysymi oponami, sądząc po wzorku. – Krystyna dźgnęła truchło czubkiem buta. – Nie był to aby ten pana busik?

– No wie pani! To już szczyt. Państwo stanowią jedną klikę. Niech pani nie sądzi, że ja dam spokój. Ja zawiadomię odpowiednie organa, ja tego nie puszcę płazem, o nie! – krzyknął Wtorek, odwrócił się na pięcie i szybko oddalił w stronę lasu.

– No, płazem to raczej na pewno nie – zarechotała Krystyna.

Zaciągnęła się kilka razy papierosem, a potem podreptała w stronę torów, wzdłuż których biegła ścieżka prosto do centrum Starej Leśnej.

Wtorek zaś długo jeszcze walczył z wściekłością. Coraz bardziej nie lubił Augusta Fafary. Nie przyznałby się sam przed sobą, ale zazdrościł mu trochę sympatii i szacunku mieszkańców miasteczka. W każdą niedzielę ogród wokół kościoła zapełniał się wiernymi. Tymczasem Jacek Wtorek, pracujący na 1/8 etatu

w szkole podstawowej, ze smutkiem obserwował puste krzesła na prowadzonych przez siebie zajęciach z plastyki. Próbował zainteresować uczniów – w tym i swojego młodego sąsiada, Wojtka Czaplicza – różnymi technikami malarskimi i biografiami znanych artystów, ale bezskutecznie. Wśród młodzieży miał opinię nudziarza i gbura. To właściwie by mu nie przeszkadzało, ale przydałoby się kilka godzin lekcyjnych więcej. Wtorek ciągle borykał się z kłopotami finansowymi i Krystyna Czaplicz miała rację: opony w jego busiku były kompletnie łyse, a do tego samo auto nie miało ważnego przeglądu technicznego.

Wybrał się właśnie do lasu w poszukiwaniu jadalnych roślin, którymi mógłby urozmaicić swój jadłospis (makaron, ryż, sucharki), zanim na jego konto wpłynie mizerna pensja. Zebrał całą torbę młodej pokrzywy i chrzanu, a teraz ucieszył go widok dorodnej dzikiej pietruszki. Zerwał kilka grubych łądyg.

– No! I będzie świetna zupa, z ryżem! – zatarł ręce.

Nastrój od razu mu się poprawił. Ruszył różnym krokiem do domu. Przed furtką spotkał Zuzannę Czaplicz, która właśnie wychodziła do pracy. Volvo trafiło do warsztatu i miało być gotowe do odbioru dopiero za kilka dni.

– A co tam pan ma, panie Jacku? – zaciekawiała się Zuzanna wiechciami wystającymi z reklamówki z podobizną popularnej biedronki.

– Promuję kuchnię naturalną. To młodziutka pokrzywa i pietruszka na zdrową zupkę! – rozradował się Wtorek.

– Panie Jacku, niech pan to natychmiast wyrzuci! – rozkazała Zuzanna.

– Ależ skąd, nie wyrzucę, mówię pani, że ugotuję z tego pyszną zupę, jeszcze panią zaproszę i będzie pani smakować! – Wtorek wesoło poklepał ją po ramieniu.

– To byłaby nasza ostatnia zupa, bo to nie pietruszka, ale szczwół plamisty. Potwornie trujący. Widzi pan te fioletowe smugi na łądygach? Mówią na nie: „krew Sokratesa”. – Zuzanna powiodła palcem po grubej, pustej w środku łądydze.

– Krew? Sokratesa? Co pani mówi!? – Wtorek przeraził się i odrzucił torbę daleko od siebie.

Zuzanna roześmiała się, podniosła reklamówkę i wyciągnęła potężną zieloną nać.

– Niech się pan nie obawia, szczwół nie jest toksyczny w kontakcie ze skórą. Ale zjedzony – tak. Jego najbardziej znaną ofiarą był Sokrates, skazany na śmierć za deprawowanie młodzieży w Atenach. Zamkniętemu w celi podano napar właśnie ze szczwołu. Oj, nie jest to lekka śmierć. Puchnie gardło, krtań, pojawiają się zaburzenia widzenia i postępujący paraliż.

Zuzanna była w swoim żywiole, przyglądała się łądydze szczwołu z wyraźną sympatią. Wtorek zaś poczuł, że robi mu się słabo.

„Czy ja nie próbowałem liści, tam, w lesie? A, nie, na szczęście nie. Do licha z tą kuchnią naturalną, chyba pozostanę wierny zupkom chińskim!” – rozmyślał.

– Dziękuję, pani Zuzo. Zawdzięczam pani życie. No cóż. Wybacz pani, ale po tak traumatycznych przeżyciach muszę chwilę odpocząć – wydusił z siebie i zatrzasnął za sobą furtkę willi Mimoza.

Zuzanna stała zaś przez chwilę, osłupiała, nad jego reklamówką. Potem wzruszyła ramionami, zebrała rozrzucone przez Wtorka rośliny i wróciła do domu, by wyrzucić je na kompost.

\* \* \*

To był cudowny, słoneczny dzień! Jeden z takich, gdy naprawdę chce się żyć. W co drugim ogrodzie Starej Leśnej bzy kwitły już na całego, a fale ciepłego powietrza unosiły ich intensywny zapach. Cecylia wyszła przed dom, żeby wytrześcić starą haftowaną serwetkę – lepiej jej było nie pracować za często, nawet w rękach. Delikatny batyst, pamiętający jeszcze dotyk palców jej mamy, w kilku miejscach się poprzecierał. Starsza pani uśmiechnęła się do siebie. Pomyślała, że czas biegnie jak oszalały. Dosłownie chwilę temu była dziewczyną, młodziutką jabłonką, a tu – proszę. Już jest jak dostojne, stare drzewo. No, może nie takie dostojne, ale na pewno niemłode. Jedna rzecz pozostała taka sama, choć wszystko dookoła się zmieniało jak w kalejdoskopie: maj cieszył ją jak wtedy, gdy miała pięć, piętnaście, dwadzieścia pięć lat...

– Buniu kochana, popatrz, co dla ciebie wypatrzyłam. – Zuzanna stała przy furtce, bardzo z siebie zadowolona.

Towarzyszył jej Jurko, ukraiński pracownik, którego Kozak wziął do pomocy. Cecylia skinęła mu na powitanie. Ten młody człowiek przypominał jej chłopca, którego знаła dawno, dawno temu.

– Tylko popatrz! – Zuzanna podniosła do góry koszyk, z którego wystawała kępa zielonych liści.

– Przecenisz mnie, moja kochana, nie rozpoznaję roślin z tej odległości.

– To peonie – przyszedł jej z pomocą Jurko. – Pojechaliśmy po kilka roślin dla pana Przygodzkiego i były akurat w szkółce.

– To nie są zwykłe peonie! – zachnęła się Zuzanna. – To peonia chińska, Old Faithful, bardzo rzadka i droga! A jak pachnie! Kupiliśmy ją w dużej doniczce, z gotowymi pąkami kwiatów. Zaraz ją posadzimy przed domem i będziemy się nią cieszyć już w tym roku. Pąki zaraz pękają.

– Peonie to moje ulubione kwiaty. – Cecylia wpatrywała się w Jurka, który podniósł opartą o ścianę domu łopatę i zaczął się rozglądać za najgodniejszym miejscem dla tej królewskiej rośliny.

– Tutaj byłoby jej najlepiej. – Wskazał na grządkę, z której wystawały pomarańczowe łebki marchewek. – Trochę szkoda, że zrobiliście warzywniak w najmocniej nasłonecznionym miejscu. Kwiaty rosłyby tu jak szalone.

– Nie musisz mi tego mówić – mruknęła Cecylia. – To Krystyna

zadecydowała, że posadzi tu warzywa. Dla mojej córki to, co praktyczne, zawsze będzie mieć pierwszeństwo przed pięknym. Ona nie ma romantycznej natury.

– To może umieścimy peonię przy samym płocie. Będziecie ją widzieć z okna, a poza tym powita wszystkich przechodzących przez furtkę. Co... co się stało, pani Cecyljo, czy powiedziałem coś nie tak? – Jurko zająknął się, lekko speszony, bo najstarsza pani Czaplicz wypatrywała się w niego z intensywnością, która każdego zbiłaby z tropu.

– Nie – zaśmiała się babka Zuzanny. – Wszystko w porządku, tylko mówisz, synku, z tym pięknym wschodnim akcentem. Melodia twojego języka jest szczególnie bliska memu sercu. Zastanawiam się... Na pewno umiesz śpiewać, prawda?

– Każdy umie śpiewać. – Chłopak wzruszył ramionami.

– No tak, u was śpiewanie to jak oddychanie. Może znasz taką piosenkę... – Cecylia odchrząknęła i zanuciła: *Ked mi przyszła karta...*

Jurko klasnął w dłonie i podjął pieśń: *Hej, wy muzykanty zahrajcie mi czardasz...* Miał piękny, mocny głos. Zuzanna spojrzała na niego z podziwem, a Cecylia... czyżby się wzruszyła?

– Pani Cecyljo, ależ ma pani intuicję! To stara pieśń, ulubiona mojego dziadka, śpiewali ją z tatkiem na wszystkich rodzinnych spotkaniach – cieszył się chłopak.

– Rany, ale głos, człowieku, mógłbyś wystąpić w *Mam talent!*

Malwina stała przy furtce i machała smyczą. Kudłate psisko u jej nogi radośnie merdało ogonem. To był jej dzień widzenia ze znajdą...

– Cześć – rzuciła najstarsza latorośl Kazi, wyciągając do Jurka poplamioną pierwszymi truskawkami dłoń. – Malwina!

– Jurko. A więc to ty jesteś tą słynną uciekinierką! Kiedyś moja kuzynka... – Chłopak najwyraźniej chciał podzielić się jakąś opowieścią, ale Malwina popatrzyła mu prosto w oczy i jakby jakaś iskierka przeskoczyła między nimi. Ukrainiec speszył się po raz drugi w ciągu ostatnich pięciu minut. Cofnął szybko dłoń i pochylił się nad koszykiem z peonią.

– To gdzie ją posadzić? – Jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej niż parę sekund wcześniej.

– Myślę, że przy płocie to dobry pomysł – powiedziała Cecylia. – Malwina na pewno chętnie ci pomoże. My z Zuzanną mamy pilniejszą robotę...

– Jaką znowu robotę? – zdumiała się najmłodsza z pań Czaplicz.

– Nie gadaj, tylko chodź! – syknęła Cecylia i pociągnęła ją w stronę domu.

– Buniu, co ty kombinujesz?

– Nie mów, że niczego nie zauważyłaś? Miłość wisi w powietrzu! Przekonasz się, że zaraz się coś z tych spojrzeń i uścisków dłoni wykluje. Znam się na tym! Ty tego nie poczułaś? – I już zerkała zza firanki na młodych, którzy stali



przy furtce, jakby wahając się, czy zostać, czy odejść.

– Zlituj się, przecież to para dzieciaków!

– Malwina skończyła szesnaście lat... Wiesz, Zuzanno, przed chwilą zobaczyłam w niej siebie sprzed dekad. Ona jest starsza niż ja, gdy przeżyłam największą miłość mojego życia!

Zuzanna spojrzała zaciekawiona na babkę. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie mówiła. No i coś się tu nie zgadzało!

– Przecież miałaś dwadzieścia lat, gdy poznałaś dziadziusia Brunona! Zawsze słyszałam, że był dyrektorem składu nasion, w którym zaczęłaś pracować już po wojnie!

– To prawda, ale nie o Brunonie tu mowa. – Cecylia zasznurowała usta i wygładziła kretonową sukienkę w kolibry, którą Wioletta Migas wyszperała dla niej w sklepie Tani Armani.

Zuzannę aż zatkało z oburzenia.

– No nie! Nie łam mi serca, Buniu! Nie mów, że dziadzius nie był miłością twojego życia!

Choć od śmierci dziadka minęło dziesięć lat, jeszcze dziś Zuzannie i Krystynie zdarzało się uronić łzę z tęsknoty za Brunonem. Zawsze też dbały o to, by przy jego portrecie stały świeże kwiaty. Wśród całej plejady niewydarzonych mężczyzn, którzy przemknęli przez ich życie, dziadek Bruno jawił się jako prawdziwy rycerz, ten wyjątkowy, którego można było brać za wzór! Co do tego zawsze były zgodne: ubóstwiały łagodnego, mądrego człowieka, którego największą radością było sprawianie radości żonie, córce i wnuczce. Choć za każdą z nich skoczyłby w ogień, wszystkie wiedziały, że na pierwszym miejscu zawsze była Cecylia. A teraz Bunia mówiła jej coś takiego...

– Twoja matka też mi to miała za złe – westchnęła najstarsza z pań Czaplicz.

– Z tego właśnie wzięły się wszystkie nasze konflikty. Krysia była typową córeczką tatusia, zawsze brała jego stronę. Uważała też, że ranię Brunona, nie kochając go tak bardzo, jak on kochał mnie. Ta niemądra dziewczyna sądziła, że miałam na to jakikolwiek wpływ! Że mogłam zmusić serce do miłości albo że mogłam sobie miłość z głowy wybić. A przecież ani jednego, ani drugiego zrobić się nie da! Sama chyba wiesz to najlepiej, prawda? – Cecylia spojrzała wnuczce głęboko w oczy.

Nie odpowiedziała. Przyglądała się babce, jakby zobaczyła ją nagle po raz pierwszy w życiu.

– Krystyna z zemsty postanowiła być zupełnie inną kobietą niż ja – ciągnęła Cecylia. – Zero romantyzmu, zero dziwactw, ziół i kolorowych sukienek. Nawet szkołę ekonomiczną wybrała mi na przekór, chociaż w głębi duszy nie cierpiała księgowości. Cyfry można mieć pod kontrolą, ale ona chciała trzymać życie mocno w garści. Uważała też, że będzie w stanie zakochać się na żądanie. Albo na żądanie

przestać kochać. Stąd był ten absurdalny ślub z twoim ojcem. Uznała, że czas założyć rodzinę – a reszta miała się jakoś ułożyć. Obie wiemy, jak to się skończyło. Twój – niech mu ziemia lekką będzie – tata był niezłym łobuzem. Pierwszy raz zdradził ją chyba miesiąc po ślubie. Dlatego po rozwodzie od razu wróciła do panieńskiego nazwiska. Podobnie jak ty uparłaś się, by przy nim zostać, i nawet namówiłaś męża, by to on zmienił nazwisko na Czaplicz... Żadna z was nie chciała przyjąć nazwiska niekochanego mężczyzny. Nie jesteście znowu takie różne.

– Babciu, błagam cię! Co cię dziś naszło, że próbujesz wywrócić mój świat do góry nogami?!

– Nie przerywaj mi, kochanie. Dawno chciałam ci o tym powiedzieć. Wiem, że to częściowo z mojej winy twoja matka straciła wiarę w to, że może być tak po prostu szczęśliwa. Dlatego teraz, gdy widzę, gdy czuję, że w twoim życiu zaczyna się coś dziać, proszę cię o jedno: nie wątp w miłość, daj jej szansę. Jeśli przyjdzie – przyjmij ją z otwartym sercem.

Zuzanna milczała. Działo się z nią coś przedziwnego – jakby babka tymi kilkoma zdaniem sprawiła, że w murze, który przez lata wyrósł między nią a Krystyną, pojawiła się maleńka szczelinka, przez którą zaczęło się wydobywać na razie jeszcze słabe, ale już widoczne światelko zrozumienia. Nagle poczuła przemożną chęć, żeby przytulić się do swojej mamy i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

Jakby w odpowiedzi na tę wewnętrzną potrzebę córki, do kuchni wparowała Krystyna.

– Szlag mnie trafi! – huknęła od progu. – To był na pewno twój pomysł z tym zielskiem przy płocie! – Wymierzyła oskarżycielski paluch w Zuzannę. – A mama była współnikiem zbrodni. Obie chcecie, żebym padła trupem z irytacji! Najpierw kura, potem peonie. Ciekawe, co będzie następne!?

I tak oto cała tkliwość, która na moment zawładnęła sercem Zuzanny, w jednej chwili prysła jak bańka mydlana. Znowu było jak przedtem.

\* \* \*

Stanisław Grzybek stał przed cukiernią w pełnej gotowości. Trzymał kosz z wiktuałami na majówkę oraz wielkie pudło skrywające jego najnowsze dzieło: tort szwarcwaldzki z kandyzowanymi wiśniami i kremem z mlecznej czekolady. Całość pokrywała kruchotka polewa, również czekoladowa, tyle że gorzka.

O takim rodzaju ciasta Wiola Migas mawiała, że tyje się od samego patrzenia. Właśnie dlatego nie zgodziła się zostać degustatorką Grzybka: bardzo jej zależało na tym, by być smukłą i powabną, gdyż jej nowy obiekt uczuć – Jarosław – rzucił parę dni temu, jakby od niechcienia, że lubi szczupłe kobiety. A potem jeszcze w chwili czułości szepnął jej do ucha: „mój ty grubasku”. Wiola głupia nie była, dodała dwa do dwóch i wyszło jej, że musi natychmiast porzucić ciastka. Ku

rozpaczy Grzybka, któremu szczególnie zależało na obiektywnej opinii, gdyż tortem szwarcwaldzkim zamierzał oczarować Cecylię Czaplicz. Ona tak bardzo przypominała mu jego świętej pamięci żonę, że nie mógł się powstrzymać, by jej nie adorować – tak jak robił to przez blisko pięćdziesiąt lat wobec nieboszczki Eugenii. Eugenia kochała ciastka i powtarzała Stanisławowi, że jego dłonie pachną masłem.

Uśmiechnął się do siebie na to wspomnienie. Chciałby usłyszeć to jeszcze raz. Albo coś podobnego. Albo coś zupełnie innego, co pozwoliłoby mu na chwilę zapomnieć o samotności.

– I jak tam, gotowy na brydzyka w plenerze?! – zawołał wesoło August Fąfara, zatrzymując na moment motor przed cukiernią. – Odwiozę na polankę kolegę Koczocika, a potem wrócę po pana, panie Staszku. Chyba że ściśnecie się z tyłu, to wezmę dwóch za jednym zamachem. Koczocik niewielki człowieczek, to by się mogło udać – zachichotał wielebny.

– Wypraszam sobie – prychnął aptekarz. – Ksiądz znowu zaczyna swoje żarciki.

– Dziękuję, ale umówiłem się z panią Cecylią, że mnie zabierze po drodze. – Grzybek pogłaskał czule pudełko z ciastem. – Wnuczka podwiezie ją autem. Poza tym bałbym się, że uszkodzę moje arcydzieło.

– Ho, ho, widzę, że szykuje się niezła wyżerka.

– ...a potem przyjdziecie do mnie wszyscy po raphacholin – mruknął aptekarz. – Jedźmy już, miejmy to za sobą. Te fanaberie Cecylii, żeby majówki urządzić. Akurat teraz, gdy jest taki wysyp kleszczy! Jakbyśmy nie mogli grać w karty po bożemu, w czterech ścianach. Przynajmniej nikt nie umarłby potem na zapalenie opon mózgowych albo boreliozę – pojękiwał Koczocik.

– Ty marudo. – Fąfara uśmiechnął się do brydżowego partnera i docisnął gaz. Chopper zawarczał jak wielki stalowy szerszeń, aż nagły powiew powietrza poderwał zaczeskę aptekarza.

– Chcesz mnie zabić?! – pisnął, łapiąc długie pasmo włosów i próbując zmusić je, by leżało jak poprzednio.

Ksiądz nie odpowiadał. Wymijał bowiem sterczące z ziemi grube korzenie, bo wjechali już do lasu.

\* \* \*

Irena Sławińska obserwowała znikający za rogiem motocykl przez szybę salonu U Dalili. Miała na nogach swoje legendarne już buty prawdziwej dominy. Szykowała się do decydującego natarcia. Plan był taki, że zjawi się podczas partyjki brydża, niby to przechodząc obok przypadkiem (mogła przecież wybrać się na grzyby!), i zmanifestuje całą swoją kobiecą moc. Zuzanna wygadała się, że tym razem towarzystwo będzie grać w karty na zielonej trawce, i Sławińska właśnie

w pięknych okolicznościach przyrody zamierzała zdobyć serce Koczocika.

– Musi mi się udać, Wiolu kochana. Jestem pewna, że Wiesław dostrzeże we mnie tę kobietę, o której zawsze marzył: silną, władczą i zdecydowaną! – powiedziała, poprawiając rysunek brwi czarnym ołówkiem.

– Może trochę jeszcze podtapirujemy? Będzie bardziej bojowo – zaproponowała Wiola, a Sławińska ochoczo przytaknęła.

– Zastanawiam się tylko nad jednym... Czy da pani radę dojść w tych butach na leśną polanę? Te obcasy są ostre jak sztylety. Obawiam się, że może być trudno dreptać na nich po podmokłym leśnym podłożu... – zmartwiła się fryzjerka.

– Rzeczywiście... – Irena Sławińska nastroszyła świeżo zrobioną brew. Co tu zrobić? Samochód odpada – trudno przypadkiem, ot tak, wjechać do lasu, a to musi wypaść naturalnie. Co innego spacer. Przypadkowa przechadzka jest jak najbardziej prawdopodobna.

– Wiem! – zawołała radośnie Wioletta Migas. – Wiem, wiem, wiem!

– Co takiego wiesz?

– Pożyczę pani mój rower!

I już po chwili Irena Sławińska, kobieta zdeterminowana, w lateksowych botkach, czarnej skórzanej kurtce i z czerwonym tapirem na głowie, jechała drogą w stronę lasu. Była tak skupiona na tym, żeby się nie przewrócić, że nie zauważyła rozklekotanego volvo Zuzanny, która wiozła babkę i cukiernika Grzybka. Ich rozbawione miny mogłyby jej dać do myślenia – gdyby je tylko dostrzegła.

\* \* \*

– Dajcie mi ciastko! Ogromne, największe, jakie macie – zażądała Wiola od kelnerki, sadowiąc się przy kawiarnianym stoliku. – Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać, ale raczej na pewno potrzebuję porcji cukru. Trudno, najwyżej będzie to gwóźdź do trumny mojej miłości.

– Co cię naszło? – zdziwiła się Kazia. – Jeszcze wczoraj byłaś gotowa całkiem porzucić jedzenie, a dziś taka zmiana?

– Czuję się taka strasznie winna. – Fryzjerka złapała się za głowę. – Biedna pani Irenka... A przecież karty nie kłamią!

– No ale co się stało?

– Niech ci Zuzanna opowie, ona była świadkiem całej tej sceny.

– Rzeczywiście, wyglądało to wszystko kuriozalnie. Zawiozłam Cecylię i pana Grzybka na polanę, gdzie mieli grać w brydża. Ksiądz proboszcz oraz pan Koczocik już na nas czekali. I gdy rozłożyliśmy koce, stołeczki oraz turystyczny stoliczek karciany, na polanie zjawiała się pani Sławińska na twoim, Wiolu, rowerze. W tych przedziwnych butach. Na jej widok pan Wiesław wyraźnie się przestraszył, tym bardziej że prućła prosto na niego. Chciał się schować za proboszcza Fąfarę, który – jak to on – zaczął sobie stroić żarty. Co Koczocik się za

niego chowa, to on robi krok w bok i jeszcze zachęca panią Irenę, żeby przyłączyła się do ich kompanii. Cofający się aptekarz potknął się i przewrócił na stół, na którym pan Grzybek ustawił swój tort szwarcwaldzki. Potem wszyscy próbowali zdrapywać resztki czekolady z pleców Koczocika, najbardziej ochoczo zdrapywała oczywiście Sławińska. Cecylia twierdziła, że nawet w tej formie ciasto jest przepyszne, ale nie udało się ukoić żalu pana Staszka. I wreszcie, jakby tego wszystkiego było mało, na sam koniec pani Sławińska próbowała znowu wsiąść na rower, ale potknęła się i skręciła nogę. Grzybek z proboszczem chcieli jej ściągnąć ten botek, ale nie mieli dość siły. Wreszcie proboszcz wziął scyzoryk i przeciął but, uwalniając kostkę pani Ireny.

– Biedaczka... – westchnęła Wiola. – Wygląda na to, że mimo tylu starań nie udało jej się zjednać sobie pana Wiesia.

– O Boże, co za historia... – Kazia wycierała załzawione ze śmiechu oczy. – Powiem wam, że chyba coś wisi w powietrzu, bo i ja miałam wczoraj taką wpadkę, że o mało się nie skończyło rozwodem!

– No nie, opowiadaj! Ty i rozwód? Przecież wy z Ludwikiem wszystko robicie razem, papużki nierozłączki! – żartowała Zuzanna.

– Bez przesady, aż tak to nie. Ale faktycznie bardzo jesteśmy zżyci. No więc parę tygodni temu poprosiłam Ludwika, żeby zajrzał pod zlew, bo zdaje się, że poszła uszczelka: coś kapie i kapie. Ale wiecie, jak to jest... Stary dowcip mówi, że jak mężczyzna powie, że coś robi, to robi i nie trzeba mu przypominać co pół roku. To jest dokładnie opowieść o moim mężu. No więc pod zlewem kapało, a on się za to nie zabierał. Parę dni temu powiedziałam mu, że chyba poproszę jakiegoś przystojnego sąsiada, żeby zaopiekował się moją uszczelką.

– No i co? – popędzała ją Zuzanna.

– Nie przerywaj. No więc wyobraźcie sobie, że wracam wczoraj z księgarni, wchodzę do kuchni, a tu widzę zgrabny męski tyłeczek wystający spod zlewu...

– Fiuuuu! – gwizdnęła Wiola. – Brzmi zachęcająco!

– Nie tylko brzmi, ale i wygląda, a raczej wyglądało. Dlatego bez wahania podeszłam i...

– Ty świntucho! – zachichotała Zuzanna.

– I co się stało? – dopytywała Wiola.

– Wtedy zobaczyłam Ludwika stojącego w progu kuchni.

– O rany! – Zuzanna dosłownie skręcała się ze śmiechu.

– No właśnie, o rany – to samo powiedziałam.

– A do kogo należał tyłeczek? – próbowała ustalić Wiola.

– Jak to do kogo? Do hydraulika, którego mój dobry mąż wezwał, żeby naprawił zlew.

– Nie miał ci za złe?

– Hydraulik? Ależ skąd! Podeszedł do tego z humorem. Gorzej z Ludwikiem.

Był wstrząśnięty. No dobrze. – Kazia zatopiła łyżeczkę w bajaderce. – To już wiemy, co wydarzyło się na brydżu, jak nabroiła Wiola i jak narozrabiałam ja. A co u ciebie, kochana Zuzanno? Teraz ty nam opowiedz, jakież to nowości nastąpiły w twoim życiu, bo ptaszki ćwierkają, że jakieś tam są?

Zuzanna spuściła oczy i uśmiechnęła się do ciasteczka leżącego przed nią na talerzu.

\* \* \*

Opowiedziała o tym, że ogród w willi Jolancin jest już prawie skończony. Rozwodziła się nad tym, jakie piękne odmiany róż dobrała na rabatę z prawej strony, za robiną akacjową. Od jasnożółtych, przez złociste, herbaciane, morelowe, aż po karminową różę galijską Tuscany, znaną w Europie od pięciu wieków, potomkinię róż damasceńskich, przywożonych ze Wschodu przez krzyżowców. Nie tłumaczyła, co to znaczy – im bardziej kwiaty zbliżały się do środka ogrodu, tym gorętsza była ich barwa. Co za szczęście, że Wiola i Kazia nie znały języka roślin!

Opowiedziała o tym, że zrezygnowała z lobelii, żółtych lili i bylicy piołun na rabacie po lewej stronie, pod dwiema sosnami i krzakami jaśminu. Zastąpiła je białymi liliami, miętą, rudbekią i żółtymi bratkami. Zachwycała się kolorami roślin, ich formą, ale nie wspomniała przyjaciółkom, co oznaczały.

Nie zająknęła się ani słowem o tym, że... była zakochana po uszy, jak przed laty. Nie umiała tego ująć słowami. Codziennie, gdy pracowała w ogrodzie willi Jolancin, czekała na ten jeden moment: gdy zachrząści żwir na podjeździe, a z wnętrza domu da się słyszeć zdecydowane, szybkie kroki – typowe dla Adama Przygodzkiego. Potem był kwadrans beztroskiej radości: witali się, przekomarzali, ona czasem opowiadała mu coś o sadzonych roślinach, a on się dziwił. I trwało to krótko, za krótko, bo nagle orientowali się, że ktoś może to dostrzec – że nie chodzi tylko o projekt, pracę, interesy. Odskakowali od siebie, otrzeźwieni tą myślą. Ona przybierała oficjalny ton, a on już nie patrzył jej w oczy, nie próbował złapać spojrzenia. Nagle nie było już o czym mówić. Żegnali się oficjalnie, sztywno, on wychodził.

– A ten Przygodzki to co tak pani pilnuje? Co znowu chciał? Coś mu się nie podoba? Upierdliwy typ. Czepia się pani jak rzep psiego ogona! – utyskiwał pan Henryk. – A to paskudztwo włochate, tego kundla zapchlonego, to skąd on wystraszał? Może to jaka rasa, myśliwska czy jak? – ciągnął rozważania.

Szalej – bo takie imię dostał kundelek, znaleziony przez Malwinę – często towarzyszył Adamowi. A on cieszył się z każdego głupiego wyskoku psiaka jak dziecko.

– Patrz, nauczyłem go łapać patyk w powietrzu, zobacz, jak fajnie to robi! – entuzjasmował się, choć Szalej biegł za wszystkim, co mu się rzuciło, jak każdy

inny pies.

Od razu było widać, że Przygodzki nigdy nie miał żadnego zwierzęcia, choć – Zuzanna przyznawała to z radością – był do tego stworzony. Cierpliwy, łagodny, radosny, chętnie drapał Szaleja za uchem i w ogóle mu nie przeszkadzało, gdy pies, po chwili nieobecności, zjawiał się, ociekając błotem, bo postanowił wytaplać się w okazałych rozmiarów kałuży na rogu ulic Czeremchy i Storczyków.

Zuzanna po prostu nie umiała tego opowiedzieć. Ale też bała się wyznać na głos swój najgłębiej skrywany sekret: że znów miała nadzieję na miłość, znów kochała. Po tylu latach! Nie sądziła, że ją jeszcze spotkają te emocje, budzące dreszcz, sprawiające, że rumieniec rozlewał się po policzkach. Była zakochana właściwie tylko raz, na studiach. W... Adamie. Wtedy, trzynaście lat temu, pojechała w odwiedziny do Beaty, koleżanki, z którą studiowała. Krystyna czuła się już na tyle dobrze, że można było ją zostawiać w domu z Cecylią, bez obaw, że coś się stanie, że trzeba będzie wzywać pogotowie.

Była po trzech seriach chemii, którą bardzo źle ją znosiła, szczególnie tę pierwszą, najbardziej toksyczną – czerwoną. Miała zaburzenia serca, mdlała – Zuzanna nie odstępowała matki na krok i właśnie dlatego musiała zrezygnować z nauki. Babka ją błagała, zaklinała, by tego nie robiła, zarzekała się, że sobie poradzi. „Jestem matką, umiem zadbać o własną córkę, ty studiuj, jesteś młoda, to nie zadanie dla ciebie!” – Zuzanna nawet dziś pamiętała jej słowa. Ale nie potrafiła zostawić mamy i obarczyć tym brzemieniem babci. Dużo ją to kosztowało. Przez te pół roku wydorosła, zmieniła się. Już nie była beztruską młodą dziewczyną. Napatrzyła się na wiele nieszczęść. Gdy chemioterapia dobiegła końca, zostały naświetlenia – Krystyna, mimo oparzeń, wracała do sił. A Zuzanna przeciwnie – miała poczucie, że słabnie, znika. „Jedź może do jakiejś koleżanki, rozerwij się. Porozmawiaj, co tam słychać na uczelni. Może zechcesz wrócić? Krysi już lepiej, naprawdę mogę się nią zająć. Nalegam, żebyś wróciła na studia. Mam straszne wyrzuty sumienia, że pozwoliłam ci na to głupstwo, ten urlop dziekański!” – powtarzała Cecylia. Zuzanna zadzwoniła do Beaty, umówiły się. Gdy do niej przyjechała, Beata przywitała ją z kieliszkiem wina w dłoni. „Francuskie, dostałam na urodziny. Z bąbelkami! Pomyślałam, że uczymy twoją wizytę!” – paplała Beata. „Masz wódkę?” – zapytała nagle Zuzanna i sprawiło jej przyjemność obserwowanie wyrazu zaskoczenia na twarzy koleżanki. Zuzanna nigdy nie piła, zachowywała się rozsądnie, na studenckie balangi chodziła rzadko i opuszczała towarzystwo przed jedenastą, bo spieszyła się na ostatni pociąg do Starej Leśnej. „Chcę się dziś upić” – rzuciła tylko tonem wyjaśnienia. Beata bez słowa sięgnęła do lodówki. Nalała kieliszek. Zuzanna wypić duszkiem. Później drugi i trzeci. A potem Beata powiedziała: „Wiesz co? Starzy Marka wyjechali na kontrakt do Afryki, ma wolną chatę i robi melanz. Zaprosił wszystkich, podobno będzie Adam Przygodzki...”. Zuzanna prychnęła. Akurat w tamtej chwili Przygodzki obchodził

ją tyle co zeszłoroczny śnieg. Ale... alkohol spełniał swoje zadanie, krew szybciej krążyła jej w żyłach. „Pewnie. Idziemy!” – odparła zdecydowanie. Beata uśmiechnęła się radośnie, jej także podobał się Adam, Zuzanna dobrze to wiedziała.

Tamtego wieczoru upiła się, pierwszy raz w życiu. Zapomniała o mamie, o operacji, o tym, jak zmieniała jej opatrunki, masowała spuchnięte ramię, żeby ułatwić odpływ limfy. Zapomniała szczegóły wyglądu postaci z korytarzy Centrum Onkologii: podkrążone oczy, ziemistą cerę, szpitalne chałaty w paski. Wszechobecny smutek. Było tak, jakby to wszystko w ogóle się nie zdarzyło. Jakby nie było tych miesięcy walki o życie matki, rezygnacji ze studiów – teoretycznie miała urlop dziekański, ale w tamtej chwili Zuzanna nie wyobrażała sobie powrotu na uczelnię. Czwarty kieliszek, piąty. Znów była sobą – młodą, nieśmiałą, pełną nadziei na przyszłość dziewczyną.

Zobaczyła go już w drzwiach, gdy przekroczył próg. Wysoki, barczysty, poruszał się z gracją i lekkością, której brak było większości mężczyzn. Uśmiechnęła się na ten widok. „Właściwie – dlaczego nie?” – pomyślała. Stał na balkonie, obok jego kumpel z roku, dwie rozchichotane dziewczyny, na które nie patrzył. Poszedł do kuchni, Zuzanna ruszyła za nim. Sięgał do lodówki, stanęła mu na drodze, podniosła na niego oczy, ich wzrok się spotkał, poczuła, jakby prąd przebiegł jej ciało, i wiedziała, że on poczuł to samo. Jego źrenice się rozszerzyły. „Hej! – powiedział po prostu. – Czekałem na ciebie!” – dodał. Dopiero potem się zorientowała, że i on był pijany. Umówili się dwa dni później. Nic nie pamiętał. Ona natomiast pamiętała każde słowo, dotknięcie dłoni, to, jak mocno przyciskał ją do siebie w tańcu i jak mocno całował.

Ale nie było tak, jak sobie wyobrażała. Nie powiedział, że ją kocha. Nie sprawiał wrażenia, jakby miała być dla niego kimś więcej niż zapewne dziesiątki dziewczyn przed nią. Przygodą na kilka dni. Denerwowało ją, że oglądał się za każdą ładną kobietą, którą mijali na ulicy. I to, że one na niego też patrzyły. Potem, gdy minęło upojenie alkoholowe, znów wróciły do niej ponure myśli. Obrazy z oddziału kobiet chorych na raka piersi. Jęk jej mamy, gdy próbowała wygodniej ułożyć się w łóżku i ciągnęły ją świeże jeszcze szwy. Miała poczucie, że nie pasuje do Adama, do jego świata. Ale nie potrafiła mu o tym powiedzieć. Milczała. On sprawiał wrażenie coraz bardziej znudzonego. Wreszcie nie oddzwoniła, choć Cecylia powiedziała jej, że telefonował jakiś Adam, ale nie podał nazwiska. A on po prostu więcej się nie odezwał. Jakiś czas później usłyszała, że się żeni. Ale wtedy miała już co innego na głowie. Oświadczył jej się Tomasz i go przyjął. Urządzali wspólnie jego mieszkanie odziedziczone w spadku po wuju. Kupował zabawki do pokoju dziecięcego, a ona się cieszyła. Nie kochała go, ale wiedziała, że on ją uwielbia. Zgodził się nawet przyjąć jej nazwisko, taki postawiła warunek. Powiedziała mu, że jest do niego przywiązana, chce przedłużyć ród... Ale prawda



była inna, Cecylia ją przejrzała: Zuzanna nie wyobrażała sobie, że miałyby nosić nazwisko mężczyzny, który był jej obojętny.

Biegał za nią od pierwszego roku studiów, był na każde skinienie. Uważała, że jest nudziarzem, irytowało ją, że podlizywał się wykładowcom, żeby dostać lepszą ocenę, a raz nawet doniósł na kolegę, który ściągał na egzaminie. Chłopaka zawiesili, a Tomasz się cieszył. To jej się w nim nie podobało. Ale w sumie... chciała zostawić już za sobą tamten rozdział: z chorą matką, willą Kurzą Stopką i Adamem Przygodzkim. Wierzyła, że gdy urodzi się dziecko, wszystko zmieni się na lepsze. Może nawet pokocha Tomka? Tak, miłość na pewno przyjdzie z czasem.

Ale już nie przyszła. Dopiero teraz... Czy to nie ironia? I czy nie jest już za późno? Czy ma do tego prawo? Przecież ma syna, musi myśleć przede wszystkim o nim. Adam jest żonaty... I chyba kocha swoją żonę. Nie, nie zdecyduje się po raz kolejny być zabawką w jego życiu. Musi się opamiętać, musi o nim zapomnieć!

\* \* \*

– Punktualność jest zaletą królów – wymamrotała Krystyna, choć Wiola, zajęta uspokajaniem zamkniętej w transporterze Kulczyby, nie mogła jej usłyszeć.

Od pół godziny czekały w gabinecie Pawła Stasińskiego, weterynarza, na profesora Tryka, ornitologa. Wreszcie zachrząściły opony na podejździe. Trzasnęły drzwiczki. Na schodach wiodących do lecznicy rozległo się miarowe stuk, stuk, stuk i drzwi otworzyły się z rozmachem.

– Ach! – wyrwało się Wioli, bo w istocie, stojący w progu przybysz robił wrażenie.

Niewielkiego wzrostu i opalony na pomarańczowo wyglądał na starego – ale miał kruczoczarne włosy z granatowym połyskiem, takąż brodę i zakręcone zawadiacko wąsy. Wspierał się na drewnianej laseczce zdobionej w finezyjne zawijasy i kolorowe kwiatki.

– Ha! A więc to jest nasz okaz! – huknął profesor Tryk takim głosem, jakby dorwał jakiegoś wyjątkowo rzadkiego zwierza w sercu buszu i właśnie mierzył do niego z dubeltówki. Jednym susem przypadł do transportera.

– Nie! Nie wypuszczać tego paskudztwa! – krzyknęła przerażona Krystyna, lecz było za późno.

Profesor zwolnił skobelek w klatce, Kulczyba zaś, przeczuwając intuicyjnie kłopoty, całym ciężarem ciała naparła na drzwiczki i oto znalazła się na wolności.

– Kukuku-rrryku! – Zabrzmiała triumfalnie, rozpaczliwie trzepocząc krótkimi skrzydłami.

Wzbiła się w powietrze, uderzyła w staroświecki żyrandol, nie wiedząc czemu zwisający z sufitu gabinetu weterynaryjnego, odbiła się od niego i wpadła prosto w objęcia Pawła Stasińskiego.

– A niech to diabli biją! – wyrwało mu się.

– Ostrożnie, panie kolego, nader ostrożnie, jeśli to jest to, o czym mówiliśmy, sprawa jest delikatna, mamy do czynienia z niezwyklej materia! – syknął profesor Tryk, wyciągając zza pazuchy skórzane etui z okularami w drucianej oprawce.

– Jak niezwyklej? To kura zwykła jest! – Krystyna uznała za słuszne się wtrącić. Profesor Tryk zaszczyił ją spojrzeniem tak pogardliwym, że nie było ani cienia wątpliwości, kogo ma tu za kurę. Następnie przeniósł wzrok na Wiołę, a na jego twarz wypełził diaboliczny, lubieżny uśmieszek.

– Młoda, urocza damo! Czy to ty dostarczyłaś nam tutaj ten ogromnej wagi okaz naukowy? – zapytał, chwytając jednocześnie prawą dłoń Wioli i składając na niej nieco zbyt wilgotny pocałunek.

– Nooo... Ta waga chyba nie jest aż tak ogromna – zaczęła niepewnym głosem Wiola, ale profesor zaniósł się tylko obłąkańczym chichotem.

– Ha, ha! Niezbyt ogromna, wyborne, wprost paradne! Młoda, urodziwa damo: mamy tu do czynienia – z wielkim prawdopodobieństwem – z przykładem transformacji płciowej. Jak sądzę, jest to kurak.

Profesor Tryk spojrział na trzymaną przez Stasińskiego Kulczybę prawie równie namiętnie jak na Wiołę.

Zszokowane Wiola z Krystyną aż zamilkły z wrażenia. Stasiński posłał im współczujący uśmiech.

– Nie chciałem tego zdradzać, bo nie byłem pewien diagnozy, ale – jak mój szanowny przedmówca powiedział – to niezwykle rzadki przypadek. – Stasiński skłonił się Trykowi, ten zaś pokiwał głową z aprobatą i przypadł do Kulczyby.

Nie zważając na jej rozsierdzone gdakaniopienie, zaczął ją macać po łebku, piersi i podbrzuszu. Rozległ się trzask dartej flaneli, gdy wściekła kura wpiła z całej siły koralowe pazury w koszulę Stasińskiego.

– Auuuć! – jęknął.

– A więc kura przeżyła traumę? Wypadek? To może być wyrzut hormonów na skutek stresu pourazowego albo uderzenia. Być może uszkodzeniu uległy gruczoły wewnętrzne. Kura się nie niesie, jest agresywna, na głowie widać zaczątki grzebienia, ogon wyraźnie się wydłużył, pojawia się pióropusz. Tak, sprawa jest ewidentna. Droga, piękna damo, jestem przygotowany finansowo. Proszę podać swoją cenę – rzucił Tryk.

– Moją cenę? – zapytała zdumiona Wiola.

– Cenę za ptaka, oczywiście! Potrzebuję tego okazu do dalszych eksperymentów, serii badań, no i na zagraniczne prelekcje! – Tryk zdawał się zaskoczony ignorancją swojej rozmówczyni.

– Ale Kulczyba nie jest na sprzedaż! – obruszyła się Wiola.

– A za ile? – wtrąciła się do rozmowy Krystyna. – Jak dobrze zapłaci, niech ją zabiera, więcej z nią problemów niż pożytku.

– Pani Krystyno! Przecież Kulczyba jest domownikiem, pani by jej nie oddała do żadnych eksperymentów, ma pani przecież w sobie okrucuch dobra! – Wiola załamała ręce.

– A co to znowu za romantyczne brednie! Okrucuch dobra, też coś! Mamy rachunki do płacenia, zbliżają się wakacje, trzeba zapewnić dziecku wypoczynek. To ile pan daje za tę... tego kuraka? – Krystyna postanowiła szybko dobić targu.

W tym momencie Wiola wyrwała Kulczybę z rąk Stasińskiego i mocno ją do siebie przytuliła.

– Nigdy za nic jej nie oddam temu... farbowanemu lisowi! – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu.

Zapanowała konsternacja. Profesor Tryk wydał pogardliwie wargi i podkręcił czarny wąsik, jakby się zastanawiał, czy faktycznie każdy pozna, że głęboką czerń zawdzięcza on hennie. Stasiński spoglądał to na sławnego ornitologa, to na Wiołę, jakby nie wiedział, po czyjej stronie. Krystyna ciężko westchnęła.

– Taki los. Bierz, Wiolu, to ptaszysko, i zbieramy się. Widać inaczej się nie da.

Wiola uśmiechnęła się promiennie i prędko wpakowała Kulczybę do transportera. Kura nie stawiała oporu, jakby wiedziała, że oto ważą się jej losy. Łypnęła tylko złotym okiem na swoje wybawicielki. Zirytowany profesor Tryk cisnął o stół chirurgiczny etui od okularów.

– No i po coś mnie pan tu ściągał? Miała być naukowa sensacja, a tymczasem na próżno wykosztowałem się na taksówkę! – krzyknął z pretensją.

Stasiński z niedowierzaniem pokręcił głową i sięgnął do kieszeni po swój i tak już alarmująco chudy portfel.

– Pani Krystyno, z pani to jednak dobra dusza, dobry człowiek! Ach, ma szczęście Zuzanna, że jej się trafiła taka mama! A pewnie i przyszły zięć będzie się cieszył! – trąkotała radośnie Wiola, gdy schodziły z Krystyną ze schodów do lecznicy.

Wiola zaczęła przymocowywać transporter z dziwnie cichą i spokojną Kulczybą do bagażnika swojego roweru. I nie zauważyła, że zszokowana Krystyna zatrzymała się w połowie stopni.

– Coś ty powiedziała? Jaki przyszły zięć? – zapytała.

– Oj, to pani nic nie wie? No, pani Krysio, bo ten Adam, on wprawdzie ma żonę, ale rozwiedzie się, jak mój Jarosław, no i... – zaczęła opowieść Wiola.

Nim dotarły do Kurzej Stopki, Krystyna wiedziała już wszystko o Zuzannie, Przygodzkim i romansie, który rodził się w ogrodzie willi Jolancin.

I co tu ukrywać – była przerażona.

\* \* \*

Złe przeczucia nie opuszczały Krystyny i następnego dnia. Postanowiła więc poprawić sobie humor wizytą w salonie piękności U Dalili.

„Boże, co jej strzeliło do głowy? Żeby się angażować w związek z żonatym mężczyzną? Czarno to widzę...” – rozmyślała, wkraczając do holu zakładu, w którym pracowała Wiola.

Tego dnia akurat nie było jej jednak na zmianie.

– Czym możemy służyć? – Miła panienska w recepcji zatrzepotała sztucznymi rzęsami.

– Sama nie wiem. Od lat tu nie byłam. Nie mam pojęcia, co mnie dziś przygnało. Czym więc pani może mi służyć, jak pani sądzi? – kąśliwie zapytała Krystyna.

– Może miałyby pani ochotę poczuć się luksusowo... Proszę, masaż gorącymi kamieniami, 200 złotych. – Recepcjonistka wyduła wargi i wpatrzyła się w dal w nadziei, że Krystyna zrezygnuje i sobie pójdzie.

Na pierwszy rzut oka było widać, że nie zasili szeregów stałych klientek salonu U Dalili.

– Za kamienie? 200 złotych? To chyba łącznie z samolotem na Maderę, bo z tego, co wiem, tam można się masować na rozgrzanych od słońca skałach bazaltowych. Toż to rozbój w biały dzień! – Krystyna nie dawała się łatwo zawstydzić. Zniecierpliwiona recepcjonistka zaczęła nerwowo przerzucać katalog z ofertami zabiegów w salonie.

– O, proszę, manikiur i masaż dłoni. Zabieg z wykorzystaniem olejku różanego. Pani dłoniom z pewnością by się spodobał. – Znacząco spojrzała na połamane podczas pielenia warzywniaka paznokcie. – Tylko 50 złotych, możemy pani dać zniżkę dla nowych klientów... Byłoby za 35 złotych.

Krystyna westchnęła. Nie miała ochoty wydawać 35 złotych za coś, co można zrobić w domu za darmo, ale sformułowanie „poczuć się luksusowo” przypadło jej do gustu.

– A tak! Zaszaleję! Żyje się raz! – Uśmiechnęła się szeroko.

Skrzypnęły drzwi i do holu weszła druga klientka.

– Dobrze, a więc manikiur z masażem, pokój numer dwa, na lewo. Pani nazwisko? – Recepcjonistka niby zwracała się do Krystyny, ale tym razem trzepot jej rzęs wyraźnie przeznaczony był dla nowo przybyłej.

Obok Krystyny stała wysoka, wiotka kobieta o płomiennie rudych włosach, porcelanowej cerze i krwistoczerwonych paznokciach, zaciśniętych na kopertowej torebce z dobrze widocznym logo Prady.

– Czaplicz – odparła Krystyna i podreptała we wskazanym przez panienkę kierunku.

W rudowłosą jakby piorun strzelił. Uważnym wzorkiem śledziła oddalającą się Krystynę. Patrzyła na nią tak, jak kot patrzy na mysz zmykającą do nory.

– Hm... Byłam dziś zapisana na pakiet zabiegów na bazie szampana. Masaż, drenaż, maska... Ale wie pani co? Chyba się rozmyśliłam! – Rudowłosa zaśmiała się dźwięcznie, ale w tym śmiechu pobrzmiwały chłodne nuty, jakby ktoś potrząsał srebrnymi dzwoneczkami. – Wolałabym manikiur i masaż dłoni.

Recepcjonistka powątpiewająco zerknęła na idealnie wypielęgowane dłonie rudej, ozdobione idealnie czerwonymi pazurkami, na których lakier lśnił tak, jakby położono go najdalej przed kwadransem. Rudowłosa się zachnęła.

– Tak! Manikiur. Moje nazwisko Sokolnicka. Karolina Sokolnicka.

I nie czekając na odpowiedź recepcjonistki, szybkim krokiem ruszyła do gabinetu numer dwa, w którym, na wygodnym fotelu, właśnie mościła się Krystyna.

## VII

Adam wszedł na krzesło i wyciągnął z pawlacza ulubioną torbę podróżną, która pamiętała jeszcze londyńskie czasy.

– Ależ tu ciasno! – mruknął do siebie, wykonując niezgrabny półobrót. Niechcący zahaczył łokciem o najwyższą półkę, strącając na podłogę zdjęcie w ramce. Rozległ się trzask pękającego szkła. – Cholera! – zaklął, gramoląc się z krzesła.

Sprowadzając się do tymczasowego mieszkania w Starej Leśnej, nie zabrał ze sobą wielu rzeczy. Wśród tych, które wziął, była ta jedna fotografia. Uśmiechnięta Karolina spoglądała prosto w obiektyw swoimi zielonymi, kocimi oczami, a on, bardzo szczęśliwy w tamtej chwili, obejmował ją ramieniem. Patrzył na rysę na szkle, która przedzieliła zdjęcie na dwie połowy. Schylił się i wyjął je z ramki. Ze zdziwieniem skonstatował, że nie patrzył na nie od paru tygodni. Dostrzegł coś, co dotąd nie rzuciło mu się w oczy. Choć dzieląca ich rysa zniknęła, to jakby cały czas byli osobno. Ona – skupiona na sobie, na tym, żeby wyjść jak najlepiej na fotografii, on – bezgranicznie w niej zakochany, ale ślepy na oczywiste fakty. Byli parą, ale nigdy nie byli jednością.

– A więc to jednak prawda, co powiedziałem pani Czaplicz. Nie byliśmy dobrym małżeństwem – mruknął do siebie.

Nie czuł się jednak z tego powodu szczególnie nieszczęśliwy. I to również go zdziwiło. Podobnie jak fakt, że nie tęsknił za Karoliną. Tak naprawdę to od wielu dni wcale o niej nie myślał. Było mu wszystko jedno, kiedy dostanie pozew rozwodowy i co w nim przeczyta. Wizja ostatecznego rozpadu małżeństwa przestała go przerażać. Czuł się raczej podekscytowany tym, że ma zacząć wszystko od początku. No i nie był samotny.

Jego rozmyślania przerwało ciche westchnienie. Poczul ciepły język na policzku.

– Idź, ty łobuzie! – Delikatnie odepchnął Szaleja i podrapał go za uchem. Pies nie dał się łatwo zniechęcić. Domagał się dalszych pieszczot. – Nie teraz, zbieramy się. Gdy przyjedziemy do Jolancina, wyczeszę cię i wydrapię za wszystkie czasy – obiecał kundlowi.

A pies, jakby rozumiejąc każde słowo, pognał w stronę drzwi i radośnie zaszczekał. Adam jeszcze ostatni raz rzucił okiem, żeby sprawdzić, czy wszystko zostało spakowane. Dostrzegł kartkę leżącą pod stołem. Była to lista roślin spisana przez Zuzannę. Musiał ją zabrać przypadkiem. Podniósł papierek. Z zadumą patrzył na równe rzędkie liter. Zuzanna miała ładne, okrągłe pismo. Uśmiechnął się, starannie złożył karteczkę i schował do kieszeni.

Z oddali słychać było pomrukiwanie odchodzącej na wschód burzy.

– No, to wreszcie idziemy na swoje – powiedział, zakładając psu obrozę. –

Od jutra będziesz miał nowe obowiązki. Do ciebie będzie należało pilnowanie naszego domu.

Szalej zamerdał ogonem. Adam wziął torbę i wyszli na klatkę schodową. Z gospodynią umówił się, że zostawi klucz w zamku.

Stojący na dole samochód wypełniony był walizkami i kartonami książek. Po pięciu minutach drogi czarna terenówka zaparkowała na podjeździe willi Jolancin. Szalej prosto z samochodu wskoczył w ogromną kałużę. Ulewa, która skończyła się ledwie pół godziny temu, była naprawdę potężna.

– Woda w łazience podłączona, ale w kuchni jeszcze nie zdążyliśmy. Będzie pan musiał myć naczynia w umywalce. Ma to sens? Poczekałby pan tydzień i wszystko byłoby na glanc! – burczał pan Henryk, kierownik budowy, pomagając taszczyć pakunki.

– Wiem, panie Heniu, i z góry przepraszam za niedogodności, bo będę tu panom kwitł nad głową. Ale nie mogłem się już doczekać. – Przygodzki uśmiechnął się przepraszająco.

Torbę rzucił w holu. Pachniało świeżym drewnem, farbą do ścian i nowością. Pan Henryk uczynił zapraszający gest ręką, jakby spodziewał się, że Przygodzki zechce obejrzeć kuchnię, w zasadzie wykończoną. On jednak wyminął go i ruszył do drzwi tarasowych. Otworzył je radośnie i wciągnął głęboko rześkie, przepojone aromatem deszczu i mokrej ziemi powietrze.

Przekwitły już maki, tulipany i niezapominajki, ale różowiły się łany lewkonii o włochatych listkach. A za nimi – dumne, okazałe głowy wyciągały do słońca peonie. Brzoskwiniowe, w kolorze fuksji i wreszcie czerwona, szlachetna odmiana Red Magic. Bzy wciąż stały obsypane gronami białych i fioletowych kwiatów. Na biało kwitły też trzy jaśminy na końcu ogrodu, za ławeczką z drewna akacjowego. Fioletowa plama po lewej stronie – to rabata z irysami. Wszystko zieleniło się, kwitło, każda roślina walczyła o swoje miejsce w tym kolorowym, rozbuchanym, pachnącym upajająco królestwie.

Adam stał zauroczony. Po raz pierwszy zobaczył ogród ukończony, gotowy, by przyjąć jego – mieszkańca domu – i wciągnąć w swoje zielone labirynty. Poczul, że jest integralną częścią tego miejsca, jakby w ogrodzie brakowało tylko jego, a jego obecność tutaj też została przez kogoś starannie zaprojektowana.

Przede wszystkim jednak w każdym zakątku, pod każdym krzewem i przy pniu każdego drzewa – sosen, robinii, starego głogu – widział Zuzannę. Przypominał sobie, jak delikatnie mościła w ziemi peonie, jak razem z nim sadowiła w wykopanych dołach bzy i jaśminy. I poczul zachwyt, że ona tak potrafi – w kilka tygodni zmienić świat, uczynić go lepszym i piękniejszym. Przez ogród.

\* \* \*

Bilety leżały na stole. Krystyna ze trzy razy musiała walczyć z pokusą, żeby

ich nie podrzeć na strzępy. Ale decyzja o wyjeździe została podjęta i Cecylia wyglądała na zdeterminowaną. Z Równego, do którego wybierały się z Zuzanną autokarem, miały się dostać busikiem do Działkiewicz. W tym niewielkim miasteczku stał kiedyś skromny dworek Czapliczów. Cecylia miała nadzieję, że cokolwiek z niego zostało. A jeśli nie z samego domu, to chociaż z ogrodu. Może zarys gazonu albo aleja wysadzana lipami? Miała się o tym przekonać już za parę dni.

Osobiście załatwiła wnuczce pięć dni urlopu. Kozak na początku nie chciał o niczym słyszeć, ale gdy starsza pani poprosiła o wstawiennictwo Przygodzkiego i ten wykonał jeden krótki telefon, wszystko od razu stało się możliwe. Właściciel firmy Kozak Gardens poddał się prawie bez walki.

Choć Cecylia niezłe władała rosyjskim, a nawet po ukraińsku potrafiła zamienić ze dwa zdania, przed zarezerwowaniem pokoju w hotelu Złota Podkowa odczuwała dziwny lęk. Od tylu lat nie mówiła w tych językach! Okazało się jednak, że bała się niepotrzebnie: śpiewny kobiecy głos po drugiej stronie słuchawki doskonale władał mową Mickiewicza i Słowackiego, co od razu poprawiło humor Zuzannie, która obawiała się problemów z porozumieniem. Nic natomiast nie było w stanie rozpogodzić Krystyny.

– Mama kompletnie oszalała! – jęczała, obserwując, jak Cecylia sprawdza suwaki w powyciąganych z pawlacza walizkach. – Zabiją was tam albo porwą dla okupu!

– Krysiu, nie panikuj. Nic złego się nam nie stanie. Jedziemy do przyjaciół.

– Do jakich znowu przyjaciół! Mama nie zna tam już nikogo! Nikt nie zna mamy! Jakich to mama może mieć przyjaciół pod Równem?! Nikt się tam nie uchował!

– Ja się uchowałam – powiedziała cicho Cecylia. – Pamiętam stamtąd każdy kamień i każde drzewo. I wiem to na pewno, one też mnie pamiętają. Nie wierzę, by wszystko, co było dobre, przeminęło. Ślady moich stóp ciągle są odcisnięte na ścieżce pomiędzy cerkiewką a murowanym kościołem...

– Znowu mama gada jak wariatka! Nie przeminęło, ślady stóp... cały ten romantyczny bełkot! – Krystyna trzasnęła czajnikiem o kuchenkę. – Że mama na stare lata zachowuje się jeszcze dziwniej niż za młodu, to mnie szczególnie nie dziwi, bo ludziom na starość wyostają się wady, ale że moja córka... jedyna córka chce mnie porzucić, tego pojąć nie umiem i nie chcę! – Środkowa pani Czaplicz próbowała pociągnąć nosem i przybrać płaczący ton.

Wypadło to jednak bardzo nienaturalnie. Jej matka tylko parsknęła śmiechem.

– Bez szantażu emocjonalnego, proszę... Podlewać rabatki, karm Kulczybę i patrz na zegarek. To tylko trzy dni, nie zdążysz zatęsknić.

– I zostawiacie mnie samą w urodziny... jest mama bez serca! – Krystyna



podjęła ostatnią próbę przeciągnięcia liny na swoją stronę.

– Ale to są moje urodziny! Jestem bez serca, bo zostawiam cię samą w swoje urodziny?! – chichotała Cecylia.

– No wie mama, miałam jednak pewne plany! Nie codziennie świętuje się dziewięćdziesiąte urodziny własnej matki!

– Poświętujemy, gdy wrócę. Będziemy do ciebie codziennie dzwonić. No już, zalej miętę, pokrój placek z rabarbarem i rozchmurz się. Jedziemy dopiero za tydzień, jeszcze zdążysz się nacieszyć mamusią. – Łypnęła złośliwie na córkę, która wydeła usta i ostentacyjnie wymaszerowała z kuchni.

\* \* \*

Ten tydzień minął jednak szybciej, niż można było się spodziewać. Zuzanna miała mnóstwo pracy w nowym ogrodzie, który urządziła na polecenie Kozaka, a Cecylia codziennie organizowała wyprawę do kolejnego sklepu. Uparła się bowiem, że ruszy w podróż w niebieskiej jedwabnej sukience. Nikt nie był w stanie wyciągnąć od niej, skąd jej przyszedł do głowy pomysł akurat na taki strój, najwyraźniej jednak miało to jakieś głębsze znaczenie. Niestety, nigdzie nie mogła znaleźć odpowiedniej kreacji, a jak już znalazła, to za taką cenę, że szkoda gadać... Jak zwykle idealną i niedrogą wyszperała gdzieś Wiola Migas. Nikt nie miał takiego oka do ciuchów jak ona!

W przeddzień wyjazdu doszło do drobnej scysji. Wszystkie panie Czaplicz siedziały sobie w ogródku, popijając kawę i – o dziwo – nie kłócąc się, jak to miały w zwyczaju, gdy rozległ się warkot stalowego szerszenia i motor Augusta Fąfary zatrzymał się przed willą Kurza Stopka.

– No, teraz to już Cecylka przesadziła! – ryknął wielebny od furtki, a trzy kobiety spojrzały na siebie zdumione.

– Niech się ksiądz uspokoi. – Cecylia szybko sięgnęła po talerzyk i położyła na nim hojną porcję ciasta. – Słodyczne łągodzą obyczaje – powiedziała z czarującym uśmiechem.

– Nie dam się przekupić plackiem – grzmiał Fąfara. – Kto wie zresztą, co tam do niego dosypano!

– Co też proboszcz wygaduje – zachnęła się Krystyna. – Chce proboszcz zrobić z mojej matki trucicielkę?

– Pani Krystyno, niech jej pani nie broni! – Proboszcz sięgnął jednak po placek i władował sobie od razu duży kawałek do ust. W związku z tym na parę sekund zamilkł. Kobiety obserwowały w napięciu ruchy jego szczęk.

– Dobrze – mruknął zadowolony. – Ale to niczego nie zmienia! – dodał szybko. – Cecylka tu uprawia czarną magię! Co gorsza, wciąga w swoje diabelskie procedury moją niewinną matkę!

– Ale o co chodzi, niechże proboszcz wreszcie powie! – Krystyna nie kryła

irytacji. – Takie oskarżenia... na to trzeba mieć dowody!

– Chcecie dowodu?! Oto dowód! – Fąfara sięgnął do wewnętrznej kieszeni ramoneski i wyciągnął z niej laleczkę. Motankę, którą parę tygodni wcześniej Cecylia wykonała na zamówienie Aldony Fąfary. Magicznym zadaniem szmacianki było „odciążyć” zapracowanego księdza, sprawić, aby miał nieco mniej pracy, pomóc mu w realizacji jego zamierzeń. Syn najwyraźniej nie doceniał matczynych intencji.

– Absolutnie nie ma ksiądz racji – powiedziała spokojnie Cecylia. – To nie żadna czarna magia, tylko miłość. A kiedy się robi coś z miłości, ze szczerym pragnieniem, aby pomóc drugiej osobie, to nie może być złe. A te laleczki... te laleczki to tylko symbol dobrych intencji, nic więcej.

Fąfara otworzył usta i już miał wydać z siebie kolejny ryk, ale tylko głośno wypuścił powietrze.

– Niech ksiądz przyzna, że nie ma sensu się upierać, bo wprawdzie mówi się, że dobrymi intencjami jest piekło wybrukowane, ale Pan Bóg jest mądrzejszy niż ludzkie gadanie. On widzi sumienie i wie, kiedy człowiek pragnie dobra. Z tego pragnienia będziemy rozliczani. Ksiądz się napije melisy, to ostudzi gorącą głowę. – Uśmiechnęła życzliwie. – Albo nie! Dam księdzu odrobinę orzechówki. Tego mi wielebny nie odmówi, prawda? Usiądzie ksiądz na moment, a ja opowiem historię o motance. To będzie najszczęsza prawda. Popatrzy ksiądz na swoją laleczkę innym okiem, gwarantuję!

\* \* \*

– Wiem, że tego w Biblii nie napisano, ale ja głęboko wierzę, że dobre intencje, z jakimi mota się nitki czy szmatki i wiąże w nich nasiona, mają moc sprawczą. Czy nie jest to trochę jak modlitwa? Życzymy sobie lub komuś czegoś dobrego i czasem to nasze pragnienie jest wystarczająco silne, żeby się przebić przez grubą warstwę chmur i dotrzeć do Siły Wyższej. Wtedy dzieją się małe cuda. – Cecylia przechyliła zakurzoną buteleczkę, którą chwilę wcześniej Zuzanna przyniosła ze spiżarki. Wypełniła przejrzystym płynem wcale niemały kieliszek Fąfary. – Historia, którą mam wam do opowiedzenia, wydarzyła się dawno, bardzo dawno. Miałam chyba trzynaście, a może już czternaście lat i mieszkałam w Działkiewiczach...

– No, zaczyna się – mruknęła Krystyna.

Nie lubiła opowieści o mitycznej krainie dzieciństwa swojej matki. Ale Cecylia zupełnie się tym nie przejęła.

– Moja kochana mama, Aniela z Kiminowiczów Czapliczowa, była cudowną, mądrą osobą. I wykształconą! W tamtych czasach kobiety rzadko mogły się pochwalić jakimś konkretnym zawodem, a ona, oprócz typowych szkół, do których uczęszczały tak zwane panienki z dobrego domu, miała skończone także

kursy pielęgniarskie. A ponieważ dobrze żyła ze wszystkimi sąsiadkami, także prostymi kobietami, nie raz, nie dwa uczestniczyła w tak zwanym darciu pierza. To dzięki wiejskim dziewczynom poznała działanie ziół i wszystkie formuły, które dziś nieroztropnie nazywane są przesadami czy zabobonami. Jedno wam powiem: wtedy, w Działkiewiczach, w latach dwudziestych, trzydziestych ubiegłego wieku, one działały. Sama bywałam leczona pajęczyną, herbatką z mniszka, plastrem miodu czy okadzaniem wonnymi ziołami.

– Ale co to ma wspólnego z motankami? – Fąfara łypnął nieufnie na Cecylię.

– Już mówię. Moja mamusia przyjaźniła się z Olenką. To była prosta Ukrainka, ale z moją dobrze urodzoną mamą rozumiały się jak najlepsze przyjaciółki. Olenka była wspaniałą zielarką, doskonałą kucharką i bardzo wesołą kobietą – mimo że młodo owdowiała i musiała sama wykarmić syna i córkę. Pięknie haftowała, robiła cudowne naszyjniki z koralików i – ach, jak wspaniale śpiewała! Czasem mama prosiła Olenkę, żeby do nas przyszła – właśnie żeby wspólnie pośpiewać. Przyznam, że nie było to dobrze widziane wśród jej przyjaciółek z tak zwanego towarzystwa, ale mama się tym nie przejmowała.

– Co z tymi motankami? – Fąfara wyraźnie się niecierpliwił.

– No po prostu Olenka robiła motanki! Mama nauczyła się tego od niej, choć traktowała je raczej jak rodzaj malowniczego folkloru. Ciekawego, wartościowego, ale jednak folkloru. Pamiętam, że tata zżymał się na nią, gdy stawiała kolejne barwne szmacianki na meblach. Ale ona śmiała się i powtarzała, że je bardzo lubi. A że byli dobrym, wręcz doskonałym małżeństwem, w końcu przywykł do tych dziwactw Anielci, jak również do tego, że przez nasz dom przechodziły tabuny wiejskich dzieci, które mama uczyła czytania i pisanie – rzecz jasna po polsku. Wśród dzieciaków były też te Olenki, mała Marynka, młodsza ode mnie kilka lat, i duży Cyryl, który z kolei był ode mnie starszy. To dzięki korepetycjom mamy chłopak dostał się do szkoły rolniczej we Lwowie...

– Rozumiem, że pomogły w tym motanki – zadrwił Fąfara.

– Czy ja księdzu przerywam, jak ksiądz głosi kazanie? – Cecylia wreszcie się zirytowała. – Chyba nie, to niech się ksiądz zrewanżuje tym samym!

– Ja nie opowiadam takich kocopałów... – mruknął proboszcz.

– O, to się księdzu tylko tak wydaje – nie omieszkała wtrącić swoich trzech groszy Krystyna, która już trzeci raz stanęła po stronie matki, co było raczej rzadkim zjawiskiem.

– Ta moja historia zdarzyła się rok, może dwa lata przed wybuchem wojny – ciągnęła opowieść Cecylia. – Starszy syn Olenki wyjechał do szkoły, a ona została z Marynką. I wtedy dziewczynka zachorowała. Wieczorem już miała gorączkę, ale matka to zlekceważyła – „smarkacz musi smarkać”, jak to się u nas mawiało. Jednak w nocy bardzo się jej pogorszyło. Spuchło jej gardło i zaczęła się dusić. Nie pomogły ludowe metody Olenki, żadne ziółka nie przynosiły poprawy. Postanowiła

więc pobiec po moją mamę, ale przy drzwiach potknęła się i przewróciła tak fatalnie, że złamała nogę – kość strzałkowa przebiła jej skórę. Próbowwała się podnieść mimo to, ale zemdląła z bólu. A z dziewczynką zaczęło być naprawdę źle. Kiedy więc Olenka się ocknęła, złożyła ręce i dalejże zaklinać Najwyższego. „Boże – szeptała – niech stanie się coś takiego, żeby pani Aniela do mnie przyszła!”. Matka opowiadała potem, że z głębokiego snu wyrwało ją jakieś pacnięcie. Coś jej spadło na twarz. Zapaliła lampę – to była motanka, którą dostała od Olenki i trzymała na półce nad łóżkiem. Pomyślała, że może jakimś cudem strąciła ją przez sen... Uświadomiła sobie jednak, że to zupełnie niemożliwe: półka wisiała za wysoko. Zaczęła więc rozmyślać w ciemnościach, dlaczego lalka ją obudziła. I wtedy poczuła silny impuls, żeby biec do Oleny. Zupełnie, jakby usłyszała jej wołanie w środku nocy. Obudziła ojca i dalejże go przekonywać, żeby z nią poszedł. Wcale to nie było łatwe, bo mój tatuś potrafił być uparty, zwłaszcza wyrwany z głębokiego snu... w końcu jednak uległ. W środku nocy, otuleni w szlafroki, dotarli do chaty Oleny – dosłownie w ostatniej chwili!

– No i co? – Fąfara jednak wciągnął się w opowieść Cecylii, podobnie jak reszta towarzystwa.

– Ano, matka zrobiła Marynce tracheotomię i w ten sposób uratowała jej życie – odparła spokojnie Cecylia, jakby to była oczywistość.

– Tracheo-co? – zdziwił się Fąfara.

– No, księżę proboszczu, czy ksiądz do szkoły nie chodził?! Tracheotomię! Dziurkę w tchawicy, bo nie mogła oddychać, tak bardzo miała spuchnięte gardło. Udusiłaby się, gdyby mamie zabrakło odwagi. Ale to była dzielna kresowa kobieta, ta moja maminka, żadna tam dama na łabędzim puchu. Potem szybko pojechali kolasą do szpitala i po tygodniu Maryna hulała po dworze jak przedtem. Gorzej z Oleną, której noga zrastała się długo, a i tak potem już zawsze trochę utykała.

– No dobra, ale to nie motanka uratowała dzieciaka, tylko wiedza medyczna szanownej mamusi! – Fąfara powolutku podsunął opróżniony kieliszek w stronę Cecylii. – Chociaż jak mi Cecylka należy jeszcze kapkę, to zgodzę się na każdą herezję.

– Będzie musiał proboszcz wracać na piechotę – zauważyła cierpko Krystyna.

– Jestem gotów ponieść i tę ofiarę. – Ksiądz położył dłoń na szerokiej piersi i przybrał pokorny wyraz twarzy.

– Obłudnik – sapnęła Krystyna, a proboszcz zachichotał.

– Księżę Auguste, może ksiądz sobie być niedowiarkiem, ale ja uważam, że najlepsze rezultaty daje łączenie czucia i wiary ze szkiełkiem i okiem. Motanka odegrała w tej historii ważną rolę. Podobnie jak umiejętności mojej kochanej Anielci. Niech ksiądz lepiej tę swoją lalkę zachowa, kto wie, do czego jeszcze się przyda. – Cecylia Czaplicz uśmiechnęła się, wypełniając kieliszek Fąfary słodkim,

aromatycznym płynem.

\* \* \*

Autokar mknął w kierunku przejścia granicznego w Dorohusku. Kiedy przystanął na kwadrans w Lublinie, Cecylia zmusiła Zuzannę, żeby pobiegła do sklepu kupić jej dwa cebularze, i w rezultacie niewiele brakowało, a wnuczka zostałaby w tym pięknym mieście, gdyż autokar ruszył – nie czekając na stojącą w kolejce do piekarni pasażerkę. Cecylia nie zaalarmowała kierowcy, bo na moment przysnęła.

– Przepraszam cię, moja kochana – tłumaczyła się potem. – Czasem dopada mnie starość. Te emocje są dosyć wyczerpujące. Przyznam ci się, że im bliżej jestem celu naszej podróży, tym większy czuję niepokój.

– Czego się boisz? – zdziwiła się wnuczka.

– Konfrontacji ze wspomnieniami... – odpowiedziała babka.

Zuzanna ze zdziwieniem zauważyła, że Cecylia, zawsze tak pełna werwy i radości, której mogłyby jej pozazdrościć kobiety trzy razy od niej młodsze, nagle spochmurniała.

– Chodzi o tę pierwszą miłość? Już to widzę – ty, panienka z dobrego domu, pod rękę z jakimś młodzieńcem w bryczesach i oficerkach – uśmiechnęła się.

Ale Cecylia nie odwzajemniła uśmiechu. Jej wzrok błędził daleko – jakby w innym świecie.

– Tak – powiedziała. – To była moja wielka miłość. Ale on nie był paniczem. To był ukraiński chłopiec w białej haftowanej koszuli. Nazywał się...

– Jak, powiedz!

– Daniło – dokończyła szeptem. – Daniło, mój Daniło...

Nagle westchnęła, wyprostowała się i strzepnęła ze spódnicy okruszki z cebularza. Z powrotem była tą Cecylią, którą Zuzanna dobrze знаła.

– Pracował jako ogrodnik u Koniecpolskich. Był sierotą i miał we dworze wikt i opierunek. Pracował naprawdę ciężko, choć był ode mnie ledwie trzy lata starszy. Ale do roślin miał nadzwyczajny talent – ciągnęła babka. – Alfred Koniecpolski był dowódcą ojca, a jednocześnie jego bliskim przyjacielem, od czasu wojny z bolszewikami. Podczas jednej z potyczek Alfred został postrzelony w brzuch i byłby skonał, gdyby ojciec nie wziął go na plecy i nie poniósł do najbliższego szpitala. A ten był dwadzieścia kilometrów dalej. Odznaczono go potem za tę ofiarność Krzyżem Walecznych. A trzeba ci wiedzieć, moja kochana, że mój ojciec był mężczyzną raczej dość skromnej postury, natomiast Alfred Koniecpolski – ho, ho! To był kawał chłopca! No więc był to ze strony mego papy nie lada wyczyn. Od tamtej pory zostali przyjaciółmi na życie i śmierć. Najdosłowniej. Najpierw na życie, pełne spotkań, zabaw, pikników i partyjek brydża, a potem i na śmierć, bo jak wiesz, twój pradziadek, wtedy już pułkownik,

zginął w Starobielsku. Koniempolski podzielił jego los, ich nieśmiertelniki odnaleziono obok siebie – westchnęła Cecylia. – Święcie wierzę, moja kochana, że tam, gdzie teraz są, w zaświatach, dalej grają w karty i popijają koniak, jak w czasach mojego dzieciństwa.

– I Daniło był u tych Koniempolskich ogrodnikiem?

– Właśnie tak. Niestety, o ile Alfred był dobrodusznym, serdecznym człowiekiem, o tyle jego żona, Eugenia, była okropną sekutnicą i traktowała ludzi, którzy u niej pracowali, niemiło, żeby nie powiedzieć – okrutnie... Wiele razy Daniło tęgo od niej oberwał, a to szczotką, a to batem. Kiedyś moja matka była świadkiem gorszącej sceny i interweniowała przez ojca u Alfreda. Daniło przyszedł do niej potem z podziękowaniem i przyniósł kosz herbacianych róż. Przepięknych!

– I tak się poznaliście?

– I tak się poznaliśmy. Ja miałam ledwie dwanaście lat, a Daniło – piętnaście. Mama, jak to miała w zwyczaju, wzięła go pod swoją opiekę. Od razu poznała się na jego ogrodniczym talencie. Chciała, żeby zdawał do Państwowej Szkoły Ogrodniczej w Wilnie. Stał się więc częstym gościem w naszym domu. Uczył się z mamą, która zaszczepiła w nim miłość do polskiej poezji. Przy okazji zajmował się też naszym ogrodem – żeby się odpłacić, jak mówił. Właściwie razem się nim zajmowaliśmy, bo staliśmy się prawie nierozłączni. Przez trzy lata na zmianę czytaliśmy i pielęgowaliśmy kwiaty.

– I pradziadkowie nie mieli nic przeciwko temu? – zdziwiła się Zuzanna.

– Tata oczywiście nie był zadowolony, ale mama miała bardzo demokratyczne podejście do życia. Jak na tamten czas i przede wszystkim tamto miejsce – była bardzo postępową.

– Byłaś młodzieńca. – Zuzanna uśmiechnęła się, patrząc na pomarszczoną jak jabłuszko twarz Cecylii. – Od razu taka miłość...

– Kiedyś dziewczęta wcześniej dojrzewały – uśmiechnęła się babka. – Pamiętam, jak któregoś dnia Daniło zabrał mnie na przejażdżkę łódką po stawach Koniempolskich... Pamiętasz scenę z nenufarami z *Nocy i dni*? No więc mnie przydarzyło się dokładnie to samo. Widząc, z jakim zachwytem przyglądam się wodnym kwiatom, Daniło – tak jak stał, nie zdejmując nawet koszuli – wyskoczył z łódki do wody i zerwał dla mnie całe naręcze. Mój Boże, jak ja go kochałam... Chociaż jeszcze sobie tego nie powiedzieliśmy. Musiałam mieć jednak wszystko wypisane na twarzy, bo on popatrzył mi tak głęboko w oczy i powiedział: „Czuję dokładnie to co ty...”. A potem wyrecytował mi wiersz Tetmajera: „A kiedy będziesz moją żoną, umiłowaną, poślubioną, wtedy się ogród nam otworzy, ogród świetlisty, pełen zorzy”...

– No i co? Co było dalej?

– Ano dzięki staraniom mojej mamy, a także protekcji taty Daniło dostał się do wymarzonej szkoły. Ojciec nawet namówił Koniempolskiego, żeby ustanowił dla

niego stypendium – nikomu innemu by się to nie udało, bo Alfred, choć zamożny, miał węża w kieszeni. Ale dla mojego taty zrobiłby wszystko. Żebyś ty wiedziała, z jakim zapalem Daniło wziął się do nauki! Chodziło nie tylko o to, żeby zdobyć wykształcenie – ale też, żebym mogła wyjść za niego za męża. Jako człowiek po studiach, z dobrą pracą, miałby już inny status. Niestety, wojna wszystko przekreśliła... A potem zaczęły się dziać te potworności.

Cecylia przerwała opowieść. A Zuzannie przypomniała się historia Jolanty i Olgierda Tomaszewskich, pierwszych właścicieli Jolancina. Dziewczyna z dobrego domu i biedny, ale ambitny chłopak... Oni stanęli w końcu na ślubnym kobiercu. Mieli szczęście. W ślad za myślą o Tomaszewskich przyszło wspomnienie willi Jolancin, ogrodu i, oczywiście, Adama...

Zuzanna otrząsnęła się jak ze złego snu. Nie, nie rozklei się teraz, przy babce, nie da się rozebrać emocjom!

Właściwie chętnie by jeszcze posłuchała o tajemniczym Danile, ale nie odważyła się zapytać o nic więcej. Widać było, że wspomnianie dawnego życia wiele babkę kosztuje, poczucie straty nie zniknęło – mimo upływu czasu. Wnuczka powściągnęła więc ciekawość, uznając, że gdy Cecylia będzie chciała, opowie jej ciąg dalszy. Zresztą autokar dojechał właśnie do Dorohuska i trzeba było przygotować się do kontroli.

\* \* \*

Hotel Złota Podkowa okazał się bardzo miłym pensjonatem z pysznym jedzeniem. Cecylia od razu zamówiła pielmieni z baraniną w pysznym, aromatycznym rosole. Zuzanna też się dała namówić – i nie żałowała.

– Są prawie tak doskonałe jak robione przez Olenkę – rozmarzyła się babka.  
– Pamiętam, że kiedy byłam mała, robiłaś podobne – powiedziała Zuzanna.  
– Nigdy nie udało mi się odtworzyć tego smaku. Czas i miejsce to przyprawy nie do podrobienia...

Wyprawę do oddalonych o dwadzieścia kilometrów Działkiewiczów panie Czaplicz zaplanowały na następny rano. Syn właścicielki pensjonatu zaprowadził je do autobusu – choć przystanek był niedaleko. „Żebyście się nie zgubiły” – mówił, podając ramię starszej pani, która zrewanżowała się swoim najbardziej urokliwym uśmiechem. W błękitnej jedwabnej sukni prezentowała się naprawdę... niezwykle. Na pewno nie jak osoba, która świętuje dziewięćdziesiąte urodziny. Starła się trzymać fason, ale nie udało jej się oszukać Zuzanny: ona czuła, że babka w środku dygocze z emocji.

Przez całą drogę starsza pani nie odrywała nosa od szyby, a na jej twarzy malował się wyraz absolutnego skupienia – widać było, że z całych sił próbuje rozpoznać swoje okolice.

– Wszystko się tu zmieniło – westchnęła wreszcie zrezygnowana, gdy

kierowca autobusu podjechał do podniszczonej betonowej wiaty. – Nie wiem, jak ja trafię do siebie...

– Przecież mówiłaś, że na prawo od domu był staw, na lewo – las. I że do dworu prowadziła lipowa aleja, a przed gankiem był gazon... Trafimy, na pewno!

– Staw mogli zasypać, to było właściwie takie większe oczko wodne. Las pewnie wycięli... Co mi przyszło do głowy, żeby tłuc się taki kawał... – Cecylia zaczęła marudzić, zupełnie jak nie ona.

Zuzanna widziała, że drżą jej ramiona. Pojęła, że nie chodziło o to, że babcia mogłaby nie rozpoznać swoich miejsc, tylko, przeciwnie – że je pozna. Objęła ramieniem jej szczupłe plecy, żeby dodać jej otuchy.

– Chodźmy, Buniu. Kocham cię, wiesz? I wszystkie twoje historie. Zaraz zapytamy kogoś o drogę.

Pierwszym kimś okazał się mężczyzna na oko trzydziestoletni. Pchał przed sobą wózek z niemowlęciem. Od razu wzbudził sympatię Zuzanny.

– Przepraszam! – zawołała do niego po polsku. – *Izwinitie...* – poprawiła się.

– *Ja gawarju pa polsku, niemnożka, no gawarju.* Dawajcie, po waszemu mówimy – odpowiedział mężczyzna, uśmiechając się zachęcająco.

Zuzanna, która nie przygotowała sobie zawczasu pytania, zaczęła mu opowiadać, jękając się i płacząc, że właśnie przyjechały tu z babką, która urodziła się w Dziatkiewiczach, że stał tu jej dom, że gazon, że staw i lipowa aleja. Mężczyzna słuchał w skupieniu, próbując coś z tego zrozumieć, i nagle jego twarz rozjaśniła się w triumfalnym uśmiechu.

– *Znaju!* Dom Czapliczów! – zawołał radośnie. – Ja wam *pokażu.*

– Buniu, czy ty słyszysz to co ja? – zapytała szeptem babkę Zuzanna. – Popatrz, nie ma tu żadnych Czapliczów od siedemdziesięciu lat z hakiem... a on wszystko wie. Oni was tu muszą pamiętać. Miałaś rację, nie wszystko przeminęło!

Babka dreptała obok wnuczki bez słowa, ale widać było, że gromadzi wszystkie siły, żeby zapanować nad wzruszeniem.

Mężczyzna okazał się bardzo pomocny – przeprowadził je przez nowoczesne zabudowania, powiedział, jak obejść plac budowy. I wreszcie...

– O mój Boże – wyrwało się Cecylii. – To tu, poznaję... To mój dom.

No cóż, dom to było za duże słowo, raczej domek – Zuzanna wyobrażała sobie dworek babki jako okazałą posiadłość, tymczasem był to niewielki budynek z gankiem wspartym na krzywych drewnianych kolumnach. Kiedyś zapewne był biały, może beżowy – teraz jednak ściany przemaalowano na wściekły róż. Nad wejściem wisiał amatorski szyld. Zuzannie udało się odczytać, że oto stoją przed sklepem wielobranżowym Merkury. Babcia weszła na ganek i położyła rękę na kolumnie. Stała tak przez kilka chwil. Po raz drugi już w czasie tej podróży Zuzannie przyszło do głowy, że jej wiecznie młoda, zalotna Bunia jednak jest kruchą staruszką. „I czemu się dziwię – ofuknęła się w myśli – przecież ona dziś



kończy dziewięćdziesiąt lat! Jej żywotność to cud natury, ale nie jest z żelaza!”. Jakby w odpowiedzi na myśli wnuczki, Cecylia wyprostowała się i odważnie nacisnęła klamkę. W środku jednak czekało ją rozczarowanie. O ile bryła budynku zachowała pewne podobieństwo do tego, co pamiętała, wewnątrz było już całkiem obce. Zwykły sklep w małej miejscowości, mydło i powidło, cukierki i chemia gospodarcza. Widać było, że budynek przerabiano, zniknęły pokoje w amfiladzie, nie było salonu – wszystko zlało się w jedno sklepowe wnętrze. Zuzanna podała babce ramię, a ta chętnie się na nim oparła.

– Chodźmy do ogrodu – wyszeptwała.

Ale ogrodu nie było. Za domem rozciągał się dosyć zapuszczony trawnik i jedyną pozostałością po czasach, gdy mieszkali tu Czapliczowie, okazała się kępa przekwitłych już bzów oraz trzy samotne lipy, które przetrwały masową wycinkę. Widząc je, Cecylia odetchnęła z ulgą.

– Są! – szepnęła. – Są, to najważniejsze. Dla nich tu przyjechałam.

A potem szybko podreptała ku drzewom. Zuzanna podążyła jej śladem. Przyszło jej na myśl, że może na którymś z pni Daniło wyciął inicjały własne i Cecylii, dlatego babka tak się ucieszyła. Ona jednak nie była zainteresowana samymi lipami, tylko uważnie badała teren wokół nich. I nagle...

– Jest! – wykrzyknęła, a zaraz potem prawie osunęła się na kolana i Zuzanna musiała ją podtrzymać, żeby nie upadła.

– Buniu! – spytała przestraszona – Co jest? Co się stało?

Ale Cecylia nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, tylko wskazywała palcem na pasek trawy pomiędzy lipami. Zuzanna przyjrzała się uważnie. Rzeczywiście, wśród perzu i koniczyny widać było rachityczną gałązkę, na której kiwał się niezbyt okazały, ciemnoczerwony kwiat.

– Co to takiego? – zdziwiła się Zuzanna.

– To piwonia – szepnęła Cecylia. – Piwonia Krystyna... Ona przetrwała, dokładnie tak, jak obiecał Daniło. Kochanie, muszę na chwilę usiąść, to wszystko okazało się trudniejsze, niż sądziłam... A mówi się, że starzy ludzie łatwiej znoszą wzruszenia. Najwyraźniej jeszcze nie jestem taka stara, bo ledwo żyję... – zachichotała.

– Ale co cię tak wzruszyło? Nie powiesz mi, że ten samotny kwiatek? Rzeczywiście, to dosyć niezwykle, że przeżył te wszystkie lata i zimy oraz brak pielęgnacji, ale z drugiej strony...

Zuzanna paplała jak najęta, bo niepokoiła ją bladość babki i chciała za wszelką cenę przywrócić jej równowagę.

– To nie jest zwykły kwiat – powiedziała Cecylia, gdy wreszcie usiadły w pobliskim barze nad szklanką herbaty. – To był prezent. Dostałam go od Daniły w dniu moich piętnastych urodzin. Wiedział, że uwielbiam piwonie, i po tę konkretną pojechał do Mikołaja Karpow-Lipskiego, słynnego hodowcy kwiatów,

który w czasie wojny przebywał na Wołyniu. Czy wiedziałaś, Zuzanno, że peonie mogą w jednym miejscu rosnać nawet sto lat? Posadziliśmy ją razem z Daniłą. „Będzie tu rosła, póki będzie trwać nasza miłość, powiedział. Czyli już na zawsze. I nawet gdy będziemy parą staruszków, nawet gdy będziesz mieć dziewięćdziesiąt lat, ona zakwitnie na twoje urodziny. Będziesz wychodzić do ogrodu w swojej najładniejszej niebieskiej sukience, będziesz się pochylać nad krzakiem i ją wachać. Na wieczność wszystko zostanie jak w tej chwili”, tak mi mówił... – Cecylia umilkła, wzruszona.

Wnuczka podała jej lukrowane ciastko, które przyniosła gościnną właścicielka baru, choć zamówiły tylko herbatę.

– Ta odmiana, wyhodowana przez Karpow-Lipskiego, nazywa się Krystyna. Dlatego dałam tak na imię twojej mamie – ciągnęła babka.

– Myślałam, że to dziadek Bruno wybrał mamie imię. – Zuzanna znów poczuła ukłucie żalu, ale Cecylia machnęła ręką.

– To, co jest między mężczyzną a kobietą, to zawsze ich tajemnica i nawet najbliżsi, nawet dzieci nie widzą wszystkiego. Z Brunonem byliśmy dobrym małżeństwem, jego także kochałam, ale to Daniło był moją największą miłością. I Bruno od początku o tym wiedział, a mimo to przeżył ze mną całe swoje dobre życie, hojnie rozdając wam miłość. On to akceptował. Czemu więc wy nie możecie? – zakończyła Cecylia.

Obie przez chwilę milczały, wreszcie Zuzanna spytała:

– No więc, co się stało? Czemu się rozdzieliliście?

– Dobrze wiesz, co się stało. Wybuchła wojna, ojciec dostał się do niewoli, a potem Wołyń spłynął krwią. Byliśmy po dwóch stronach barykady: ja Polka, ziemianka, on Ukrainiec. W tych okolicach działy się straszne rzeczy, przecież wiesz.

– Jak to możliwe, że dawni sąsiedzi stali się dla siebie tak okrutni?

– Nie wszyscy sąsiedzi stali się dla siebie okrutni. To była wojna, a ona wyzwała w ludziach strach i nienawiść, które podsyca wspomnienie dawniejszych krzywd. Nie chcę o tym mówić, nie po to tu przyjechałam. Przyjechałam, by jeszcze raz w tym życiu postawić stopę na trawie, po której biegałam jako dziecko, i przypomnieć sobie ludzi, których tak bardzo kochałam i którzy kochali mnie. Dzięki którym żyję. Widzisz, jedni Ukraińcy zabijali, inni ratowali. Gdy bandy przyszły, by niszczyć i mordować, mój Daniło ukrył mnie w beczce z kapustą kiszoną. To dlatego do dziś nie mogę znieść jej zapachu. Mama i moja starsza siostra, Elżunia, schowały się u Olenki pod podłogą. Nie wychodziły stamtąd przez parę tygodni, a Olena i Marynka musiały utrzymywać to w tajemnicy przed wszystkimi dookoła. Biedna mama... Przeżyła rzeź, ale gdy zrobiło się odrobinę bezpieczniej, zachorowała na dur brzuszny i zmarła parę tygodni później. Pochowaliśmy ją z Elżunią w ziemnym grobie, za cerkwią, bo naszego

katolickiego księdza już nie było. Dla Pana Boga to i tak bez różnicy, a mama była takim aniołem, że na pewno poszła prosto do nieba.

– A co się stało z Daniłą?

– Przyszli po niego pod wieczór. Kazali mu ze sobą iść. Nie chciał, ale przystawili pistolet do głowy. Nie miał wyjścia. Odszedł z bojownikami, pewnie zginął gdzieś i leży w bezimiennej mogile.

– Nie próbowałaś go odnaleźć?

– Oczywiście, że próbowałam! Przez PCK, przez znajomych. Przepadł jak kamień w wodę! Elżunia, jak dobrze wiesz, trafiła do Anglii, więc przyjechałam do Polski kompletnie sama. A byłam młoda i musiałam jakoś zagospodarować swoje życie. Zaczęłam pracować w składzie nasion i poznałam Brunona. Oświadczył mi się po dwóch tygodniach, więc opowiedziałam mu swoją historię. On wszystko wiedział, kochanie. Był mądrym człowiekiem, więc rozumiał, że taka miłość trafia się raz w życiu. Mogą być potem inne, ale taka jest jedna... jedyna. Na taką miłość nigdy nie wolno zamykać serca, bo całe życie będzie się cierpieć z tego powodu.

– Chciałabym odwiedzić grób prababci – powiedziała Zuzanna zduszonym głosem.

– Dziecko kochane... minęło 70 lat. Miała ziemny grób bez tabliczki, prosty brzozy krzyż. Nic więcej nie mogłyśmy zrobić... Na pewno nie ma po nim śladu.

\* \* \*

Następnego dnia Zuzanna i Cecylia zbierały się do domu, jednak poszły jeszcze odwiedzić miejscowy cmentarzyk. Świeżo odmalowana błękitna cerkiewka pod wezwaniem Świętej Paraskiewi połyskiwała w promieniach czerwcowego słońca.

– Kim była Święta Paraskiewa? – zapytała Zuzanna.

– Zdaje się, że męczennicą z czasów cesarza Dioklecjana. Przez trzy dni próbowali ją Rzymianie zamęczyć na śmierć, ale co rano budziła się cała i zdrowa. Wreszcie obcięli jej głowę i w ten oto tragiczny sposób położyli kres cudownym ozdrowieniom i zakończyli jej żywot. Paraskiewa jest patronką prac polowych i ogniska domowego – w sam raz jak na patronkę Działkiewiczów.

– A cmentarzyk gdzie?

– Z tego, co pamiętam, obok... A może za świątynią? Zaraz zobaczymy – po nocy przespanej w wygodnym łóżku i po obfitym śniadaniu Cecylia odzyskała zwykły wigor. Energicznie pchnęła więc furtkę i wkroczyła na placyk przed cerkwią. Faktycznie, widać było stąd rzędy starych grobów z charakterystycznymi prawosławnymi krzyżami.

– Mogiły mamy pewnie nie ma, ale może znajdziemy choć grób Olenki – powiedziała.

Powoli przechadzały się wzdłuż grobów, sylabizując wypisane cyrylicą nazwiska... Nie było tam nikogo poza przygarbioną starowinką, która powykęcanyimi artretyzmem palcami energicznie pielila ziemną mogiłkę na końcu alei. Gdy zbliżyły się, wstała z kolan i zaczęła się im bacznie przyglądać. Najwyraźniej doleciały do niej polskie słowa, wypowiedane przez panie Czaplicz, bo uśmiechnęła się i powiedziała ze ślicznym wschodnim zaśpiewem:

– Niech będzie pochwalony...

Zrobiła krok w ich stronę, odsłaniając tabliczkę na grobie, który pielila. Zuzanna zaczęła się wpatrywać w rzędkę czarnych liter na białej tabliczce.

– To niemożliwe! – wyrwało się jej. – Buniu, popatrz!

Mogiła nie miała kamiennej płyty, ale była doskonale utrzymana. Dookoła rosły niezabudki, środek był wypełniony równo przyciętą trawą. Nad grobem wznosił się ozdobny metalowy krzyż – katolicki. Powieszona na nim tabliczka głosiła, że w tym miejscu spoczywa Aniela Zofia z Kiminowiczów Czapliczowa.

– Grób prababci – ucieszyła się Zuzanna. – A mówiłaś, że na pewno przepadł!

– Jak miał przepaść, kiedy tu leży przyjaciółka mojej mamy – powiedziała, zaciągając, staruszka.

Cecylia przyglądała się jej uważnie, jednocześnie próbując usilnie wydobyć z głębin pamięci wspomnienie rysów twarzy ludzi, których nie widziała od dziesięcioleci.

– Czy pani jest... córką Olenki? – spytała wreszcie.

– A tak – ucieszyła się kobieta. – Jestem!

– Marynka? – Cecylia nie mogła uwierzyć. – To naprawdę ty?

Gdy następnego dnia wsiadały do autokaru, odprowadzała ich nie tylko staruszka, która najwyraźniej była zrobiona z tego samego przedwojennego materiału nie do zarcia co nestorka rodu Czapliczów, ale i jej dzieci, wnuki i prawnuki. Zabrały ze sobą zapas pyszności, a Cecylia dodatkowo chowała w walizce największy skarb, o jakim nie mogłaby nawet marzyć: jedwabną apaszkę swojej mamy, która jakimś cudem przechowała się w domu Marynki.

– Zawsze mnie to dziwi, że rzeczy potrafią przeżyć człowieka – powiedziała z uśmiechem Zuzanna, ale Cecylia nie dała się wciągnąć do rozmowy.

Patrzyła na przesuwający się za oknem krajobraz i myślała o piwonii, swoim najwspanialszym urodzinowym prezencie. Starannie zabezpieczone przed podróżą bulwy spoczywały w torbie podróźnej Zuzanny. Część krzaka została w Dziatkiewiczach, a część jechała do Starej Leśnej, by zacząć nowe życie w ogrodzie willi Kurza Stopka. Piękny, choć smutny symbol miłości, podzielonej przez wojnę i zły los.

\* \* \*

Krystyna z zadowoleniem rozejrzała się po kuchni.

– No. Wreszcie jest porządek! – Kiwnęła głową, z aprobatą przyglądając się swojemu dziełu.

Wszystkie filizanki, umyte i osuszone ściereczką, stały na półkach wiekowego kredensu w kuchni, każda obrócona uszkiem w prawo. Kurze na półkach zostały wytarte, zlew wyszorowany na błysk. Podłoga pachniała świeżym woskiem. Książki z salonu trafiły na półki biblioteczki, porozrzucane chustki i szale zebrano, uprano i powieszono na sznurach za domem. W Kurzej Stopce zapanował rzadko spotykany porządek.

Krystyna przez chwilę z uśmiechem kontemplowała dom, a potem ciężko westchnęła i klapnęła na krzesło. I cóż z tego, że wszystko jest posegregowane, poukładane i umyte, skoro... jest tak pusto. Trudno jej było się do tego przyznać, ale wyraźnie cknęło jej się za matką i córką. Pierwszego dnia nawet się cieszyła, że ma je z głowy, ale dziś było już zwyczajnie smutno. Wojtek rzadko się pokazywał, posiłki pochłaniał w trzech kęsach i biegł na górę, ćwiczyć na pożyczonej od Antka gitarze. Albo znikał gdzieś na długie godziny. Wiadomo: wiosna, wakacje za pasem, nie będzie chłopak gnął w domu z babką. Czują się opuszczona, a cisza nieprzyjemnie dzwoniła jej w uszach.

– Mrrr! – zawarkotało coś koło Krysinej łydki.

– A ty tu co, kocico przebrzydła? – zapytała czule Krystyna, drapiąc Brezylkę za uchem.

Kotki nie trzeba było długo zapraszać. Ona także tęskniła za czyimiś ciepłymi kolanami – a pod nieobecność dwóch ulubionych osób była skłonna zaakceptować kościste kolana środkowej pani Czaplicz. Twarde, niewygodne, ale jednak – cieplejsze od fotela czy klatki chomika Lulka.

Siedziały tak we dwie przez chwilę, w milczeniu, gdy nagle dało się słyszeć skrzypnięcie furtki i szybkie kroki na ścieżce. Ktoś zatupał na ganku tak, jakby się potknął i ratował przed upadkiem, chwytając za klamkę. Drzwi wejściowe otworzyły się z rozmachem i do domu wpadła Wiola.

– Słodki Jezu! – krzyknęła Krystyna Czaplicz i przerażona złapała się za serce.

Zszokowana Brezylka wpiła pazurki w kolana Krystyny, a ta, nie czekając, zrzuciła kocicę na podłogę i zerwała się na równe nogi.

– Co się stało? Ktoś cię pobił? – krzyknęła.

Wiola bowiem przedstawiała sobą żałosny widok. Zapuchnięte od płaczu oczy otoczone były czarnymi podkówkami rozmazanego tuszu. Bujne loki, zazwyczaj starannie ułożone, były potargane i w nieładzie. Na dodatek jeden z butów na stopach Wioli był różowy, a drugi – pomarańczowy. Najwyraźniej albo nie miała czasu, by dobrać je do pary, albo było jej wszystko jedno.

– Gdzie... gdzie Zuza? I Cecylka? – wyjęczała Wiola, opierając się

o kuchenny stół i tłumiąc łkanie.

– No jak gdzie, na wschód pojechały przecież... – odparła zdumiona Krystyna.

– Ach tak! Zapomniałam! Jeszcze i to nieszczęście! – Wiola wybuchła płaczem.

– Dziecko, weź się w garść. Czy ktoś cię skrzywdził? Czy wzywać policję? Podam ci krople na uspokojenie. – Krystyna starała się trzymać jak najdalej od lamentującej Wioli.

Nie cierpiała, gdy ktoś tak ekspresyjnie okazywał swoje uczucia.

– Pooooo...licja nic nie da! Chyyy...ba że łamanie serc kobietom jest karalne! – wysapała Wiola i znów zaczęła szlochać.

Krystyna wzruszyła ramionami z irytacją. Faktycznie, fatalnie się stało, że nie było Zuzanny ani Cecylii. Obie świetnie znały się na tej materii, podczas gdy ona kompletnie nie wiedziała, jak się zachować. Powoli więc podeszła i niezdarnie poklepała Wiolę po ramieniu. Ta, jakby tylko czekając na jakikolwiek czuły gest, błyskawicznie się odwróciła i zawisła Krystynie na szyi, nie przestając spazmatycznie płakać.

– Natychmiast mnie puść. Opowiesz mi, co się stało, wysłucham cię, pocieszę, ale mnie nie duś – zażądała Krystyna stanowczo.

– Oj, zapomniałam, że pani jest taka oziębła. Już, już mi lepiej. Dobrze się było choć na chwilę przytulić, nawet do pani – powiedziała Wiola, głośno wydmuchując nos w podsuniętą jej chusteczkę.

Na szczęście nie pozostawiła swojej rozmówczyni zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad znaczeniem słów „nawet do pani”.

– Nie wiem, czy Zuzanna opowiadała, ale poznałam bardzo miłego mężczyznę. Mówił, że mnie kocha, rozwiedzie się, że jesteśmy dwiema połówkami jabłka. Uwierzyłam. A... a dzisiaj do mojej pracy przyszła jego żona i powiedziała, że... – widać było, że to wyznanie wiele Wiolę kosztowało – ...że nie jestem jedyna. On oprócz mnie ma jeszcze jedną kochankę, w Radomiu. Tydzień jest u mnie, tydzień z żoną i tydzień u tej drugiej. To jest trzeciej. A może to ja jestem trzecia? – zadumała się ponuro Wiola.

Krystyna nie miała pojęcia, co powiedzieć, a poza tym wyznanie Wioli wyprowadziło ją z równowagi. Zrobiła więc to co zawsze w takich sytuacjach. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Słowa przyjaciółki Zuzanny przywołały w niej niezbyt miłe wspomnienia. Te, które uparcie wyrzucała poza obręb świadomości. Teraz jednak postanowiła stawić im czoło.

– Wiem, dziecino, co przeżywasz. Ja też byłam zdradzana. I wcale nie mam poczucia moralnej wyższości: że byłam żoną, a tamta... tamte raczej nie miały prawa do mojego męża. Złość i rozpacz są takie same, czy masz obrączkę, czy nie. Swoją drogą, patrząc z perspektywy czasu, coraz wyraźniej widzę, że nie

powinnam była przysięgać Julkowi. Ani on mnie. Powiem ci tak: na sprawach sercowych to się nie znam, w przeciwieństwie do mojej matki, rzecz jasna – prychnęła gniewnie. – Ale jedno wiem na pewno, bo to wynika z logiki. Jeśli się kogoś kocha, to się go nie zdradza. Bo wybierasz towarzystwo kochanej osoby, a nie – kogoś innego. Miłość, moja Wiolu, to nie motyle w żołądku, skurcze kiszek z nerwów, kołatanie serca i spoczone dłonie. Miłość to decyzja. Wybieram ciebie. I na mój gust ten twój... jakże mu tam? A, Jarosław, tak. On ciebie nie wybrał, więc cię nie kocha. Sprawa jest prosta jak drut. Daj ty sobie, dziewczyno, spokój. A nawet ciesz się, bo mogłaś popełnić największy błąd swojego życia. Wierz mi, wiem coś o tym także. Nie ma większego błędu niż małżeństwo z kimś, kto jest ci obojętny.

Wiola zamyśliła się, wpatrzona w twarz Krystyny. Dopiero teraz dostrzegła, że właściwie to była ona całkiem urodziwa. Miała równe, mocno zarysowane brwi, ładnie wykrojone, choć wąskie, usta i oczy o wnikliwym spojrzeniu. I tylko te zmarszczki pomiędzy brwiami i bruzdy w kącikach ust świadczyły o tym, że ich właścicielka często się krzywiła, co ją szpeciło i sprawiało, że robiła na ludziach odpychające wrażenie.

– No, ale ja jestem coraz starsza, widzi pani... boję się, że nigdy nie spotkam nikogo, kto by pomyślał: wybieram ciebie... A chciałabym mieć męża, rodzinę, prawdziwy dom – westchnęła Wiola.

– Spotkasz, spotkasz. I właśnie dlatego nie rozmieniaj się na drobne. Nie trać czasu na jakiegoś Jarosława, co to nie wie, czy chce mieszkać w Warszawie, Radomiu, czy Starej Leśnej. Bo jak oddasz takiemu klucz do siebie, to gdy spotkasz tego właściwego, już się przed nim nie otworzysz. A życie dobre nie jest i szansę na prawdziwą miłość każdy dostaje tylko raz. – Krystyna znów się skrzywiła i zgasiła papierosa w popielniczce.

– Raz? A Zuzanna i... – zaczęła Wiola, ale Krystyna nie pozwoliła jej skończyć.

– Raz. A o tamtej sprawie to mi w ogóle nie mów, bo serce mam słabe i może tego nie wytrzymać. Dlaczegoż ta dziewczyna uparła się marnować sobie życie, Bóg jeden wie. No, mam ja kilka informacji o tym panu Przygodzkim i zapamiętaj moje słowa: wszystko to wygląda fatalnie. Fa-tal-nie. Ale nic o tym, cicho sza. Wiem, co ci dobrze zrobi, od razu poczujesz się lepiej. No, głowa do góry, moja panno. – Krystyna szorstkim gestem pogłaskała Wiolę po policzku. Wstała i sięgnęła do kredensu, na najwyższą półkę. Stał tam, schowany za wyszczerbionym wazonem w kwiaty, wyjątkowy specjał. Mocna i aromatyczna malinówka Cecylii, na szczególne okazje. Krystyna nalała od serca dwa pełne kieliszki i postawiła jeden przed Wiolą.

– Pij, niech ci na zdrowie idzie. I wiesz co? Zostaniesz dziś u nas na noc, pościelę ci w pokoju Zuzanny. Stara już jestem, nie lubię sama siedzieć

wieczorami. A i tobie towarzystwo się przyda. Cóż, taki los – westchnęła Krystyna i wychyliła kieliszek.

Jej wzrok spoczął na torbie Wioli, z której na wypastowaną podłogę wysypały się stare bilety na pociąg, szminka i miniaturowy flakonik perfum. Kieliszki z malinówką zostawiły na lśniącym blacie kuchennego stołu lepkie ślady. A Brezylka właśnie wywróciła doniczkę z rozmarynem, z której na parapet poleciała ziemia i suche listki.

Znów bałagan. Jak miło!

\* \* \*

– Nieeeee, spinak jest błę! – płakała Różyczka, zasłaniając usta rączkami.

Kazia westchnęła z rezygnacją. Wszelkie próby zachęcenia Róży do spożywania warzyw spełzały na niczym. Nie pomagały zachęty, rymowanki ani układanie na talerzu tajemniczych ogrodów z zagonów brokułów, grządek marchwi i pól z kukurydzy. Różyczka nie chciała jeść niczego, co wyrosło z ziemi. Akceptowała tylko kartofle, ale najchętniej mocno przetworzone: karbowane i smażone na głębokim tłuszczu.

– No, no, no... – wyrwał Kazię z ponurych rozmyślań głos męża.

Ludwik wyglądał przez kuchenne okno na drogę, a to, co tam widział, najwyraźniej było bardzo ekscytujące. Kazia postanowiła sprawdzić, co to takiego. Ostatnio ich wspólnym ulubionym obiektem obserwacji była nowa narzeczona sąsiada – jak wszystkie poprzednie, obdarzona nader bujnymi włosami („Zwariowałaś? To doczepka!” – klarowała Kazia Ludwikowi), długimi paznokciami i szpilkami wysokości co najmniej czternastu centymetrów, na oko licząc.

– A... To tylko Jurko od Zuzanny – powiedziała Kazia beznamiętnie.

Spodziewała się kogoś bardziej emocjonującego niż Malwina, wymachująca smyczą Szaleja, i zabawiający ją rozmową młody pomocnik przyjaciółki.

– Jaki Jurko? Jurek chyba? – zaniepokoił się, nie wiedzieć dlaczego, Ludwik.

– Jaki Jurek? No Jurko, to ukraińskie imię! – prychnęła Kazia.

Ludwik zdawał się porażony tą wiadomością.

– Chyba żartujesz? Nasza córka spotyka się z Ukraińcem, a ty nic?! – krzyknął.

– Nasza córka spotyka się zapewne z różnymi osobami, z których co najmniej połowy nie znam. Co cię ugryzło? – zdziwiła się Kazia.

– Kazimiera! To nie są żarty! Malwina jest w strategicznym wieku, nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi! Seks z gasterbeiterem to chyba nie jest najlepszy pomysł na rozpoczęcie dorosłego życia, prawda? – syknął Ludwik.

Kazię zatkało. Nigdy nie słyszała, żeby mąż wyrażał się w ten sposób o obcokrajowcach. Przecież nic nie wiedział o Jurku! Na dodatek do głowy by jej



nie przyszło, żeby posądzać Malwinę i Jurka o płomienny romans. To prawda, Malwiśka dużo ostatnio opowiadała o tym chłopaku, była pod jego wrażeniem. Kazia rozpytała o niego Zuzannę i dowiedziała się, że Jurko to krystalicznie uczciwy młody człowiek z dobrej rodziny, który chce wspomóc finansowo rodziców. Intencje te wydały jej się szlachetne i godne pochwały, w zasadzie więc aprobowała wspólne spacerowanie młodych.

„Ledwie dwa lata starszy od Malwiśki, a jaka różnica w myśleniu! Odpowiedzialny, nad wiek dojrzały – może ona się czegoś od niego nauczyć, zrozumie, że życie to nie zabawa!” – dumiała Kazia.

– Ludwiku! Zastanów się, co ty wygadujesz! Oni po prostu chodzą na spacer, a nawet jeśli się zakochali, cóż w tym złego? To jest porządny chłopak, pracuje, na Ukrainie się uczył i podobno chciałby kontynuować naukę w Polsce. Jaki seks, upadłeś na głowę? – pytała męża, wyraźnie skonsternowana.

– Porządny chłopak! Ty chyba urwałaś się z choinki! Oczywiście, że wykorzysta naszą córkę, zepsuje ją, a potem my będziemy mieć kłopot! Ukraińskiego bękarta! – nakręcał się coraz bardziej Ludwik.

Kazia nie gniewała się na męża od jakichś dziesięciu lat, kiedy to zaprosiła na uroczystą rocznicę ich ślubu teściów – a Ludwik, chcąc uczcić wyjątkową okazję, upił się księżycówką kupioną na bazarze. Jak się okazało, jej działanie było nad wyraz mocne – Ludwik szybko osiągnął odmienny stan świadomości, w którym nie nadawał się na powitanie swojej eleganckiej mamy i wyrafinowanego ojca inżyniera. Kazia musiała odholować go na strych, gdzie wymiotował w samotności, wymyślić wiarygodną bajeczkę dla teściów („Hałas na górze? A, tak, zagnieździły się u nas kuny, wyobraża sobie mama? Niiieeee, nie można ich obejrzeć – to nowy gatunek, bardzo agresywny!”), przyjmując ich w pojedynkę i jeszcze robić dobrą minę do złej gry. Wtedy ostatni raz załapała ją krew z powodu mężowskich uczynków – po wyjściu teściów, nie zważając na opłakany stan Ludwika, otrzeźwiła go, chlustając mu w twarz wiadrem wody (do dziś zdarzenie to dokumentuje malownicza plama na suficie w salonie) i zrobiła karczemną awanturę.

Teraz czuła dokładnie to samo co dziesięć lat temu. Serce zabiło jej mocniej, policzki zapłonęły, a dłonie zacisnęła w pięści.

– Wiesz co? Jesteś zwyczajnie zacofany. Nie każdy młody chłopak chce zrobić z dziewczyny materac. Nie każdy Ukrainiec jest łobuzem, tak jak nie każdy Polak jest aniołem. I wiesz, co jeszcze? Dotąd cię oszczędzałam, bo nie chciałam robić ci przykrości, ale myślę, że czas na kolejny stopień wtajemniczenia w domowe obowiązki. Garnki myje się też z zewnątrz, nawet wtedy, gdy gotowało się w nich tylko jajka. A ręczniki trzeba wieszać równo! I od dawna miałam zamiar ci powiedzieć, że do szału doprowadza mnie fakt, że nocą nie spuszczasz w toalecie wody! A kłapy nie zamykasz ani w dzień, ani w nocy! I koniec tego

rezerwatu chronionych mężczyzn, od dziś masz to wszystko robić, już ja tego dopilnuję! Może wtedy przestaną ci się lęgnąć w głowie takie robaczywe myśli! – Kazia darła się już na całe gardło.

Nawet nie zauważyła, że w drzwiach do kuchni stanęła Malwina, a najmłodsza Różyczka obserwowała całe zdarzenie z rozdziawionymi ustami i dłonią zanurzoną w miseczce ze szpinakiem.

– No, mama, dałaś ognia. Kobiety górą. Mężczyźni są skazani na zagładę, jak dowodzi profesor Philip Zimbardo – skomentowała beznamiętnym głosem Malwina i dostojnym krokiem udała się na górę, do swojego pokoju.

Kazia poczuła, że ktoś szarpie ją za rękaw.

– Co?! – wrzasnęła na niespodziewającą się niczego Różyczkę.

– Ja... ja zjem śpinak! – oświadczyła nieszczęśliwym tonem.

Ludwik bez słowa założył kurtkę i wyszedł z domu, głośno trzaskając drzwiami.

– A pewnie! Wygińcie sobie, krzyżyk na drogę! Niech szlag trafi wszystkich mężczyzn! – sapnęła Kazia wojowniczo, podając Róży łyżeczkę.

## VIII

Zuzanna odwróciła się na dźwięk kroków i aż krzyknęła. Złapała się za serce.

– Brak mi słów! – powiedziała w końcu, uśmiechając się promiennie.

W kuchni stał Wojtek: w spodniach wyprasowanych w kant, śnieżnobiałej koszuli i pod krawatem prezentował się naprawdę elegancko. Przyczesał włosy. Wypastował buty. Wyglądał... nad wyraz dojrzałe. Zuzannę to jednocześnie ucieszyło i zasmuciło. W ciągu ostatniego roku obserwowała, jak Wojtek przeobraża się z rozbrykanego chłopczyka, jeszcze dziecka, w chłopaka – prawie dorosłego mężczyznę. To uświadamiało jej po raz kolejny, że niedługo syn wyfrunie z gniazda, a ona zostanie z matką i babką. Sama.

Starła się jednak nie pokazywać Wojtkowi tych ambiwalentnych uczuć. Pragnęła, by przede wszystkim wiedział, jak bardzo jest z niego dumna. Teraz więc powstrzymała się, by nie zmierzić mu czupryny lub nie ucałować – wiedziała, że z ledwością toleruje jej czułości.

– Świetnie wyglądasz. Leć, nie spóźnij się! – rzuciła więc tylko.

Wojtek zabrał futerał z gitarą i wybiegł z domu. Przed bramą stał już samochód – ojciec Antoniego zobowiązał się, że podwiezie syna i jego najlepszego przyjaciela na uroczyste zakończenie roku szkolnego. Tym bardziej uroczyste, że obaj chłopcy mieli wziąć udział w części artystycznej – ich zespołowi powierzono odegranie dwóch utworów.

Trzasnęła furka. Samochód wolno odjechał. Dopiero teraz Zuzanna się rozkleiła. Usiadła przy kuchennym stole i sięgnęła po chusteczkę.

– A cóż to znowu? Widzę, że masz ostatnio bardzo zmienne nastroje. Może powinnaś wybrać się do ginekologa, sprawdzić, czy to nie menopauza. Nie młodniejesz. Wojtek prawie dorosły, czasu nie zatrzymasz – westchnęła Krystyna, która weszła do kuchni, by zrobić sobie kolejną kawę, czarną jak szatan.

Nastrój prysł. Zuzanna skrzywiła się, zniecierpliwiona docinkami matki.

– Nie mam menopauzy. Nie przesadzaj, nie jestem taka stara. Właściwie, to ostatnio czuję się jak młoda dziewczyna. – Uśmiechnęła się lekko i przed oczami stanął jej Adam.

Opędziła się od tej wizji jak od natrętnej muchy.

– I to właśnie mnie martwi. Nie zapominaj się, masz syna, rodzinę, musisz mieć na uwadze ich dobro. A propos rodziny: idźże nakarmić to wstrętne kurzysko, drze się od rana. Ja nawet nie zamierzam próbować wchodzić na teren tego... genderowego nie-wiadomo-co. Nie zaryzykuję ciężkich obrażeń! – Krystyna oskarżycielsko wycelowała w Zuzannę paluchem.

Wprawdzie najmłodsza z pań Czaplicz nie miała z tym nic wspólnego, ale to fakt, że Kulczyba wyjątkowo źle tolerowała obecność Krystyny. Na sam jej widok

stroszyła pióra, rozkładała swój mizerny grzebień i gdała ostrzegawczo, drapiąc pazurami ziemię jak byk szykujący się do natarcia.

– Dobrze, mam. Należysz i mi kawy? – poprosiła Zuzanna z rezygnacją.

Nie miała siły na kłótnie.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Z góry słyhać było podśpiewywanie Cecylii – jak w każdy piątek, dobry nastrój towarzyszył jej od rana. Krzątała się, kręciła włosy na lokówki i malowała paznokcie (tym razem wybrała wściekły kolor o nazwie „mechaniczna pomarańcza”), by zaprezentować się odpowiednio na cotygodniowym brydżyku.

– Oj! – krzyknęła Zuzanna, spoglądając na zegarek. – Ale się zasiedziałam! Zapomniałam, że obiecałam... jednemu klientowi, że wpadnę obejrzeć niedawno zasadzony jaśminowiec. Podobno coś go zjada, podejrzewam inwazję mszyc.

Nie chciała powiedzieć matce, że tym klientem jest Adam. Od pewnego czasu Krystyna reagowała alergicznie na dźwięk nazwiska: Przygodzki. A w ten wyjątkowy dzień, kiedy Wojtek elegancko ubrany odbierał upragnione przez Zuzannę świadectwo (a jego losy, za sprawą matematyki, ważyły się do połowy czerwca), nie miała ochoty słucać gderania.

Szybko poprawiła włosy przed lustrem, ale zrezygnowała z podmalowania rzęs tuszem, bo czuła na sobie czujny wzrok Krystyny. Rzeczywiście, matka bacznie obserwowała córkę z głębi kuchni. Zuzanna złapała kluczyki do samochodu, torebkę i wyszła.

Słońce świeciło jej prosto w oczy, gdy wjechała w ulicę Czeremchy. Chciało jej się śmiać i tańczyć. Adam czekał na nią na podjeździe i też się uśmiechał. Popatrzyli na siebie, przywitani się i jak zwykle – było im trochę niezręcznie. Szalej skakał jak sprężynka, wciskał Zuzannie obśliniony pysk w dłoń, napraszał się, żeby go głaskać i drapać pod brodą. W trójkę przeszli przez hol i salon do ogrodu. Zuzanna rozejrzała się z satysfakcją. Widać było, że Adam zadomowił się już w Jolancinie. Na tarasie stały dwa wiklinowe fotele wyściełane poduchami, na stoliku leżała książka.

– Tak myślałam. Mszyce. W tym roku jest ich szczególnie dużo. No cóż, nie obejdzie się bez oprysku. Chyba że zainwestujemy w biedronki. Ale kosztują 140 złotych... – westchnęła Zuzanna.

– Biedronki? Chyba że złota?! – zdumiał się Adam.

– Nie, pomarańczowe, w kropki. Kupujesz woreczek, jest w nim czterdzieści biedronek. Żerują na mszycach, to drapieżniki. Ekologiczne ogrodnictwo jest modne i drogie – zaśmiała się Zuzanna.

– Właśnie widzę. Chyba się przerzucę na zbieranie biedronek po łąkach. Przyjemna praca, a dniówka może być całkiem wysoka... – rozmarzył się Adam.

– W tym roku biedronek jest jak na lekarstwo. Stąd plaga mszyc. Och, przepraszam – spieszyła się, bo nagle telefon rozdzwonił się jak oszalały.

– Halo? Wojtek? Ale dlaczego... – szepnęła Zuzanna, bo zgodnie z jej wyliczeniami syn powinien właśnie odbierać świadectwo.

– Mamo, proszę cię, tylko się nie martw – zabrzmiał w słuchawce wyjątkowo smutny głos. – Miałem taki drobny wypadek, no i pani Zajdler nie wpuściła mnie do sali gimnastycznej. To jest na rozdanie świadectw.

Pod Zuzanną nogi się ugięły.

– Jak to? Jak to cię nie wpuściła? Jesteś w szkole? Co się stało? Wojtek, halo? Halo?! – prawie krzyknęła w słuchawkę, ale telefon był głuchy – wyglądało, jakby karta skończyła mu się w trakcie rozmowy.

– Co jest? Co się dzieje? – zapytał Adam.

– Nie wiem. Coś złego. Muszę natychmiast jechać do szkoły – odparła Zuzanna.

Zmarszczyła brwi, przygryzła wargę. Jaki wypadek? O czym on mówił?

– Jedziemy razem. No już, już, zbieraj się, nie ma czasu – zakomenderował Adam i Zuzanna poddała się tonowi jego głosu, nawet nie zastanawiając się, dlaczego on ma jechać z nią do Wojtka.

Z ulicy Czeremchy na Lipową, gdzie mieściła się szkoła, było na szczęście niedaleko. Adam z gracją wcisnął swój ogromny samochód w wąziutkie miejsce parkingowe, Zuzanna wyskoczyła z auta prawie w biegu. Szybkim krokiem ruszyli do wejścia, od drzwi skierowali się na prawo, w stronę sali i... już z daleka dostrzegli Wojtka.

Wyglądał jak siedem nieszczęść. Spodnie pokrywały plamy zaschniętego błota, koszula była brązowa od smug rozmazanej ziemi. Włosy – mokre. Buty brudne. Z porannej elegancji nic nie zostało. Obrazu rozpacz dopełniała gitara, której złamany gryf sterczał z porwanego pokrowca.

Obok stała Eleonora Zajdler, nauczycielka matematyki i wicedyrektor w jednej kostycznej, sztywno wyprostowanej osobie. Miała skrzywione usta i zza grubych jak denka od butelek szkieł popatrywała na Wojtka tak, jak spogląda entomolog na szamoczącego się motyla, przybitego szpilką do tekturki.

– Nareszcie. No, niestety, z przykrością stwierdzam, że Wojciech nie sprostał wyzwaniom dojrzałości i miał czelność pojawić się na naszej uroczystości w stanie, cóż, skandalicznym – syknęła pani Zajdler do Zuzanny.

– Chyba pani przesadza. Chłopak po prostu ma garderobę w lekkim rozgardiaszu, ale do stanu skandalicznego jednak mu daleko! – uniósł się Adam.

Wojtek spojrzał na niego z wdzięcznością. Zuzanna, zszokowana, milczała.

– Co pan wygaduje! On jest brudny jak świnia! – ryknęła pani Zajdler, teatralnie załamując ręce.

– Niechże pani się nie wyraża. Wojtek ma dwanaście lat, trudno oczekiwać, żeby cały dzień czekał przed szkołą w marynarce i pod krawatem, bo państwo urządzają uroczystość. A zresztą, dla kogo jest ta uroczystość? Dla uczniów,

prawda? Jak więc można grozić dziecku, że nie odbierze świadectwa! – Adam nakręcał się coraz bardziej.

Pani Zajdler wyraźnie działała mu na nerwy.

– Pan, jako ojciec, powinien przywiązywać większą wagę do pryncypiów! – syknęła.

– Nie jestem ojcem. I przywiązuję wagę do pryncypiów. Rozumiem, że jeśli Wojtek ogarnie się jako tako, nie będzie pani czyniła przeszkód, by odebrał świadectwo razem z kolegami? – zapytał Adam nieprzyjemnym tonem.

W całej jego posturze, pewności siebie, było coś tak onieśmiałającego, że pani Zajdler otworzyła tylko usta, by coś powiedzieć, ale złapała powietrze jak ryba, zamknęła usta i kiwnęła głową.

– Wojtek, za mną – rzucił Adam.

Wojtek spuścił głowę i posłusznie podreptał za Przygodzkim w stronę holu. Zuzanna milczała. W głowie kłębiły jej się różne myśli, a w sercu mieszała się złość na Wojtka i wdzięczność i podziw dla Adama. Poruszyło ją, że Przygodzki stanął po stronie jej syna, chociaż musiał wiedzieć, że pani Zajdler ma rację. Nie miała pojęcia, co się wydarzyło przez godzinę, kiedy Wojtek, odświętnie ubrany, wyszedł z domu, do momentu, w którym znalazł się tu, umorusany i z połamaną gitarą, należącą w dodatku do Antoniego.

Minęła może minuta, najdalej dwie, i Zuzanna z daleka dostrzegła wysoką, barczystą postać i drepczącego obok młodego, wiotkiego chłopaczka. Wojtek nadal miał mokre włosy, ale gładko zaczesane do tyłu. Spodnie nie były może czyste, jednak ktoś starannie ściągnął z nich grudki zaschniętego błota. Buty były czyste, natomiast koszula, choć idealnie biała, była na Wojtka wyraźnie za duża.

– Zawsze mam w bagażniku czystą koszulę. Rozumiesz, spotkania biznesowe itd. Ale chyba jeszcze nigdy tak mi się nie przydała jak dziś – szepnął Zuzannie do ucha Przygodzki.

– To jak? Sprawę można uznać za zamkniętą? – zapytał na głos.

Pani Zajdler z niechęcią skinęła głową i weszła na salę, a Wojtek w ślad za nią. Zuzanna odetchnęła z ulgą: właśnie skończono wywoływać nazwiska uczniów na literę B.

– Adam, ona miała rację. Co Wojtkowi strzeliło do głowy? – powiedziała cicho.

– Wiem, że miała rację. I Wojtek też już wie. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli ktoś jest dla ciebie ważny, walczysz o niego – a Wojtek jest moim przyjacielem. Nie zostawia się przyjaciół w biedzie – odparł Adam. – Chodź, odwiozę cię do domu. Wojtek wróci sam, bez przygód. Pokłócił się z Antonim, wiesz? Jego ojciec wyrzucił ich przed Parowem Sójek, mieli przejść przez park do szkoły. Pobili się i Wojtek spadł ze skarpy do stawu – relacjonował Adam w drodze do samochodu.

Przez całą drogę milczeli. Zuzanna zastanawiała się, dlaczego to Adamowi

Wojtek powiedział o bójce. Miała przecucie, że syn nie opowie jej tej historii. Zaczynała rozumieć dlaczego. To są męskie sprawy, a ona jest kobietą. Wojtek coraz więcej rzeczy będzie zostawiał tylko dla siebie. Bo staje się dorosły.

W domu ucieszyła ją cisza. Cecylia ucięła sobie popołudniową drzemkę, a Krystyna poszła na zakupy. Zuzanna mogła zrobić herbatę z miętą, usiąść przy kuchennym stole i pozbierać myśli. Miała na to niecałą godzinę – ze szkoły wrócił Wojtek. Słyszała, jak trzasnęły drzwi, ale nie ruszyła się z krzesła. Wojtek wolno wszedł do kuchni i oparł się o framugę.

– Przepraszam cię, mamó. Nie chciałem, żebyś się denerwowała. I nie chciałem, żeby tak się stało. To moja wina, a pani Zajdler miała rację. Po rozdaniu świadectw ją przeprosiłem. Wiem, że muszę zachowywać się jak mężczyzna, a mężczyzna troszczy się o kobiety. Pan Adam tak mówi – powiedział Wojtek, podszedł do Zuzanny, a ona mocno go przytuliła i pocałowała w głowę.

– Nic się nie stało, synku. Dobrze zrobiłeś, że przeprosiłeś panią Zajdler. No, dawaj świadectwo i leć na górę. Pewnie marzysz, żeby zdjąć to galowe ubranie! – zaśmiała się i zmierzwiła synowi włosy.

Tym razem się nie uchylił, tylko przeczesał palcami grzywkę. Uśmiechnął się i już go nie było. Głucho zadudniły schody.

„Kto to? Listonosz przyjeżdża we wtorki i czwartki...” – pomyślała Zuzanna, słysząc odgłos hamującego samochodu.

Trzasnęły drzwiczki. Wyjrzała przez okno... Adam! Zapomniał czegoś? Wybiegła do furtki.

Adam wyciągnął ku niej bukietik niezapominajek.

– Sam zbierałem... – powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

To było tak do niego niepodobne, że Zuzanna nic nie odrzekła, tylko wyciągnęła dłoń po kwiatki.

– Nie zapomnij mnie... To właśnie znaczyły w wiktoriańskiej mowie roślin – powiedziała cicho.

– No właśnie. Ja nie mogę o tobie zapomnieć. Pomyślałem więc, że może poszłabyś ze mną na kolację? Jutro masz czas?

Zuzanna spojrzała mu w oczy. Aż się cofnął z wrażenia, bo zawsze wydawało mu się, że te oczy są szare – a teraz były błękitne jak niebo albo jak te drobne, urokliwe kwiatuszki, które zebrał na łące nad stawem.

– Mam czas. Pójdę chętnie – odparła radośnie Zuzanna.

I w tym momencie pomyślała: „O matko, co ja wyprawiam! Przecież nie mam się w co ubrać!”.

\* \* \*

Stanisław Grzybek uwielbiał przyglądać się swoim klientom pałaszującym z zapalem ciastka. Rozczulał go widok młodych kobiet, dyskretnie – jak im się

zdawało – wytrzepujących z za dekoltu bezowe drobinki. Kochał kropki z bitej śmietany, które zostawały na nosach dzieciaków, zbyt zachłannie wbijających mleczne ząbki w ogromne eklerki – specjalność jego zakładu. Uważał wszelkie informacje na temat rzekomej szkodliwości ciastek za przesadne – jak może szkodzić coś, co daje ludziom tyle radości! Gdy widział uśmiechy na twarzyczkach małych konsumentów, czuł się człowiekiem spełnionym i szczęśliwym. Zwykle posyłał wtedy czuły uśmiech w kierunku kłębiastych cumulusów, z za których – wierzył w to święcie – spoglądała na niego pani Grzybkowa. Niestety, nie doczekali się dzieci. Gdyby je mieli, prawdopodobnie pod nogami pałętałyby mu się już tuzin wnuków albo i prawnuków i mógłby je uszczęśliwiać słodkościami. Zwłaszcza w taki dzień jak dziś, gdy zabrzmiał ostatni dzwonek obwieszczający początek wakacji. Tłum zachwyconych uczniów opuścił przed chwilą szkołę, machając lepszymi lub gorszymi cenzurkami. Stanisław Grzybek przygotował dla nich niespodziankę. Napis na tablicy przed jego cukiernią głosił, że do każdej zakupionej eklerki dodaje drugą – gratis. Jak świętować, to świętować! Stał teraz i z zadowoleniem przyglądał się rosnącej kolejce.

– Zaraz wyjdzie na ulicę – mruknął do siebie. – Oby tylko wystarczyło, przecież musi mi jeszcze zostać trochę na wieczornego brydzyka!

W ten tok słodkich rozmyślań wbiła się zniecka Wioletta Migas, pedałużąca ile sił w zgrabnych nóżkach na swoim niebieskim rowerze. Widać było, że się bardzo spieszy – i nic dziwnego. Tradycyjnie była spóźniona na spotkanie, a jej przyjaciółka, Kazia Leszczyńska, od kilku chwil siedziała przy kawiarnianym stoliku, nerwowo bębniąc palcami w blat stolika. Tym razem jednak nie spóźnienie Wioli było przyczyną jej troski, ale obżarstwo najmłodszej latorośli. Kazia, która miała na temat słodczy zupełnie inny pogląd niż Stanisław Grzybek, z ponurą rezygnacją obserwowała Różyczkę, która z zapalem pałaszowała kolejne ciastko. Lepkie ślady łakomstwa dziewczynka miała nie tylko na nosie, ale też we włosach oraz na prześlicznej błękitnej sukience w kwiatki.

– Kto by pomyślał, że w takim małym brzuchu zmieści się tyle bitej śmietany – mruknęła Klara, średnia z panien Leszczyńskich, uczennica już drugiej klasy.

Świadectwo, na którym wypisano łechcące matczyne ego pochwały, leżało przed nimi na stoliku.

– No jesteś nareszcie! – wysapała Kazia do przyjaciółki, gdy Wioli udało się po przeszukaniu wszystkich kieszeni znaleźć kluczyk do łańcucha i przypiąć rower do latarni przed cukiernią. – Przecież miałyśmy pogadać, zanim przyjdzie Zuzanna!

– Ile mamy czasu?

– Pięć... dziesięć minut. Dzwoniła, że już idzie. Mów szybko!

– Nie mogę przy dzieciach! – syknęła Wiola. – Po co je zabrałaś?!



– Najpierw było zakończenie roku w przedszkolu, potem w szkole, a teraz świętujemy! To ich dzień, przecież wiesz – jęczała Kazia. – Zuzanna też tu przyjdzie z Wojtkiem.

– Spokojnie, załatwię to! – Przyjaciółka zrobiła minę agentki do zadań specjalnych.

Odwróciła się do Grzybka, który wciąż pełnił wartę przy wejściu do cukierni.

– Panie Stanisławie – szepnęła konspiracyjnym tonem. – Czy mógłby pan przez pięć minut popilnować dziewczynek? Wie pan... – tu pochyliła się ku uchu cukiernika – musimy z ich matką omówić pewne ważne sprawy!

Stanisław Grzybek uśmiechnął się szeroko. Do takich przysług nie trzeba go było długo namawiać.

– To co, dziewczynki, jeszcze po ciasteczku?! – zatarł dłonie z uciechy, przysiadając się do stolika.

– Duże, duże ciacho! – Różyczka uderzyła łyżeczką w talerzyk i wielki bryzg bitej śmietany poleciał prosto w oko Grzybka.

Zupełnie się tym nie przejął. Był w siódmym niebie.

\* \* \*

– No mów, o co chodzi... tylko przejdź od razu do sedna! – poprosiła Kazia, gdy przeniosły się do stolika w ogródku.

– Otóż pamiętasz, jak ci mówiłam, że mam kłopot z Jarosławem...

– A cóż ma piernik do wiatraka?!

– Oj, ty też jesteś jakaś uprzedzona, Jarosław nie jest żadnym piernikiem. – Wiola wydeła wargi, lekko naburmuszona.

– No jasne, jest wiatrakiem, od razu wiedziałam. A skoro to już ustaliłyśmy, skupmy się na Zuzannie...

– No więc dwa tygodnie temu pobiegłam do Kurzej Stopki, bo chciałam się poradzić Cecylii w sprawie Jarosława – ciągnęła niestrudzenie Wiola. – Zapomniałam, że i ona, i Zuzanna są na Ukrainie.

– No i? Do brzegu, do brzegu! – Kazia czuła, że traci cierpliwość.

– No i nie zastałam ich w domu! – powiedziała Wiola z taką miną, jakby ujawniła tajemnicę państwową.

– Niesłychane. – Ironia w głosie Kazi była aż nazbyt widoczna.

– Była za to Krystyna. Słuchaj, ona mi powiedziała takie rzeczy o tym Przygodzkim.... Ale takie rzeczy!

– Jakie znowu rzeczy ci powiedziała, Wiolka, skup się! Gadasz jak potłuczona! Przejdź do sedna, bo zaraz oszaleję!

– Krystyna, rozumiesz, przyszła do mojego zakładu...

– Do U Dalili?

– Tak, do U Dalili. I spotkała tam Karolinę Sokolnicką!  
– A kto to jest ta Sokolnicka? – Kazia ciągle nie mogła zrozumieć, jaki to wszystkim ma związek z ich Zuzanną i Przygodzkim.  
– No jak to! Kobieto! Przecież to jest żona Przygodzkiego!  
– A fakt! Już kojarzę! I co?  
– I wyszło szydło z worka. Okazało się, że oni wcale nie są rozwiedzeni. I że się nie rozwiodą – bo ciągle się spotykają. I w ogóle to ten Przygodzki bardzo Karolinę kocha. Co prawda to taki typ, który zawsze ma na boku jakiś romans, ale ona, w sensie Sokolnicka, mu to wszystko wybacza, bo to bardzo szlachetna kobieta jest. I dla dobra małżeństwa gotowa na wszelkie poświęcenia. A ta świnią, ten Przygodzki, ciągle skacze z kwiatka na kwiatek. Aktualnie, niestety, skacze na naszą Zuzannę. A my musimy jej to uświadomić, tylko wiesz, jakoś tak delikatnie, dyplomatycznie... W żadnym razie nie prosto z mostu, bo się obrazi! – zakończyła swoją tyradę Wiola.

Kazia nie zdążyła nic na to odpowiedzieć – choć po minie było widać, że informacje przemyczone w słowotoku rozmówczyni zrobiły na niej potężne wrażenie – ponieważ do ogródka wparowała trzecia z przyjaciółek. Dwa kroki za nią dreptali Wojtek oraz jego serdeczny przyjaciel Antek, z którym zdążył się już pogodzić po porannej bijatyce.

– Cześć, dziewczyny. – Zuzanna promieniała szczęściem. – Piękny dzień, prawda?

Przyjaciółki spojrzały na nią ponuro. Ten uśmiech, błyszczące oczy i zaróżowione policzki nie wróżyły niczego dobrego. W każdym razie nie w świetle tego, co zamierzały jej powiedzieć.

– Usiądź, proszę. – Kazia miała tak oficjalny ton, że normalnie Zuzanna byłaby zdziwiona. Teraz jednak jej myśli zaprzątnięte były czym innym.

– Ach, kochane, muszę wam powiedzieć coś ważnego... – zaczęła, ale Wiola uniosła rękę w jej stronę, jakby chciała zatrzymać rozpędzone słowa.

– Najpierw to my musimy ci powiedzieć coś ważnego.

– No dobrze. – Zuzanna przycupnęła na brzegu ażurowego krzeselka. – Mówcie! Ale zaraz potem ja. – Uśmiech powrócił na swoje miejsce.

– Musimy z tobą poważnie porozmawiać – zaczęła Wiola uroczystym tonem.  
– Mów, Kaziu! – dodała lekko, a przyjaciółka zrobiła taką minę, jakby właśnie otrzymała cios gorącym ziemniakiem.

– Ale dlaczego ja?! – zdenerwowała się Kazia. – Przecież to ty masz te wszystkie informacje.

Ziemniak wrócił w ręce Wioli.

– Ale ty lepiej mówisz. – Wiola była nieustępliwa, więc Kazia wreszcie skapitulowała.

– Chodzi o Przygodzkiego – zaczęła, a Zuzanna zamieniła się w słuch.

– On nie jest taki, jak ci się wydaje. To... to nie jest mężczyzna dla ciebie.  
– To łobuz i drań! – wtrąciła Wiola dramatycznym tonem. – I złodziej! –  
dodała zupełnie bez sensu.

– Musisz go sobie wybić z głowy, bo będzie tragedia! – perorowała Kazia.  
– Czy wyście oszalały! – Zuzanna poderwała się z krzesła tak gwałtownie, że  
prawie przewróciła metalowy stolik. – Dlaczego żeście się go uczepliły?!  
Przecież... przecież go wcale nie znacie! Ja... ja... – Wyraźnie brakowało jej słów,  
jednak nie była w stanie powstrzymać gniewu, który w niej wezbrał. – Zabraniam  
tak o nim mówić!

W duchu przeklęła się za to, że zamierzała opowiedzieć przyjaciółkom, jak  
wspaniale Adam stanął w obronie Wojtka, jaki był mądry, silny, męski i czuły. Jak  
odżyły w niej dawne emocje – no dobrze, odżyły już jakiś czas temu, tylko teraz po  
raz pierwszy pozwoliła, by doszły do głosu. Nie, tego się nigdy nie dowiedzą. Ani  
tego, że umówiła się z nim na randkę i to już jutro wieczorem! W ogóle, słowa  
z niej nie wycisną!

– Wojtek, Antek, idziemy do domu! – rzuciła twardo, kierując się do  
wyjścia.

– Ale... ale mieliśmy świętować, zjeść ciastka – protestowali chłopcy.  
– Weźmiemy na wynos. Tuzin... nie, dwa tuziny! Panie Stanisławie, są  
jeszcze te pyszne eklerki?

\* \* \*

Stalowy chopper Fąfary ryknął i zaparkował przed wejściem do apteki. Jak  
zawsze w czerwcu proboszcza ścigały demony przeszłości, uporczywe myśli i żale.  
W dodatku tego ranka mignął mu na drodze jego dawny druh, Gwidon, znów  
budząc kilka bolesnych wspomnień. Proboszcza tak nosiło, tak bardzo nie mógł się  
doczekać wieczornego brydża, że opuścił plebanię wcześniej. Postanowił po drodze  
kupić witaminy dla matki (Aldona Fąfara bardzo dbała o regularną suplementację),  
a przy okazji – tak sobie rozmyślał – zabierze Koczocika do Cecylii. Nie uprzedził  
go telefonicznie, że taki ma zamiar – był bowiem pewien, że jego karciany  
towarzysz natychmiast by się wymówił. Zbyt przerażała go jazda motorem, co –  
prawdę mówiąc – nieustająco bawiło Fąfarę. Niezbyt zgrabnie zlął z motoru  
i prawie się przy tym wywrócił. Od razu rozejrzał się dookoła, czy aby nikt nie  
widział jego drobnej wpadki – jako były student AWF-u i duszpasterz bractwa  
motocyklowego miał pewne ambicje... Nacisnął klamkę, ale drzwi apteki ani  
drgnęły. Cóż – westchnął – widocznie farmaceuta już poszedł na brydża.  
Teoretycznie apteka powinna być jeszcze czynna przez dziesięć minut, ale Wiesław  
Koczocik najwyraźniej postanowił w piątkowe upalne popołudnie skrócić nieco  
swoją pracę.

– Co?! Nie ma go? – usłyszał za plecami.

Odwrócił się. Pełen zawodu głos należał do listonosza. Nic dziwnego, że urzędnik Poczty Polskiej się zmartwił. Przytaszczył ogromną paczkę – a nieobecność adresata oznaczała, że będzie musiał się z nią przespacerować w drugą stronę. Fąfara rzucił okiem na pakunek i na sakwy przypięte po bokach swojego motoru.

– A może się zmieści? My się z panem Wiesławem zaraz zobaczymy, to mu przekażę.

– O, naprawdę? – ucieszył się listonosz. – Złoty człowiek z proboszcza.

– Nie przesadzajmy. – Fąfara pogłaskał się z upodobaniem po brodzie, nieudolnie skrywając zadowolenie. Co tu gadać, komplementy nie były mu obojętne. – Ciekawe, co też za niespodzianka kryje się w takiej wielkiej paczce?

Listonosz wzruszył ramionami.

– Ja tam nie wiem – powiedział – ale on często zamawia jakieś rzeczy przez internet. Zdaje się, że buduje jakąś makietę czy coś...

– Coś podobnego. – Krzaczaste brwi Fąfary powędrowały pod samą linię włosów. – Nie miałem pojęcia! Proszę, jak mało wiemy o bliźnich...

– Co prawda, to prawda – potwierdził listonosz. – Gdyby nie to, że podobnie jak księdza obowiązuje mnie tajemnica służbowa, to mógłbym powiedzieć to i owo. Na przykład o tej, tam, za torami...

Mówił, rzecz jasna, o właścicielce baru Pociąg do Pappardelle.

Fąfara powściągnął gwałtowny przypływ ciekawości, choć – oczywiście – kusiło go, ach jak go kusiło, żeby pociągnąć za język urzędnika pocztowego! Oparł się jednak bohatersko tej pokusie, pożegnał rykiem silnika i pomknął w kierunku willi Kurza Stopka.

\* \* \*

Ani listonosz, ani ksiądz nie byli świadomi tego, że są obserwowani jednocześnie z dwóch punktów: zza firanki chroniącej intymność Wiesława Koczocika w jego mieszkaniu na pierwszym piętrze nad apteką oraz przez okno baru Pociąg do Pappardelle. Irenie Sławińskiej udało się wreszcie wyregulować lornetkę i bacznie obserwowała zmagania proboszcza z klamką. Ona też chwilę wcześniej również próbowała przekroczyć próg apteki – bezskutecznie. Co więcej, dałaby sobie uciąć głowę, że słyszała zamykanie zamka i czyjeś kroki za drzwiami. Jakby ktoś pospiesznie zabarykadował się wewnątrz, widząc przez szybę zbliżającą się klientkę. Szyby były zmatowione do połowy, więc Sławińska nie była stuprocentowo pewna, czy rzeczywiście widziała swojego ukochanego Wiesława umykającego na zaplecze. Jej pełne nadziei i miłości serce łudziło się, że apteka była zamknięta już od paru minut, a ona po prostu pechowo trafiła. Postanowiła się jednak upewnić, dlatego trwała na posterunku z lornetką w dłoni.

– Co pani obserwuje? Ptaki? To chyba są kawki... – Sławińska nie usłyszała,

że Jurko wszedł na zaplecze baru i stanął tuż za nią.

Przestraszona pisnęła i opuściła lornetkę.

– Mój Boże, ależ mnie wystraszyłeś! A co ty tu robisz? Nie miałeś mi porządkować strychu?

– Przyszedłem właśnie powiedzieć, że skończyłem. – Chłopak uśmiechnął się z dumą. – I nie zgadnie pani, co odkryłem!

– No co? – zaciekawiała się Sławińska.

– Ma pani fantastyczną kolejkę elektryczną! Taką starą, z torami i domkami. Nie próbowałem tego składać, ale wygląda na to, że jeśliby ułożyć wszystko na podłodze, to zajęłoby cały strych!

– Ach, to! – Kobieta lekceważąco machnęła ręką. – To zabawki mojego byłego. Ile on pieniędzy przepuścił na te wagoniki! Godzinami potrafił leżeć na strychu i bawić się w zawiadowcę. Tak, chłopcze, niektórzy mężczyźni nigdy nie dorosleją...

– Czytałem, że takie kolejki są teraz bardzo cenne. Ludzie to zbierają...

Być może w innych okolicznościach Sławińska zainteresowałaby się tą informacją, jednak w tym momencie zauważyła, że coś się dzieje po drugiej stronie torów. Uniosła lornetkę. Tak, to obiekt jej westchnień, Wiesław Koczocik, wymykał się chyłkiem z apteki, rzucając zalęknione spojrzenia to w prawo, to w lewo.

– Uważaj – mruknęła Sławińska do siebie. – Tym razem nie wymkniesz się silnej kobiecie!

Po czym odwróciła się do Jurka.

– Postoisz trochę za ladą, młodzieńcze? Ja muszę na moment wyjść.

– Będzie pani obserwować kawki? Wie pani, że one wiążą się w pary na całe życie? – Jurko zdjął z wieszaka biały fartuch i przepasał się nim, na wypadek gdyby w barze pojawił się jakiś klient, przy którym trzeba by wyglądać profesjonalnie.

– Tak – odpowiedziała Sławińska – postaram się wziąć przykład z kawek.

\* \* \*

Niestety i tym razem plan pani Irenki spalił na panewce. Wiesław był czujny jak ptak, być może nawet jak kawka. Natychmiast spostrzegł zdeterminowaną postać przeskakującą przez tory... Gwałtownie przyspieszył, zaczął truchtać, a potem biec i wreszcie przerażony zniknął w lesie, gdzie przycupnął za bujnym krzakiem jałowca. Nie opuścił swojej kryjówki, póki nie zyskał pewności, że jego prześladowczyni zniknęła. Dlatego na brydżyka dotarł z czterdziestominutowym spóźnieniem. Zupełnie jak nie on – zawsze był bardzo punktualny...

Powitał go pomruk ulgi.

– No wreszcie! – zawołał Stanisław Grzybek. – Nie mogliśmy się kolegi

doczekać!

– I kto tu mi ciosa kołki na głowie, że zawsze się spóźniam?! – zagrział Fąfara. – Tym razem byłem kwadrans przed czasem. Sądziłem, że zastanę cię już na miejscu!

– Coś mnie... zatrzymało – mruknął niezadowolony Koczocik.

– Rozumiem. – Mina proboszcza zdradzała całkowity brak zrozumienia. – Odebrałem w twoim imieniu paczkę. Duuuużą paczkę. Będę cię musiał z nią potem odwieźć do domu.

– Wiem – wyrwało się Koczocikowi. – To znaczy... tak podejrzewałem.

– Czyżby dostawa ginkgo bilboa? – życzliwie zaciekawiał się Grzybek, przyglądając się stojącemu w kącie pakunkowi.

Aptekarz wyraźnie ucieszył się z tej podpowiedzi i już, już miał skinąć potwierdzająco, ale ubiegł go proboszcz.

– No co pan, panie Staszku, leki to poważne procedury, a nie paczki przynoszone przez wiejskiego listonosza...

Koczocik zmarkotniał i zrobił się mniejszy niż zwykle.

– Wieśku, uchylże rąbka tajemnicy! Co też kryje ten gabarytowy pakunek? – Fąfarę najwyraźniej bawiło zakłopotanie aptekarza.

– Jak na osobę duchowną to jesteś bardzo wścibski – próbował się jeszcze bronić, ale nic to nie dało.

– Niech pan nas nie trzyma w niepewności – włączyła się do rozmowy Cecylia. Tego dnia miała na sobie piękną suknię do ziemi w kolorze ciepłego oranżu, pasującą idealnie do koloru jej paznokci. Słusznie podejrzewała, że brydżowa gromada zechce świętować jej niedawne urodziny. Aptekarz popatrzył na nią z wyrzutem. „I ty, Brutusie, przeciwko mnie” – mówiły jego oczy.

Wreszcie westchnął i wykrztusił:

– To kolejka.

– Kolejka – zabrzmiały jednocześnie trzy głosy, a jeden bardziej zdziwiony od drugiego.

– No tak, kolejka. Miniatura pociągu z 1959 roku. W stanie idealnym. Wylicytowałem na Allegro... Nigdy wam tego nie mówiłem, ale... ale na poddaszu mojego domu zbudowałem makietę Starej Leśnej – tak jak wyglądała przed wojną. Domki, drzewa, jest nawet nasz kościół... No i tory kolejowe. Od dziecka miałem upodobanie do modelarstwa. Do tego dokupuję miniaturowe lokomotywy, wagony z różnych okresów historycznych. Potem to czyszczę, remontuję, oliwię, wszystko jest sprawne, wszystko jeździ. Niestety, od lat nie udaje mi się upolować miniatutki pociągu z 1938 roku, a wiem, że w latach siedemdziesiątych firma Piko wypuściła krótką serię... No cóż, może jeszcze mi się poszczęści. Dla takiego modelu byłbym w stanie zrobić naprawdę dużo.

Westchnął głęboko i się wyprostował. Widać było, że powierzenie

przyjaciółom tego „wstydlivego sekretu” przyniosło mu ulgę. Ba, wydawało się, że wyznanie prawdy dało mu siłę i że jest gotów przyjąć dowolną porcję kpin. Towarzystwo brydżowe przyglądało się statecznemu starymu kawalerowi ze zdziwieniem. Kto by pomyślał, że w tym niewielkim człowieczku kryje się pełne pasji dziecko! Aptekarz jednak mylił się, sądząc, że jego słabostka stanie się pretekstem do drwin. Pierwszy odezwał się Fąfara.

– Świetna sprawa. Też miałem kiedyś taką kolejkę... Wiesz co, Wiesiek, świnia z ciebie, żeś mi tego dotąd nie pokazał.

– Też bym chętnie rzucił okiem – dodał Grzybek. – Bardzo jestem ciekaw tej Leśnej sprzed osiemdziesięciu lat.

– Zabierzecie Wojtka – dodała Cecylia. – Jestem pewna, że będzie zachwycony. Panie Wiesławie, rzeczywiście, nie trzeba się było z tym ukrywać. Wie pan, mężczyzna z pasją zawsze jest bardziej interesujący...

Zaskoczony Koczocik promieniał. Wyprostował się i od razu jakby mu przybyło kilka centymetrów.

– Pani Cecyljo – przybrał najbardziej szarmancki ton, na jaki go było stać – nie mówmy już o mnie. To pani jest bohaterką dzisiejszego spotkania. Panowie, pragnę wznieść toast za naszą gospodynię i jubilatkę w jednej osobie!

Kieliszki z orzechową nalewką poszły w górę.

– Sto lat, kochana pani Cecylko! – zawołał rozentuzjasmowany Grzybek. – Sto lat!

– O przepraszam, nie ograniczajmy Pana Boga! – zagrział Fąfara. – Ja tam jestem pewien, że nasza droga Cecylia przeżyje nas wszystkich. W zdrowiu i urodzie. Jako osoba duchowna, a więc, mam nadzieję, poza wszelkim podejrzeniem, mogę sobie pozwolić na taką uwagę.

Cecylia Czaplisz uśmiechnęła się promiennie. Widać było, że życzenia sprawiają jej wielką przyjemność.

– Nie podlizuj się – rzuciła jednak Fąfarze. – I tak cię zaraz z Grzybkiem ogamy!

– To się jeszcze okaże – wtrącił bojowo Koczocik, któremu najwyraźniej zrozumienie dla jego pasji przez towarzystwo oraz porcja komplementów dodały pewności siebie.

I po raz drugi tego wieczoru wprowadził wszystkich w zdumienie.

\* \* \*

Budując swój dom na największej działce w Starej Leśnej, Robert Kozak wyciął praktycznie wszystkie stare drzewa. Oczywiście nie wolno tego robić, ale od czegoś są stosowne preparaty, które w ciągu paru tygodni unicestwiły kilka dorodnych dębów i buków. Bo o uschnięte drzewo któż by kopię kruszył. Kozak miał wizję nieskalanego niczym gładkiego trawniczka, na którym szczególnie

pięknie prezentowałyby się jego basen i po którym, w przyszłości – wciąż nie tracił na to nadziei – będzie biegać Onufry. A wiadomo, jakie są te chłopaki, zaraz im do głowy przychodzi, żeby łązić po drzewach, potem spadają i nieszczęście gotowe. Nie, Kozak był mężczyzną odpowiedzialnym, troszczył się o rodzinę i z tej troski wyrznął wszystko w pień. A raczej prawie wszystko. Przy samym domu, na wyraźne życzenie pani Kozakowej pozostał jeden rozłożysty dąb, którego gałęzie dochodziły do samego okna sypialni Roberta i Moniczki. Choć ostatnio przede wszystkim Moniczki, bo popadający w niełaskę mąż coraz więcej czasu spędzał na kanapie w salonie. Jego żona zaprosiła natomiast do sypialni świnkę miniaturkę – prezent, którym Robert pragnął na powrót wkupić się w jej łaski. Niestety, podarunek skazał go na tulenie się do zimnej i czarnej jak okrutna noc skórzanej sofy. O, zły losie!

A jednak dziś szczęście uśmiechnęło się do Kozaka. Tego sobotniego ranka dane mu było przytulić się do wyjątkowo łaskawej połowicy. Delektował się tą bliskością w promieniach przedpołudniowego słońca, które delikatnie przenikały przez obfite listowie. Ach, jak dobrze... byłoby – gdyż w koronie dębu uwił sobie gniazdo czyżyk. Niewinny, wróblowaty ptaszek już drugi raz tej wiosny doczekał się potomstwa, którego głośne krzyki nie pozwalały Robertowi Kozakowi w pełni cieszyć się porankiem. Małe czyżyki darły się wniebogłosy, czekając na porcję smakowitych robaczków. Głodny zrobił się także i szef firmy Kozak Gardens. Zwlókł się więc z łóżka, wsuwając stopy w kapcie-tygryski, i poczłapał na dół. Wszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Ułamał sobie spory kawałek kiełbasy – była mocno czosnkowa, taka jaką lubił. Wpakował ją do ust i szybko przełknął. W tym momencie przypomniał sobie, że przecież na górze śpi jego piękna żona, którą pragnął obudzić pocałunkami. Czy ostatnio nie mówiła mu, że odstręcza ją zapach czosnku? Kozak podsunął dłoń pod nos i chuchnął... Niczego nie poczuł, ale na wszelki wypadek nalał sobie mleka i wypił duszkiem. Słyszał gdzieś, że to neutralizuje niemiłe wonie. Potem otworzył drzwi tarasowe, przeciągnął się i... zamarł. Jego piękny, wypielęgnowany trawniczek przed domem wyglądał tak, jakby w ogrodzie doszło do desantu trzech batalionów nornic.

– Co do cho... – zaczął, ale nie musiał kończyć, bo to, co zobaczył, mówiło samo za siebie.

Po trawniku hasała świnka, co parę podskoków zatrzymując się i ryjąc w trawie swoim ślicznym różowym ryjkiem, który tak rozculił Moniczkę (co nie przeszkodziło jej wygonić świnki do ogrodu i proszę, oto efekty!). Towarzyszył jej również pies, któremu najwyraźniej podobała się zabawa w niszczenie trawnika. Tam, gdzie ona nie dokończyła ryjem, pies doprawiał łapami. Nigdy wcześniej tego nie robił! Jak to się w ogóle stało, że zwierzęta wydostały się z boksu?! Na pewno Monika nie domknęła drzwiczek, a tyle razy jej powtarzał... Rozjuszony Kozak wyskoczył z domu i złapał kij od szczotki, oparty o drzwi tarasowe. Cisnął



nim w kierunku Azy, która przestraszona uciekła ze skowytem. Zupełnie nie przestraszyła się natomiast świnka. Odbiegła kawałek i dalejże ryć ze zdwojonym entuzjazmem.

– Zaraz ci pokażę! – wykrztusił rozjuszony Kozak i rzucił się w pościg za zwierzątkiem.

No cóż, nie miał łatwego zadania, bo trawa była wilgotna, a on miał na sobie kapcie-tygryski. Natomiast świnka nie potrzebowała żadnych kaptów, wiała, aż się kurzyło, a w dodatku robiła wrażenie, jakby uważała tę gonitwę za świetną zabawę. Po chwili zdyszany Kozak zatrzymał się, rozważając, czy nie użyć podbieraka do ryb. Pomyśl nie był zły, więc cofnął się do domu i wyciągnął z szafy solidny sprzęt wędkarski, który kupił parę lat wcześniej. Ujął go w dwie ręce i powoli, powoli zaczął się skradać w stronę prosiaka... jeszcze krok, drugi i...

– Mam cię! – ryknął i wyskoczył do przodu, zarzucając siatkę na nieszczęsne zwierzę, które jednak nie zamierzało poddać się bez walki.

Świnka szarpnęła tak mocno, że wyrwała Kozakowi podbierak z rąk, a on sam wylądował rozciągnięty na trawie.

– Ile w tej bestii siły – zdumiał się i przyjrzał krytycznie prosiakowi.

Trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich trzech tygodni bardzo urósł. Niewykluczone nawet, że podwoił swoje gabaryty, choć od początku nie był tak mały, jak można by się spodziewać po miniaturce.

– Co jest z tą świnią nie tak?! – mruknął do siebie Kozak.

Postanowił zrekompensować sobie brak sukcesu w łapaniu prosiaka, zaganiając do boksu Azę. Gwizdnął przeciągle. Pies przyszedł, z łbem przy ziemi i podwiniętym ogonem.

– Do budy! – warknął Kozak, wskazując ręką boks. – Ale już, bo cię...

Tu wykonał gest, który miał oznaczać, że pies oberwie, jeśli się nie podporządkuje rozkazowi. Biedne zwierzę, szorując brzuchem po ziemi, dosłownie wpęzło do boksu. Kozak zauważył, że pod siatką został zrobiony sprytny podkop.

„To na pewno sprawa tej świni” – pomyślał i postanowił jeszcze tego dnia zlikwidować dziurę przy pomocy Jurka.

Co z tego, że była sobota. O właśnie, każe mu też uporządkować trawnik. Chłopak za bardzo się objął. Skoro ma czas na łożenie na spacer... Kozak widział go, jak szedł za rękę z dziewczyną. Czy to nie była ta mała, której ostatnio wszyscy szukali? Ta od Leszczyńskich? A, mniejsza z tym. Nie jego cyrk, nie jego małpy.

– No co się gapisz?! – ryknął na psa, który wlepił w niego swoje czarne spojrzenie. – Same mam z tobą problemy, ty, cholerna przyrodo!

Rozjuszony podniósł kij od szczotki i się zamachnął. Właściwie nie miał zamiaru uderzyć Azy, tylko ją solidnie wystraszyć. I to mu się udało, jednak w tym momencie usłyszał za plecami pełen gniewu kwik. Odwrócił się. Świnka pędziła prosto na niego. Najwyraźniej chciała bronić psa! Robertowi Kozakowi

przemknęła przez myśl scena z jakiegoś horroru, w którym rozjuszone świnie pożarły negatywnego bohatera. Nie, nie przestraszył się, skąd. Przecież był dorosłym mężczyzną, choć w kapciach-tygrysach i z kijem w dłoni. Po prostu było za wcześnie, nie miał ochoty na walkę wręcz czy też w ryj. Czym prędzej wsunął się do boksu za Azą i zatrzaskał drzwiczki. Trzymał je dla pewności, żeby świnka ich nie sforsowała. Tak, stanowczo urosła! Jednak świnka, widząc, że psu nie dzieje się już krzywda, spokojnie wróciła do rycia trawnika. Właściciel firmy Kozak Gardens postanowił dla pewności na razie nie opuszczać boksu. Wyciągnęła go stamtąd dopiero Moniczka, która w różowym peniuarku wyszła przed dom, by wypić poranną kawę w ogrodzie. Zrobiła to dosłownie w ostatniej chwili, bowiem czosnkowa kielbasa połączona z mlekiem wprawiła mister Kozaka w stan głębokiej niedyspozycji. Ledwie zdążył dobiec.

\* \* \*

– Pięknie, po prostu pięknie! – Krystyna ze zgrozą obserwowała swoją córkę, która przysiadła na stole kuchennym i wcinała eklerkę. – W naszym wieku, moja kochana, już się nie powinno fundować sobie takich bomb kalorycznych.

– W naszym wieku?! – Zuzanna popatrzyła na matkę w osłupieniu. – Przecież jestem twoją córką, więc jest między nami kilka dobrych lat różnicy?!

– Od pewnego momentu różnice się zacierają – ciągnęła Krystyna. – Dwadzieścia lat w tę czy we w tę – to nie ma znaczenia. Znaczenie ma prawidłowa dieta, moja kochana. Cukier należy z niej bezwzględnie wyeliminować. Cukrem karmią się komórki rakowe! – Zaciągnęła się z lubością papierosem i po chwili wypuściła szary obłoczek. – Lepiej popatrz na siebie, kochanie – w ostatnim roku znacząco przybyło ci tu i tam!

– Idę – powiedziała stanowczo Zuzanna, wrzucając niedokończoną eklerkę do kosza na śmieci.

– A dokąd to, moja panno, się wybierasz?! – Krystyna miała niezwykłą łatwość w przeskakiwaniu od „kobiety w naszym wieku” do „mojej panny”.

– Po preparat na szkodniki. – Zuzanna spojrzała na matkę tak, że ta zaczęła się zastanawiać, czy córka ma na myśli mszyce, czy może inne formy życia.

Zuzanna tymczasem wskoczyła do swojego volvo i pomknęła w kierunku ulicy Jelenia. Tam zahamowała z piskiem opon i wyskoczyła z samochodu tuż przed sklepem firmowym Kozak Gardens. Wszystko było nie tak. Przyjaciółki, które miały dać jej wsparcie, wykazały się całkowitym brakiem zrozumienia. Matka dokuczała jak zwykle. Mszyce mnożyły się na potęgę, żerując na dorodnych pąkach kwiatowych w ogrodzie willi Jolancin. A ona... ona nie miała się w co ubrać, a przecież umówiła się dziś na randkę, pierwszą od niepamiętnych czasów!

– Niechżeż pani uważa, jak pani lezie! – Pograżona w niewesołych myślach Zuzanna zupełnie nie zauważyła Moniczki Kozak, która akurat wychodziła ze

sklepu, niosąc kilka opakowań nasion trawy.

– Przepraszam, pani Moniko, jestem taka zmartwiona, że zupełnie nie wiem, na jakim świecie żyję – usprawiedliwiała się Zuzanna.

Moniczka przyjrzała się jej uważnie. Zawsze było jej trochę żal Zuzanny, tej biednej podtuczzonej szarej myszy. Dziś prezentowała się wyjątkowo smętnie.

– A co się stało? – zapytała Moniczka.

– Widzi pani, mam dziś ważne spotkanie, a nie mam się w co ubrać... – Zuzanna ugryzła się w język.

Nie rozumiała, dlaczego zaczyna się zwierzać żonie szefa, z którą przez wszystkie lata wymieniła kilkanaście, może kilkadziesiąt zdawkowych zdań. Pochodziły z zupełnie innych światów. Zuzanna od zawsze uważała żonę Kozaka za rozkapryszoną bogatą księżniczkę, która „leży i pachnie”, a o prawdziwym życiu wie tyle co nic. Natomiast Moniczka miała Zuzannę za osobę zaniedbaną, źle ubraną i niezbyt lotną, choć przyzwoitą. Tak, to, co do niej czuła, można by określić mianem współczucia zabarwionego poczuciem wyższości. Ją także zdumiała otwartość tej biedaczki, tego Kopciuszka, który nie potrafił dobrać koloru pończoch do butów, a butów do spódnicy – nie mówiąc o makijażu... Biedactwo! Moniczka, która była wyjątkowo czuła na wszystko, co związane z odpowiednią prezencją i garderobą, nagle poczuła przyływ ciepłych uczuć.

– Pani Zuzko – powiedziała – skoro nie ma się pani w co ubrać, to może pożyczę pani jakiś ciuch?

– Naprawdę?! – Zuzanna popatrzyła na Moniczkę z takim zdumieniem i takim entuzjazmem, że tej ostatniej serce żywiej zabiło.

Jeśli było coś, co uwielbiała, to stylizacje. Gdyby mogła jeszcze raz wybrać swoją życiową ścieżkę, na pewno zostałaby stylistką gwiazd. Tak, miała ten dryg, że umiałyby przerobić każdą kobietę w wampa. Nawet tę bidulkę Zuzannę! Normalnie poczuła się jak dobra wróżka, która zaraz przygotowuje Kopciuszka na bal!

– Niech pani idzie ze mną, zaraz panią zrobimy na bóstwo – powiedziała z uśmiechem.

Wyciągnęła w stronę Zuzanny wypielęgowaną dłoń zakończoną hybrydowymi szponami.

– Monika jestem – powiedziała, a potem przyciągnęła Zuzannę do siebie i wycałowała siarczyście w oba policzki.

\* \* \*

Zuzanna patrzyła na swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy w garderobie Moniczki. I nie wiedziała, czy to ona, czy nie ona. Nigdy, przenigdy nie wyglądała w ten sposób! Nigdy nie była taka... piękna? Uwodzicielska? Śmiała? Jej nowa „stylistka” przez parę godzin kazała jej przymierzać rozmaite sukienki – czarne,

białe, różowe, kuse, długie, bez pleców, ażurowe, satynowe... A garderobę miała imponującą – zajmowała spory pokój na piętrze. Zuzanna dotąd nie miała przyjemności zwiedzić domu swojego szefa i jego małżonki i teraz rzucała dyskretne – choć osłupiałe – spojrzenia to na prawo, to na lewo. Wszędzie pełno było wszystkiego – skórzanych kanap, kandelabrow, kunsztownie rzeźbionych mebli... Tak, państwo Kozakowie lubili przepych, wobec którego wnętrza willi Kurza Stopka wypadały nad wyraz skromnie. Skromna była również garderoba Zuzanny, jeśli ją porównać z zasobami Moniczki Kozak. Ta z zapałem dobierała teraz Zuzannie najwłaściwszą kreację. Po wielu nieudanych próbach („Ach, niestety, masz za dużą pupę! Nie, w tym widać, że ci sterczy brzusek. To ci skraca szyję. To cię jeszcze bardziej pogrubia... Czy słyszałaś o diecie paleo? Jest doskonała! Nie, to nie jest dla ciebie dobry kolor...”) – wreszcie wyciągnęła czerwoną sukienkę. Zuzanna, odrobinę już zrezygnowana, włożyła ją i... zamarła. Znieruchomiała także Moniczka, a potem zaczęła skakać po całej garderobie, klaszcząc w dłonie i popiskując: „Tak, tak, tak, to jest to!!!”.

Sukienka była z czerwonego jedwabiu. Góra portfelowa, z dużym dekoltem – idealnie leżała na kształtnych piersiach Zuzanny, eksponując to, co należy, w zmysłowy, ale też nieprzesadnie śmiały sposób. Spódnica – mocno marszczona i obfita, przywodząca na myśl styl lat pięćdziesiątych – ładnie podkreślała wcięcie w talii, które było jednym z atutów Zuzanny. Całość prezentowała się elegancko i seksownie. W sam raz na randkę.

– No, mamy to! – ucieszyła się Moniczka, a potem zanurkowała do szafy i wyciągnęła parę ślicznych szpilek w cielistym kolorze.

– Jaki masz numer buta? – zapytała.

– 38 – powiedziała Zuzanna.

– Idealnie. Taki sam jak ja. Załóż je!

Zuzanna wsunęła stopy w nowiutkie pantofelki. Nigdy nie chodziła na tak wysokich obcasach, ze zdziwieniem odkryła jednak, że szpileczki były wygodne.

– Cały sekret chodzenia na obcasach to dobrze wyważony but – powiedziała Moniczka z miną eksperta. – Jeśli jest dobrze skonstruowany, to można chodzić nawet na 20-centymetrowej szpilce i człowiek się nie zmęczy. Zrobimy ci jeszcze pazury pod kolor sukienki, przydymione oko, podkreślimy kości policzkowe, no i damy szminkę. O! – Zadowolona z siebie, wyciągnęła z kosmetyczki pomadkę w złotym etui i pomalowała usta Zuzanny na intensywnie czerwony kolor.

– To mi się podoba! – zawołała. – A powiedz no, z kim masz to ważne spotkanie? Poczekaj, sama zgadnę! Na pewno umówiłaś się z nowym sprzedawcą ze sklepu Roberta! Tak, to na pewno o niego chodzi – widziałam, jak na niego zerkasz!

Zuzanna uśmiechnęła się tajemniczo, ale nic nie odpowiedziała – a jej milczenie Moniczka wzięła za potwierdzenie swoich przypuszczeń. W życiu by się

nie domyśliła, że ten skromny Kopciuszek, ta grubawa i nieatrakcyjna pracownica jej męża, umówiła się na randkę z „milionerem, który robi w stali”. Nie, to jej się nie mieściło w głowie.

Zuzanna opuściła dom Kozaków pół godziny przed spotkaniem z Adamem. Wsiadła do samochodu i obejrzała swoją twarz w lusterku. Wyglądała... pięknie! Tylko ta czerwona szminka... Pasowała do sukienki, ale to było odrobinę za dużo. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i starła pomadkę z ust. Jej własne były wystarczająco ładne.

\* \* \*

Umówiła się, że pojedzie do Jolancina – bardzo, ale to bardzo nie chciała, by matka zobaczyła jej nowe wcielenie. Dodałaby dwa do dwóch i wyszłoby, że Zuzanna spotyka się z Przygodzkim. A tego najmłodsza pani Czaplicz pragnęła uniknąć. Była tak zdenerwowana czekającą ją randką, że nikomu się do niej nie przyznała. Nawet ukochanej babce.

Teraz wjeżdżała powoli w ulicę Czeremchy. Przemknęło jej przez myśl: „Jeszcze mogę się wycofać. Zawrócę, w domu doprowadzę się do porządku, wyślę esemesa, że jednak to zły pomysł”. Nacisnęła hamulec.

„Ale dlaczego zły? Dlaczego nie miałabym spróbować? Mam resztę życia spędzić, słuchając docinków matki? Kazia z Wiolą mają za mnie podejmować decyzje? Chcę zrobić wreszcie coś dla siebie” – mówił w jej głowie cichy, uparty głosik, którego nie słyszała od wielu, wielu lat. Dodała gazu. Zawadiacko zaparkowała pod samym ogrodzeniem, wzbijając tuman kurzu.

Otworzyły się drzwi. Adam wyszedł na ganek. Nie widziała go, ale domyślała się, że to on. Nagle straciła całą pewność siebie. Czy się nie wygłupi? Co on o niej pomyśli?

– Zuzanna, weź się w garść! – zgromiła się szeptem i mocno uszczypnęła w udo.

No, raz kozie śmierć.

Otworzyła drzwiczki. Wyszła. Obciągnęła sukienkę. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i wyłoniła się zza auta. Teraz go zobaczyła.

I on zobaczył ją.

Uważał, że Zuzanna jest sympatyczna. Sądził, że ma miły uśmiech. Podobał mu się jej głos i oczy, które zmieniały barwę w zależności od nastroju i w których tak łatwo można było czytać. Ale generalnie Zuzanna nie była kobietą, za którą Adam obejrzałby się na ulicy. Zaprosił ją na randkę, bo bardzo ją polubił i chciał przebywać w jej towarzystwie.

Teraz nie wierzył w to, co widzi. Stała przed nim olśniewająco piękna kobieta. Pełna ciepła, uroku, seksowna. Jeśli wcześniej wydawało mu się, że ma jakiś „typ”, który go pociąga, teraz musiał przyznać, że kompletnie się pomylił. Ta

nieco pulchna, niezbyt wysoka szatynka uosabiała wszystkie jego marzenia.

Stali tak przez chwilę, oboje onieśmieleni, niepewni siebie nawzajem. On pierwszy się uśmiechnął.

– Wyglądasz wspaniale. Zarezerwowałem stolik na dziewiętnastą, ale jeśli chcesz wcześniej wypić kieliszek wina... Mam w lodówce prosecco – powiedział.

„Kieliszek wina dobrze mi robi. Jestem tak stremowana, że bez tego chyba nie wyduszę z siebie ani słowa” – pomyślała spłoszona Zuzanna i lekko kiwnęła głową.

Adam podał jej ramię i poprowadził do domu.

W środku oszałamiająco pachniały fioletowe i beżowe lewkonie, których ogromny bukiet stał na szafce pod lustrem, naprzeciwko drzwi wejściowych. Adam wyjął z kredensu w kuchni kryształowy kieliszek na długiej nóżce, sprawnie otworzył wino i nalał.

Zuzanna wypijała wszystko duszkiem.

– Nie myśl, że mam problem z alkoholem – zaśmiała się, widząc jego zdumione spojrzenie. – Właściwie rzadko piję. Nie mam kiedy – praca, dom, sam rozumiesz. Po prostu... głupio mi to powiedzieć, ale od dawna nie byłam na randce. Mam tremę. Pomyślałam, że dawka uderzeniowa bąbelków mnie ośmieli i będę się swobodniej zachowywać.

Adam westchnął.

– Szkoda, że ja nie mogę skorzystać z tego sposobu. Za chwilę wyjeżdżamy, jako kierowca nigdy nie piję. Ale... ja także od lat nie byłem na randce! – zaśmiał się.

– A twoja żona?

– Z Karoliną wiele mnie łączyło: firma, znajomi, dom. Ale ostatnio byliśmy bardziej jak partnerzy biznesowi niż przyjaciele czy kochankowie. Brunchy, lunche z jej ważnymi klientami, spotkania z jej ojcem, zawsze byłem spięty, czułem się na cenzurowanym. Jak... o, jak Szalej, gdy za wysoko mu trzymasz kij. Skacze, chce złapać, ale ciągle nie doskakuje. Jego też taka zabawa nudzi!

Zuzanna odstawiła kieliszek na blat. Zadumała się. Stali chwilę bez ruchu. Potem Adam podał jej ramię i wyszli do samochodu. Otworzył Zuzannie drzwi i pomógł wsiąść – nadproże w terenówce było dość wysoko, zwłaszcza dla kobiety balansującej na niebotycznie wysokich szpilkach.

W Starej Leśnej była cukiernia Stanisława Grzybka, modna wśród licealistów Oranżeria Cafe i bar Ireny Sławińskiej, Pociąg do Pappardelle. Z oczywistych powodów Zuzanna nie chciała pojawiać się z Adamem w żadnym z tych lokali, ale też żaden z nich, jego zdaniem, nie nadawał się na ich spotkanie. Dlatego zarezerwował stolik w restauracji w centrum Warszawy.

Przygodzki lubił dynamiczną jazdę, więc szybko znaleźli się na autostradzie. W trakcie drogi opowiadał jej o tym, jak dobrze czuje się w Jolancinie, jak się

urządza. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że lubi stare meble i z zapalem odwiedza pobliski pchli targ, wynajdując raz wiekową serwantkę, innym razem komplet dębowych krzeseł, następnie etażerkę z przetrąconą nóżką... Zuzanna śmiała się i mówiła, że mu zazdrości – podobnie urządziłaby własny dom, ale musi dzielić go z matką, która ma zupełnie inny gust...

– Ale to wasz dom, Kurza Stopka, był dla mnie inspiracją! Nigdzie dotąd nie czułem się tak bezpiecznie i komfortowo. I postanowiłem, że pożyczę sobie trochę tego waszego ciepła... Prawie się udało, zwłaszcza że mam Szaleja. Ale jednak bez rodziny nawet najwspanialsza willa jest pusta – westchnął Adam.

Dojechali. Zaparkował przed secesyjną kamienicą, na parterze której mieściła się restauracja.

– Polska kuchnia? Byłam pewna, że zaproponujesz coś włoskiego albo angielskiego! – zdumiała się Zuzanna.

– Angielska kuchnia jest okropna. Poza tym nasza jest wspaniała, tęskniłem za tymi smakami w Londynie. – Adam uśmiechnął się.

Młody szef sali przywitał ich przy drzwiach i poprowadził do malutkiego stoliczka, tuż przy oknie. Adam odsunął Zuzannie krzesło. Podano karty. Zamówili. Kelner napełnił pękate kielichy wodą.

Zuzanna czuła się nieswojo. Próbowwała przypomnieć sobie, kiedy była w tego typu lokalu. Może na osiemdziesiąte urodziny Cecylii? Rocznicę ślubu Kazi i Ludwika? Tak, chyba wtedy: jakieś dziesięć lat temu. Od tamtej pory jej światowe życie ograniczało się do kawy i napoleonki w cukierni Stanisława Grzybka, ewentualnie dietetycznej i niesmacznej sałatki w Oranżeria Cafe, jeśli akurat po raz enty usiłowała schudnąć.

Wiola, wróżąc jej z kart w lutym, powiedziała, że to niemożliwe, by w życiu Zuzanny pojawił się mężczyzna.

Od rozstania z Tomaszem parę razy próbowała się z kimś umówić.

Raz – z kolegą Ludwika z czasów studiów na Politechnice. Facet był wysoki, tyczkowaty, miał okulary lenonki i nieznośną manierę zwracania się do kobiet *per* „żabcu”, nawet na pierwszej randce. Poza tym jego pasją były sprinty z parteru na piętnaste piętro wieżowca z plecakiem pełnym konserw. Twierdził, że to idealny sposób, by wyrobić sobie żelazne mięśnie. Zapytał, czy Zuzanna chciałaby je obejrzeć. Nie chciała. Więcej się nie spotkali.

Drugi raz – z sympatycznym blondynem z serwisu Sympatia.pl. Konwersowali przez dwa tygodnie, wymieniali się zdjęciami, Zuzanna nawet go polubiła. Miała nadzieję, że przy pierwszym spotkaniu zaiskrzy, jednak okazało się, że blondyn kompletnie nie przypadł jej do gustu. Rysy twarzy były te same co na zdjęciu, ale... dochodziła do tego mimika. Blondyn strzelał oczkami na prawo i lewo, wszystkie wypowiedzi kierował raczej w stronę biustu Zuzanny, a nie patrząc jej w oczy. No i klął jak szewc, co Zuzannę mocno do niego zraziło. Potem

próbował jeszcze podtrzymać kontakt, ale zerwała tę znajomość, wyjaśniając blondynowi, że to pomyłka i lepiej, by nie marnował czasu. Wpadł w szal i wysłał jej wiadomość pełną obelg. Na jakiś czas Zuzannie odechciało się randek, no i wirtualnych znajomości.

Trzeci raz o spotkanie poprosił ją brat jednego z klientów, poznała go, projektując niewielki ogród w miasteczku obok Starej Leśnej. Widywali się przez kilka miesięcy. Zuzanna miała nadzieję, że coś z tego będzie, bo Bartek był opiekuńczy, inteligentny i zwyczajnie miły. Ale jej plany na przyszłość pogrzebała niezwykle emocjonalna reakcja Wojtka. Panowie – Wojtek miał wtedy osiem lat – wyraźnie się nie polubili. Po pierwszym spotkaniu w trójkę – poszli do kina, na hot dogi – Wojtek wieczorem dostał wysokiej gorączki. Przed drugim rozchorował się, miał torsje, błagał, żeby Zuzanna nie wychodziła z domu, nie zostawiała go. Zuzanna zadzwoniła do Bartka, przeprosiła go, wytłumaczyła, o co chodzi. On chwilę milczał. „To nie ma sensu. Nie będę wchodził w paradę mężczyźnie twojego życia. Daję spokój. Nie byliśmy sobie pisani” – powiedział i pożegnał się szybko.

Wtedy bardzo żałowała tej znajomości. Przez kilka dni popłakiwała. A potem uznała, że ta sfera życia jest na zawsze zamknięta. Wojtek był mężczyzną jej życia i przede wszystkim musiała myśleć o nim, o tym, co dla niego dobre. A poza tym... ewentualni kandydaci na partnerów raczej ją rozczarowywali. Zresztą w ogóle męski świat ją rozczarowywał. Nie tęskniła za związkiem. Miała w życiu dużo miłości, rodzinę, przyjaciółki.

„Nie da się mieć wszystkiego” – skwitowała po prostu i postanowiła nie zaprzętać sobie głowy romansami.

Teraz jednak było inaczej. Wojtek dorastał i Zuzanna zdawała sobie sprawę z tego, że trudno będzie mu przeciąć pępowinę z domem rodzinnym, odciąć się od trzech samotnych kobiet i pójść swoją drogą. A jako matka właśnie tego dla niego pragnęła. Żeby wyfrunął z gniazda, miał długi i piękny lot. No a... Adam uosabiał spełnienie marzeń Zuzanny. Lubiała w nim nawet wady: nadmierną pedantyczność, obsesyjne przywiązanie do szczegółu i fakt, że – jak sam jej się zwierzył – układał w szufladach skarpetki kolorami. Śmiała się z tej jego tajemnicy tak, że aż łzy popłynęły jej po policzkach, a on nawet trochę się obraził, nie na długo na szczęście.

– O czym tak dumasz? – zainteresował się teraz Przygodzki, bo Zuzanna od kilku chwil pozostawała zatopiona w swoich myślach.

Adam przez chwilę obserwował z przyjemnością jej nieobecny uśmiech, błędzące, jakby senne, spojrzenie. Przyłapał się na tym, że wyobraża ją sobie nago. Sukienka była piękna, ale po raz pierwszy zapragnął zobaczyć, co się pod nią skrywa. Zadał pytanie, bo nie chciał się pograżać w tych fantazjach. Chciał być tu i teraz z Zuzanną.



– Ach, o niczym specjalnym. Pomyślałam, jakie to dziwne, że znów się spotkaliśmy. Świat jest jednak bardzo mały.

Adam się uśmiechnął.

– Nigdy cię o to nie pytałem, ale dlaczego na studiach nie chciałaś się już ze mną spotykać?

– Ja nie chciałam? Odniosłam wrażenie, że to ty nie byłeś mną zainteresowany! No i miałam wiele zmartwień: mama dochodziła do siebie po chorobie i mastektomii. Musiałam się nią opiekować... – westchnęła Zuzanna.

– A potem pojawił się Tomasz i zaszłaś w ciążę. O mnie zapomniałaś – przypomniał.

Zuzanna uciekła wzrokiem i spłoszyła się.

– Mniej więcej. Ale w tym samym czasie doszły mnie słuchy, że się żenisz... – odbiła piłeczkę.

– Co się odwlecze, to nie uciecze, jak słusznie mówili nasi pradziadowie. Teraz już nikt mi ciebie nie porwie. Mnie też raczej nikt nie porwie, bo moja żona postawiła na mnie krzyżyk. Tak bardzo nie chce jej się mną zajmować, że nawet sprawa rozwodu przestała ją interesować... No cóż, muszę się tym zająć, nie lubię mieć niezamkniętych spraw i bałaganu w życiu. – Adam skrzywił się lekko.

– Trochę bałaganu nie zawadzi... Nie masz z Karoliną kontaktu? – Zuzanna postanowiła wy badać sprawę.

– Nie. Przepadła kilka miesięcy temu, nie odbiera telefonów, chociaż moja matka wspominała, że się z nią widziała, bo podobno jest w Polsce. Tym dziwniejsze, że nie chce zakończyć naszego małżeństwa, a przecież niedawno na to nastawała – zadumał się Adam.

– Może zmienimy temat. Ten nie jest zbyt miły. Chcesz, opowiem ci o planach wakacyjnych Wojtka. Już zimą zapisałam go na szkołę przetrwania na Mazurach. Wydawało mi się, że to dobry pomysł dla chłopaka w jego wieku. Łowienie ryb, budowanie szałasów... – zaczęła opowiadać Zuzanna.

Adam wyraźnie się ożywił, dopytywał o szczegóły, wspominał własne wakacje i harcerskie obozy. Znów się śmiali i przekomarzali, zapanował beztroski nastrój i w takim zakończyli kolację. Adam podziękował za deser, poprosił jedynie o podwójne espresso, natomiast Zuzanna nie oparła się pokusie zjedzenia tortu malinowego z musem z gorzkiej czekolady.

Wychodzili z restauracji po dziesiątej. Trzy godziny minęły bardzo szybko! Drogę powrotną pokonali prawie w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Ale nie była to cisza, która wprawiałaby ich w zakłopotanie. Przeciwnie – milczało im się dobrze. Ulice Warszawy były puste, przemykały po nich tylko taksówki, od jednej dyskoteki do drugiej. Na autostradzie też byli prawie sami, ale Adam prowadził bezpiecznie, nie wykorzystywał okazji, by pędzić. Przecież im się nie spieszyło.

Przejechali przez cichą i szykującą się do snu Starą Leśną. Adam zaparkował koło volvo Zuzanny, otworzył jej drzwi i szarmancko pomógł wysiąść z auta.

Stali naprzeciw siebie. Nagle zgasła latarnia na ulicy i wszystko pogrążyło się w mroku. Adam się zaśmiał.

– Chyba niebiosy nam sprzyjają. Nie możesz zobaczyć, jaki mam wyraz twarzy. A prawda jest taka, że bardzo chciałbym cię zaprosić do środka, choć wiem, że dzisiaj nie mogę na nic liczyć...

Zuzanna wyciągnęła dłoń i w ciemności przesunęła palcami po jego szorstkim policzku. Poczowała zapach drewna, ambry i mchu. Przymknęła oczy i pozwoliła, by to od wielu lat zapomniane uczucie ciepła rozlewającego się powoli po całym ciele zupełnie nią zawładnęło.

Stali tak przez chwilę bez ruchu. Wysoko, nad głowami, odezwał się słowik. Było tak pięknie, że brakowało już tylko jednego.

I stało się. Adam ujął twarz Zuzanny w swoje dłonie i zbliżył usta do jej ust. Pocałował ją. Najpierw ich wargi musnęły się kilka razy delikatnie, jakby sprawdzali, czy im się to spodoba, czy mają ochotę na więcej. Mieli. Całowali się namiętnie, łapczywie, jakby tęsknili za dotykiem tego drugiego od wielu lat.

Słowik uciał trele.

Wewnątrz willi rozszczękał się Szalej. Odskoczyli od siebie, nagle spłoszeni tym, co między nimi zaszło.

– Nie. Nie możesz dziś na nic liczyć. Ale zobaczymy się jeszcze, więc wszystko przed nami, prawda? – zapytała cicho Zuzanna.

Adam ujął jej dłoń i złożył na niej gorący pocałunek.

– Tak. Wszystko przed nami – powiedział radośnie.

## IX

Drzwi trzasnęły tak mocno, że o mało nie wypadły z futryny. Trzy kobiety, babka, matka i córka, natychmiast podskoczyły i jak na komendę odwróciły się w stronę wejścia. Od kilku chwil siedziały w milczeniu nad plackiem z czereśniami. Choć był pyszny (inne nie wychodziły spod ręki Cecylii), jakoś żadna z nich nie miała apetytu. Wojtek po raz pierwszy sam wyjeżdżał na wakacje i każda z pań Czaplicz musiała sobie poradzić z uczuciami, których wcześniej nie doświadczała. A przynajmniej – nie w takim natężeniu. Cecylia była dumna z prawnuka. Oto kolejne pisklę zaczyna latać i lada moment wzbije się naprawdę wysoko. Rozpierała ją radość: wiedziała, że to także jej dzieło. Zuzanna oczywiście się zamartwiała: bo co będzie, jeśli się skaleczy, zachoruje albo trafi na niedobre dzieciaki? Takie kolonie to zawsze jest loteria – a na obozie przetrwania, gdzie dwunastolatki były najmłodszą grupą wiekową, naprawdę mogło być różnie. Krystyna zaś musiała zapanować nad irytacją. Uważała cały ten wyjazd za zwykłą fanaberię, i to nietanią. Po kiego czorta ruszać się z domu, jeśli mieszka się w ładnym zielonym miejscu, otoczonym lasem, ogrodem i dobrym czystym powietrzem? Tutaj przynajmniej można kontrolować to, co Wojtek robi, a na wyjeździe na pewno wpadnie w złe towarzystwo i zaprzepaści szansę na szczęśliwą przyszłość. Ale jej córka oczywiście się uparła, a matka jak zwykle wzięła stronę wnuczki...

Wszystkie te rozmyślenia przerwał sam Wojtek, który wpadł do kuchni jak bomba.

– Nie uwierzycie – wysapał zdyszany. – Nie uwierzycie, co dostałem! Prawdziwą gitarę, na własność!

– No, to ktoś musiał poznać twoje najskrytsze marzenie – uśmiechnęła się Cecylia.

Przyszło jej od razu do głowy, że prezent to sprawka Przygodzkiego. Widziała, jak dobrze dogaduje się z Wojtkiem, sądziła więc, że postanowił sprawić mu przyjemność przed wyjazdem. Identyczna myśl wpadła do głowy Zuzannie – nawet się zdziwiła, że nie wywołuje to w niej wewnętrznego buntu. Ba, poczuła ciepło wokół serca. Jej oczy rozbłysły na wspomnienie ostatniego spotkania z Adamem.

A jednak wszystkie te spekulacje okazały się nietrafione. Bo Wojtek, wyjąwszy z futerału stary, oblepiony naklejkami instrument, oświadczył:

– Dostałem ją od proboszcza Fafary. Powiedział, że od lat jej nie używa, a usłyszał niedawno, jak próbujemy sobie z Antkiem...

– Kolejne fanaberie – jęknęła Krystyna. – Wszyscy tylko rozpieszczają tego dzieciaka. Naprawdę nie wiem, co z niego wyrośnie.

– To bardzo miło z jego strony. – Cecylia wyciągnęła rękę po gitarę

i przesunęła palcami po gryfie. Struny wydały cichy jęk. Stanowczo trzeba je było nastroić. – Bardzo się cieszę, że będziemy mieć w domu muzykę na stałe. – Pogładziła prawnuka po włosach. – Przygotowałeś już swój plecak?

– Ja? Myślałem, że mi pomożecie? – zdziwił się Wojtek.

– No co ty, Buniu! – Zuzanna poderwała się z krzesła, gotowa brać się do pakowania, ale szczupłe ramię babki powstrzymało ją w pół kroku.

– Jak ktoś jedzie na obóz przetrwania, to jego pierwszą misją powinno być przygotowanie swojego ekwipunku – powiedziała stanowczo.

A gdy wnuk zniknął w pokoju na górze, szepnęła do Zuzanny:

– Zdążymy sprawdzić przed wyjazdem, czy wszystko spakował.

– Zachowanie mamy wcale mnie nie dziwi – mruknęła Krystyna. – Mama zawsze była zwolenniczką zimnego chowu cieląt!

– A co ty opowiadasz, Kysiu! Nie chodzi o zimny chów, tylko o danie dzieciakowi odrobiny niezależności! Gdy dostaje dorosłe zadanie do wykonania, zaraz się czuje dojrzały. I powoli taki się staje.

– I właśnie to mnie martwi. – Krystyna nie umiała przegonić fatalistycznej wizji, w której Wojtek wyjedzie na dwa tygodnie bez odpowiedniej liczby majtek, skarpetek i ciepłych bluz. Na pewno się przeziębi, zapalenie płuc ma murowane i kto wie, co jeszcze gorszego!

– Jednak pójdę mu pomóc. – Zuzanna popatrzyła na Bunię prosząco. – On naprawdę jest jeszcze mały.

– Moja kochana, rób, jak uważasz. Ale ja bym pozwoliła mu spakować się samemu, a potem ewentualnie sprawdziłabym, jak mu poszło. Czy chcesz go wychować na mężczyznę, który będzie pytał matkę, ile ma wziąć par majtek w delegację? Dzieci chowamy dla świata, nie dla siebie – dobrze, by umiały ten świat sensownie obsługiwać. A mogą zacząć, na przykład, od plecaka.

Zuzanna nic nie odpowiedziała. Trudno było jej się przyznać do tego, że tym razem, zupełnie wyjątkowo bliższa jej była postawa matki, która szorstkimi słowami i ponurymi wizjami próbowała zamaskować delikatny smutek. Oto ich ukochany chłopczyk powoli staje się nastolatkiem i tylko patrzeć, jak przemieni się w mężczyznę. Tak, wiedziała, że nie urodziła go dla siebie. A jednak chciała się nim cieszyć jeszcze chwilę. Dlatego była gotowa pójść na górę za synem, ale w ostatniej chwili zmieniła kierunek i udała się do drzwi wejściowych, bo ktoś energicznie do nich pukał.

W progu stał Przygodzki. Na widok Zuzanny oczy rozblęły mu tym dziwnym blaskiem, który znają tylko zakochani.

– Witaj – wyszeptał i pochylił się, by ją pocałować, ale cofnęła się z przestachem i szybko zerknęła za siebie.

Nie chciała, aby babka i matka zobaczyły ich zbyt serdeczne powitanie. Zrozumiał. Wyprostował się i rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie.

– Witam panie – powiedział, przestępując próg kuchni.

Cecylia podała mu dłoń, a on pochylił się i złożył pełen szacunku pocałunek tuż nad jasnofioletowymi paznokciami, które idealnie komponowały się ze starym pierścieniem z ametystem.

Krystyna poderwała się z krzesła. Za wszelką cenę chciała uniknąć podobnej poufałości.

– Chciałam właśnie pomóc Wojtkowi spakować się na obóz. – Zuzanna ze zgrozą poczuła, że oblewa się rumieńcem, gdyż Adam rzucał jej tak rozognione spojrzenia, że mogłyby podpalić bukiet ubiegłorocznych nieśmiertelników, który stał na oknie.

Na wszelki wypadek odwróciła się więc plecami do matki i babki, udając, że szuka czegoś w szufladzie na ściereczki.

– Z tego, co rozumiem, to ma być męska wyprawa – powiedział Przygodzki. – Pozwolą panie, że się tym zajmę. Mam doświadczenie w wyjazdach na obozy i – proszę mi wierzyć – to są męskie sprawy. A potem zawiozę was do autokaru.

– To naprawdę miło – powiedziała Cecylia. – Nie wypuszczę pana jednak, póki nie skosztuje pan placka z czereśniami.

– Nigdy bym sobie nie odmówił takiej przyjemności. – Adam uśmiechnął się.

– Jak nie urok, to przemarsz wojsk – mruknęła pod nosem Krystyna i wyjęła z chlebaka kawałek suchej chałki.

Postanowiła pokruszyć go Kulczybie. Towarzystwo stukniętej kury było jej milsze niż konieczność patrzenia na tego lowelasa, który kręcił się w pobliżu jej córki. Na szczęście na tym świecie są jeszcze osoby obdarzone zdrowym rozsądkiem. Na przykład ona, Krystyna, która nigdy nie dopuści do tego, by taki typ spod ciemnej gwiazdy zmarnował życie jej jedynaczki. Dlatego, gdy Zuzanna, Wojtek i Adam pakowali się do czarnej terenówki, nie omieszkała podbiec do płotu i zawołać:

– Tylko proszę mi nie wracać za późno! Słyszysz, Zuzanno?! Mamy do pomówienia!

Zuzanna udała, że nie słyszy. A może faktycznie nie słyszała?

\* \* \*

Na próżno Krystyna czekała na córkę, układając niekończącego się pasjansa w kuchni Willi Kurza Stopka. Stojąca przed nią popielniczka wypełniła się po brzegi niedopałkami. Wiszący w salonie stary zegar zadzwierczał srebrzyście najpierw dziesięć, potem jedenaście i wreszcie dwanaście razy. Zuzanny ciągle nie było. I nic nie wskazywało na to, by miała wrócić do domu. Wreszcie Krystyna skapitulowała i położyła się do łóżka, jednak zasnąć udało jej się dopiero, gdy łyknęła tabletkę – wcześniej przewracała się z boku na bok, a przez głowę

przemykały jej coraz czarniejsze myśli. Nie była ślepa. Widziała, jak na siebie patrzyli, jak rumieniec wypłynął na policzki zwykle opanowanej córki, gdy ten mężczyzna dotknął jej dłoni. Nie miała wątpliwości, że jej jedynaczka zakochała się po uszy, a ze strony Przygodzkiego była to tylko strategia. Jak to dobrze, że wtedy w salonie U Dalili spotkała Karolinę Sokolnicką! Dzięki niej poznała prawdziwe oblicze Przygodzkiego i wiedziała, że jest to człowiek pozbawiony wszelkich skrupułów. Jego gra nastawiona była na jedno: zdobyć zaufanie, zawładnąć sercem prostytutkowej dziewczyny, a następnie wykorzystać – i odejść. Najgorsze, że – sądząc po całonocnej nieobecności Zuzanny – wykorzystaniu nie dało się już zapobiec...

Gdy wyczerpana Krystyna osunęła się w ramiona Morfeusza, przyśniło jej się, że jest młodą dziewczyną i namiętnie całuje się w ogrodzie z jakimś chłopakiem. Właściwie nie jakimś. Dobrze wiedziała, kto to był. I może właśnie dlatego obudziła się rano w jeszcze gorszym humorze. Od razu pobiegła do pokoju córki – oczywiście jej łóżko było nietknięte. Zrezygnowana poczłapała więc na dół. Cecylia już siedziała przy stoliku i popijała kawę. Była radosna jak skowronek.

– No i co, Krysiu? Jak ci się spało?

– Mama się jeszcze pyta?! Jak miało mi się spać, kiedy moja córka nie wróciła na noc do domu!

– Naprawdę?! – Cecylia udała zdumienie. – Czy to wypada?! Doskonale cię rozumiem, kochanie, jak też uważam, że dziewczyna pod czterdziestkę powinna pytać matkę o zgodę, gdy chce spędzić noc z mężczyzną.

– Mama nie rozumie powagi sytuacji – syknęła Krystyna. – Gdyby mama wiedziała to co ja, na pewno by nie ćwierkała jak ptaszek.

– A co też powinnam wiedzieć? – zaciekała się nestorka rodu Czapliczów.

– Otóż parę tygodni temu, gdy jeździłyście po Wołyniu, poszłam do zakładu, w którym pracuje Wiola.

– Do Dalili? – zdziwiła się Cecylia.

Krystyna zawsze skąpiła na takie błahostki jak uroda.

– Właśnie tak! Uległam słabości, ale okazało się, że była to ręka Opatrzności. Mama nie zgadnie, kogo tam spotkałam.

– Rzeczywiście, nie zgadnę...

– Karolinę Sokolnicką! Żonę Przygodzkiego! – Krystyna spojrzała na matkę triumfalnie.

– Chyba była żoną – poprawiła ją Cecylia.

– Otóż przypadkiem trafia mama w sedno problemu: ona nie jest jego byłą żoną, tylko całkowicie aktualną. I nic nie wskazuje na to, by ten stan miał się w najbliższym czasie zmienić!

– Ależ to niemożliwe, Krysiu. Mam wiadomości z pierwszej ręki. Ja z nim rozmawiałam, kochanie.

– To kłamca, notoryczny! – huczała Krystyna. – Ta biedna żona musi znosić jego nieustanne skoki w bok. Robi to w imię nierozzerwalności świętego węzła małżeńskiego.

– Ciekawe, bo zdawało mi się, że pan Adam wspominał, iż nie brali ślubu kościelnego...

– Wszystko jedno, tu chodzi o zasady! On jest notorycznym motylkiem, skaczącym z kwiatka na kwiatek i zaliczającym kolejne naiwne. Ale ona, Karolina, mu wybacz. I powiedziała mi, że Zuzannę też mu wybacz, bo... bo oni się naprawdę kochają!

– Rozmawiałas z nią o Zuzannie? – Cecylia zmarszczyła brwi.

– A tak! – Krystyna wzięła się pod boki. – Powiedziałam jej, jak na siebie patrz. I że odkąd Zuzanna zaczęła robić mu ogród, to praktycznie w domu nie bywa.

– No wiesz. – Cecylia wyglądała na naprawdę oburzoną. – Uważam, że przesadziłaś. To było bardzo, bardzo niełojalne w stosunku do córki, nie sądzisz?! Nie powinnaś wywlekać jej intymnych spraw i dzielić się nimi z osobą, która prawdopodobnie nie jest jej życzliwa. Wstyd mi za ciebie, Krysiu!

– Wstyd?! Wstyd?! A nie wstyd mamie za wnuczkę, która wyciera się gdzieś z żonatym mężczyzną?!

– Dość. – Cecylia Czaplicz gwałtownie wstała i uderzyła dłonią w stół. – Zabraniam ci tak mówić. To zadziwiające, że masz więcej sympatii dla zupełnie obcej osoby niż własnej córki. Nic nie wiesz o tej Karolinie, nie masz pojęcia, czy to, co ci mówi, jest prawdą, a jednak to jej stronę trzymasz.

– Dla mnie liczą się fakty. Jest żonaty? Jest! – Krystyna była nieustępliwa.

– Przyjechał tu sam i mieszka sam. Sam remontuje dom, urządza ogród. Jego małżeństwo nie istnieje od lat. I nigdy nie było udane. A nasza Zuzanna jest mu naprawdę bliska. Mam dziewięćdziesiąt lat i znam się trochę na ludziach. On jest szczerzy, uwierz mi! Poza tym każdy ma prawo do szczęścia, a ja go życzę mojej ukochanej wnuczce ze wszystkich sił.

– Szczęście, szczęście, co to jest szczęście?! – Krystyna podeszła do okna, udając, że obserwuje wierzchołki drzew, jakby nie chciała, by Cecylia widziała, że dotknęły ją jej słowa. – To trzymanie się zasad i dobrze spełniony obowiązek – powiedziała w końcu.

– Możesz się przekonywać, Krysiu, że tak jest. Ale obie wiemy, że to bujda na resorach. Nie ma szczęścia bez miłości.

Krystyna odwróciła się gwałtownie w stronę matki.

– Czemu całe życie jesteś przeciwko mnie?! Robisz wszystko, żeby mi tylko dopiec! Całe życie mnie krytykujesz, mam sześćdziesiąt lat na karku i ciągle muszę wysłuchiwać twoich połajanek!

– Nieprawda. – Cecylia podeszła do córki i położyła jej rękę na ramieniu. –

Absolutnie nie zamierzałam cię krytykować. I nic w tym, co powiedziałam, nie było połajanką. Poza tym... ach, córeczko. Wiem, że masz wielkie, czułe serce! Kochasz Zuzannę, kochasz Wojtka i... i kochasz mnie. Dlatego twoje życie, Krysieńko, nigdy nie będzie nieszczęśliwe, nawet jeśli nawalisz z jakimś obowiązkiem albo przekroczysz własne zasady w imię czegoś, co jest od tych zasad większe. I zapamiętaj sobie jedno: ty także wciąż masz prawo do osobistego szczęścia, choć ojciec Zuzanny, twój mąż, Julek, okazał się marnym towarzyszem życia. Ale nie poczujesz spełnienia, dopóki nie dopuścisz do głosu miłości, nie uznasz, że ona jest ważniejsza niż to twoje wydumane poczucie obowiązku. Miłość powinna ci też podpowiedzieć, żeby nigdy, przenigdy nie obgadywać córki przed obcą, nieżyczliwą babą – zakończyła tyradę Cecylia, a Krystyna, która już, już miała się rozkrochmalić, wyprostowała się jak struna i wydeła wargi.

– A jednak zasady...

– Tak. Są – przerwała jej matka. – Naczelna brzmi: kochaj i rób, co chcesz. Ale najpierw kochaj. I zacznij od siebie.

\* \* \*

Obudziło ją słońce. Przez niedokładnie zaciągnięte wieczorem zasłony wpadały poranne promienie. Zuzanna rzuciła okiem na stojący na nocnym stoliku stary zegar w orzechowej obudowie. Była ledwie szósta! Przeciągnęła się z rozkoszą. Ziewnęła. Czekał ją cudowny dzień!

Wstała. Znów się przeciągnęła.

„Naprawdę jaka jesteś, nie wie nikt...” – zanuciła półgłosem. Spojrzała na leżący koło łóżka T-shirt i dżinsy. Czy nie powinna się ubrać? Zaśmiała się z tej myśli. Nie musi. Podoba mu się taka, jaka jest, znów czuje się dobrze w swoim ciele. Miała takie wrażenie, jakby poprzedniej nocy każdy centymetr kwadratowy jej skóry został choć raz pocałowany, muśnięty pełnym miłości dotykiem. Chciała zostać naga. Tak czuła się teraz najpiękniej i najseksowniej.

Adam jeszcze spał. Postanowiła go nie budzić. Poszła do łazienki, szybki prysznic dobrze jej zrobił. Czuła się wypoczęta, pełna energii, świeża.

– Protestuję! – za drzwiami rozległ się srogie głos Adama.

Zuzanna zachichotała: dobrze wiedziała, że Przygodzki tylko udaje gniew.

– Oj, nie złość się tak. Spotykamy się od dwóch tygodni, a już mamy kłótnie o to, kto pierwszy pójdzie do łazienki. Jak w starym dobrym małżeństwie! – prychnęła spod deszczownicy.

– Wypraszam sobie! Moja łazienka jest do twojej dyspozycji o dowolnej porze dnia i nocy, ale zrywając się skoro świt, pozbawiłaś mnie możliwości zaserwowania ci śniadania do łóżka! – wyjaśnił Adam.

– Skoro tak, natychmiast naprawiam pomyłkę i pędzę do łóżka! – krzyknęła Zuzanna, w pośpiechu łapiąc ręcznik.



– Masz na to dziesięć sekund, inaczej ze śniadania nici! Odliczam: *adin* – *dwa* – *tri*... – głos Adama cichł w miarę, jak oddalał się w stronę kuchni.

Zuzanna wybiegła z łazienki i wskoczyła pod kołdrę. Z oddali dobiegał ją szcęk rondli w kuchni i syczenie ekspresu do kawy. Westchnęła z błogości. Jak dobrze!

Za oknem rozszczebiały się sikorki. Za chwilę dołączył do nich śpiew kosa, który najwyraźniej ruszył na drugie w tym roku gody. Od frontu przeciągle zaszczeakał Szalej.

Przeszkłone drzwi sypialni wychodziły na ogród irysowy, teraz już przekwitły. Za to w rozkwicie były krzaki róż parkowych. Zuzanna była z nich szczególnie dumna. Bardziej z przodu rosła Eden Rose o wyjątkowej barwy kwiatach: w środku żyworóżowych, na zewnątrz perłowych. Z tyłu – okazały, dość już stary okaz odmiany M-me Isaac Pereire. To była prawdziwa perełka jolancińskiej kolekcji, nawiązanie do pasji Jolanty Tomaszewskiej. Była to bowiem róża rzadka, uważana za najcenniejszą wśród wszystkich burbońskich róż pnących. Jej ogromne kwiaty osiągały średnicę talerza deserowego: szkarłatne, aksamitne, o odurzającym, lekko owocowym zapachu, który teraz, w upalne lipcowe noce, potrafił nieść się gęstą smugą do samego tarasu, a nawet – wnikać przez uchylone okno do sypialni. Dla Zuzanny tak właśnie pachniała noc spędzona z Adamem. Wiedziała, że już nigdy nie będzie w stanie powąchać M-me Isaac Pereire bez rumieńca rozlewającego się po policzkach.

– Życzy sobie pani kieliszek szampana? – zapytał Adam, który właśnie w tej chwili wmaszerował do sypialni odziany jedynie w dżinsy, z białą serwetką przewieszoną przez przedramię i z tacą.

– Och, ale pyszności! – jęknęła Zuzanna.

Oparła się wygodnie o poduszki, a Adam postawił tacę na kołdrze. Śniadanie prezentowało się smakowicie: grzanki z masłem, biały ser z miodem malinowym, jajka na miękko i pomidory z bazylią i mozzarellą.

– To co z szampanem? Wiem, co powiesz: nie, bo samochód, praca, zakupy dla mamy. OK. To może zamiast kawy zrobię ci filiżankę wedlowskiej czekolady na kremówce? – zapytał.

– Ty chyba czytasz w moich myślach. Czekolada brzmi grzesznie dobrze, a ja jestem najwyraźniej grzeszną kobietą, bo ani myślę odmawiać. Tak, czekolada na kremówce, raz! – zarządziła.

– Dobrze, moja piękna pani. Dla ciebie czekolada, dla mnie kawa i zostaw mi kilka grzanek, jestem piekielnie głodny! – Adam cmoknął Zuzannę w policzek i dziarskim krokiem ruszył do kuchni.

– Życie jest piękne! – szepnęła do siebie. – Jaka szkoda, że wyjeżdżasz do Paryża! Naprawdę musisz? Będę tęsknić... – krzyknęła zaś głośno.

– Muszę, muszę, wygląda na to, że znalazłem współnika do mojej nowej

firmy. Trzeba tylko ustalić szczegóły. Za mną będziesz tęsknić? – Adam pojawił się w progu sypialni i uśmiechał się szelmowsko.

– No, jeszcze nie jest to takie pewne, czy za tobą. Ale za śniadaniami do łóżka – na pewno! – Zuzanna zmrużyła oczy.

– Ty niedobra, nieczuła kobieto! – Adam wziął rozbieg od progu i rzucił się między miękkie poduszki.

Zuzanna śmiała się na całe gardło. Przez chwilę mocowali się na żarty, a potem zaczęli się całować.

Ekspres do kawy syczał alarmująco jeszcze przez chwilę, a potem ucichł, zniechęcony. Wyglądało na to, że w najbliższym czasie nikt się nim nie zainteresuje.

\* \* \*

Wcale nie miała ochoty na tę wizytę. Właśnie parkowała volvo na ulicy Jelenia, naprzeciwko stacji Stara Leśna Główna, przed kamienicą, w której kawalerkę wynajmowała Wiola Migas.

Zuzanna była obrażona na Wiolę i Kazię. Nie chciała ich widzieć, ale dziś po południu dostała esemesa o treści „Prosiątko”.

Esesmes był od Kazi, za chwilę przyszedł identyczny od Wioli. Zuzanna zakłęta pod nosem. Przyjaciółki nie dały jej wyboru. Treść wiadomości nie była bowiem przypadkowa. Hasło „Prosiątko”, w nawiązaniu do gumowej świnki, którą jako dziewczynki zakopały na placu zabaw koło przedszkola – ustaliły wieki temu jako kod, wezwanie do rozejmu. Choćby pokłóciły się na śmierć i życie, na hasło „Prosiątko” musiały wszystkie stawić się w miejscu, w którym aktualnie mieszkała Wiola Migas, i zakończyć spór.

Zuzanna przygryzła wargę i głęboko odetchnęła. Walnęła w drzwi oznaczone trójką. Wiola otworzyła od razu.

„Czekała pod drzwiami czy jak?” – pomyślała ze złością Zuzanna.

– Och, jak dobrze, że przyszedłaś! – krzyknęła radośnie Wiola i rzuciła się do przodu z szeroko otwartymi ramionami.

Zuzanna zgrabnie ją minęła. Nie zamierzała się ścisnąć ze zdrajczyniami.

– Czego chcecie? Przyszedłam, bo musiałam, ale nie oczekujcie, że będziemy się teraz bratać, jakby się nic nie stało – powiedziała i klapnęła na czerwony puf. Ręce skrzyżowała na piersiach. – No, słucham, o co chodzi?

Wiola i Kazia, siedząca po turecku na łóżku, były wyraźnie skonsternowane takim obrotem sprawy. Wiola miała wyraz zagubienia i rozpacz na twarzy.

– Kazimiera... Może ty zacznij? – powiedziała błagalnym tonem.

Kazia rzuciła jej wściekłe spojrzenie i znacząco odchrząknęła.

– Więc, Zuzanno, zebrałyśmy się tutaj, żeby... Co jest, do cholery, wygłaszam przemówienie jak z urzędu stanu cywilnego. A chodzi po prostu o to,

moja droga, że chciałyśmy cię przeprosić. Popelniliśmy ogromny błąd – Kazia skończyła i odetchnęła z ulgą.

– Oo? – zainteresowała się Zuzanna i pozwoliła, by Wiola naląła jej wina.

Trudno, wróci do domu na piechotę.

– O. Właśnie. Błąd. Bo przyrzekałyśmy sobie wierność na wieki i że będziemy się nawzajem wspierać. A myśmy cię nie wsparły – wyjaśniła ochoczo Wiola i uśmiechnęła się szeroko.

– W kwestii uczuciowej – dodała Kazia. – Nie wsparłyśmy cię, gdy dowiedziałyśmy się, że kręcisz z Przygodzkim. Bo Wiolka gadała...

– Ja? Wypraszam sobie, to nie ja, tylko jej matka, od zawsze powtarzam, że to wampir energetyczny i, proszę, nas też przekabaciła na złą stronę! – krzyknęła Wiola oskarżycielsko.

Zuzanna westchnęła. W ogóle jej nie zdziwiła ta wiadomość. Wiedziała, że Krystyna nie cierpi Adama, tylko nie miała pojęcia dlaczego... Widziała go raptem kilka razy, nigdy z nim nie rozmawiała, a podczas jego dość częstych ostatnio wizyt w Kurzej Stopce wymawiała się ważnymi obowiązkami i czmychała.

– Chodzi o to, że nie mamy prawa oceniać twoich decyzji, bo nie od tego jesteśmy. W przyjaźni trzeba na sobie polegać, a myśmy cię zawiodły. I niesłusznie uwierzyłyśmy w opowieści twojej mamy, które wcale nie muszą być prawdą. A nawet jeśli, to nie muszą oznaczać, że robisz źle – zamotała się Kazia.

– Kochana, po prostu: spotykaj się z nim, łap szczęście za nogi i niczym się nie zajmuj. Jutra może nie być! – Wiola postanowiła spuentować zawiłą wypowiedź Kazimierzy jako optymistyczną informację.

Zuzanna w milczeniu sączyła wino. Naprawdę czuła się zawiedziona reakcją Kazi i Wioli. Przyjaźń polega na tym, żeby się wspierać i sobie pomagać. Ale przecież dziewczyny wykazały się troską, chciały dla niej dobrze... tyle że czasem dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. W sumie to fajnie, że chciały się pogodzić. Zuzannie ich brakowało. Nigdy nie rozstawały się na dłużej niż trzy tygodnie (w czasach szkoły, gdy wyjeżdżały osobno na kolonie), a jako dorosłe kobiety, nawet gdy natłok zajęć uniemożliwiał im spotkanie, dzwoniły do siebie co dwa-trzy dni.

– Dobra, moje drogie. Wybaczam wam, ale żeby mi to było ostatni raz! No, Wiolka, polej jeszcze tego wina, bardzo dobre. Na co czekacie? Uścisk, proszę, stęskniłam się za wami! – powiedziała w końcu Zuzanna.

Wioli i Kazi nie trzeba było tego powtarzać. Rzuciły się Zuzannie na szyję, wycalowały ją i już po chwili plotkowały tak, jakby nie było tego całego obrażenia się, przeproszenia i pogodzenia. Gadały o podchodach Ireny Sławińskiej do Koczocika. O przyjaźni Malwiny i Jurka i rodzącym się między nimi uczuciu. O tym, jak radzą sobie dzieci na koloniach: Klara, podobnie jak Wojtek, pierwszy raz na tak długo wyjechała z domu. I tylko jeden temat starannie omijały.

– Dobra, to opowiadaj: jaki jest Adam? Dobrze ci z nim? – zapytała wreszcie Kazia.

Zuzanna się zamyśliła, a po chwili uśmiechnęła promiennie.

– Dobrze, chociaż nie tylko o to chodzi. Czasem on mnie złości, ale mimo to uważam, że jest kimś wyjątkowym. Chciałabym, żeby było go więcej w moim świecie. Częściej go widzieć, dłużej słuchać i obserwować, co robi. Jak na przykład bawi się z psem. Nawet nie wiecie, jak to porzucone, nieszczęśliwe psisko odżyło. Jak pielęgnuje rośliny w moim ogrodzie. Jak przekomarza się z Wojtkiem albo siłują się na rękę. Mam wrażenie, że świat stał się lepszym miejscem, odkąd pojawił się w nim Adam... – westchnęła.

Śmiechy ucichły. Kazia i Wiola patrzyły na Zuzannę w milczeniu.

– Ależ ci zazdroścę... Bez dwóch zdań: zasłużyłaś na miłość, może najbardziej z nas wszystkich, taka jesteś dzielna i dobra! – powiedziała cicho Wiola.

– No... Ale wiesz co? To, co powiedziałaś o Adamie, że dzięki niemu świat staje się lepszy – to chyba najlepsza definicja miłości, jaką słyszałam. Teraz już wiem, że jesteś szczęśliwa – dodała Kazia i mocno przytuliła Zuzannę.

Roześmiały się.

– Dziewczyny, jak dobrze, że was mam! – powiedziała Zuzanna i poczuła, że łzy kręcą jej się w oczach z radości.

Zrozumiała, że naprawdę jest szczęśliwa.

\* \* \*

Było upalnie. W powietrzu unosił się zapach maciejki i lawendy. Zuzanna obsadziła nimi wszystkie ścieżki na posesji. A tego ranka uradowana Cecylia odkryła w kącie ogrodu, pod płotem, okazały nasieźrzał – roślinę przez wieki uchodzącą za kwiat paproci, podobnie jak długosz królewski.

„Dziwne, bo mamy lipiec, choć może to przez ostatnie burze” – pomyślała.

Szczęście było więc na wyciągnięcie ręki i gdyby którykolwiek z brydzystów zapragnął zwiększyć swoje szanse w grze, mógł to zrobić z pomocą prostej, ludowej magii. Zebrana przy ogrodowym stoliku trójka delectowała się na razie gorącym popołudniem, popijając orzechówkę z cytryną i kostkami lodu. W tej postaci smakowała jak najlepszy wermut. Wszyscy czekali oczywiście na Fąfarę, a tym razem nikt nie utyskiwał. Nawet Koczocik nie posłał proboszczowi jednej kąśliwej uwagi – skupiony na swojej szklance i pięknej woni kwiatów. W stanie błogości zrobił się od razu o wiele bardziej tolerancyjny.

– Pokój temu domowi – zabrzmiało wreszcie przy furtce, choć znacznie ciszej niż zazwyczaj.

Zwykle ksiądz proboszcz, przekraczając progi gościnnej Kurzej Stopki, darł się wniebogłosy, klepał po plecach Koczocika i od razu prawił mu złośliwości. A tu

– nic! Zaskakująca łagodność Fąfarrowego obejścia nie była jednak jedyną dostrzegalną różnicą w stosunku do tego, czym proboszcz raczył swoją brydżową trzódkę na co dzień. Nigdy dotąd nie zdarzyło się bowiem, by August Fąfara przyszedł na brydża w sutannie!

– A cóż to się stało, że zaszczycił nas ksiądz ubraniem służbowym? – zażartowała Cecylia.

– A... byłem u spowiedzi – powiedział duchowny i posłał Koczocikowi najłagodniejszy uśmiech, na jaki go było stać.

– Znaczący... to ksiądz się spowiadał? – drażyła Cecylia.

– A tak, ja – czasem i ksiądz musi!

– Powiedziałbym: najwyższy czas! – mruknął Koczocik.

Nie mógł przepuścić tak dobrej okazji do kpiny. Spodziewał się, że proboszcz wypali w jego kierunku jakąś złośliwą ripostą, a on znów uśmiechnął się łagodnie i pokiwał głową.

– Tak, zgadza się. Jestem grzesznikiem. Możecie mi mówić, co chcecie, nie odgryzę się.

– Naprawdę? – ucieszył się aptekarz.

Proboszcz łypnął na niego nieco groźniej.

– Oczywiście, wszystko jednak ma swoje granice...

– Mam nadzieję, że nie dostał ksiądz zbyt srogiej pokuty? – zaniepokoiła się Cecylia. – Bo czeka tu szklaneczka z orzechówką.

Fąfara od razu poweselał.

– A nie, pokuta nie dotyczyła umartwienia. W dodatku świetnie się składa, bo przyszedłem pieszo. Nie złamię tajemnicy spowiedzi, gdy powiem, że jako pokutę dostałem zadanie, by spełnić dobry uczynek. Albo kilka. A najlepiej wobec kogoś, kto po ludzku nie jest mi szczególnie bliski.

– A to dopiero! – zdziwił się Stanisław Grzybek. – Ja myślałem, że ksiądz nieustannie robi dobre uczynki z tymi swoimi Aniołami. Jeździecie po domach dziecka, rozwozicie prezenty.

– Ale to jest łatwe, drogi Stanisławie! Każdy głupi potrafi być dobry, gdy go to nic nie kosztuje i jeszcze ma z tego przyjemność. A tu chodzi o pracę wewnętrzną. Zrobić coś dobrego, gdy nie jest prosto się zmusić i trzeba... – Towarzystwo brydżowe nie dowiedziało się jednak, co trzeba, bo ksiądz Fąfara gwałtownie przerwał.

Przy furtce pojawił się bowiem niespodziewany gość. Jacek Wtorek – w nieśmiertelnych legginsach do jogi i różowej koszulce bez rękawów. Fąfara się skrzywił. Wtorek pchnął furtkę i stanął na ścieżce wiodącej do wejścia. Był bardzo zasapany.

– Witamy, drogi sąsiedzie! – zawołała Cecylia w jego stronę. – Co się stało, znowu uciekał pan przed kimś?

– To przez te straszne emocje – wykrztusił Wtorek. – Normalnie nie dostaję takiej zadyszki, ale nie opanowałem jeszcze techniki oddychania, gdy zaczyna mnie zalewać krew...

– Mam nadzieję, że Kulczyba nie wydziobała panu roślinek? – zaniepokoiła się nestorka rodu Czapliczów.

Wtorek tylko machnął ręką.

– Chodzi o Azę, sukę Roberta Kozaka. Ja po prostu nie mogę patrzeć, jak ten pies męczy się w boksie! Taki piękny wilk powinien biegać, baraszkować, tarzać się w trawie i cieszyć życiem... Niestety! Ten podły psychopata trzyma go w zamknięciu. Zdaje się, że także go głodzi. Ja... ja postanowiłem, że uwolnię biedne zwierzę. Chciałem podjechać swoją furgonetką, sforsować płot, wyciągnąć Azę i wpakować do samochodu. Ale cholerny stary grat się rozkraczył tuż za rogiem! O, tam. – Machnął ręką w kierunku ulicy Jeża. – Dlatego przyszedłem, żeby prosić o pomoc. Może ktoś z państwa zdecydowałby się do mnie przyłączyć? W słusznej sprawie?

Pierwsza utkwiała wzrok w Fąfarze Cecylia. Potem dołączył do niej Stanisław Grzybek.

– No i mamy szansę na dobry uczynek w sam raz dla księdza proboszcza! – zawołał wesoło Wiesław Koczocik, podnosząc do ust szklaneczkę z orzechówką.

Widać było, że aptekarzowi pomysł od razu przypadł do gustu. Proboszcz posłał mu mściwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że on to sobie dobrze zapamięta, a jego pokuta kiedyś się skończy. Potem dopił duszkiem drinka i odwrócił się do Wtorka.

– To co, idziemy? – zapytał.

\* \* \*

Jacek Wtorek był tak zaskoczony reakcją proboszcza, że nie zdążył odmówić. Pokiwał głową, a dopiero potem uświadomił sobie, co też najlepszego zrobił. Było już jednak za późno.

Szli teraz ulicą Jelenia, z każdym krokiem zbliżając się do posesji Roberta Kozaka. Stanowili dość egzotyczną parę – wysoki, potężny Fąfara w sutannie sunął chodnikiem jak czarny duch, a za nim dreptał pospiesznie chuderlawy ekolog, przyodziany w legginsy w kolorowe wzorki. Na każdy krok proboszcza przypadały dwa Wtorka. Z pewnością wzbudziłyby zainteresowanie przechodniów, ale z powodu aury ulicy Starej Leśnej były całkiem puste.

Zbierało się na burzę, i to potężną. Gorące powietrze stało, a nad głowami Fąfary i Wtorka przewalały się szare, tłuste obłoki. Robiło się coraz ciemniej – ze względu na nadchodzącą nawałnicę i godzinę, bo było już dobrze po dziewiątej.

Proboszcz milczał jak gradowa chmura, stosownie do okoliczności.

„Po kiego diabła dałem się tak podpuścić? Psa szkoda, pewnie, ale należy też

szanować cudzą własność, może lepiej byłoby z Kozakiem porozmawiać, napomnieć go...” – myślał.

W tym momencie jednak uświadomił sobie, że raczej nie miewa okazji, by napomnieć w jakiegokolwiek sprawie szefa Kozak Gardens, ten bowiem nader rzadko pojawiał się w kościele.

– Bezbożnik! – syknął z irytacją.

– Co, co? Wypraszam sobie, prawda, że nie popieram stanowiska Kościoła katolickiego w wielu kwestiach, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem jakimś... herezjarchą! – Podskoczył nerwowo Jacek Wtorek.

– Nie o panu mówię, panie... Piątek. – Fąfara całkiem zapomniał, jak nazywa się ten śmieszny człowieczek, który oskarżył go o zabicie kury, a z którym teraz zamierzał popełnić tę niedorzeczność, czyli wedrzeć się do cudzego domu w celu uwolnienia psa.

– Wtorek. Jacek Wtorek jestem – dumnie przedstawił się ekolog.

– Taaaak. No. To może mówmy sobie po imieniu. August – westchnął Fąfara, podejmując szybki marsz.

– Ale jak, do przedstawiciela zaświatów po imieniu? – oburzył się, nie wiedzieć czemu, Wtorek.

Nigdy by się do tego nie przyznał, ale miał kompleks niższości wobec organów władzy, a Fąfara, jego zdaniem, zaliczał się do lokalnej nomenklatury. Boży, ale jednak urzędnik.

– Ciii... Jestem tu incognito. Nikt mnie nie może rozpoznać – palnął Fąfara i natychmiast zdał sobie sprawę z absurdalności tego oświadczenia, bo Jacek Wtorek obrzucił powątpiewającym spojrzeniem jego postać od stóp do głów.

Zerwał się wiatr, który zaczął szarpać sutanną proboszcza na wszystkie strony. Pomimo gęstniejącego mroku nikt nie mógł mieć cienia wątpliwości, że ma przed sobą księdza.

Doszli do celu. Stanęli przed okazałą bramą na pilota i furtką, ozdobioną wyglancowaną mosiężną tabliczką z dobrze widocznym napisem: „Mgr inż. Robert Kozak”.

– Co robimy? – zapytał Wtorek.

W jego głosie słychać było panikę. Fąfara się zirytował.

– Ciągniesz mnie tu, narażasz autorytet mojej firmy, a nawet nie masz planu dywersji! – syknął.

Złapał Wtorek za chude ramię i wciągnął w krzaki wokół bramy. Nie mógł przecież tkwić bez sensu z tym człeczyną w obcisłych portkach przed bramą. Jak by to wyglądało!

„Wprawdzie, jeśli ktoś zobaczył, że wlokę go w krzaki, to wypadam znacznie gorzej” – uświadomił sobie natychmiast i głęboko westchnął.

Odmówił szybką modlitwę do Świętego Judy Tadeusza, patrona spraw

beznadziejnych. Wsparcie z góry było im niezbędne, jeśli mieli wyjść z tej misji bez szwanku.

– Dobra. Dobra. Mam plan. Musimy zrobić to szybko. Do roboty i miejmy to za sobą. Najpierw cię podrzucę i przeleżysz przez płot. Potem ja przejdę. Za młodych lat nie takie rzeczy się robiło. – Fąfara uśmiechnął się lekko do swoich wspomnień.

– Ale chyba nie w tej kiecce – mruknął Wtorek, ale na szczęście szelest liści zagłuszył tę niestosowną uwagę i Fąfara nic nie usłyszał.

Zrobił z dłoni koszyczek i spojrzął na ekologą zapraszająco.

– No, hop-siup! – zarechotał.

I po chwili Wtorek gramolił się niezdarnie na drugą stronę płotu. Proboszcza niemile zdziwił fakt, że poruszał się dość ociężale jak na kogoś, kto biega i uprawia jogę.

W tym momencie Wtorek stęknął, stracił równowagę, spróbował przytrzymać się gałęzi bzu zwieszających się nad ogrodzeniem, ale spadł na drugą stronę, wraz z potężnym, choć najwidoczniej spróchniałym konarem. Fąfara zaklął i przeżegnał się przepraszająco. A niech to, znowu trzeba będzie się spowiadać!

Nie było czasu do stracenia. Proboszcz leciutko odbił się od ziemi, podskoczył, zgrabnie chwycił za górną krawędź płotu i jednym zwinnym susem go przesadził.

– Jacek? Nic ci nie jest? – zapytał, odkopując Wtorka spod warstwy liści.

– Oooh. Chyba nie. Gotów jestem cierpieć dla sprawy – jęknął ekolog.

Proboszcz pomógł mu się otrzepać, podnieść z ziemi i ruszyli w stronę kojca Azy, która rozszczekała się dziko, słysząc intruzów. Posuwali się wzdłuż płotu. Na wypielęgnowanym (i nastrojowo podświetlonym) trawniczku Kozaka pewnie widać ich było z okien domu jak na dłoni.

„Wyglądamy jak Flip i Flap. Albo Żwirek i Muchomorek!” – Fąfara nie mógł się oprzeć tej wizji i parsknął śmiechem.

– Ciiicho! Zielony terrorizm to poważna sprawa! – Dźgnął go kościstym paluchem pod żebro Wtorek. Najwyraźniej wczuł się w rolę. – Ty zabezpieczaj tyły i w razie czego zatrzymaj pogoń. Ja wejdę do kojca i uwolnię psa.

– A jeśli on wcale nie chce się uwolnić? – zapytał z powątpiewaniem proboszcz, bo Aza darła się jak odzierana ze skóry.

– Widać, że nie masz pojęcia o świecie fauny. Zwierzęta mają szósty zmysł i nigdy nie gryzą ręki niosącej im pomoc, zresztą... – wywód Wtorka przerwał niezbyt miły dźwięk otwieranych drzwi.

– Cicho bądź, ty krowo! – krzyknął z ganku Robert Kozak.

– Robercik, Ryjek ucieka, uważaj! – dobiegł z głębi domu kobiecy głos.

Za późno jednak: Fąfara i Wtorek zobaczyli, jak jakiś ogromny, obły kształt mija Kozaka, prawie go przewracając, i sady przez trawnik w stronę boksu Azy.



– Mają drugiego psa! Chodu! – omdlewającym głosem pisnął Wtorek.

– To nie pies, ty durniu! To... świnia! – skonstatował Fąfara.

No, no. Naprawdę, życie jego parafian było znacznie ciekawsze z bliska niż z wyżyn ambony. Powinien chyba ich częściej odwiedzać.

Drzwi zamknęły się cicho, a Jacek Wtorek zacisnął pięści i rzucił się do desperackiego biegu przez środek trawnika. Pies, nie wiedząc czemu, ucichł – Fąfara próbował się zorientować, gdzie jest i co robi świnia, ale bezskutecznie. Mimo że była jasna, nie było jej widać w gęstniejących ciemnościach. Może ma jakąś zagrodę na posesji i tam poszła?

Zachrzęściła siatka – a sądząc po odgłosach, Wtorek wspinał się po ścianie kojca. Aza nawet nie pisnęła – chyba ekolog miał rację z tym szóstym zmysłem.

Nagle rozległy się trzy dźwięki naraz. Po pierwsze – głośnie tupnięcie sygnalizujące, że Wtorek wylądował w środku kojca. Po drugie – narastające, wściekłe warczenie psa. Po trzecie – kwik świni.

Potem zaś doszło do jakiejś kotłowania i pies zaszczekał, świnia zaryczała dziko, a Wtorek zawył falsetem.

– Auuuu!

Do Fąfary dobiegł jeszcze jeden odgłos: rozrywanego trykotu.

– Dzięki, Judo. W ogóle mi nie pomogłeś! Następnym razem raczej skorzystam z pomocy Świętej Rity! – odgrażał się proboszcz, pędząc przez trawnik na ratunek koledze.

Rumor pozwalał przypuszczać, że Wtorkowi udało się wydostać z klatki.

Drzwi domu otworzyły się z rozmachem i w progu stanął Robert Kozak. Gruchnął ogłuszająco pierwszy grzmot nawałnicy, która właśnie dotarła nad Starą Leśną. W blasku błyskawicy Fąfara wyraźnie zobaczył broń wycelowaną prosto w swoją pierś.

– Nie ruszaj się, mendo. Policja już jest w drodze. Jeden ruch i cię odpalę – wysapał Kozak, który najwidoczniej oglądał zbyt wiele filmów gangsterskich.

– Ależ to pomyłka! – słodkim głosem wrzasnął proboszcz. – To ja, proboszcz. Jestem z wizytą duszpasterską. Dawno mnie nie odwiedzałeś, synu!

– Nie jestem twoim synem, a ty na pewno nie jesteś proboszczem, ty... przebierańcu! – huknął Kozak.

Przed bramą zalśniło niebieskie światło i głucho zadźwięczała policyjna syrena.

– Poddaję się, jestem pacyfistą, brzydzę się przemocą, użycie siły nie jest konieczne! – zapewnił z ciemności gorliwy i lekko drżący głos Jacka Wtorka.

– I jeszcze ten pajac tutaj! No ładnie się zabawiacie, panowie, ale na to są paragrafy! – darł się Kozak.

– Robercik? Boję się, co się dzieje? – Na ganek wybiegła Moniczka Kozak w pistacjowym szlafrocuku.

– Dobry wieczór, młodszy aspirant Piskała, mieliśmy zgłoszenie o wtargnięciu na teren... – dało się słyszeć od strony furtki.

Kozak pstryknął pilotem i już po chwili do towarzystwa dołączyło dwóch panów w niebieskich mundurach. Grzmiało i błyskało na całego, ale wciąż nie padało.

– Yhh, panie aspirancie, więc doszło tu do zwyczajnej pomyłki... – zaczął Fąfara, ale przerwał mu Wtorek.

– On kłamie! Proboszcz kłamie! Ja będę w pełni współpracował z obozem władzy, bo ja dałem się zwieść oszukańczym ideom i przyszedłem tu uwolnić z łańcucha psa, a obecny tu ksiądz, August Fąfara zresztą, pomógł mi wtargnąć i brał czynny udział! – dukał ekolog.

Proboszcz aż tupnął nogą ze złości, ale milczał.

– Mojego psa? – zadziwił się szczerze Kozak.

– A gdzie jest Ryjeczek? Czy nic jej się nie stało? Mojej świnuni? – zaniepokoiła się Moniczka, którą los Azy, Wtorka i proboszcza obchodził tyle co zeszłoroczny śnieg.

– Och, jaka piękna, udana maciora! Kiedy państwo bijecie? – zapytał aspirant Piskała, wskazując z uśmiechem na mikroświnę.

Stała wymazana błotem w świetle błyskawic i chyba dopiero ten upiorny blask (wraz z błyskami rzucanymi przez policyjnego koguta) unaoczniał wszystkim zebrany prawdę. To nie był Ryjeczek. To nie była świnunia.

– Wspaniały okaz świni polskiej białej zwislouchej! Będzie przednia kielbasa! – ucieszył się młodszy aspirant, który wychował się na wsi i niejedną zwislouchą widział w życiu, choć tak dorodnej i tłustej chyba jeszcze nie.

– Co? Polska zwisloucha? Nie wietnamska? Nie mikro? – słabym głosem zapytała Moniczka.

– Ale to tylko słowa, one nie mają znaczenia, liczy się uczucie, to co w sercu... – ratował sytuację Kozak, bo znał swoją żonę i wiedział, że nagła bladeść jej oblicza wywołana była wzbierającym gniewem.

– Wynocha mi z domu, Kozak. Ostatni raz mnie zawiodłeś. Mieszkaj sobie w garażu, z tą, tą... zwislouchą – wysyczała Monika.

– Chce pan złożyć zawiadomienie o wtargnięciu? – zainteresował się aspirant Piskała, który coraz mniej rozumiał z tej interwencji.

– Monisiu? Monisiu, otwórz! – błagał Kozak, drapiąc w drzwi zamknięte gwałtownie od środka przez panią Kozakową. – Nie widzisz pan, że mam problemy małżeńskie? Nic nie składam, dajcie mi już, ludzie, spokój! – krzyknął płaczliwie.

– To my już pójdziemy. Z Bogiem – stęknął proboszcz, chwytając Jacka Wtorka za porwany bezrękawnik i wlokąc go w stronę bramy. Policzy się on z tym tchórzliwym gagatkiem, policzy – ale wtedy, gdy nie będzie miał na sobie sutanny.

Młodszy aspirant Piskała wzruszył ramionami.

– Franek, jedziemy. To jacyś kolejni wariaci – mruknął do kolegi z radiowozu.

Lunęło jak z cebra. Na świnię zwisłouchą, na Azę – wciąż na łańcuchu, na odjeżdżający radiowóz i Jacka Wtorka z Augustem Fąfarą.

Ale przede wszystkim lunęło na Roberta Kozaka. Klęczał przed drzwiami, opierając się czołem o kłamkę. Po kilku minutach zrezygnowany i załamany powlókł się do garażu. W domu zgasły światła i po chwili ulica Jelenia pograżyła się w mroku.

\* \* \*

Przygodzki wysiadł z metra niedaleko katedry Notre Dame. Bywał w Paryżu wcześniej, dwa razy nawet z Karoliną (która większość czasu spędziła, buszując po ekskluzywnych butikach). Jednak dopiero teraz pomyślał, że słusznie się nazywa stolicę Francji miastem miłości. Zastanawiał się, czy coś się obiektywnie zmieniło, czy to on się zmienił. Wcześniej miasto wydawało mu się zatłoczone, dość brudne, pełne nadętych krawacıarzy. Takich jak on. A teraz? Gdzie spojrzął, widział roześmiane twarze, ludzi – w różnym wieku – całujących się tak, jakby reszta świata nie istniała. Miał ochotę zanucić starą piosenkę – *Love Is In the Air*. Zaraz, kto ją śpiewał? Ach oczywiście John Paul Young czy jakoś tak... twórca jednego przeboju, ale za to jakiego! Wszystko byłoby cudowne, gdyby te przeżycia mógł teraz z kimś dzielić. Przyjechał tu w interesach, jednak po dopięciu spraw służbowych okazało się, że ma prawie dwa dni dla siebie. Szedł teraz, przyglądając się wspaniałej sylwetce gotyckiej katedry. Zawsze kojarzyła mu się z powieścią Wiktora Hugo, o miłości biednego garbatego dzwonnika do urodziwej Cyganki... Kolejna wersja opowieści o pięknej i bestii, w której pokraczny albo zły mężczyzna pięknieje w objęciach kobiety. Odkrywa drzemiące w nim pokłady tkliwości, ratuje swoją duszę... Czy w jakimś sensie nie była to także opowieść o nim?

Z katedry wybiegła trzymająca się za rękę para roześmianych sześćdziesięciolatek. Adam pomyślał o swoich rodzicach. Westchnął ciężko, a potem wyciągnął telefon i pstryknął zdjęcie kościoła. I zaraz wysłał je do Zuzanny, z komentarzem: „Szkoda, że cię tu nie ma...”.

Odpowiedź nadeszła paru sekundach: „Też bardzo żałuję”. Adam już brał się do pisania kolejnej wiadomości, bo chciał powiedzieć, że tęskni, że świat bez niej traci połowę uroku, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Na takie wyznania było za wcześnie – mimo nocy, którą spędzili w Jolancinie. Coś wciąż stało między nimi i nie pozwalało się do końca otworzyć – ani jemu, ani jej. Jakaś tajemnica. Nie potrafił na razie jej rozwikłać, był jednak pewien, że kiedyś mu się uda.

Szedł teraz wzdłuż brzegu Sekwany, przyglądając się książkom i drzeworytom wystawionym w zielonych straganach przez bukinistów. Niektóre

tomy były bardzo stare. Podziwiał ryciny, kunsztowne oprawy i... wachał. Uwielbiał zapach starego papieru. Niestety, większość książek była po francusku, a Przygodzki potrafił powiedzieć w języku Moliera ze trzy koślawe zdania – choć w swoim czasie matka wydała ciężkie pieniądze na prywatne lekcje. Marzyło jej się, by jedynek posługiwał się tym pięknym językiem. On jednak pozostał przy angielskim i liznął odrobinę niemieckiego, który wydawał się łatwiejszy.

W pewnej chwili uwagę Adama zwrócił tomik oprawiony w skórę. Angielski tytuł napisany złotymi literami brzmiał: *Wiktoriański ogród. Wiadomość zapisana w kwiatach*. Przygodzki pamiętał, że Zuzanna miała bzika na punkcie mowy kwiatów. Pomyślał więc, że kupi jej tę książkę jako pamiątkę z podróży. Zaczął ją przeglądać. Od razu rzucił mu się w oczy fragment wstępu: „Gdy nie można wszystkiego powiedzieć słowami, czy to z nieśmiałości, czy przez konwenanse, sięgamy często po mowę kwiatów. O ileż bardziej jest ona subtelna, wdzięczna niż, dajmy na to, pisanie listów. Nasze babki były prawdziwymi mistrzyniami w kwiatowych kompozycjach z zaszyfowaną wiadomością. Ba, niejeden stary ogród kryje w sobie tajemnicę, którą zdradzić mogłyby jedynie irysy, róże, peonie albo choćby swojska bazylika. Gdyby ktoś zechciał wysłuchać ich szeptu...”.

Książka miała na końcu długi i bardzo szczegółowy spis roślin. Przygodzki zdecydowanym ruchem wsunął ją pod pachę i sięgnął po portfel.

– *How much is it?* – zapytał.

Warzywnik Krystyny w sierpniowym słońcu wyglądał imponująco: piętnaście krzaczków ugięło się pod ciężarem dojrzałych pomidorów. Miniaturowe patisony pięknie się wyłocily, a papryka dostała już pomarańczowych rumieńców. Gruba dyniowa „łapa” o ogromnych szorstkich liściach wypełzła z grządki na trawnik i wspięła się na jabłonek. Przewiesiła się przez gruby konar i wyciągała wasy czepne w kierunku posesji Jacka Wtorka. Zwisające z niej dwie pomarańczowe dynie pęczniały z tygodnia na tydzień. Niestety, jedna z nich – ta większa – wyrosła dokładnie w tym miejscu, w którym łydyga przewieszała się przez gałąź. Było to dla Krystyny kolejnym źródłem troski. Nie daj Bóg dyniowy olbrzym spadnie na Kulczybę? I kolejny szok gotowy? Co by z niego wynikło, nie wiadomo, ale – tego Krystyna była pewna – z pewnością nic dobrego. Jak na złość, podle kurzysko upodobało sobie dyniową łydygę i regularnie ją obdziobywało. Krystyna dawno by obcięła zwisający nad ziemią owoc, problem w tym, że bulwa była wyjątkowo dorodna i piękna. Dlatego środkowa pani Czaplicz, zwykle niezwracająca uwagi na aspekty estetyczne, nie mogła się zdobyć na ten krok.

– A może zrobimy zupę z młodej dyni – w głosie Zuzanny pobrzmiwała nadzieja.

Choć był sierpień i okres urlopowy, Kozak zlecił jej prace przy nowych inwestycjach i biedna nie wiedziała, w co ręce włożyć.

– Jeszcze czego – mruknęła Krystyna. – W ogóle nie musi być obiadu. Tak mnie głowa boli, że na pewno nie będę ślęczała nad garami w ten upał!

Zuzanna westchnęła. Na pomoc Cecylii też nie mogła liczyć, gdyż ta, wyciągnięta z domu przez Wiołę, szalała w sklepie Tani Armani, do którego akurat przywieziono dziesiątki kolorowych sukienek. A obiad, wbrew temu, co deklarowała Krystyna, musiał być. Panie Czaplicz bardzo przestrzegały tego, by przynajmniej raz dziennie wspólnie siadać do stołu. Nawet wtedy, gdy były na siebie trochę złe. A może przede wszystkim wtedy. Była to jedna z rzeczy, które zachwyciły Adama. On nigdy nie doświadczył podobnej rodzinnej bliskości. Jego rodzice byli zbyt zapracowani, a Karolina... jej to w ogóle nie obchodziło. Odżywiała się głównie listkami sałaty i sokiem ze świeżych pomarańczy. Tymczasem w willi Kurza Stopka przy stole czuło się ducha wspólnoty. Zimą był gorący krupnik, latem chłodnik litewski, do tego jeden z placków Cecylii na deser, a przy szczególnej okazji – co trafiało się dość często – także i nalewka.

Pogoda była w sam raz na chłodnik, ale Zuzanna kompletnie nie miała siły na kuchenną krzątaninę. Nie zamierzała jednak złożyć broni: od czegoż jedzenie na wynos! Doszła do wniosku, że to świetny pomysł. Wsiadła więc do swojego wysłużonego volvo i ruszyła w stronę stacji Stara Leśna Główna.

\* \* \*

Zaparkowała obok apteki. Gdy wysiadła, pierwszą rzeczą, która rzuciła się jej w oczy, była drobna postać aptekarza. Pan Wiesław przycupnął za rogiem budynku i z tej strategicznej pozycji obserwował bar po drugiej stronie torów.

– Dzień dobry! – zawołała wesoło Zuzanna.

– A dzień dobry, dzień dobry! – Aptekarz gwałtownie się wyprostował, speszony, jakby go przyłapała na czymś wstydlwym.

– Czemu się pan kryje?

– Ech, wie pani... to bardzo kłopotliwa sytuacja. Ja... ja mam straszny apetyt na makaron. Ostatnio tak mnie naszło, nie mam pojęcia czemu...

– No, nie ma w tym nic zdrożnego. – Uśmiechnęła się życzliwie Zuzanna, przypuszczając, że może dbający o zdrowie Koczocik uznał makaron za pokarm zbyt kaloryczny. – Ostatnie badania dowodzą, że makaron ugotowany *al dente* wcale nie jest taki tuczący.

– Nie o to chodzi! – Aptekarz machnął ręką. – Chodzi o tę straszną babę.

– Jaką znowu babę? Panią Irenkę? – Brwi Zuzanny powędrowały pod linię włosów.

– Ciii... – Koczocik położył palec na ustach. – Nawet pani nie wie, jak głos potrafi się nieść przez tory!

– Ale czego się pan obawia?

– Ona mnie napastuje! Wychodzę z apteki, wracam do domu – ona zawsze w tym samym momencie idzie do sklepu i musimy się minąć. Albo rano... wychodzę z domu i spotykam ją za rogiem, a przecież mieszka kawał ode mnie! Musi po prostu na mnie czyhać. To ani chybi stalkerka.

– A właściwie czemu jej pan nie lubi?

– To nie tak, że nie lubię. Ona po prostu przeraża mnie swoją natarczywością. Jest za głośna i zbyt nachalna. Ja, pani Zuzko, jestem człowiekiem delikatnym. Ja lubię ciszę.

– Rozumiem... – Zuzannie udało się zapanować nad twarzą i powstrzymać uśmiech, który już, już miał wypłynąć na jej oblicze.

– Dlatego mam do pani prośbę – ciągnął aptekarz. – Niech mi pani kupi porcję klusek. Obojętnie które, bo ta harpia świetnie gotuje. Byle bez boczku. Czasem i ja lubię zaszaleć...

– Oczywiście, panie Wiesławie! – Zuzanna skinęła głową i ruszyła w kierunku przejścia na drugą stronę torów.

\* \* \*

W Pociągu do Pappardelle wentylatory pracowały pełną parą, a pani Irena Sławińska siedziała za barem i wachlowała się pięknym starym wachlarzem

z pawich piór. Z zadowoleniem obserwowała Jurka siedzącego przy stoliku i pałaszującego porcję tagliatelle z cukinią, czosnkiem niedźwiedzim oraz orzeszkami cedrowymi – najnowszy hit baru.

– Dzień dobry, pani Irenko! Cześć, Jurku! – Zuzannie aż ślinka pociekła na widok tych pyszności.

– A dzień dobry! – ucieszyła się Sławińska. – No wreszcie jakiś porządny klient! Czym mogę służyć?

– Chyba wezmę to, co pałaszuje Jurko. Poproszę cztery porcje, na wynos!

– Aż cztery! – ucieszyła się Sławińska. – To Wojtek już wrócił z obozu?

– Jeszcze nie...

Sławińska utkwiała w Zuzannie wzrok, wyraźnie spodziewając się, że ta wyjaśni jej, dla kogo jest dodatkowa porcja. Jednak Zuzanna oparła się mocy jej spojrzenia. Odwróciła się natomiast w stronę chłopaka, który akurat skończył posiłek.

– I jak?

– Rewelacyjny wybór, pani Zuzko – Jurko westchnął z zadowoleniem.

– Co dziś porabiałeś? Nie było cię w firmie, a tak byś mi się przydał...

– Dogadałem się z szefem. Uporządkowałem kolejki pani Ireny, oczyściłem z kurzu i obfotografowałem. Wystawimy to na Allegro. Zwolni się kawałek strychu, a może i parę groszy wpadnie do kieszeni.

– Jakie znowu kolejki? – zdziwiła się Zuzanna.

– Elektryczne. Po moim mężu. Mam całą masę starych lokomotyw, torów, ramp. Dziesięć pudeł. Nawet pani nie wie, ile to miejsca zajmuje! Ten facet nadawał się tylko do budowania makiet.

Zuzanna pokiwała z udawanym zrozumieniem głową, zapłacała, a potem poszła do apteki. Bardzo dumna, że nie zdradziła sekretu Koczocika.

– Długo pani nie było – mruknął wygłodniały aptekarz.

– A tak, bo pani Sławińska opowiadała o swoich kolejkach. – Zuzanna uśmiechnęła się przepraszająco.

– Jakich... kolejkach? – Koczocik jakby odrobinę pobladł.

– Elektrycznych. Po mężu. Podobno zbierał je latami. Teraz biedna pani Irenka nie wie, co z nimi począć, bo zajmują pół strychu. Powiedziała, że jest ich dziesięć pudeł. Wyobraża pan sobie?

Koczocik zrobił głupią minę. Potem prędko się pożegnał. Był tak roztargniony, że nawet zapomniał zwrócić Zuzannie za makaron. Zamknął się u siebie na zapleczu. Musiał sobie to wszystko dobrze przemyśleć.

\* \* \*

– Uważaj, jak lecisz! – Adam prawie krzyknął. Nie zirytował się, tylko bardziej przestraszył. – Młody nietoperz o mały włos uderzyłby go w ucho.

Kiedy dowiedział się, że na stryszku Jolancina wylęgły się nietoperze, naprawdę się ucieszył. Wzięty na spytki pan Henryk przyznał, że podczas remontu robotnicy zorientowali się, że pod dachem Jolancina zimują i rozmnażają się gacki. „No było zalepić czymś wszystkie otwory wlotowe, gadziny by się wyniosły...” – utyskiwał kierownik budowy, ale Adam zaraz rozwiął jego wątpliwości. Uwielbiał wszystkie „gadziny”, a nietoperz to piękny i rzadki ssak, pożyteczny i pod ochroną.

Niestety, niedoświadczone młode co rusz popełniały jakieś *faux pas*. Jeden postanowił zasnąć nad ranem w szczelinie pod drzwiami werandowymi – znalazł go Szalej i Adam musiał włożyć rękawiczki, wydłubać maleństwo z jego kryjówki i włożyć do pudełka, w którym nietoperz natychmiast wspiął się na krawędź i wdzięcznie zawisł głową w dół. Przeczekał tak do wieczora, kiedy Adam postawił karton na stole tarasowym. Obserwował z podziwem, jak chwilę po zapadnięciu zmroku skrzydlaty stworek odzyskał wigor i wyfrunął w ciemność.

Teraz chętnie pobawiłby się w liczenie nietoperzy na nocnym niebie, ale miał inne zadanie do wykonania. Wydobył z szafy na dokumenty teczkę z napisem „Projekty Zuzanny”. Położył ją na stole, obok przywiezionej z Paryża książki *Wiktoriański ogród*.

Wyjął pierwszy plan, który Zuzanna pokazała mu pół roku temu. Potem ten ostateczny, przepisany na czysto. Pierwszy bowiem był niemiłosiernie wprost pokreślony. Mimo to Adam był zdeterminowany, by odczytać, jakie były pierwotne założenia. Coś zaczęło mu świtać w głowie, jakaś śmiała myśl, której nie chciał, bał się wyrazić na głos.

Otworzył książkę. Już z pierwszej, pobieżnej lektury zdążył się dowiedzieć, jakie były generalne zasady przekazywania wiadomości za pomocą kwiatowych kompozycji. „Ja” – odnosiło się do kwiatu najbliższego prawej ręce, „Ty” – do tego chylącego się najbardziej na lewo.

– Gdyby więc potraktować rabatę z prawej strony tarasu jako „Ja” Zuzanny, to co my tu mamy... – szepnął Adam, pochylając się nad pierwszym z planów i książką. – Robinia akacjowa, czyli sekretna miłość. To samo znaczy serdecznik pospolity. To zamazane to jest... ach, już widzę: żółte tulipany i driakiew, czyli, zerknijmy – beznadziejna miłość. Moja pierwsza, niewinna miłość to biały i fioletowy bez. A lepnica biała znaczy: zostałam zdradzona. Hm...

Adam się zadumał. Czy to mogła być prawda? Czy faktycznie Zuzanna mogła wtedy być w nim zakochana? To wiele by wyjaśniało: obrażenie się, dziwne zachowanie, jakby miała o coś pretensje. Jeśli tak, a uczucie nie było odwzajemnione, musiała to zobaczyć. Był wtedy zbyt młody, zbyt niemądry, nie miał pojęcia, co znaczy miłość.

Znów pochylił się nad płachtą papieru. Zostały jeszcze dwie rośliny po prawej stronie, pod samym murem przy ławeczce: peonie i bazylija.

– „Wstydzę się tego i nienawidzę cię” – odczytał wolno Adam z pomocą



książki. – A teraz lewa, moja strona. Ciekawe, czy rośliny potwierdzą moje przypuszczenia, czy faktycznie Zuzanna miała mnie na początku za kompletnego buraka. Co my tu mamy? Dwie sosny, hortensje, żółte lilie, narcyzy i lobelie.

Przygodzki milczał chwilę, zerkając to na plan, to do książki.

– „Jesteś śmiały, ale o zimnym sercu. Zdradziłeś mnie, jesteś arogancki, egoistyczny, fałszywy”. Czyli miałem rację. Ona mówiła do mnie tym ogrodem, a ja, głupi, nic nie rozumiałem!

Zaraz jednak uświadomił sobie, że przecież ostatecznie ogród wygląda zupełnie inaczej. Nie ma w nim hortensji, lobelii, narcyzów, ziemowitów. Po prawej stronie rosną lewkonie, maki, czerwone tulipany, niezapominajki, żółte róże parkowe, o coraz cieplejszym odcieniu, w miarę zbliżania się w lewo, do „jego” strony rabaty.

Dobre pół godziny siedział pochylony nad książką, spisując znaczenia roślin i rozpisując je na kartce.

– „Ja, robinia akacja: moja skrywana miłość. Pierwsza miłość, której się wstydziałam. Ale teraz rośnie we mnie uczucie: to oznaczają żółte róże parkowe. Czuję się związana z tobą emocjonalnie: lewkonie. Deklaruję ci miłość: czerwone tulipany. Szczerą i wierną, czyli niezapominajki” – powiedział w końcu triumfalnym głosem.

Odczytanie znaczenia lewej strony rabaty nie sprawiło mu już trudności: „Ty, śmiały i szlachetny (sosna i białe lilie), przyjacielski (jaśminy), niech ci się dobrze wiedzie (płaczący buk czerwony), znajdź szczęście (żółte bratki)”. Ostatnia informacja zapisana na planie za pomocą róży Eden Rose i M-me Isaac Pereire brzmiała: „Jeśli mnie kochasz, zrozumiesz”.

Ale co właściwie Adam miałby zrozumieć? Jak na razie pojął, że pomysł na „mówiący ogród” podsunęły Zuzannie same rośliny, ich układ w starym ogrodzie Tomaszewskich. Weszła do niego, zobaczyła po prawej stronie robinie (skrywana miłość), po lewej dwie sosny (człowiek śmiały, egoista) i znając wiktoriański język roślin, nie mogła się oprzeć, by wokół tych drzew nie skomponować nasadzeń, symbolizujących ją i Adama.

Tyle tylko, że po ogrodzie Tomaszewskich została jeszcze jedna roślina, głóg, w wiktoriańskim języku roślin oznaczający trudności. I wokół niego, koło tarasu, Zuzanna skomponowała osobną rabatę, połączoną pergolą z ogrodem irysowym. Irysy, jak wynikało z książki, mają zawsze tylko jedno znaczenie: „Masz wiadomość”. Ale jaką wiadomość? Czy mogła zostać ukryta w kompozycji roślin wokół głogu? Co ciekawe, te akurat nasadzenia od początku miały tak właśnie wyglądać: wiciokrzew Goldflame, pięciorniki, szczawik zajęczy, duże poletko lebiodki kreteńskiej.

– Pięciornik znaczy: miłość macierzyńska. Koralowy wiciokrzew to kolor mojego życia. Szczawik to znów miłość i czułość matki. To jasne, mam

wiadomość, Zuzanna kocha nie tylko mnie, ale i Wojtka. Ale co tu robi to poletko lebiodki? Ona znaczy: narodziny...

Adam zamyślił się. W ogóle nie zauważył, że siedzi nad projektami już piątą godzinę. Nietoperze dawno znikły, niebo na wschodzie zaczęło się powoli rozjaśniać. Wczesny letni świt był całkiem blisko.

Narodziny.

Narodziny.

Ma wiadomość, że...

Boże. To niemożliwe. Adam rzucił się do komputera. Musi natychmiast zobaczyć kalendarz sprzed dwunastu i trzynastu lat. Musi koniecznie obliczyć, ile czasu upłynęło między jego krótkim romansiem i rozstaniem z Zuzanną a narodzinami Wojtka.

Minuty ciągnęły mu się w nieskończoność. Sprawdzał wszystko trzy razy.

Świt zastał go siedzącego w fotelu na tarasie. Szalej leżał u jego stóp. Adam patrzył na ogród. Miał na twarzy wyraz spokoju, radości i ulgi. I czegoś jeszcze: czułości.

– To mój syn. Mój syn! – powiedział cicho do roślin i uśmiechnął się.

\* \* \*

Jacek Wtorek wyszedł z księgarni Kubuś Puchatek, trzymając pod pachą książkę *Duchowe życie zwierząt*. Próbował jakoś poprawić sobie samopoczucie. Nic nie działało. Ani sesja jogi w ogródku, ani napar z kocimiętki cytrynowej z dodatkiem lippi trójlistnej, zwanej przez ignorantów werbeną. Jego gniew na Roberta Kozaka rósł w miarę, jak słabł ból po ugryzieniu Azy. Natomiast wstyd spowodowany własnym tchórzliwym zachowaniem, niegodnym zdeklarowanego ekoterrorysty, utrzymywał się na stałym, wysokim poziomie. Wszystkie te emocje nie sprawiły, że zarzucił plany odbicia psa. Co to, to nie! Nie zamierzał darować temu łotrowi jego podłych postępów! Był zdeterminowany, choć nie miał jeszcze pomysłu, jak pomścić nieszczęsne zwierzę. A raczej zwierzęta – nie wątpił bowiem, że i świnia mogłaby trafić w lepsze ręce. O ile jeszcze nie przerobiono jej na kiełbasę.

Wtorek chciał odwrócić się na pięcie i pomaszerować w stronę ulicy Jeża, ale zobaczył potężną sylwetkę Augusta Fąfary, który akurat wyszedł przed dom parafialny i czyścił sakwy motocyklowe. Absolutnie nie było tak, że Jacek Wtorek zapałał nagłą miłością do Kościoła i jego pasterza. Nic z tych rzeczy. Uważał jednak, że powinien proboszcza po męsku przeprosić. Był też – mimo ogromu doznanego upokorzenia – wdzięczny za ofiarność, jaką Fąfara wykazał, próbując ratować zamkniętą w boksie sukę.

– Dzień dobry – powiedział, stając nad proboszczem.

– A... na wieki wieków – odparł Fąfara cierpko, podnosząc się znad

motocykla.

Jeszcze parę dni temu miał ochotę rozszarpać Wtorka na strzępy, jednak te mordercze zapędy zdążyły ustąpić innym uczuciom. Fąfara było głupio. Do udziału w wyprawie na psi boks pchnęła go, po pierwsze, chęć spełnienia dobrego uczynku, a po drugie – musiał się uderzyć w szeroką pierś – orzechówka Cecylii. Nie był pewien, czy dokładnie to miał na myśli brat Stanisław, który zalecił mu pokutę. Ale, cóż zrobić? Nie z każdej potyczki człowiek wychodzi z tarczą.

– Chciałem księdza... chciałem cię przeprosić – powiedział Wtorek. – Sam wiesz za co.

– Dajmy już temu spokój. Jak tam ugryzienie? Goi się? – zapytał Fąfara z prawdziwą troską, ale ekolog, nim odpowiedział, przyjrzał mu się najpierw uważnie, czy aby nie dostrzega na jego twarzy śladów kpiącego uśmiechu.

Nie dostrzegł.

– Może być, już lepiej. Biedny pies, był tak przerażony i skołowany, że nie wiedział, co robi.

– Hmm... prawdę mówiąc, wyglądał, jakby bronił posesji. Oraz swego pana – powiedział niepewnie Fąfara.

– Myślisz? To też możliwe. Zwierzęta widzą w swoich właścicielach samo dobro. Są niewinne, nie tak jak my, ludzie. Tym bardziej nie można Azie pozwolić zginąć z miłości w więzieniu! Nie pozwolę, by ten brutal bez serca się nad nią pastwił. Szkoda psa na takie marne życie! – Jacek Wtorek coraz bardziej się nakręcał.

– Jak mawiają górale, przyznam ci rację, ale się z tobą nie zgodzę – powiedział proboszcz. – Wydaje mi się, że pomysł z wykradzeniem psa był... owszem, dobry, do wypróbowania. I wypróbowaliśmy. Ale teraz trzeba poszukać jakiegoś sposobu, że tak powiem, bardziej legalnego.

– Czyli? – Wtorek uniósł brwi.

– Czyli jeszcze nie wiem, ale pomyślę. Daję ci na to moje słowo. Chciałbym jednak o coś spytać, bo zawsze mnie to trochę nurtuje, gdy spotykam ludzi takich jak ty, oddanych zwierzętom bez reszty. Czy o człowieka też byś tak walczył?

Zaskoczony Wtorek zamilkł na chwilę, a potem odpowiedział:

– Gdyby mnie kochał wiernie, lojalnie, bez reszty, to pewnie tak. Ale ja takiego nie spotkałem.

– No jak to, a rodzice?

– Moi rodzice od dawna nie żyją. A kobiety... kobiety nie były dla mnie łaskawe. Na pewno nie kochały mnie wiernie i lojalnie.

Fąfara starał się ukryć zaskoczenie, jakie wzbudziło w nim to wyznanie. Nie podejrzewał Wtorka o słabość do płci przeciwnej.

– Czyżby złamane serce? – zapytał w końcu.

– Można powiedzieć, że w tej dziedzinie jestem recydywistą – zachichotał

Wtorek. – Ale co ja ci będę opowiadać o swoich uczuciowych niepowodzeniach. To nie są sprawy, które mógłbyś zrozumieć.

– A to niby czemu? – obruszył się Fąfara.

– No bo ty kochasz Chrystusa, a o kobietach nie masz pojęcia.

Proboszcz łypnął na Wtorka z ukosa. Ten facet był irytujący.

– A co to za pomysł? Jedno nie wyklucza drugiego. Zdziwiłbyś się, ale mam pojęcie o miłości. Wiem, co to jest złamane serce, lepiej, niż ci się wydaje. Nie zawsze nosiłem sutannę. Kiedyś byłem zwykłym facetem, który miał dziewczynę i planował z nią przyszłość.

Wtorek popatrzył na Fąfarę, jakby ten urwał się z choinki. Zupełnie nie umiał go sobie wyobrazić w innym wcieleniu niż księżowskie.

– To skąd ta radykalna zmiana planów?

– Długa historia. – Ksiądz nie był skory do zwierzeń, widać było jednak, że ekolog wprost płonie z ciekawości, więc wreszcie skapitulował.

– Miałem dziewczynę. Weronikę. Była dokładnie taka jak ta mityczna święta. Zawsze spieszyła z pomocą. Mieszkaliśmy w jednej kamienicy. Weronika miała brata bliźniaka – straszny był z niego łobuz. Miał na imię Gwidon. Kiedyś pobiłem się z nim, ale tak solidnie. Nie pamiętam o co. On mi rozkwasił nos, ja mu podbiłem oko. Mieliśmy może po dziesięć, jedenaście lat. Weronika przybiegła z paczką chusteczek i robiła nam „opatrunki”. Po tej bijatyce Gwidon został moim najlepszym przyjacielem. A ja zakochałem się w jego siostrze. Oficjalnie „chłopakiem i dziewczyną” zostaliśmy na początku liceum. Wkrótce potem u Weroniki ujawniła się wada serca. Wcześniej nikt jej pod tym kątem nie zbadał. Sprawa wyszła na jaw, gdy nagle zasłabła. Od tej pory rodzice zaczęli się z nią obchodzić jak z jajkiem. A ona była młoda, chciała żyć, wyjść za mnie za mąż, mieć dzieci. Ja też tego chciałem. Gdy masz naście lat, to ci się wydaje, że taka miłość będzie do grobowej deski. Czasem uciekaliśmy razem na wagary, by nie słuchać napomnień: uważaj, Werko, usiądź, nie męcz się. Do tej pory czasem śni mi się, że jedziemy moją wufemką, którą pomógł mi wyremontować ojciec Gwidona. Czuję jej długie włosy na szyi i słyszę szept: „Szybciej, Dziki, szybciej! Chcę, żebyśmy się zmienili w wiatr!”.

– Dziki? – Wtorek o mało się nie udławił ze zdumienia, choć jednocześnie uznał, że przezwisko pasuje do proboszcza jak ulał.

– Taką miałem ksywkę. Jeszcze teraz tak do mnie mówią w motorowej braci.

– No dobra, ale co się stało? Czemu nie zostaliście razem? – dopytywał ekolog.

– Parę lat później pewnego dnia – a byłem już wtedy na trzecim roku AWF-u – poszliśmy na basen. Ja, Weronika, Gwidon i cała gromada kolegów ze studiów. Moich, bo ona nie studiowała. Pływaliśmy sobie, skakaliśmy do wody. Wygłupialiśmy się. W pewnej chwili zorientowałem się, że Werki nie widzę.

Zacząłem jej szukać, wołać... Unosiła się na środku basenu, wyglądało, jakby płynęła z głową pod wodą.

– Co za tragedia! – Wtorek był wstrząśnięty.

– Tak, to była tragedia. W tamtej chwili świat się dla mnie skończył. Okazało się, że nie utonęła, tylko dostała ataku serca. Ta wada była o wiele poważniejsza, niż sądzono. Prawdopodobnie nie dożyłaby swoich kolejnych urodzin. Ale ja wyrzucałem sobie, że to przeze mnie. Że gdybym jej nie ciągnął na basen, nie zmuszał do wysiłku, może byłoby inaczej... Obwiniął mnie także Gwidon. Nie umiał się pogodzić z jej śmiercią. Szalałem z rozpaczy. Chciałem się wieszać. Połazłem do parku, jacyś ludzie mnie powstrzymali. Przez parę lat żyłem byle jak, ale potem w to wszystko wkroczył Bóg. I z czasem ukoił mój smutek. Dał nadzieję. Poznałem też inny, większy rodzaj miłości, bo przyszło do mnie powołanie. Taka to jest moja historia – zakończył Fąfara, montując drugą sakwę do boku choppera.

– Bardzo mi przykro – wykrztusił Wtorek.

– E, daj spokój. Dawno to było. Rany się zagoiły. Chociaż nie u Gwidona... Nie odzywaliśmy się do siebie od czasu pogrzebu, widziałem go ostatnio, ale nie wyglądał na pogodzonego z losem. Oczywiście o dawnej przyjaźni nie ma mowy.

– Nie chcę cię zatrzymywać, rzecz jasna, ale opowiedziałbym chętnie swoją historię. Może wpadłbyś do mnie kiedyś... z wizytą duszpasterską?

– Czemu nie!? Regularnie bywam u Cecylii. Wpadnę chętnie – jak wrócę z rajdu Monte Cassino. Wyruszamy jutro z moimi Aniołami.

– Coś o tym słyszałem. W takim razie zapraszam po powrocie! Zaparzę macierzankę! I szerokiej drogi!

– Bóg zapłać – zagrzmiął Fąfara i wrócił do roboty przy motorze.

\* \* \*

Następnego dnia w lesie przylegającym do zabudowań Starej Leśnej zebrała się motocyklowa brać. Członkowie Heaven Angels, w pełnym rynsztunku, szykowali się, by ruszyć w trasę. Ich celem było wzgórze Monte Cassino i słynny klasztor. Tam, co roku od paru lat, składali kwiaty na cmentarzu, August Fąfara odprawiał mszę i całe bractwo ruszało do pobliskiego miasteczka, w którym znajdował się dom dziecka. Każdy z riderów wiózł w sakwie parę drobiazgów dla maluchów.

– Widzę wśród nas nowe twarze. – August Fąfara wdrapał się na prowizoryczną drewnianą ambonę, skleconą niedbale przez dwa Anioły.

Deski jęknęły pod jego ciężarem i nic dziwnego: wielebny był naprawdę słusznej postury.

– Widzę nowe twarze, cieszy mnie to, bo im nas więcej, tym więcej rąk do roboty. Borys, mama pozwoliła ci na wyjazd? – zapytał złośliwie wielebny.

Chudy motocyklista w za dużej skórzanej kurtce z irytacją przewrócił oczami. Faktycznie był młody, miał zaledwie 19 lat i przed nim była pierwsza wyprawa. Starał się ze wszystkich sił nie odstawać od Angelsów, ale kontrast był nie do zamaskowania. Z niezadowoleniem poczuł, że oblewa się rumieńcem, którego nie kryła broda: jego zarost był ledwie widoczny.

– No, młody, nie pękaj, jak chcesz z nami jeździć, musisz mieć twarde tyłek, my jeńców nie bierzemy! – ryknął proboszcz. – Powiedz lepiej, czy odrobiłeś lekcje i czy wiesz, dlaczego ruszamy na Monte Cassino akurat w sierpniu?

Biedny Borys spieszył się jeszcze bardziej.

– To ci powiem. Jedziemy oczywiście, dla dobrej pamięci, ku chwale bohaterów. Zapamiętaj sobie, młody! Prawdziwe dobro nie zna narodowości ani obywatelstwa, ani wyznania. Jest ponad tym wszystkim. Cmentarz na Monte Cassino jest tego najlepszym dowodem. Obok siebie, ramię w ramię, ruszyli stamtąd do wieczności grekokatolicy, katolicy, muzułmanie, prawosławni i żydzi. Specjalnie powiedziałem w porządku alfabetycznym – Fąfara jak zawsze, gdy był szczególnie poruszony, ryczał jak trąba jerychońska. – To Pan Bóg ustala kolejność wchodzenia do nieba. Nic o tym nie wiemy. A w sierpniu jedziemy dlatego, że są wakacje. Parę kilometrów od klasztoru jest dom dziecka prowadzony przez nasze urszulanki. Dzieciaki nie mają wielu wakacyjnych atrakcji. Jedziemy je odwiedzić. Z towarem! No i oczywiście jedziemy odwiedzić Kryskę, siostrę naszego Kaprala, która pracuje tam w kuchni. Prawda, Kapral?

– Się wie! – odrzyknął gruby wytatuowany motocyklista.

– A teraz, Aniołki, ryknijemy silnikami Madonnie na pożegnanie, za kilka dni mamy Matki Boskiej Zielnej, więc niech nam tu sypnie łaskami na pola i ogrody, żeby wszystko pięknie rośło. I w drogę!

\* \* \*

Huk silników był tak potężny, że biegnąca ulicą Sokolą Zuzanna w pierwszej chwili pomyślała, że nisko leci samolot. Wszystko się wyjaśniło, gdy osiemdziesiąt motocykli, jeden po drugim wyjechało z lasu na utwardzoną drogę. Pomachała na pożegnanie Fąfarze i Kapralowi, którego znała jeszcze ze szkolnych czasów – chodzili razem do podstawówki. A potem pchnęła furtkę do ogrodu przy posesji Kazi i Ludwika. Nie weszła jednak od razu do domu, tylko ruszyła na tyły, gdzie rosły trzy stare morelki. W sierpniu zwykle aż ugiwały się od dorodnych owoców. Tym razem, niestety, wszystkie pokryte były czarnymi piegami. Z tego właśnie powodu Zuzanna – specjalistka od roślin – została wezwana przez przyjaciółkę.

– Niewiele da się zrobić. Morele można jeść, choć nie są oczywiście tak piękne jak zwykle – stwierdziła, przyjmując od przyjaciółki szklankę z kwasem chlebowym.

– Pij, kochana, moja Malwina nauczyła się robić to cudo i zdaje się, że

będziemy na tym jechać całe lato – powiedziała Kazia, nie przerywając zaplatania włosów swojej najmłodszej latorośli.

Różyczka patrzyła „cioci” prosto w oczy, uśmiechając się niewinnie. Zuzannie aż mocniej zabiło serce. Zawsze marzyła o jeszcze jednym dziecku, ślicznej złotowłosej dziewczynce podobnej do tej, która siedziała naprzeciwko niej. Pewna śmiała i nierozsądna myśl przemknęła jej przez głowę. Może... może nie jest na to jeszcze za późno?

Tymczasem Różyczka, ani na sekundę nie spuszczać wzroku z Zuzanny, powoli przesunęła rączkę po stole w kierunku miski, w której pobłyskiwały świeżo wyłuskane fasolki. Powolotku podniosła jedną i jeszcze wolniej zaczęła kierować w stronę swojego uroczonego, piegowatego noska.

– Boże, Różyczko, przestań! – Zuzanna złapała małą za rączkę dosłownie w ostatniej chwili, gdyż dziewczynka była gotowa wpakować sobie fasolę do nosa. Mały diabełek zaczął chichotać, a Kazia złapała się za głowę.

– Nie wiem, o co chodzi. Ma manię pchania wszystkiego do nosa, a przecież już raz byliśmy w takiej sprawie w szpitalu!

– Może chce zwrócić na siebie uwagę? – zapytała Zuzanna, gdy Klara wyprowadziła młodszą siostrę do ogrodu.

– Może, może... tyle mieliśmy ostatnio zamieszania z Malwiną. I ono się tak naprawdę nie skończyło – westchnęła przyjaciółka.

– Wiesz co, Kaziu, wydaje mi się... – zaczęła Zuzanna, ale nie dokończyła, gdyż z jej torebki rozległy się dźwięki *Wiosny* Vivaldiego.

– To Adam – powiedziała, oblewając się rumieńcem. – Muszę odebrać.

I tak by nie porozmawiały o Malwinie, bo dziewczyna właśnie weszła do kuchni z kobiąką pełną malin. Wyglądała przepięknie. Długie, jasne włosy upięła w zgrabny kok. Stare dzinsy i koszule w kratkę odłożyła do tekstylnego lamusa. Miała na sobie portfelową sukienkę w drobne kwiatki. I jeszcze blask w oczach. Uśmiechnęła się radośnie do swojej ulubionej ciotki. Zuzannie czegoś brakowało, przez kilka chwil nie mogła się zorientować, czego. Ach! Oczywiście! Kolczyk z diamentem zniknął bezpowrotnie. I to była naprawdę dobra zmiana.

Zuzanna nie mogła oderwać wzroku od dziewczyny, podczas gdy po drugiej stronie komórki Adam Przygodzki próbował jej coś powiedzieć.

– Chciałem... wyjaśnić pewne kwestie dotyczące ogrodu – zaczął.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Zuzanna. – Jakież szkodniki?

– Nie, nie to... chodzi raczej o układ roślin, bo ja czytałem...

– Ach, nie czytaj tych głupot! Połowa informacji w gazetach o szkodliwym sąsiedztwie roślin jest nieprawdziwa! Zaufaj mi, wszystko u ciebie ma idealne warunki!

– Ja... nie bardzo umiem to wytłumaczyć, ale chyba zrozumiałem... to jest, zorientowałem się... – wyraźnie plątał się w zeznaniach.

– Wiesz co – ucięła Zuzanna. – Może ja po prostu do ciebie wpadnę. Bo tak na odległość trudno się rozmawia. Muszę jechać do Jolancina. – Uśmiechnęła się do Kazi i ucałowała Malwinę. – Przepyszny kwas chlebowy! Jesteś prawdziwą mistrzynią!

\* \* \*

– Zauważyłaś, mamó, że Zuzanna jakoś młodziej wygląda? I jakby wyszczupiała? – powiedziała Malwina do matki, gdy zostały same.

– To ta cholerna miłość – mruknęła Kazia, przyglądając się ich wspólnemu odbiciu w lustrze. – Ty też ładnie wyglądasz – dodała, ale słowa zupełnie nie zabrzmiały jak komplement.

Malwina zakręciła się na środku kuchni tak, że jej spódnica zawirowała, odsłaniając długie zgrabne nogi.

– Bo jestem szczęśliwa – powiedziała.

– No właśnie o tym szczęściu chciałabym z tobą pomówić. – Kazia usiadła i położyła na stole dłonie splecione jak do modlitwy. – Razem z ojcem uważamy, że twoja znajomość z tym Ukraińcem...

– On ma na imię Jurko, zapomniałaś? – przerwała jej córka.

– No więc twoja znajomość z Jurkiem weszła w dość niebezpieczną fazę.

– O co ci chodzi? – Malwina przestała się uśmiechać i przybrała zacięty wyraz twarzy, którego tak nie lubiła jej matka.

– Chodzi o to, że nie wiadomo, czy do siebie pasujecie. O to chodzi! A zaangażowałaś się bardzo, za bardzo, moim zdaniem! – Kazia zupełnie nie umiała być dyplomatką, gdy chodziło o własne dzieci. – Boimy się o ciebie! Bo spędzasz całe dni z tym chłopcem.

– Nie mogę cię słuchać! – krzyknęła Malwina. – Nie mogę uwierzyć, że mówisz takie głupie rzeczy! A zdawało mi się, że jesteś po mojej stronie. Chodzi wam o to, że jest biedny czy że z Ukrainy? Halo, mamó! Czy to nie ty sto razy nas uczyłaś, że nieważne, czy ktoś jest bogaty, czy ma nadzianych rodziców, bo liczy się, jakie ma serce i jak postępuje?

Kazię kompletnie zatkało. Nigdy dotąd córka nie podsumowała jej w tak ostry i tak – musiała to przyznać – celny sposób.

– Skoro jednak tak tego potrzebujesz, to ci powiem! Jurko ma wspaniałych rodziców! Mają ogromną, rozsypaną po świecie rodzinę, bo jego dziadek miał troje dzieci. Ten dziadek mieszka teraz w Kanadzie, u brata. Kiedyś był specjalistą od ogrodów jak nasza Zuzanna... sama widzisz. Zwykli ludzie, tacy jak my, tylko mają trudniej – bo na Ukrainie jest biedniej. A z Jurkiem spędzamy razem czas, bo się kochamy. Pamiętasz jeszcze, co to jest miłość? – zakończyła dramatycznym pytaniem, które odebrało matce wszelkie argumenty.

Jej córka nagle dorosła. Była piękną młodą kobietą. Mądrą i dobrą. I do tego



zakochaną. Wstała od stołu i przytuliła Malwinę, z trudem panując nad wzruszeniem. Dziewczyna w pierwszej chwili zeszywniała, ale potem oddała uścisk.

– Przepraszam – szepnęła Kazia. – Bardzo cię kochamy i chcemy twojego szczęścia. Obyś zawsze była tak szczęśliwa, córeczko!

\* \* \*

Tydzień później ulicą Sokolą wolno szli przytuleni Malwina i Jurko. Było już po ósmej, Malwina musiała wrócić na kolację, ale nie mogli się rozstać – dlatego Jurko postanowił odprowadzić dziewczynę do domu. W połowie ulicy poczuli zapach dymu. Tajemnica rozwiązała się, gdy doszli do posesji Leszczyńskich: na tyłach willi, koło starej szopy na narzędzia, Ludwik rozpałił ogromne ognisko. Palił gałęzie róż, których krzaki prześwietlał na wiosnę, a także połamane podczas lipcowych nawałnic konary jabłoni. Jedno z drzewek, dość stare, po prostu się przewróciło. Leżało tak dość długo, a zirytowana Kazia wciąż powtarzała mężowi, że powinien się tym zająć. Wreszcie zabrał się do uprzątnięcia bałaganu, choć, trzeba przyznać, pogoda nie była najlepsza na urządzenie ognisk. Od kilku dni mieszkańców Starej Leśnej męczyły upały – temperatura rzadko schodziła poniżej trzydziestu stopni.

Malwina radośnie zamachała do ojca, Jurko bez słowa skłonił się na powitanie. Ludwik skrzywił się nieznacznie i odwrócił głowę, jakby udawał, że nie widzi tego gestu.

– Jurko, może wejdiesz na chwilę? Dałabym ci książki, mówiłeś, że nie masz już nic do czytania – przypomniało się Malwinie.

– Neeeeee... Chyba już pójdę – odparł Jurko, który zauważył dziwne zachowanie ojca swojej sympatii i odpowiednio je zinterpretował.

Wiedział, że Ludwik go nie lubi. Nie chciał się narzucać.

– Oj, daj spokój, to zajmie tylko chwilę! – nalegała Malwina i wciągnęła Jurka za furtkę, po czym pobiegła szybko do domu.

Jurko westchnął. Nie wiedział, jak teraz postąpić, ale chyba nie wypadało tak sterczeć przy ogrodzeniu. Z ociąganiem podszedł więc do Ludwika, który bez słowa wrzucał w ogień kolejne naręcza suchych gałęzi. Płomienie wybuchały na wysokość dwóch metrów.

– Dzień dobry. Nie boi się pan, taki duży ogień przy suszy rozpałać? – zapytał Jurko.

– E, jaka tam susza – odburknął Ludwik tonem, który sugerował, że uważa sugestie Jurka za idiotyczne.

Jakby jednak na potwierdzenie słów chłopaka płomienie nagle roztańczyły się na wszystkie strony, język ognia popęzł po suchej trawie, sięgnął stosu gałęzi, czekających na wrzucenie do ogniska. Stos momentalnie się zajął, zachwiał

i przewrócił – wprost na starą, drewnianą szopę, która też zaczęła płonąć. Wszystko to stało się w ciągu kilkunastu sekund. Oniemiały Ludwik stał z otwartymi ustami i najwidoczniej nie miał pomysłu, co zrobić.

– Szybko! Gaśnica! – krzyknął Jurko.

Na ganek wybiegła Malwina z książkami, które natychmiast upuściła przerażona, i Kazia.

– Jezus, Maria, Ludwik! – krzyknęła Leszczyńska.

– Bez paniki, potrzebujemy dwóch gaśnic. Malwina, dzwoń po straż pożarną! – zakomenderował Jurko, głosem donośnym, ale tym razem znacznie spokojniejszym. – Jedną gaśnicę na pewno mają państwo w samochodzie, proszę dać kluczyki, szybko!

Kazia rzuciła się do domu po kluczyki od jej i Ludwika samochodu.

– Świetnie, dwie gaśnice, pan Ludwik bierze jedną, ja drugą. Ja stanę od zawietrznej, pan z wiatrem, i na hasło „teraz” obaj naciskamy spusty. Zatrzymamy ogień, wystarczy do przyjazdu straży! – rozkazał Jurko.

Ludwik bez słowa chwycił podaną mu gaśnicę i ustawił się tak, jak powiedział chłopak. Ogień w tym momencie ogarnął prawie cały daszek narzędziowni, wyłożony starą papą, a ze środka, przez szpary w deskach, zaczął walić szarawy, gryzący dym.

– Teraz! – wrzasnął Jurko i na szopę popłynęły strumienie białej piany.

Ogień przycichł, choć było jasne, że zaraz zacznie buzować na nowo. Na szczęście jednak dało się już słyszeć syrenę straży pożarnej i po chwili na posesję Leszczyńskich wtoczył się ogromny wóz strażacki.

Po pięciu minutach – i pewnie co najmniej tysiącu litrów wody – płomienie zostały ugazzone. W miejscu ogniska widniała sporych rozmiarów kałuża, a z mokrej i pozbawionej dachu szopy unosiły się jeszcze wąskie smużki dymu.

– No, mieli państwo szczęście. Żeby w suszę rozpalać ognisko... dobrze, że dom ocalał... – ocenił fachowo dowodzący akcją gaśniczą strażak. – Co, to syn państwu taki numer zrobił? – zapytał, wskazując na Jurka.

– To nie jest nasz syn. I to ja rozpaliłem ognisko – przyznał się do winy Ludwik, choć zabrakło mu odwagi, by spojrzeć strażakowi (i Kazi) prosto w oczy.

Czuł się jak ostatni kretyn.

– A który z panów wpadł na to, żeby wykorzystać dwie gaśnice do stłumienia płomieni? Świetna robota. Odcięli panowie dopływ tlenu, pewnie dlatego wszystko nie poszło z dymem... – pochwalił strażak.

Jurko nie zamierzał ostatecznie pognać Ludwika, więc milczał.

– Jurko, to był twój pomysł. Jak to dobrze, że akurat byłeś na podwórku! – powiedziała Malwina i rzuciła się chłopakowi na szyję.

– Tak? No, no. Winni ci jesteśmy podziękowania i dobrą kolację. Wchodź do środka. Zjesz z nami i pościelimy ci w gościnnym, zostaniesz na noc. Po takich

wrażeniach nie wypuścimy cię do domu bez odpoczynku. A ja zadzwonię do pani Ireny i uprzedzę, że wrócisz dopiero jutro. Malwina, idź zrobić herbatę, a ty, Jurko, pod prysznic. Wszyscy śmierdzimy spalenizną – komenderowała Kazia. Gdy Malwina z Jurkiem znikli w środku domu, wysyczała do Ludwika: – Ty idziesz się myć ostatni. I masz farta, że nie ty śpisz w gościnnym. Więcej szczęścia niż rozumu, naprawdę, Ludwiku, czasami zachowujesz się jak pięciolatek.

Odwróciła się na pięcie i poszła do domu.

– No tak. Muszę podziękować chłopakowi. Ma głowę na karku – westchnął Ludwik z nieszczęśliwą miną i począł za swoją połowicą.

Tego wieczoru przy kolacji Leszczyński nie odezwał się ani słowem. Obserwował spod oka Jurka, ale już nie wrogo, raczej badawczo. Jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu. I chyba naprawdę tak było. Ludwik po raz pierwszy ujrzał młodego, mądrego, uprzejmego chłopaka – a nie Ukraińca, który chce mu uwieść córkę.

\* \* \*

Pożar u Leszczyńskich zrobił na Krystynie piorunujące wrażenie. Natychmiast wybrała się na obchód terenu, by skonstatować z przerażeniem, że Kurza Stopka oraz przylegający ogród przypominały pochodnię czekającą na podpalenie.

– Drewno. Suche jak pieprz. Pójdzie z dymem w pięć minut. A nasza komórka na narzędzia? Skład starych gazet i nawozów dla roślin. Będzie się fajczyć, aż miło! – gderiała, nerwowo paląc papierosa.

– Krysiu... Nieszczęścia chodzą po ludziach, ale po co wypatrywać najgorszego? Nie lepiej skupić się na tym, co dobre? – zapytała Cecylia, która układała przed lustrem włosy.

Wybierała się właśnie do cukierni Stanisława Grzybka na spotkanie z matką proboszcza Fafary, która przyjechała, by pod nieobecność syna zrobić na plebanii generalne porządki.

– Mama zawsze żyła jak motylek, nie przejmując się konsekwencjami. Pewnie dlatego wszystkie trzy wylądowałyśmy w tym... baraku, który może łatwo stać się naszym ostatnim domem. A raczej: trumną. Też z drewna. Lepiej podejść do centrum i zapytam u agenta PZU, czy nie dałoby się wykupić jakiegoś dodatkowego ubezpieczenia, bo ta polisa Zuzanny to śmiechu warta! – westchnęła Krystyna.

Cecylia wzruszyła ramionami i dalej kręciła loki. Była to czynność wielce angażująca, co można było rozpoznać po lekko wysuniętym języku nestorki rodu Czaplicz.

– Jak sobie życzysz, Krysiu, jak sobie życzysz. Na mnie czas. Nie wątpię, że po powrocie zastanę dom w stanie nienaruszonym. – Uśmiechnęła się, psiknęła

perfumami za uszami i na nadgarstkach, po czym zabrała torebkę, słomkowy kapelusz i wyszła.

Krystyna wzięła ciemne okulary, chustkę na głowę i na wszelki wypadek parasol – choć niebo było bez jednej chmurki – i po kwadransie podążyła w ślady matki, czyli do centrum Starej Leśnej, w którym mieściła się budka z granatowym logo PZU.

Była prawie u celu, kiedy koło niej bezszelestnie zatrzymało się czerwone, sportowe auto. Krystyna nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem. Jakież było jej zdziwienie, gdy siedząca za kierownicą rudowłosa kobieta zawołała ją po imieniu.

– Pani Krysiu! Pani Krysiu, podwiozę panią!

– Ach, to pani, pani Karolino! Nie poznałabym pani w tym wehikule! – Krystyna poprawiła delikatnie chustkę na głowie i zdjęła okulary. – Bardzo to uprzejmie z pani strony, ale nie ma takiej potrzeby. Ja idę tu, o, za róg.

Ruda lekko przygryzła wargę.

– Och, jaka szkoda! Tak się ucieszyłam na pani widok, miałam nadzieję, że namówię panią na kawę... Prawie nikogo tu nie znam, to znaczy: nikogo na poziomie! – Uśmiechnęła się słodko.

Wyznanie to mile polectało Krystynę. Lekko się wyprostowała i nawet uśmiechnęła. Jaka miła była ta Sokolnicka, Krystyna czuła, że trafiła na bratnią duszę – chyba pierwszą. Trudno się zaprzyjaźniała, była oszczędna w wyrażaniu uczuć i dlatego nie miała wielu znajomych, w przeciwieństwie do Cecylii, która była w swoim żywiole w każdym towarzystwie, w którym się pojawiła, i Zuzanny, dość skrytej, ale bardzo serdecznej i skłonnej do pomocy.

– Ach, wie pani, pani Karolino, właściwie moja sprawa może poczekać. Nie pali się. Jeszcze. Chodźmy na tę kawę.

– Cudownie, niech pani wskakuje! – szczerze ucieszyła się Karolina i wskazała siedzenie koło siebie.

Krystyna zasiadła i samochód ruszył.

„Na Boga, cóż to za pomysł, auto bez dachu! Pomijam kaprysy pogody, ale te gniazda gołębi i srok na każdym drzewie, aż strach jechać! Dobrze, że włożyłam chustkę” – pomyślała z przerażeniem.

– Słyszałam, że cukiernia Stanisława Grzybka jest niezła, podobno podają tam pyszne ciastka w stylu slow food... – zagaiła Sokolnicka i zerknęła pytająco na Krystynę.

Ta nawet chciałyby pokazać się u Grzybka w towarzystwie hrabianki, ale przypomniała jej się matka i jej spotkanie z panią Fąfarą.

– Nie! Nie, nie, te ciastka to najgorsza trucizna, na maśle, nienasyconych kwasach tłuszczowych! Lepiej chodźmy do Oranżeria Cafe, tam promują zdrowy styl życia! – wykrzyknęła.

Po chwili sadowiły się już na metalowych, niewygodnych krzeselkach.

– Dziś polecamy specjalność zakładu: ciastka owsiane i koktajl na maślanec z owocami goi – powiedziała matowym głosem smutna kelnerka.

Zamówiły. Koktajl miał ohydny kolor ścierki do podłogi, a ciasteczka przypominały glinę. Żuły je przez chwilę w milczeniu. Karolina usiłowała się uśmiechnąć, ale gruzłowata masa rosła jej w ustach i uniemożliwiała jakikolwiek grymas. W akcie desperacji sięgnęła więc po koktajl. Popiła. Przełknęła.

– Pyszne! – uśmiechnęła się słodko, choć z niejakim trudem. – Co słyhać, pani Krystyno? Ma pani czas chodzić do Dalili?

– Ech, nie bardzo. Wnuk wrócił z kolonii i trzeba mu ugotować, coś uprać, zorganizować czas, więc...

– A jego matka?

– Zajęta. Wiecznie zajęta. Praca, praca, przyjaciółeczki, no a teraz jeszcze ta nedorzeczność z... oj, przepraszam – zająknęła się Krystyna, pojąwszy, że popełniła nietakt.

– Ależ skąd, naprawdę, jestem przyzwyczajona. Jak pani dobrze wie, to nie pierwsza taka sytuacja w moim życiu. Ale staram się też zrozumieć pani córkę. Sama, w określonym wieku, z dorastającym chłopakiem. Musi być zdeterminowana, to syndrom zamykających się drzwi. A właśnie: co się stało z ojcem chłopca? Może kawkę zamówię i jeszcze po ciasteczku? – Sokolnicka niemal pieszczotliwie pogładziła Krystynę po dłoni.

I już za chwilę Krystyna, zazwyczaj mało rozmowna, opowiedziała Karolinie całą historię związku Zuzanny z Tomaszem i o wszystkich wynikłych z tego powodu trudnościach. Karolina była świetnym słuchaczem: żywo reagowała mimiką twarzy na zwroty akcji, krzyczała: „Och!”, „Niemożliwe!” i „Nie wierzę, że to zrobił?”, dopypywała o szczegóły. Krystyna czuła się ważna i interesująca, wreszcie była na pierwszym planie, a nie jej matka czy córka, jak zazwyczaj. I nawet nie zauważyła, że Sokolnicka nie zadała ani jednego pytania dotyczącego jej i jej życia.

Wszystkie były związane z Wojtkiem, Zuzanną i Adamem.

## XI

Adam po raz drugi napełnił kieliszek Zuzanny.

– Chcesz mnie upić? Upij, będę łatwiejsza. – Zaśmiała się i kokieteryjnie zmrużyła oczy.

– Miły wieczór, ostatni weekend wakacji... Chwila zapomnienia nie zawadzi. Od poniedziałku będziesz sprawdzała prace domowe i odpytywała do klasówek, a o mnie zapomnisz... – Adam starał się prowadzić lekką rozmowę, ale w rzeczywistości miał całkiem poważną sprawę do omówienia z Zuzanną. Tylko nie wiedział, jak zacząć.

– Nawet mi nie przypominaj! W zeszłym roku Wojtek się opuścił w nauce, ale jest już duży, nie mogę mu sprawdzać zeszytów, nawet gdybym chciała. Zostawię więc sobie ciebie w odwodzie, w dziwny sposób poprawiasz mi humor. – Zuzanna upiła łyżeczek prosecco.

Adam westchnął. Wieczór był piękny. Słońce zaszło i zabarwiło niebo krwawym blaskiem. Szykowała się noc jasna, ale chłodna. Siedzieli na tarasie otuleni ciepłymi, kraciastymi pledami.

Spojrzał na ogród, coraz ciemniejszy w zapadającym zmierzchu. Rośliny, zmęczone latem, szykowały się powoli na jesienny odpoczynek i zimowy sen. Zieleń ich liści zmatowiała, gdzieniegdzie żółkła.

– Czy powinienem przygotować ogród na zimę? Jakies chochoły, coś? Wiesz, że nie mam o tym pojęcia – Adam postanowił skierować rozmowę na inne tory.

– Nie trzeba, nie masz roślin bardzo wrażliwych na mróz. Część, jak bratki, jest jednoroczna, na wiosnę trzeba będzie je znowu wysiać lub zasadzić. Tulipany wykopałam tuż po kwitnieniu, będę sadziła cebulki za jakiś miesiąc, w kwietniu znów rozkwitną. Lilie i peonie poradzą sobie, to odporne odmiany. Chochołów więc nie będzie, chyba że bardzo ci zależy! – powiedziała Zuzanna.

Znów zapadło milczenie. Lubili we dwoje milczeć. W ogóle lubili wszystko robić razem.

– Wpadła mi w ręce książka o wiktoriańskim języku roślin. Przeczytałem, że peonia oznacza wstyd. To prawda? – zapytał Adam.

– Prawda, ewentualnie, zgodnie z niektórymi podręcznikami, lękliwość – Zuzanna znów upiła łyżeczek wina i z zadowoleniem wpatrywała się w ogród.

– Jaśmin to przyjaźń, dobre nastawienie do ludzi? – kontynuował.

Nieznacznie kiwnęła głową, zatopiona we własnych myślach.

– Wiciokrzew o koralowej barwie kwiatów znaczy kolor mojego życia, tak? – kontynuował.

Tym razem Zuzanna spojrzała na niego uważniej.

– No, no... Widzę, że całkiem sporo wiesz na ten temat – zaczęła ostrożnie.

– Tak, nawet pomyślałem, że zabawię się w czytanie planów mojego ogrodu zgodnie z wiktoriańskim językiem roślin. Chyba nie przepadałaś za mną na początku prac, chciałaś mi tu nasadzić całe zagony bazylii! – uśmiechnął się.

Zuzanna też się uśmiechnęła, jakby poczuła ulgę, że rozmowa znów przybrała zabawny obrót.

– Faktycznie, nie byłeś moim ulubieńcem, ale jak zapewne wiesz, aktualnie sprawy mają się całkiem inaczej. W twoim ogrodzie nie rośnie ani jeden krzaczek bazylii, choć może szkoda z praktycznego punktu widzenia, bo nie ma to jak świeże pesto. – Oblizła wargi.

– Bardziej niż bazylia zainteresował mnie ten stary głóg. I to, co wokół niego – Adam podjął temat po chwili ciszy.

Twarz Zuzanny stężała. Bała się tego, co Adam może w tej chwili powiedzieć. Ile zrozumiał? Czy rzeczywiście dobrze pojął to, co chciała mu przekazać? Odczytał trafnie? Nie pomylił się? Istniało wiele słowników sekretnego języka kwiatów. Czy na pewno wybrał właściwy? Miała nadzieję, że tak. Wiedziała, że nie umiałaby ubrać w słowa wszystkiego, co chciała mu wyznać. I jeszcze był strach. Że gdy on dowie się prawdy, odejdzie. A ona znowu zostanie sama.

– Tak. To dla mnie istotne miejsce w twoim ogrodzie. Odzwierciedla to, co w moim życiu jest najważniejsze. Nigdy nie umiałabym ci o tym opowiedzieć, a przecież powinieneś wiedzieć, skoro się spotykamy... – wyszeptała.

– Rozumiem. Wszystko zrozumiałem. Cieszę się – powiedział.

Zrzucił pled, podszedł do Zuzanny i mocno ją przytulił.

– Ja też jestem szczęśliwa. Bardzo cię lubię, wiesz? Może nawet więcej – odparła zduszonym głosem.

– I ja ciebie „coś więcej”. I Wojtka – wyszeptał w jej ucho.

Wcisnęła twarz w jego ramię. Nie chciała, żeby widział łzy. Bo czy mężczyzna może pojąć, że kobiety czasem płaczą z radości?

\* \* \*

Moniczka z obrzydzeniem spojrzała na starego dostawczaka stojącego na podjeździe. Zapukała w drzwi garażowe. Jej nozdrza uderzył odór benzyny, niepranych skarpetek i grochówki, która bulgotała w garnku na przenośnej kuchence elektrycznej.

– Czy ten wrak musi stać tak na środku? To jakaś demonstracja czy co? Chyba nie wszyscy sąsiedzi muszą wiedzieć, że nocujesz w garażu. A poza tym on szpeci perspektywę! Muszę na niego patrzeć z okien salonu, stoi dokładnie na osi widokowej i naprawdę nie czuję się z tym komfortowo! – głos Moniczki stawał się coraz wyższy i głośniejszy w miarę zbliżania się do końca wypowiedzi.

Robert Kozak, odziany w przybrudzony dres z wypchanymi kolanami,

w złości cisnął o ziemię łyżką, którą właśnie mieszał zupę. Odbiła się od betonowej podłogi i uderzyła w bezładny stos puszek po grochówce, fasolce po bretońsku i gołąbkach firmy Pudliszki.

Od dwóch tygodni, od feralnego wieczoru, podczas którego Jacek Wtorek z proboszczem Fąfarą wdarli się na jego teren, a zawieszony przewencyjnie młodszy aspirant Piskała zdemaskował świnie polską zwisłouchą w osobie Ryjka, właśnie tak wyglądało jego menu: puszki, słoiki i ewentualnie zupki w proszku oraz konserwa mięsna do chleba na śniadanie.

Moniczka nie dała się przebłagać i nie pozwoliła mężowi na powrót do domu. Urządził więc tymczasowe gniazdko w garażu, na miejscu, które dotąd zajmował dostawczak. Położył tam dmuchany materac, śpiwór, rozstawił kuchenkę. Obok materaca leżał karabinek myśliwski i stała do połowy opróżniona już butelka whisky, którą Robert Kozak gasił cowieczorne pragnienie towarzystwa. Najchętniej – towarzystwa żony, choć właściwie na tym etapie czuł się już tak osamotniony, że wystarczyłaby mu jakakolwiek żywa istota, która okazałaby choć trochę czułości. Niestety, kryzys małżeński unaoczniał smutną prawdę: Kozak od dawna nie utrzymywał kontaktów ze swoją rodziną (starszy brat, uprawiający na pięciu hektarach kapustę, nie pasował jakoś do wizerunku rodziny ze szlacheckimi korzeniami) i przez całe życie nie zdobył ani jednego przyjaciela.

– Za to ja się czuję komfortowo, wiesz. Cholernie komfortowo. Mam się gniesć w garażu między dwoma samochodami, żeby tobie nie było wstyd przed sąsiadami? – zrymowało mu się niechcący.

– To chociaż zamień te auta! Tamto lepiej pasuje do architektury naszej rezydencji! – wrzasnęła Moniczka, wskazując na srebrną limuzynę, drugą wielką miłość Roberta Kozaka.

– Co?! Mam trzymać Mirellę na chłodzie i deszczu, bo ty masz fochy i muchy w nosie? Świnie traktujesz lepiej niż mnie! Idź ty może do psychiatry, bo dostrzegam u ciebie porażający zanik uczuć wyższych! – stwierdził Kozak, strącając niechcący garnek z grochówką na posadzkę.

Moniczka dumnie uniosła głowę, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z garażu bez jednego słowa. Robert patrzył, jak oddała się w stronę domu. Mniej więcej w połowie drogi dołączyła do niej świnia, która rozmiarami zbliżyła się niemalże do Fiata 126P. Kozakowi aż zaszklily się oczy, tak rozżalony i poniżony był w tym momencie.

Dwa tygodnie temu, przy blasku błyskawic i akompaniamencie grzmotów, nie tylko on został wyrzucony z domu. Zakaz wstępu dostała także świnia. Jej losy przez chwilę wisały się na włosku: przez kolejny tydzień pod furtką z tabliczką „Mgr inż. Robert Kozak” pojawiały się podejrzane indywidua w za dużych kapotach i czapkach maciejówkach na głowach.

– Czy to skup żywca? – zapytał osłupiałego Kozaka jeden z nich.



– Przyjechałem po nierogaciznę. Płacę za kilogram i radzę nie oszukiwać mnie na wadze – ponuro obwieścił drugi.

Z jakiegoś jednak powodu podejrzane typy odchodziły z kwitkiem. Może przez to, że ich *image* robił na Moniczce odpychające wrażenie? Nie cierpiała kontaktów z ludźmi, którzy nie byli *trendy*. Faktem jest, że każdego dnia u Moniczki chęć pozbycia się świni malała, a sympatia dla niej – rosła. Świnia reagowała radosnym kwikiem na widok swojej pani, chodziła za nią krok w krok po ogrodzie i wysłuchiwała niekończących się tyrad o błędach, jakie popełniła kosmetyczka, doczepiając Moniczce zbyt krótkie rzęsy, i o wyższości szpilek nad obcasami typu kaczuszka oraz słupkami. Okazało się też, że świnia uwielbia, dokładnie tak jak pani Kozakowa, oglądać w telewizji relacje z pokazów mody. Zdawała się też czytać jej w myślach. „Ale paskudztwo, jak można ubrać coś w tak złym stylu!” – przebiegało przez głowę Moniczki, a świnia już wykazywała swoją dezaprobatę za pomocą gniewnego chrumkania. Jednym słowem: pani Kozak znalazła w niej bratnią duszę, której zawsze jej brakowało.

Od tygodnia więc panowie od „skupu żywca” odprawiani byli krótkim: „Pomyłka”, świnia zaś wróciła do swojego dawnego imienia Ryjek. Oraz do sypialni Moniczki.

Robert Kozak zrozumiał, że nie ma już dla niego ratunku.

Właściwie nie widział żadnej nadziei dla swojego małżeństwa. Bez rozwodu chyba się nie obejdzie. Na samą jednak myśl o podziale majątku zaczynała go boleć głowa. Nie lubił się dzielić i nie chciałby – był tego pewien – wyjść na frajera oskubanego przez żonę.

Ale nie to było najważniejsze. Przede wszystkim Robert naprawdę głęboko i nieustająco kochał Moniczkę. Uwielbiał jej poczucie humoru, uważał za szczyt wyrafinowania, elegancji i kwintesencję seksapilu. Nie wyobrażał sobie życia bez niej znacznie bardziej, niż... nie wyobrażał sobie życia bez Mirelli.

Wieczorem wyprowadził więc na podjazd swoją ukochaną limuzynę, wjechał do garażu dostawczakiem, a następnie opróżnił butelkę whisky, oparty o jego wysokie, brudne koła. Miał nadzieję, że Monika dostrzeże jego poświęcenie, może je doceni? Właściwie nic innego mu już nie pozostało.

„Przegrałem i przepadłem” – pomyślał na koniec, zanim osunął się nieprzytomny pod podwozie auta.

Obudziło go miarowe stukanie. Nad sobą widział wyraźnie przerdzewiałą rurę wydechową, dalej zaś majaczył kawałek zgrabnej, choć niechudej nóżki, obutej w turkusowy pantofelek wykończony kokardą w grochy. Właśnie ów pantofelek był źródłem nieznośnych dźwięków, które zdawały się przewiercać mózg Roberta Kozaka na wylot.

– No, ładnie sobie tu używasz, jak widzę. Muszę ci, Robercik, powiedzieć, że aktualnie znacznie lepiej komponujesz się z tą furgonetką niż limuzyną –

usłyszał cienki i drwiący głosik gdzieś wysoko w górze.

– Dobrze za to, że limuzyna komponuje się z twoją osią widokową – wycharczał Kozak.

Okropnie zaschło mu w gardle. Oddałby wszystkie samochody świata za kubek zimnego kefiru. A jeszcze lepiej – wiaderko lodowatego soku po ogórkach kiszonych.

– Tak, dziękuję ci. Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Ściągnij mi tu Jurka na popołudnie. On ma prawo jazdy, prawda? Potrzebuję, żeby zrobił wybieg dla Ryjka. Musi mieć miejsce, w którym będzie się czuła szczęśliwa i u siebie, no nie? – Turkusowy pantofelek znów zatupał.

– No tak, pewnie, każdy musi mieć takie miejsce – odpowiedział Robert szeptem, ale Moniczka i tak już go nie usłyszała, bo odchodziła.

Zaczął się zastanawiać, czy mógłby się załapać – na tak zwany krzywy ryj – do miejsca, w którym świnia będzie się czuła szczęśliwa,. Może trochę tego dobrostanu skapnęłoby i na jego biedną głowę?

Po południu pod drzwiami rezydencji państwa Kozaków stawił się, zgodnie z poleceniem szefa, Jurko. Monika zabrała go w kąt ogrodu i pokazując ogromną połąć trawnika o powierzchni, na oko, dobrych kilkuset metrów, zażądała, by wygrodził ją starannie, a w kącie wykopał płytki, choć szeroki dół i wyłożył go folią.

– Takie płytkie oczko wodne? Nie doradzałbym, roślinom będzie za gorąco, woda będzie się nadmiernie ogrzewała, a to sprzyja rozwojowi glonów – zaczął Jurko.

– Tu w ogóle nie będzie wody. Tu ma być błoto – wyjaśniła lekkim tonem pani Kozakowa.

Jurko musiał mieć pytający wyraz twarzy, bo żona szefa pospieszyła z wyjaśnieniami.

– To będzie basen na błotne kąpiele dla Ryjka. Przeczytałam, że świnie uwielbiają błoto. A tam, w rogu, postawisz zadaszoną wiatę. Ryjek musi móc spać na czystej słomie, jeśli akurat nie będzie chciała nocować w domu – kontynuowała, a brwi Jurka wędrowały coraz wyżej i wyżej.

– Oczywiście. Jak sobie pani życzy. To sporo pracy, ale, jeśli pani wyrazi aprobatę, zgodzę do pomocy kilku fajnych chłopaków, znajomych z Kijowa. W tydzień skończymy – powiedział.

Robert Kozak, który przysłuchiwał się tej konwersacji ukryty za stojącą na podjeździe limuzyną, chciał wrzasnąć: „Nie! Nie! Za nic w świecie!”, ale usłyszał perlisty śmiech Moniczki i pojął, że umowa została już zawarta. Zwiesił głowę. Ta kobieta go zrujnuje, na spółkę z tucznikiem, którego postanowiła sobie wziąć za piechoczkę zamiast niego, mężczyzny, któremu przysięgała przed ołtarzem.

Zgnębiony powłókł się do garażu i klapnął na materac. Siedział tak przez

chwilę, pogrążywszy się w ponurych rozmyślaniach. Nagle poczuł, że jakaś ciepła, duża rzecz wciska mu się pod pachę. Otrząsnął się momentalnie i ze zdumieniem dostrzegł wielki pysk Azy, która trącała go nosem i patrzyła na niego wzrokiem, w którym... zdawał się dostrzec prawdziwe współczucie. I coś jeszcze: sympatię.

Od dawna nikt nie patrzył na Roberta w tak ciepły i pełen akceptacji sposób.

Zrobiło mu się dziwnie. Poczuł się nieswojo. Czyżby pies naprawdę miał uczucia, jak mówili niektórzy? Potrafił przeżywać smutek, radość, umiał lubić i nienawidzić?

Ale dlaczego Aza miała go lubić? Karcił ją wprawdzie regularnie, ale nigdy nie wykonał w jej stronę jednego miłego gestu. Nie miała podstaw, by darzyć go miłością.

„Tylko zwierzę potrafi kochać bezwarunkowo” – przypomniał sobie czyjeś słowa, choć nie pamiętał czyje. Niezdarnie poklepał psa po głowie, a Aza polizała go w rękę i zwinęła się w kłębek u jego stóp.

I z jakiegoś powodu Robertowi zrobiło się znacznie różniej.

\* \* \*

Czarna toyota powoli toczyła się ulicą Jeża. Adam zaproponował Zuzannie, że dowiezie ją i Wojtka na rozpoczęcie roku szkolnego.

Tak na wszelki wypadek, żeby wyprasowane w kancik spodnie i biała koszula tym razem nie doznały uszczerbku. Entuzjazm, z jakim chłopak zareagował na wieść, że będzie mu towarzyszyć nie tylko mama, ale i jego przyjaciel, sprawił Przygodzkiemu ogromną przyjemność. Dlatego nie mógł się doczekać tego pierwszego dzwonka, po którym we troje wejdą na szkolny korytarz, niczym prawdziwa rodzina.

Przyjechał do Kurzej Stopki odrobinę za wcześnie. Miał już wysiadać z auta, gdy zawibrowała mu w kieszeni komórka. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie Karoliny. Przez ułamek sekundy się wahał, w końcu jednak nacisnął automatyczną odpowiedź: „Nie mogę teraz rozmawiać”. I sam się zdziwił. Zwykle to ona odrzucała połączenia z nim. On zrobił to po raz pierwszy. Po chwili zadźwięczał sygnał przychodzącego esemesa. Miał w skrzynce głosowej nagraną piętnastosekundową wiadomość. Wyłączył dzwonek telefonu i schwał do kieszeni. Nie będzie sobie tym teraz głowy zawracał.

Pchnął furtkę do ogródka i stanął jak wryty. Krystyna, z nosem w trawie i na czworakach, posuwała się powoli w stronę domu, posypując co jakiś czas ziemię białym proszkiem.

– Dorwę was, wytropię, wy podstępne demony – mruzczała pod nosem. – Znajdę wasze tajne ścieżki i zasypię trucizną...

– Dzień dobry! – rzucił wesoło, a Krystyna w jednej sekundzie poderwała się na nogi i rzuciła mu wściekle spojrzenie. – Czyżby jakieś szkodniki? – zapytał

– Mrówki – mruknęła. – Nie wiem, któredy dostają się do domu. Wystarczy na chwilę zostawić miskę z owocami, a już atakują.

– Taki urok domku z ogródkiem. Czy mógłbym wejść do środka? Umówiłem się z Zuzanną i Wojtkiem – mówiąc to, zrobił proszącą minę, bo zagradzająca wejście do domu środkowa pani Czaplicz lekko pchnęła drzwi tak, że zamknęły się z trzaskiem.

– Umówił się pan z nimi? Przecież zaraz wychodzą do szkoły!

– No właśnie. Mam ich zawieźć. – Przygodzki cały czas się uśmiechał, jakby nie dostrzegając tych drobnych afrontów i oznak niechęci.

– Niech pan wejdzie, skoro pan musi – westchnęła boleśnie, robiąc przy tym najbardziej antypatyczną minę, na jaką ją było stać.

Jednak próba sforsowania drzwi Kurzej Stopki okazała się niepotrzebna, bo w tym momencie Wojtek wypadł na ganek, w pełnym galowym rynsztunku. Podążająca za nim dłoń Zuzanny uzbrojona w grzebień przeczesła powietrze, bo ukochany jednak w jednej sekundzie znalazł się na przednim siedzeniu terenówki i już zapinał pasy. Przygodzki pochylił się i pocałował Zuzannę w policzek. Z miejsca, w którym stał, nie dostrzegał pełnego zgrozy spojrzenia Krystyny, natomiast doskonale widziała je Zuzanna. Poprzedniego wieczoru miały z matką krótkie spięcie – Krystyna próbowała wytłumaczyć córce, jak potężny błąd popełnia, zadając się z Przygodzkim. Jednak przerwała jej stanowczym: „Nie będę z tobą na ten temat rozmawiać” – i poszła na górę do swojego pokoju. Nie rozumiała, dlaczego Krystyna pała taką niechęcią do Adama, który robił wszystko, by wypaść przed nią jak najlepiej. Pewnie sobie coś ubzdurzyła albo zwyczajnie była zazdrosna o szczęście córki. Trudno. Widocznie taki jej los, że nie może znaleźć porozumienia z własną matką.

– Jedźmy – powiedziała, zamykając drzwi toyoty.

Krystyna obserwowała oddalający się samochód z grobową miną.

– Jaka szkoda – mruknęła – że ten proszek działa tylko na mrówki.

\* \* \*

Przed szkołą zebrała się potężna gromada dzieciaków i rodziców z klasy Wojtka. Antek już czekał na przyjaciela – jakby mało im było tygodni spędzonych razem na wyjeździe.

– Nigdy im nie dość wygłupów. – Zuzanna z niepokojem obserwowała, jak chłopcy zabawiają się, kopiąc do siebie kamyk.

Na nogawkach nowych granatowych spodni widoczny już był ślad pyłu.

– To chyba dobrze? – Adam oparł jej rękę na ramieniu.

Przeszedł ją dreszcz szczęścia. Stali tu, we troje, jak prawdziwa rodzina...

– Oczywiście! – powiedziała. – Jedną z wartości, która przez lata trzymała moje życie w ryzach, była przyjaźń z Wiolą i Kazią. Gdyby nie one, nie wiem, jak

bym... – urwała i zaczerwieniła się.

Rozpędziła się w tej szczerości i o mały włos powiedziała słowo za dużo.

– Zapraszam państwa do środka. – Eleonora Zajdler, chłodna, blada jakby całe lato przesiedziała w szafie, wykonała gest, który od biedy można było uznać za zaproszenie.

Dzieciaki ruszyły, jakby się stęskniły za szkołą. Zresztą – pewnie tak było. Antek i Wojtek wyrwali się przodem, jednak koścista dłoń wicedyrektorki zatrzymała syna Zuzanny w progu.

– Widzę, że aż się palisz do nauki – syknęła. – Pamiętaj, że będę cię mieć na oku i w tym roku już ci się nie uda. Osobiście tego dopilnuję.

Chłopak pobladł i w jednej chwili opuścił go cały entuzjazm. Szybko wbiegł do holu.

– Ja też dopilnuję, żeby kurator uważnie się przyjrzał pani metodom wychowawczym – wycedził Przygodzki, który stanął za plecami nauczycielki. – To jest zwykłe zastraszanie, stygmatyzowanie dziecka.

Zajdlerowa się speszyła. Najwyraźniej nie zauważyła Adama.

– No wie pan – fuknęła. – Rzadko spotyka się ojca tak bezkrytycznie zakochanego w swoim synu!

– Aaa... a żeby pani wiedziała! – Przygodzki trochę się zająknął, gdy jednak jego wzrok skrzyżował się z rozgwieżdżonymi oczami Zuzanny, poczuł, jak wokół serca rozchodzi mu się ciepło.

\* \* \*

Wracali do domu w szampańskim nastroju. Okazało się, że mamie Antka udało się zorganizować dla dzieciaków ze szkoły darmowe lekcje gitary klasycznej. Kłopot w tym, że trzeba było na nie jeździć do sąsiedniej miejscowości. Latem i jesienią to nie był problem, bo chłopcy mogli śmignąć bocznymi drogami na rowerach. Co jednak będzie zimą? Zuzanna nie mogła się zobowiązać do regularnego podwożenia syna w godzinach pracy. Kozak nigdy by jej na to nie pozwolił.

– Przecież ja go mogę wozić – zaoferował się Przygodzki. – Nie jest to żaden problem.

– Tak, tak! Ale super! I dasz mi czasem poprowadzić! – oświadczył Wojtek, a Zuzannie nie udało się przybrać wystarczająco surowego wyrazu twarzy.

Pogoda była prześliczna, dlatego Cecylia postanowiła podać obiad w ogródku. Krystyna szczęśliwie wybrała się gdzieś w swojej ważnej sprawie, więc konflikt im nie groził.

– Proszę się nie migać, zje pan z nami! – oświadczyła kategorycznie Bunia, gdy Przygodzki zaczął się wymawiać.

Na widok waniliowej zupy-nic z piankami jego opór natychmiast jednak

zniknął.

– Moja babcia robiła taką zupę – westchnął z błogością. – Nigdy u nikogo innego jej nie jadłem.

– Bo to jest zupa babć. – Cecylia nałożyła mu hojną porcję. – A na deser mamy struclę ze śliwkami. To też takie babcine ciasto.

– Ależ mi dobrze... – westchnął Adam. – Pani Cecylio, w tej chwili wydaje mi się, że raj ma smak zupy-nic!

– Jestem pewna, że dla każdego ma smak jego ulubionej zupy. Nie sędzę, żeby Pan Bóg dobrowolnie wyzbywał się przyjemności, jaką daje jedzenie – oświadczyła Cecylia, układając na kolanach lnianą ściereczkę.

– U nas zupa-nic jest rytuałem na początek roku szkolnego – wtrącił się do rozmowy Wojtek. – Ale gdy byłem mały, to było moje ulubione danie i Bunia robiła ją dla mnie z różnych ważnych okazji.

– Można powiedzieć, że jest to zwyczaj międzypokoleniowy – uśmiechnęła się nestorka rodu Czapliczów. – Moja mama też tak fetowała różne okoliczności. Powiem panu, że nie mogę się nadziwić, jak ten czas leci. Przed chwilą miałam naście lat jak nasz Wojtek, a teraz – proszę! Dziewięćdziesiątka na karku!

– Pani Cecylio, nigdy bym w to nie uwierzył – powiedział Adam i nie był to pusty komplement. – Przysięgam, że chciałbym być w pani formie, mając dziewięćdziesiąt lat.

– Recepta na to jest prosta, drogi panie. Trzeba się lubić bawić – to raz. Trzeba się ruszać – to dwa. Trzeba bardzo kochać – trzy. No i najważniejsze. Angażować się w życie rodziny. Gdy się ma pod bokiem takiego huncwota, to głowa musi pracować na najwyższych obrotach, a to konserwuje.

– Trzy pierwsze punkty spełniam – powiedział Przygodzki. – Nad czwartym zamierzam intensywnie pracować.

\* \* \*

Tego dnia w Pociągu do Pappardelle ruch był jak rzadko. I nic dziwnego. Irena Sławińska z okazji piątej rocznicy założenia swojego lokaliku wprowadziła królewskie zniżki dla stałej klienteli, więc w porze obiadu dziki tłum szturmował barowe stoliki. Szefowa chyba nie spodziewała się takiego przyływu klientów. Uwijały się więc z Małgosią, młodziutką kelnerką, którą zatrudniła na pół etatu dosłownie parę dni wcześniej. W oczach biednej dziewczyny malowało się coraz większe przerażenie. Niestety, nawet dodatkowe ręce do pracy nie były w stanie sprostać zadaniu, więc biedna pani Irenka wskoczyła na zaplecze i złapała komórkę. Pospiesznie wyszukała numer Jurka.

– Jurko, gdzie jesteś?! Musisz tu przyjechać, natychmiast! – wysapała. – Wszystkie stoliki zajęte, nie nadążamy z serwowaniem i odcędzaniem makaronu. Musisz mnie uratować!

– Pani Ireno, ale my tu sadzimy kamasje z panią Zuzanną – bąknął chłopak.

– Kamasje nie muszą być *al dente*, w przeciwieństwie do klusek! – oświadczyła zdecydowanym głosem Sławińska. – Przyjedź choć na godzinę!

Po chwili milczenia po drugiej stronie słuchawki zabrzmiało błogosławione: „dobrze, zaraz będę”, co na moment uspokoiło kołatanie serca Sławińskiej. Chłopak przyjechał rzeczywiście bardzo szybko. Dosłownie w ostatniej chwili złapał durszlak, którego dość niezdarna Małgosia o mało nie upuściła na podłogę.

– No, można powiedzieć, że sobie pani narobiła z tą promocją niezłego kłopotu – sapnął, strzepując z nadgarstka gorące tagliatelle.

– Co mi przyszło do głowy – biadoliła Sławińska. – Kto by pomyślał, że ludność połakomi się na głupie parę złotych oszczędności?

– A może po prostu lubią pani kuchnię? A wie pani, kogo widziałem przed wejściem do baru? Tego dziwaka, aptekarza! Chciał wejść, ale powiedziałem mu, że nie ma już miejsc i żeby przyszedł jutro.

Sławińska z wrażenia aż usiadła.

– Kogo widziałeś?!

– No, tego malutkiego człowieczka, jak on się nazywa? Kurczaczek czy jakoś tak?

– Koo... Ko-czo-cik! – zająknęła się gniewnie Sławińska. – Żaden Kurczak. Sam jesteś kurczak! Proszę! – Wcisnęła mu w rękę garnek z makaronem. – Nakładaj!

Po czym zdjęła fartuch i wybiegła z baru jak furia.

Dopędziła Wiesława Koczocika tuż przed apteką.

– Panie... Wiesławie... – oparła się o ścianę budynku, próbując wyrównać oddech.

Koczocik przystanął. Dopiero teraz Sławińska zauważyła, że był ubrany w garnitur, a pod szyją miał złotą muszkę, która pięknie pobłyskiwała w słońcu babiego lata.

– Panie Wiesławie, zapraszam do restauracji, Jurko się pomylił. Dla pana miejsce znajdzie się u mnie zawsze, choćby przy stoliku dla personelu!

– Miło mi to słyszeć, pani Ireno – powiedział uroczystym tonem. – Bo ja niosłem dla pani pewien cenny drobiazg!

Oczy Sławińskiej rozbłysły. A więc jednak! Wszystkie zabiegi, podpowiedziane przez Wiołę Migas, odniosły oczekiwany skutek – choć w pierwszej chwili wydawały się chybione. Nie była mu obojętna! Koczocik wyciągnął z kieszeni marynarki małe opakowanie zabezpieczone gumką recepturką. Co też mogło się w nim kryć? W pierwszej chwili wyobraźnia Sławińskiej podsunęła jej wyściełane białym atłasem wnętrze, miękko otulające pierścionek z brylantem. W sumie cuda się zdarzają, a jeden ją już dziś spotkał. Z żalem, ale jednak musiała tę myśl odsunąć, gdyż mało kto ofiarowuje pierścionek

w pudełku, na którym jest napisane Polpharma.

– Cóż to takiego, panie Wiesławie? – zapytała, próbując nadać swemu głosowi obojętne brzmienie.

– To najlepszy, najnowocześniejszy suplement dla kobiet po menopauzie! – oświadczył z dumą aptekarz.

Z ust Sławińskiej wydobył się cichy jęk rozpaczy.

\* \* \*

– Wiem, że lubisz przewidywać najgorsze, ale wojny chyba nie będzie. – Uśmiechnęła się Cecylia, obserwując Krystynę, która szarpała się z siatką maskującą tuż obok wybiegu Kulczyby.

– Ciekawe, skąd mama to wie. Już raz mama tak sądziła i kura skończyła w kadzi z kapustą. To od upału i słońca, żeby się ptak nie męczył – wysapała Krystyna, mocując siatkę na drewnianym płotku.

– Od upału? Jesienią? – szczerze zdumiała się Cecylia.

Krystyna wzruszyła za złością ramionami. Nie zamierzała się tłumaczyć. Prawda była taka, że podczas ostatniego spotkania w Oranżeria Cafe zaprosiła Karolinę Sokolnicką, a ta właśnie zadzwoniła z informacją, że wybiera się do Starej Leśnej i chętnie wpadnie. Krystyna wypastowała podłogę, zmyła wszystkie brudne filizanki, wydobyła bluzę treningową Wojtka spod fotela i sweter Zuzanny z kąta, przykryła klatkę Lulka jedwabnym szalem, a teraz usiłowała ukryć jakoś Kulczybę. No, nie może przecież powiedzieć hrabiance, że hoduje kurę!

– Cóż, kochanie, już się przyzwyczaiłam do tego, że nie zawsze cię rozumiem. Idę odwiedzić pana Staszka, wymyślił przepis na nowy tort bezowy i chciał, żebym spróbowała. Będę za godzinę! – Pomachała wesoło ręką i rażnym krokiem podreptała do furtki.

Krystynie niezwykle przypadła do gustu ta informacja. Po ostatniej rozmowie z matką na temat Sokolnickiej i Zuzanny nie miała najmniejszej ochoty informować starszej pani, że kontynuuje tę znajomość. Świetnie się złożyło, że była akurat sama w domu – Cecylia wyszła na swoje spotkanie, a Zuzanna zawiozła Wojtka na mecz.

Już po chwili na ulicy zahamował, mrucząc cicho, czerwony kabriolet. Krystyna prawie wybiegła na powitanie nowej przyjaciółki. Ta wysiadła z auta z promiennym uśmiechem na ustach, ale gdy Krystyna przepuściła gościa przodem i nie mogła zobaczyć już wyrazu jego twarzy, uśmiech znikł jak starty gąbką. Karolina zmrużyła oczy i dyskretnie rozejrzała się po ogrodzie. Dom wyglądał jej zdaniem na zupełną ruderę, ogród zaś był zaniedbany, zarośnięty jakimś zielskami i... wielkie nieba! W rogu umieszczono siatkę maskującą, zza której rozlegało się gdakanie kury!

„No, no! Nie wiedziałam, że Adam ma taki pociąg do wieśniaczek. To



otwiera przed nami całkiem nowe możliwości w sypialni!” – pomyślała Karolina i z trudem opanowała śmiech.

– Jak tu miło! Ile pięknych bibelotów, w domach starych rodów zawsze czuć tę historię – w meblach czy zastawie stołowej, nie uważa pani? – zaszcebiotała słodko po przekroczeniu progu Kurzej Stopki.

Krystyna pokraśniała z zadowolenia. Oprowadziła gościa po całym domu. Sokolnicka wydawała się nim naprawdę zaciekawiona, zwłaszcza sypialnią Zuzanny, z okna której rozciągał się „niezwykle stylowy widok” na sąsiedni dom, czyli zrujnowaną willę Mimoza Jacka Wtoraka.

– Co słyhać, pani Krysiu? Nadal tyle ma pani zajęć przy wnuku czy córka już panią odciążała? – zapytała Karolina, gdy usiadły przy kuchennym stole.

– Na szczęście zaczął się rok szkolny i chłopak jest pod opieką nauczycieli. Mam trochę wolniejszą głowę. – Uśmiechnęła się Krystyna, podając gościowi ciasteczka orkiszowe i napar z pokrzywy.

– Chłopak pewnie tęskni za ojcem... – westchnęła Karolina.

– Tomasz mało się nim interesował, nie odwiedzał, alimentów też nie płacił – wyjaśniła Krystyna dość sucho.

– Och! Ależ musiało być pani ciężko! A córka dobrze zarabia czy raczej ciągle szuka nowych źródeł dochodu, żeby utrzymać rodzinę? – Sokolnicka była tak zajęta udawaniem, że smakuje jej ciastko i herbata z pokrzywy, że nie zwróciła uwagi, iż jej pytania stają się dość obcesowe, a gospodyni zaczyna na nią dziwnie patrzeć.

„Czy ona sugeruje, że Zuzanna chce złapać bogatego męża?” – przebiegło przez głowę pani Czaplicz.

– Radzimy sobie, zresztą przywiązujemy wagę do innych wartości niż materialne, taka tradycja rodzinna – odparła.

– Och, no oczywiście. To widać – skwapliwie potwierdziła Sokolnicka.

Zbyt skwapliwie. Krystyna spojrzała na nią: sama torebka Louis Vuitton kosztowała pewnie dobrych kilka tysięcy. Samochód, ubrania, dodatki, fryzura, wszystko w Karolinie krzychało: „Jestem bogata i dobrze mi z tym”. Rozejrzała się niepewnie po kuchni. I zobaczyła ją tak, jak mógłby widzieć ktoś jej nieprzychylny, kto lubi markowe przedmioty i zbytek. Stare meble, wyszczerbiane filiżanki, pęczki ziół zwieszające się z drewnianej framugi okna...

„Ona uważa mnie za parweniuszkę. Gardzi takimi jak ja. Po co tu przyjeżdża? Po co wypytuje o Zuzannę i Wojtkę?” – pomyślała.

Przypomniała jej się rozmowa z Cecylią i jej słowa: „Miłość powinna ci podpowiedzieć, żeby nigdy, przenigdy nie obgadywać córki przed obcą, nieżyczliwą babą”.

Poczuła, że rumieniec wstydu wypływa jej na policzki.

– Ale wie pani co, pani Karolinko? Karolisiu kochana – z nieźle udawaną

czułością poklepała Sokolnicką po dłoni i z satysfakcją obserwowała, jak ta wyraźnie się wzdrygnęła na tę niczym nieuzasadnioną poufałość. – Jeszcze tak dobrze się nie znamy, żebym opowiadała pani o córce, wnuku, najukochańszych osobach w moim życiu. Za dwa lata, pięć, gdy wypijemy tu razem tysiąc takich herbatek i zjemy tonę ciastek owsianych, o, wtedy to tak.

Przez ułamek sekundy na twarzy Sokolnickiej odmalował się wyraz czystego przerażenia. Wiedziała, że Krystyna to dostrzegła. Próbowwała przykryć swoją niezręczność bezładną gadaniną, komplementami, ale już miała świadomość, że przegrała. Krystyna zasznurowała usta, była chłodna i uprzedzająco grzeczna.

Nie było sensu przedłużać spotkania. Sokolnicka szybko się pożegnała i wsiadła do auta. Pomyślała, że los nie może być okrutny i jej drugie tego dnia rendez-vous w Starej Leśnej musi zakończyć się sukcesem. Rozchmurzyła się. Kabriolet ruszył z piskiem opon.

\* \* \*

Raz jeszcze zerknęła na komórkę i uniosła wysoko brwi. Żadnej wiadomości. Adam milczał jak zakłęty. Nagrała mu się z informacją, że zamierza wpaść do Jolancina dziś po południu. Wychodziła z założenia, że nie musi się szczególnie zapowiadać – przecież wciąż była jego żoną. Wołała jednak nie pocałować klamki i dlatego brak reakcji ze strony Adama przyjęła z irytacją. Postanowiła, że nie będzie mu robić wymówek. Okaże się zaskakująco miła. Wprawdzie to ona zażądała rozwodu i dążyła do niego od dawna, ale parę miesięcy temu sytuacja uległa gwałtownej zmianie. Armando, przystojny Portugalczyk, z którym spędziła pół roku w Londynie, nagle oświadczył, że muszą się rozstać. Tak, bezwzględnie, gdyż on żeni się ze swoją krajanką, która spodziewa się jego dziecka. Ta wiadomość wstrząsnęła Karoliną. Ona, oczywiście, nie była szczególną fanką wierności, uznała jednak zachowanie Armanda za wyjątkowo podłe. Jakby tego było mało, dwa dni po rozstaniu okazało się, że zniknął pierścionek z brylantem, który ofiarował jej na początku znajomości. Karolina zgłosiła ten fakt na policję – prezent to prezent, pierścionek był jej. I tu doszło do żenującego incydentu, ponieważ w obecności funkcjonariusza Armando wcale nie udawał, że nie zabrał klejnotu. Przedstawicielowi władzy przyznał od razu, że tak, wziął go, jak najbardziej. Ale – wyjaśnił – że ofiarowywał go Karolinie, bo uważał ich związek za rokujący, miał nadzieję, że będzie matką jego dzieci, kapłanką domowego ogniska, tymczasem dość szybko zorientował się, jak płonne były to nadzieje. Teraz żeni się z kobietą z krwi i kości, taką, która da mu syna. To do niej ma należeć rodowy pierścień rodziny Alcantara (bo takie właśnie nosił nazwisko, łajdak!). Policjant podrapał się w głowę i oświadczył, że nie jest w stanie rozwiązać tego problemu, a Karolina i Armando najlepiej zrobią, dochodząc do porozumienia we własnym zakresie. Następnie strzelił obcasami i tyle go widzieli. To ostatecznie

podważyło wiarę Sokolnickiej w skuteczność brytyjskiej policji. Niewiele myśląc, spakowała manatki i wróciła do Polski. Postanowiła, że sama sobie kupi pierścionek z największym brylantem, jaki mają w firmie Kruk – skoro na mężczyzn nie może już liczyć. Niestety, zaszalała na zakupach w Mediolanie, więc brakowało jej paru złotych. Zadzwoiła do ojca – kto jak kto, ale ukochany papa nigdy nie oszczędzał na swojej jedynaczce. I tu czekała ją kolejna niemiła niespodzianka. Sokolnicki senior zduszonym głosem oświadczył, że nie może tym razem zasilić jej konta, gdyż skarbowka weszła na jego własne. Podczas kontroli wyszły jakieś zaniedbania w płatności VAT-u i inne głupstwa, a jakby tego było mało, stracił najważniejszego klienta. Słowem – firma była w opałach.

– Wiesz, Karolciu, że przychyliłbym ci nieba, ale tym razem naprawdę nie mogę – powiedział na pożegnanie, a Karolina, kompletnie nieprzyzwyczajona do jakichkolwiek ograniczeń, doznała niemiłego uczucia, że oto grunt zaczyna jej się usuwać spod nóg. Nie wszystko było jednak stracone: miała przecież Adama. A on kupił przedwojenną willę i nie szczędził pieniędzy ani na dekoratora wnętrz, ani na ogrodnika. A to znaczyło, że je miał. Czyli oboje je mieli – przecież nie zdecydowali się na rozdzielność majątkową. Karolina nie zmieniła zdania w kwestii rozvodu, skąd. Tylko że strategicznie był to zły moment na taki krok. Z takim nastawieniem przyjechała do Starej Leśnej przekonana, że jej urok zadziała na męża tak jak zawsze. Tymczasem szybka wizja lokalna uświadomiła jej, że w życiu Adama zaszły pewne zmiany, a kontakty z tą kobieciną, jak jej tam... ciągle musiała się pilnować, żeby nie pomylić jej imienia. Ach, no właśnie, Krystyna! No więc kontakty z Krystyną uświadomiły jej, że mąż, prawdopodobnie z tęsknoty za nią, znalazł sobie jakąś grubawą pocieszycielkę. Mężczyźni mają czasem takie odloty. Nie stanowiło to dla Karoliny problemu. Była piękną kobietą: wysoką, smukłą, rudowłosą, o dłoniach i stopach rasowej arystokratki. Zadbana i pachnąca luksusem. Żaden mężczyzna nie był w stanie oprzeć się jej urokowi, a zwłaszcza nie był do tego zdolny Adam.

Dlatego teraz jechała do Jolancina jak po swoje. Zerknęła w lusterko czerwonego kabrioletu. Wyglądała perfekcyjnie. Miała delikatną kreskę na górnej powiece i niewinnie różowe usta. Spod półprzezroczystej bluzki pobłyskiwała satynowa bielizna. Do tego obcisłe dzinsy podkreślały jej idealną figurę. Nie założyła szpilek. Była prawie wzrostu Adama i uznała, że lepiej będzie wystąpić w balerinkach. Trochę wampa, trochę dziewczynki. Najlepsze połączenie.

\* \* \*

Wyobrażała to sobie tak: wejdzie, spojrzy mu w oczy i przytrzyma wzrok przez kilka chwil. Spróbuje go cmoknąć w policzek i niby niechcący zawadzi o jego usta. Jeżeli wtedy ją obejmie i zechce pocałować jak dawniej – nie będzie się bronić. Na wszelki wypadek, stojąc już przed furką, wyjęła z torebki perfumy

i psiknęła je za uchem. Odrobinę, tylko tyle, by były ledwo wyczuwalne, ale obudziły w nim wspomnienia. Jako specjalistka do spraw marketingu doskonale wiedziała, że zapach sprzedaje najlepiej.

Nic się jednak nie ułożyło według planu Karoliny, ponieważ na powitanie wyskoczyło bure psisko, w dodatku utyłane w błocie. Kundel nie wyglądał groźnie, ale skakał i gotów był jednym pacnięciem łap zniszczyć jej bluzkę. Właśnie o takich psach mówi się, że są świetnymi obrońcami: jeśli do domu wtargnie bandyta, zaliżą go na śmierć!

– Szalej, do nogi! – rozległ się znajomy głos, a potem zza budynku wyłonił się Adam.

Tego popołudnia postanowił przykręcić do ściany kosz do koszykówki, rzecz jasna z myślą o Wojtku, więc miał na sobie robocze ubranie – rozchełstaną flanelową koszulę i przedarte na udzie dżinsy. Przypominał trochę kowboja z reklamy Marlboro i Karolina musiała przyznać, że wygląda pociągająco – choć wolała mężczyzn starannie ubranych.

Na widok Sokolnickiej Adam gwałtownie się zatrzymał.

– A co ty tu robisz?! – Na próżno szukała w jego głosie radości.

Było to raczej zdumienie zabarwione... Niechęcią? Niepokojem?

„Nie szkodzi, to się zaraz zmieni!” – pomyślała i wyciągnęła w jego stronę rękę.

– Nie odsłuchałeś mojej wiadomości? Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw chodź się przywitać, brudasie.

Adam nie ruszył z miejsca i przyglądał się jej bez uśmiechu. Sokolnicka opuściła ramiona.

– Będziemy tak stać? Oprowadź mnie po tym pałacu! – powiedziała i nie czekając na zaproszenie, ruszyła w stronę wejścia.

Przygodzki z pewnym ociąganiem poszedł za nią.

– A więc wzięłeś psa? – szczebiotała Karolina. – To dobrze, zawsze chciałam mieć psa.

– Żartujesz?! – zdumiał się. – A pamiętasz rudego szczeniaka, który przybłąkał się do nas w Sopocie? Powiedziałaś wtedy, że nie znosisz sierściuchów...

– Oj, bo on był wyjątkowo brzydki – ucięła. – Mój Boże, jakie piękne lustro! I ta kanapa! No mój drogi, muszę przyznać, że urządziłaś to wszystko z wielkim smakiem. Jestem z ciebie dumna! – Posłała mu swoje najbardziej uwodzicielskie spojrzenie.

– Miło mi – powiedział tonem, który wskazywał, że raczej miło mu nie jest i splótł ręce na piersi.

– Pokażesz mi sypialnię? – ciągnęła niezrażona jego powściągliwością.

– Raczej... nie. Nie zdążyłem posprzątać.

– No wiesz co! Wstydzisz się przede mną bałaganu?! Nie żartuj. – Zaśmiała się dźwięcznie, ale nie nalegała.

Otworzyła na oścież drzwi prowadzące z salonu do ogrodu i klasnęła w dłoń.

– A tu jak pięknie! Kochanie, dokonałeś prawdziwego cudu! Mówili, że ten ogród to była kępa chaszczu! Czuję, że będę kochać to miejsce!

Adam uśmiechnął się pod nosem. Przypomniał sobie, jakie nadzieje wiązał z Jolancinem, jak marzył o takiej chwili jak ta... Ależ to było dawno! Tak dawno, jakby się nigdy nie zdarzyło!

– Chętnie napiłabym się drinka w ogrodzie – powiedziała Karolina, a potem podeszła do obsypanego szkarłatnymi różami krzewu i brutalnie zerwała jeden kwiat. Przez chwilę obracała go w palcach. – Masz na pewno w lodówce prosecco... – powiedziała, delikatnie oblizując wargi.

– Mam – potwierdził, nie ruszając się z miejsca.

– Bądź tak miły... – Uśmiechnęła się prosząco. – Z kostką lodu.

Przygodzki zniknął w kuchni. Wrócił, niosąc tylko jeden kieliszek. Karolina szybko wypija jego zawartość i odstawiła na ażurowy żeliwny stolik. A potem położyła palec wskazujący na brzegu kieliszka i przez moment wodziła nim niby w zamyśleniu. Zerkąła przy tym na swojego męża spod rzęs. Ten rodzaj spojrzenia zwykle doprowadzał go do szaleństwa.

– Myślisz o mnie czasem? – szepnęła, ale Adam najwyraźniej nie był w nastroju na takie rozmowy.

– Przepraszam cię, Karolino, ale oderwałam mnie od pracy. Po co przyjechałaś?

– Zobaczyć, jak się tu urządziłeś. Dużo o nas ostatnio myślałam. Zastanawiam się, jak to właściwie z nami jest...

– No, jak to jak? Wystąpiłaś o rozwód. Papiery są w sądzie. Czekamy na termin rozprawy.

– Nie żałujesz? – Założyła nogę na nogę i zaczęła kołysać baletkę na czubkach palców.

– Sporo się w moim życiu zmieniło od czasu naszego rozstania – powiedział zdziwiony, że to wyznanie przychodzi mu tak łatwo. – Wiesz, muszę ci powiedzieć, że rozwód jest mi nawet na rękę. Ja... ja kogoś mam, Karolino.

– Rozumiem – zerknęła na komórkę i w udawanej panice zerwała się od stolika. – O rety, a miałam wpaść tylko na sekundę! Jeszcze raz gratuluję ci tego pięknego domu i ogrodu. I do zobaczenia! Będziemy się teraz częściej widywać, mamy tu sporo spraw do załatwienia.

– Nie będę cię odprowadzał do furtki, bo muszę przytrzymać Szaleja. Lubi uciekać i tarzać się w błocie...

– Zauważyłam. Nie szkodzi, trafię sama. Przepiękna róża. – Podniosła ze

stolika zerwany kwiat i znowu go powąchała.

Kiedy jednak Adam zniknął po drugiej stronie posesji, ze złością rzuciła różę na ziemię.

## XII

Jacek Wtorek chodził z kąta w kąt, pstrykając palcami.

– Przystań! Potrzebuję chwili skupienia przed kazaniem. Działasz mi na nerwy... synu.! – Do tego zakończenia, bardziej licującego ze stanem kapłańskim, skłonił wielebnego Fafarę założony przed momentem ornat ze złotym brokatem i beżowym pasem, ozdobiony haftem z wizerunkiem Świętego Franciszka trzymającego w dłoniach trzy gołębie.

– A ja, nie mam nerwów czy jak? Jestem potwornie zestresowany! Co zrobimy, jeśli nikt nie przyjdzie? – emocjonował się Wtorek.

– Przyjdą, przyjdą. Na normalną mszę przychodzą, a mieliby opuścić taką dla swoich milusińskich, w Światowy Dzień Zwierząt? Wiesz co, Jacuś, idź ty sobie do ogrodu, zaczerpnij świeżego powietrza. Muszę jeszcze przemyśleć parę spraw. – Fafara wziął ekologa pod ramię i zaczął prowadzić go w stronę drzwi.

– Nie musisz się tak chwalić, „zawsze przychodzą” i „zawsze przychodzą”. Że niby taki jesteś popularny – sarkazm Wtorka był aż nazbyt słyszalny.

– Nie do mnie tu przychodzą, tylko do pana Boga. Ja tu jestem niezbyt ważny – powiedział proboszcz, wypychając Wtorka z zakrystii.

A tymczasem... w ogrodzie było pełno ludzi! Przez szeroką furkę w stronę kościoła płynęły kolejne fale wiernych. Wyglądało na to, że wspomnienie Świętego Franciszka z Asyżu, połączone z konkursem na najukochańsze zwierzę w Starej Leśnej i kiermaszem produktów dla zwierząt (wszystkie zyski miały zostać przeznaczone na wsparcie schroniska w pobliskim Milanówku), ściągnęły prawdziwe tłumy.

Tu i tam dało się widzieć psy na smyczach, często zdobionych kokardami i pomponami wykonanymi przez dzieci. Koty siedziały w kontenerach, ptaszki w klatkach, a króliki w wiklinowych koszach z klapami. Po ulicy stępowali na swoich rumakach adepci jeździectwa z pobliskiej stajni. Uwagę Wtorka przykuło jednak nagle – i nader głośne – gdakanie zakończone chropawym, niezdarnym paniem. Odwrócił się w stronę źródła dźwięku i dostrzegł swoje sąsiadki, Zuzannę, Krystynę i Cecylię Czaplicz. Paniom towarzyszyli Wojtek z Adamem Przygodzkim, który był w dżinsach i koszuli, bez krawata. Zuzanna właśnie stawiała koło ławek pod arkadami transporter z Kulczybą.

W sezonie letnim msze w Starej Leśnej odbywały przy ołtarzu w kościele, ale wierni mogli usiąść albo w świątyni, albo w otaczającym ją pięknym ogrodzie, w którym przygotowano siedziska i głośniki. Wszyscy, którzy – korzystając z zaproszenia księdza – postanowili wziąć udział w mszy wraz ze swoimi biegającymi, fruwającymi lub pełzającymi podopiecznymi (pojawiły się nawet dwa grube pytony o wdzięcznych imionach: Amelka i Florek), wybrali jednak opcję ogrodową.

– Witam, pani Zuzo! Widzę, że kurka zupełnie wrosła w pani rodzinę. Nie miałbym serca już jej państwu odbierać! Ale gdyby miała ochotę na spotkanie z byłymi towarzyszkami niedoli, to zapraszam. Wprawdzie moje kury są dość standardowe, żadne z nich ewenementy naukowe, ale zawsze to rodzina... – Ekolog powitał sąsiadki i każdą z pań cmoknął ceremonialnie w dłoń. Krystyna wyrwała mu ją z obrzydzeniem.

– Cześć, ciociu i wujku! Dzień dobry paniom! – Do towarzystwa dołączyli Malwina i Jurko, którzy specjalnie na tę wyjątkową okazję wypożyczyli od Adama jego Szaleja.

Ten, ziając i wściekle merdając ogonem, rozglądał się uważnie po ogrodzie, lustrując spojrzeniem swoich pobratymców i ich ludzi.

Wszyscy zaczęli się witać, ścisnąć, przekomarzać i dopiero cisza, która nagle zapadła, sprawiła, że obrócili głowy w stronę ulicy.

Przed furką parkował właśnie ogromny, srebrny samochód do przewozu koni. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i z auta wyskoczyła Moniczka Kozak w sukience w różową pepitę i atłasowych szpilkach w kolorze fuksji. Pomachała z daleka Zuzannie i wraz z kierowcą udała się do tylnych drzwi. Wypuszczono trap. Moniczka zniknęła w środku wozu.

– Ona jeździ konno? – zdziwił się ktoś z zebranych.

W tym momencie trap jęknął, ugiął się lekko i zza drzwi tej luxtorpedy wyłonił się różowy ryj, para małych, ciemnych oczek, a następnie cała ogromna świnia polska zwisłoucha we własnej osobie. Miała na szyi szytą na zamówienie białą obrożę ze skóry, wysadzaną kryształkami Svarovskiego. Do obroży była zaś przypięta różowa, jakżeby inaczej, smycz, której koniec dzierżyła w swojej wypielęgnowanej łapce pani Kozakowa.

Thum westchnął i rozstąpił się przed tą egzotyczną parą, jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Postukując obcasami (i kopytkami) pani i jej pupilka dotarły prawie przed same drzwi kościoła. Tam Moniczka zajęła należne jej miejsce w pierwszym rzędzie ławek, a świnia walnęła się z głuchym stęknieniem na granitowy chodniczek, skutecznie tarasując dojście do pozostałych ławek.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zahuczał z głośników bas proboszcza Fąfary. – Dobrzy ludzie często pytają mnie, czy spotkają się w raju ze swoimi zwierzętami. Dzisiaj, w dniu, w którym wspominamy Świętego Franciszka z Asyżu w rocznicę jego śmierci, mogę tylko odpowiedzieć słowami naszego papieża: „Niebo jest otwarte dla wszystkich stworzeń Bożych”. Wielu świętych by się z nim zgodziło. Na przykład Święty Błażej, który mieszkał w lesie, w towarzystwie dzikich zwierząt. Przyszła raz do niego kobieta, skarżąc się, że wilk porwał jej świnie... – Fąfara na moment zawiesił głos, a spojrzenia wszystkich zebranych podążyły w kierunku Moniczki i Ryjka. – Święty Błażej wziął wilka na poważną męską rozmowę i mu rzekł: „Ty niedobre stworzenie! Czy



nie wiesz, że ta świnia była i moją przyjaciółką? Nie jest może ładna, ale jest miła i pulchna”. – Oczy zebranych znów skierowały się na panią Kozakową, która aż poczerwieniała z dumy.

Ryjek wydała przeciągłe westchnienie i z błogością przymknęła różowe powieki okolone białymi rzęsami.

– Albo Święty Roch, który leczył ludzi i bydło ze wściekliczny i zawsze chodził za swoim psem, Roszkiem – kontynuował proboszcz. – Zdarzyło się w końcu, że Święty Roch zmarł, a Roszek, z rozpaczy, niedługo po nim. Dusza wiernego psa była tak lekka, że unosiła się do nieba szybciej od ludzkiej i w rezultacie Święty Roch stanął u niebieskich wrót tak jak żył – ze swoim psem. Święty Piotr nie chciał wpuścić zwierzaka do raju, ale musiał się ugiąć: bez Roszka Roch nie chciał przekroczyć bramy. Zaraz jednak inni święci poczuli się pokrzywdzeni. Bo w czym gorszy kruk, który karmił Eliasza na pustyni, od Roszka? W czym gorszy od niego wieloryb, w którego brzuchu podróżował Jonasz? A jelen, pomiędzy rogami którego Święty Hubert zobaczył krzyż? A kotka, która zносиła Świętej Klarze ścinki materiału do szycia? A krab, który przyniósł Franciszkowi Ksaweremu utracony krucyfiks? Wszyscy oni weszli, wpłynęli lub wlecieli do raju i Pan pogładził ich swoim uśmiechem. Więc powiem wam coś ważnego: nie pytajcie, czy zobaczycie w niebie swoje psy, koty, węże i świnie. Pytajcie, czy... one was tam ujrzą. Żyćcie godnie, opiekując się innymi istotami, słabszymi, a być może kiedyś spotkacie je jeszcze w Domu Ojca. Bo każda prawdziwa Miłość jest nieśmiertelna. Amen – zakończył kazanie Fąfara. Już miał oddać mikrofon stojącej za nim siostrze Honoracie, gdy zorientował się, że nie przekazał kluczowej informacji: – Po mszy zapraszam na kiermasz: przygotowałem specjalne obrazki z wizerunkami świętych i ich zwierząt, a nasz ekolog, pan Jacek Wtorek, ma dla was i inne atrakcje. Z Bogiem!

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa liturgii, tłum wiernych zaczął powoli przemieszczać się z ogrodu i wnętrza świątyni na dziedziniec. Każdy kto chciał wziąć udział w konkursie na najukochańsze zwierzę Starej Leśnej, stawał z pupilem przed ścianą plebanii. Głosy można było oddawać, wrzucając szyszki do stojących przed kandydatami koszy. Szybko się okazało, że Ryjek potrzebowała dwóch koszy, bo pierwszy zapełnił się w kwadrans.

– Miło mi ogłosić, że świnia wygrała w cuglach! – obwieścił rozradowanym głosem Jacek Wtorek. – W nagrodę dostanie dyplom okolicznościowy oraz propozycję udziału w przyszłorocznych jasełkach w przedszkolu!

Tłum zaczął klaskać, a Moniczka kłaniała się z gracją, dziękując za aplauz.

– Jaka piękna ta świnia!

– Cóż za oryginalny pupilek!

– Czy to prawda, pani Kozakowa, że świnie są wybitnie inteligentne? – dało się słyszeć komentarze ze wszystkich stron.

Moniczka chętnie udzielała odpowiedzi, obdarzała wszystkich uśmiechami i trzepotem rzęs. I nawet nie zwróciła uwagi, że spod jednej z arkad, obrośniętej szczerlnie winobluszczem, z cienia obserwuje ją bacznie jakaś zakapturzona postać.

Nikt chyba w tym zgarbionym człowieku w pomiętej marynarce, narzuconej na bluzę dresową, nie rozpoznałby szefa firmy Kozak Gardens.

A był to właśnie on. Na obchody Dnia Zwierząt przyjechał z powodu swojej żony – słyszał, jak zamawiała transport dla świni i przyglądał się załadunkowi zza drzwi garażowych. Był ciekaw, co też jego małżonka – która dotąd nie zdradzała objawów gorliwości religijnej – zamierza porabiać ze świnią w kościele. Na kazanie Fafary Kozak załapał się zupełnie przypadkiem. Ale zrobiło ono na nim głębokie wrażenie. Zwłaszcza historia Rocha i Roszka, tak wiernego, że umarł rychło po swoim panu.

Jakieś ziarno padło niedawno w ciemną duszę Roberta Kozaka i właśnie zaczęło kiełkować. Jakaś myśl rodziła mu się w głowie i całkiem nowe, nieznane mu emocje.

Wstyd.

I współczucie.

\* \* \*

Pragnienie, by zostać ojcem, pojawiło się u Adama dość wcześnie, pod koniec studiów. Czasem nawet zastanawiał się dlaczego. Jego koledzy – z roku czy branży – raczej się do ojcostwa nie garnęli. Swoich znajomych mógłby podzielić na dwie kategorie. Pierwszą stanowili faceci, którzy rodzicielskie powinności uważali za dopust boży. Na hasło „podgrzać zupkę” albo „wysadzić na nocnik” robili miny, jakby ktoś od nich wymagał znajomości kosmicznych technologii. Druga, liczniejsza grupa, obejmowała skoncentrowanych na prowadzeniu biznesu pracoholików, dla których jedyną odskocznią od spraw biurowych było mniej lub bardziej ekskluzywne hobby. W wersji skromniejszej mogła to być piłka nożna, uprawiana... z kanapy przed telewizorem. Natomiast w wersji full wypas – nurkowanie na rafie koralowej albo wyprawa do Skandynawii na łososie. Należało mieć dobrze skrojony garnitur, drogi zegarek, samochód, no i kobietę stanowiącą godne dopełnienie tego wizerunku.

Dzieci pojawiały się w życiowych planach na dalekim miejscu. Gdyby ktoś spojrział na Adama z pewnego dystansu, bez wahania włączyłby go do tej drugiej kategorii – zapracowanych pracoholików.

Kiedyś jeden z partnerów biznesowych po paru szklaneczkach Whisky Single Malt wyznał mu, że mając taką żonę jak Karolina, nie trzeba już ponosić żadnych wydatków na PR i że Adam może być z siebie dumny. Osiągnął w życiu wszystko: pozycję, majątek, możliwość podróżowania po świecie, bywania w najlepszych restauracjach i jeżdżenia drogimi samochodami. Rzecz w tym, że

sam nie uważał się za człowieka spełnionego. Im lepsze miał koneksje, im szybszym autem śmigał po autostradach, tym większą czuł pustkę w sercu. I dopiero teraz, wrzucając z Wojtkiem piłkę do kosza, raz i drugi wywaliwszy się na wilgotnej trawie, pękając przy tym ze śmiechu i dopingując młodego gracza, poczuł, że rozdarcie, które w sobie nosił, w jakiś magiczny sposób się zagoiło. Stało się to w jednej chwili, a dokładnie wtedy, gdy młody potknął się i o mały włos nie zaliczył gleby. Przygodzki w ostatniej chwili chwycił go za ramiona i powstrzymał przed upadkiem.

– Jak dobrze, że tu jesteś! – wysapał Wojtek, mając oczywiście na myśli to, że Adam stał blisko i zdążył zapobiec wywrotce.

Dla Przygodzkiego jednak słowa te miały głębszy, symboliczny sens.

– Dobrze, że ty tu jesteś, brachu – powiedział, poklepując chłopaka po plecach. – Już bym sobie bez ciebie nie poradził – dodał ciszej, odwracając się plecami, żeby Wojtek przypadkiem nie zauważył, że zwilgotniały mu oczy.

– No jak to? – zdziwił się chłopiec. – Grałbyś sobie z panem Henrykiem. Albo z proboszczem Fąfarą. On ma taki kosz na tyłach domu parafialnego i widzieliśmy z Antkiem, jak robił rzuty tyłem i bokiem. Ale dla niego to łatwizna – bo jak się ma tyle wzrostu...

– A jak sobie radzisz w szkole z Zajdlerową? Przepraszam, z panią profesorem Zajdler – poprawił się natychmiast Adam, wkładając piłkę do schowka na narzędzia.

Było już po trzeciej i musieli się powoli zbierać, jeśli mieli dotrzeć punktualnie na lekcję gitary. Tym bardziej że obiecali zabrać po drodze Antka.

– Dooobrze – skrzywił się Wojtek. – Ostatnio jakby się odczepiła.

Adam uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej babsko poczuło, że dzieciak ma silne wsparcie dorosłych i uznało, że nie opłaca jej się iść z nimi na udry. Z żalem pomyślał o sobie sprzed wielu lat. On nigdy nie dostał takiego wsparcia od rodziców. Być może dlatego marzył, by być ojcem, żeby troszcząc się o dziecko, zatroszczyć się też o jakiś kawałek siebie. O tego małego chłopca, stojącego ze zwieszoną głową w rogu boiska, obawiającego się wrócić do domu, bo tym razem okazał się nie dość dobry.

Wzdrygnął się i odpędził złe myśli. To było tak dawno. Wszystko się zmieniło i nie był już takim człowiekiem, jak kilka miesięcy temu. Był kochany i kochał. No i miał syna. Syna! Krew z krwi, kość z kości. Miał ochotę powiedzieć to na głos, ale się powstrzymał. Patrzył na chłopaka z mieszaniną tkliwości i dumy. Jak to możliwe, że wcześniej nie zauważył ich podobieństwa! Co prawda z twarzy dzieciak przypominał raczej Zuzannę, a zatem porcję genów wziął po swoim pradziadku Brunonie, którego zdjęcie Przygodzki widział w salonie Kurzej Stopki. Ale w postawie, ruchach, gestach... w tym wszystkim rozpoznawał teraz siebie! Prawie zaśmiał się na głos, przypominając sobie, jak kilka tygodni temu, moszcząc

się na ludwikowskiej kanapie w saloniku pań Czaplicz, położył stopę jednej nogi na kolanie drugiej. Zwykle w towarzystwie nie siadał w ten sposób, ale w Kurzej Stopce czuł się na tyle swobodnie, że zwyczajnie się zapomniał. Gdy się zreflektował i już, już miał zmienić pozycję, kątem oka zauważył, że rozwalony w fotelu Wojtek siedzi dokładnie tak jak on. Zuzanna także to spostrzegła i gwałtownie się zaczerwieniła. Wtedy jeszcze nie rozumiał jej zmieszania. Teraz już wie. Wszystko wie.

– Widzę, że ty już na stałe nosisz się jak robociarz – usłyszał nagle.

Musiał zapanować nad twarzą i usunąć z niej grymas niechęci, jaki wywołał znajomy głos.

– Idź się przebierz, Wojtek – zawołał do chłopaka. – Za dziesięć minut ruszamy!

– Witaj, Karolino – powiedział, powoli odwracając się w stronę furtki.

\* \* \*

Ostatnia wizyta w Kurzej Stopce w pewien sposób nastroiła Karolinę optymistycznie – cała ta Zuzanna jawiła jej się jako osoba na wskroś przeciętna. Była w jej sypialni, wąchała jej perfumy – co za tandeta! I ten płaszcz, wiszący w przedpokoju. Wszystko było takie... tanie. Banalne. Ktoś taki jak Zuzanna po prostu nie mógł być konkurencją dla Karoliny Sokolnickiej. Uzbrojona w tę świadomość doszła do wniosku, że jedynym sposobem na przywrócenie dawnego ładu będą częste wizyty w Jolancinie. Będzie zostawiać drobne ekskluzywne ślady swojej bytności. Wyperfumowaną apaszkę, broszkę, którą mąż podarował jej na imieniny. Drobiazgi, które pomogą zaznaczyć terytorium. I, ewentualnie, rozzłościć rywalkę, jeśli je przypadkiem znajdzie. Czego by nie mówić o Adamie, nie był to głupi mężczyzna. Zawsze wiedział co dobre, a sięgał wyłącznie po najlepsze. Być może przedłużająca się nieobecność ukochanej kobiety spowodowała w jego głowie lekki zamęt. Mężczyźni już tak mają – wygłodniiali, rzucają się na byle co. Jeżeli jednak Przygodzki będzie mieć przed oczami ją i Zuzannę, kiedy je sobie porówna, szczególnie po szczególe, wiadomo kogo wybierze. Gdyby w dodatku udało się jej, Karolinie, odrobinę rywalkę obrzydzić, to sukces miała w kieszeni. Oczywiście musiała działać rozważnie, żadnych ordynarnych uwag wprost. To mogłoby przynieść efekt przeciwny. Ale jeśli by znalazła słaby punkt, jakąś skazę na wizerunku tej podtuczonej nudziary, na pewno potrafiłaby się taką wiedzą posłużyć. Po to właśnie były jej kontakty z Krystyną, tego szukała w łazience Zuzanny i w pokoju Wojtka. Jakiegoś drobnego, wstydliwego sekreciku, który odpowiednio rozdmuchany pomógłby odwrócić bieg wydarzeń i odzyskać władzę nad Adamem.

– Mów szybko, Karolina, po co przyszłaś. – Adam zdążył zmienić poplamioną dresową bluzę na skórzaną kurtkę.

– A czym ty jesteś taki zajęty? – powiedziała przekornie. – W twojej nowej firmie twierdzą, że wzięłeś trzy dni wolnego.

Przygodzkiemu nie spodobało się, że Sokolnicka wypytuje o niego. Będzie musiał wtajemniczyć pracowników we fragment życia osobistego i poprosić, żeby nie udzielali podobnych informacji.

– Mam co robić, bądź pewna – burknął.

– A więc zostałeś niańką? – zaśmiała się, a widząc jego zirytowany wyraz twarzy, dodała: – Kochanie, to naprawdę bardzo śmieszne, nie gniewaj się. Wiem, że zawsze marzyłeś o dzieciach, ostatnio i ja sama doszłam do wniosku, że nie jest to taki zły moment na macierzyństwo... Ale żeby od razu wycierać nosy obcym bachorom?!

– Nie mów w ten sposób o Wojtku – skrzywił się Przygodzki.

– A to czemu? Wybacz, ale jedno spojrzenie na tego małego wystarczy, żeby sobie wyrobić o nim zdanie.

– Przestań, Karolina! – Adam czuł, że za moment straci nad sobą panowanie.

– A coś ty się nagle zrobił taki wrażliwy? – Sokolnicka zmrużyła oczy.

Słabego punktu Zuzanny jeszcze nie znalazła, natomiast dzięki jednej złośliwej uwadze bez pudła namierzyła go u swojego męża!

– Zabraniam ci tak mówić o moim synu! – Adam zbliżył się do Karoliny na odległość mniejszą niż ramię.

Nozdrza chodziły mu jak u rozjuszonego zwierzęcia. Sokolnicka nigdy go w podobnym stanie nie widziała.

– Twoim... synu?! – Brwi Karoliny powędrowały pod samą linię włosów. – No to coś nowego, jak to się stało, że przez te wszystkie lata zapomniałeś mi o tym powiedzieć? Coś ty sobie ubzdurał?

– Jedziemy? – Wojtek wybiegł z domu, niosąc gitarę w czarnym futerale.

– Tak. – Przygodzki ruszył w stronę terenówki. A potem, rzucając Karolinie gniewne spojrzenie dodał: – Ta pani też już wychodzi.

– Pozwolisz jednak, że nim pójdę, rzucę okiem tu i tam – powiedziała Karolina, jednak na tyle cicho, że ani Adam, ani Wojtek tego nie usłyszeli.

Potem, gdy samochód zniknął za zakrętem, wyciągnęła z kieszeni zapasowe klucze, które dała jej usłużna sekretarka Adama. Poczciwa, łatwowierna pani Ania ucieszyła się, że jej szef wreszcie pogodził się z żoną – burzliwe dzieje ich związku Karolina opowiedziała jej dziś rano. No i każdemu przecież zdarza się zapomnieć kluczy...

Weszła do przedpokoju.

– Zjeżdżaj, śmierdzielu – syknęła do Szaleja, który ucieszył się na jej widok. Poszła do łazienki. Sprawdziła zawartość szafek i kosza z brudnymi ubraniami, zajrzała też do śmietnika. Jej uwagę przyciągnął szkolny plecak Wojtka, leżący na podłodze w salonie. Otworzyła go. W środku było kilka zeszytów, niedojedzona

kanapka, worek z ubraniami na wf. Nic ciekawego. Ach, i jeszcze Książeczka Zdrowia Dziecka. Zaczęła ją kartkować, choć bez przekonania. Wojciech Bruno... data urodzin, liczba punktów w skali Apgar, grupa krwi. Na dalszych stronach pomiary wzrostu i wagi w kolejnych miesiącach i latach, terminy szczepień. Boże, ile tego jest! I nagle, o władnięta jakąś nową myślą, szybko wróciła do początku dokumentu. A potem wybuchła głośnym, złym śmiechem. No po prostu pięknie! Otóż i jest słaby punkt. Wcale nie trzeba było długo szukać. Schowała książeczkę do torebki i wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

\* \* \*

Gdyby jakiś artysta postanowił namalować „portret radosnej jesieni”, w ten październikowy wtorek Cecylia Czaplicz mogłaby mu posłużyć za modelkę. Szła w kierunku centrum Starej Leśnej, ubrana w płaszcz z zielonego sztruksu, otulona rdzawozłotym szalem, dobranym pod kolor do kapelusza. Rękawiczki i pantofle miała fioletowe. Fioletowa była także długa parasolka, którą podpierała się jak laseczką. Idealnie pasowała do wrzosów i marcinków, zdobiących rabaty w co drugim ogrodzie. Prawie każdy mijany po drodze człowiek oglądał się za niezwykłą starszą panią, a wtedy Cecylia uśmiechała się zadowolona. Nie, to nie była zwykła próżność. Jeśli bawiła się kolorami, to wyłącznie dla własnej przyjemności, a podziw ludzi dowodził, że powiedzonko, iż „podooba nam się człowiek, a nie jego metryka” jest zgodne z prawdą. Lubiła oryginalne ubrania – tak jak kwiaty czy piękne zachody słońca. Często powtarzała, że zmysłowa przyjemność, jaką czerpie z otaczania się kolorami, jest jej receptą na szczęśliwą długowieczność. Podobną radość sprawiało jej wkładanie płatków róży damasceńskiej pomiędzy prześcieradła – żeby przechodziły ich delikatnym zapachem. A także pieczenie ciast, nakładanie koronkowych czapeczek na słoiki, wystawianie twarzy do słońca, robienie motanek z dobrą intencją, słuchanie Bacha, czy malowanie paznokci. Kto inny zapewne uznałby, że to błahostki, Cecylia natomiast uważała, że właśnie dzięki takim drobiazgom życie jest piękne, a dbałość o nie zatrzymuje młodość równie skutecznie, jak codzienna porcja ruchu na świeżym powietrzu. Teraz też wędrowała do perfumerii, żeby kupić sobie nowy lakier. Pod kolor do jesiennego płaszcza, rzecz jasna!

Miała nadzieję, że uda jej się namówić na tę wyprawę Wioletę Migas. Przyjaciółka wnuczki zwykle chętnie uczestniczyła we wszelkich szaleństwach starszej pani. Tym razem jednak odpowiedziała, że zaprosiła kogoś na kolację i ma w związku z tym sporo kuchennych zajęć. Cecylia, która znała Wiołę lepiej niż ktokolwiek inny, z samego brzmienia jej głosu wywnioskowała, że albo na scenie pojawił się nowy mężczyzna, albo – i to było dużo gorsze – wrócił na nią obrzydliwy Jarosław. Ten, który obiecywał rozwieść się z żoną i pozwalał się tygodniami utrzymywać, mając biedną dziewczynę wizją przyszłego szczęścia

i dostatku. Nestorka rodu Czapliczów zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego ta bystra, inteligenta kobieta raz za razem łąduje się w tarapaty. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi, ale była pewna, że nie dopuści, by ten beznadziejny naciągacz po raz kolejny złamał serce jej ulubienicy.

\* \* \*

W perfumerii Kleopatra, zaledwie trzy przecznice od ulicy Jeża, panowała atmosfera leniwego rozprężenia. Sprzedawczyni, młodzianka dziewczyna z kolczykiem w nosie i włosami w odcieniu fuksji, zupełnie nie odnotowała obecności klientki. Cecylia podeszła do półki z lakierami i zaczęła przykładać kolejne wersje zieleni do mankietu płaszcza. Pomyślała, że nie bez powodu trawiasta barwa symbolizuje życie, harmonię, uzdrowienie i nadzieję. A także wolność. Ludzie powinni wpuszczać do swojego życia więcej zieleni – pomyślała, a potem odwróciła się w stronę kasy. Ze zdziwieniem zauważyła, że sprzedawczyni nie jest już sama. Przy ladzie sklepowej stał jeszcze mężczyzna. Wyglądał... niepozornie. W wieku, na oko, między czterdziestką a pięćdziesiątką, z wyraźnie widocznym brzuszkiem, ot, taki sobie dość nijaki pan. Jednak dziewczyna – młodsza o połowę, również na oko – patrzyła na niego, jakby był ósmym cudem świata. On mówił coś do niej, przechylony przez ladę, tak że do Cecylii docierały pojedyncze wyrazy. Prawdopodobnie nie próbowałaby złożyć ich w całość, gdyby nie fakt, że słowa te brzmiały: fryzjerka... Wioletta... idiotka. Zafrapowało ją to na tyle, że, starając się nie zwrócić na siebie uwagi rozmówców, przesunęła się wzdłuż regału, żeby lepiej słyszeć.

– Baba normalnie się na mnie uwzięła – mówił typ. – Napastuje mnie, grozi samobójstwem... Nie mam pojęcia, dlaczego ją tak na mnie wzięło, nie robiłem jej żadnych nadziei. Ale wiesz, bejbe, muszę być delikatny. Z tymi wariatkami nic nie wiadomo, jeszcze wsadzi głowę do piecyka.

– Jarek, ty jesteś taki wrażliwy – szepnęła sprzedawczyni, gładząc czule policzek faceta. – Nie powinienes się tak wszystkim przejmować!

– Cóż zrobić, kiedy człowiek się taki urodził... – westchnął facet, skromnie spuszczać oczy. – Sytuacja jest o tyle trudna, że wiesz... pożyczyłem jej trochę pieniędzy.

Cecylia słuchała tego wszystkiego, kompletnie oniemiała. W całym swoim dziewięćdziesięcioletnim życiu nie spotkała się z podobnym przypadkiem bezczelności. Bo że facet kłamał – było oczywiste. Z powyższego fragmentu rozmowy wywnioskowała, że oto stoi przed nią nie kto inny, a Jarosław Pawlak, ostatnia miłość Wioli Migas, naciągacz recydywista, typ bez honoru, moralny bezkręgowiec. Trzeba było działać i to szybko. Tylko – co robić?! Najlepiej, gdyby Wiola sama przekonała się, komu powierzyła swoje ufne serce. Cecylia pomyślała, że nie od rzeczy byłoby strzelić lowelasowi zdjęcie zza regału z lakierami... albo

nagrać. Tak! Jej ultranowoczesna komórka miała przecież funkcję kamery. Niewiele myśląc, wyciągnęła ją z torebki i wcisnęła czerwony guziczek, dokładnie w momencie, gdy Jarosław wyznał:

– No i teraz mam kłopot, bo muszę odebrać samochód z warsztatu, a nie mam z czego zapłacić. A Wiola wisi mi całe dwa tysiące...

– Nie martw się, kochanie – szepnęła naiwność w kolorze fuksji. – odłożyłam sobie parę złotych na kurs prawa jazdy, jeszcze nie wpłaciłam. Mogę ci pożyczyć.

Jarosław przechylił się za ladę i pocałował ją w czoło.

Tego dla Cecylii było już nadto. Nie chowała się dłużej za regałem. Zrobiła krok w stronę lady.

– Ty zbóju – syknęła. – Ty naciągaczu!

Jarosław odskoczył od lady, jak oparzony.

– Przepraszam, ale... ja chyba pani nic nie zrobiłem? – zapytał z nutką niepewności w głosie.

– Ty się jeszcze pytasz?! Śmiesz się pytać?

– Ale o co pani chodzi, czego pani chce od Jarka? – pisnęła sprzedawczyni.

– Dziewczyno, lepiej trzymaj pieniądze przy sobie, bo ten człowiek puści cię w skarpetkach, tak jak Wiołę Migas. Jeśli chcesz widzieć, to nie ona od niego, ale on od niej wyciągnął wszystkie pieniądze. Obiecywał, że się ożeni, ale jest z tym problem: on ma żonę! – Cecylia uniosła swoją fioletową parasolkę, niczym bojownik dzidę i potrząsnęła nią Jarosławowi przed nosem.

– Ja sobie wypraszam, to jest potwarz! – Próbował protestować oszust, chyłkiem jednak wycofywał się w kierunku drzwi.

– Jarek, powiedz, że to nieprawda – błagała sprzedawczyni. – Nie mówiłeś nic o żonie.

– Wszystko ci kotku wytłumaczę – jękał się łobuz. – Nic nie jest takie, jak się wydaje... Ta żona jest tylko teoretyczna!

– Teoretyczna?! Ja ci dam! – ryknęła Cecylia i wyrznęła Jarosława parasolką po grzbiecie. – Żona jest teoretyczna? Wierność jest teoretyczna? Prawdopodobność? Męski honor? Ty patałachu!

Fioletowa parasolka tylko gwizdała w powietrzu. Cecylia jedną ręką młóciła nieszczęsnego Jarosława, drugą natomiast ścisnęła telefon komórkowy, który ani na moment nie przestał filmować zajścia.

Dzięki temu mogła później, bez zbędnego komentarza, odtworzyć wszystko biednej Wioli Migas. Na wszelki wypadek, kiedy już pohańbiony Jarosław opuścił pole bitwy, nabyła jeszcze kilka lakierów, o barwie symbolizującej harmonię, uzdrowienie i nadzieję. Była pewna, że – w razie czego – pomogą. I nie myliła się!

\* \* \*



– A więc tu się schowałeś! – powiedział z uśmiechem Adam w stronę zeszytu z napisem „Język polski”.

Ostatnio prowadzili z Wojtkiem intensywne poszukiwania tegoż właśnie kajetu, niestety bezskutecznie. Adam wyciągnął zgubę ze szpary pomiędzy łóżkiem a ścianą. Robił porządki w pokoju gościnnym, który ostatnio często zajmował Wojtek. Uczył się tu, ćwiczył na gitarze – godzinami te same dwa chwyt – czasami ucinał sobie drzemkę, zmęczony treningami piłkarskimi. Adam był szczęśliwy, że chłopak czuje się u niego jak w domu. Bo przecież to był jego dom. Przygodzki ukradkiem zerkał na Wojtka i myślał, jak by to było, gdyby on wiedział, że oto stoi obok jego tata.

Po pamiętnej rozmowie o ogrodzie, miesiąc temu, więcej nie poruszał już z Zuzanną tego tematu. Wiedział, że nie umiała mówić o uczuciach. Zresztą – nie było potrzeby nazywania wszystkiego, przecież rozumieli się dobrze. Chciał dać jej czas. Nie spieszyło mu się. Czuł, że gdy ona dojrzeje, sama rozpocznie rozmowę, ustalą coś – kiedy powiedziec Wojtkowi prawdę, jak to zrobić... Ale nie mógł się oprzeć, by nie snuć fantazji. Wyobrażał sobie już, jak mieszkają w Jolancinie wszyscy razem – najbardziej lubił te chwile, gdy byli tu on, Zuzanna, Wojtek i Szalej, a dom wypełniał się gwarem rozmów, kobiecym śmiechem, szcękaniem rondli w kuchni, odgłosami gry na gitarze, dzikim jazgotem Szaleja, gdy szarpał się o piłkę z Wojtkiem na trawniku. Tak, Adam kochał te momenty, gdy byli jak rodzina – i zawsze było mu ich mało, tęsknił potem za nimi.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Wydobył zza łóżka jeszcze kilka skarpet – każda inna. „Zadziwiające, co się dzieje z tymi drugimi z pary... Zawsze giną. Ktoś je kradnie, czy co?” – zadumał się.

W tej chwili rozległ się dźwięk telefonu. Adam pomyślał, że to może Zuzanna – miała podjechać po pracy, ale pewnie znowu coś jej się opóźniło. „Ten Kozak to niezły cwaniaczek. Wykorzystuje ją i jeszcze płaci marne grosze. Zaczynam mieć tego dosyć, powiem mu w końcu do słuchu albo dam mu w mordę!” – pomyślał, zbiegając po schodach.

Odebrał w ostatniej chwili, dlatego nie zdążył zerknąć na wyświetlacz.

– No, co tam? – rzucił radośnie w słuchawkę.

– O! Brzmisz tak, jakbyś czekał na mój telefon – rozległ się w słuchawce wysoki, lekko zalotny głosik.

Adam skrzywił się z irytacją. Rozmowa z Karoliną była ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

– Wiesz, spieszę się, chcę uporządkować pokój Wojtka, zanim Zuzanna przyjdzie. Masz coś ważnego, czy możemy pomówić innym razem? – zapytał chłodno.

Zapadła chwila ciszy, jakby ktoś po drugiej stronie wahał się, co powiedzieć.

– Pokój twojego niby-syna? – usłyszał w końcu Adam.

– Żałuję, że ci to powiedziałem, ty tego akurat nigdy nie zrozumiesz. Mojego syna, tak.

– Mój drogi, paradny jesteś, naprawdę. Wiem, że ludzie lubią wierzyć w bajki, ale żeby aż tak... – zaśmiał się głos.

Adam poczuł, że rośnie w nim złość. Naprawdę trudno byłoby mu sobie przypomnieć w tej chwili powody, dla których wydawało mu się kiedyś, że kocha tę kobietę.

– Karolina, dajmy już temu spokój. Byłem związany z Zuzanną zanim poznałem ciebie, o dziecku nie wiedziałem przez te wszystkie lata. Daję ci oficjalne prawo do wykorzystania tego faktu przeciwko mnie. Jak chcesz, rozwód może być z mojej winy. To wszystko?

– Adam, nie bądź śmieszny. Ten chłopak nie jest twój. Widziałam jego książeczkę zdrowia. Ty tego nie sprawdziłeś? Dziwię ci się, naprawdę. On ma grupę krwi 0. Podobno miałeś olimpiadę z biologii w liceum, wspominałeś coś? Liznałeś trochę genetyki? Ty masz grupę krwi AB. Nie ma takiej opcji, żebyś był ojcem tego bachora – syknął głos.

Zahuczało mu w uszach. Serce zaczęło walić jak oszalałe. Odłożył telefon, choć słyszał, że głos dalej coś mówi, ale już go to nie interesowało. Usiadł.

Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, żeby nie wierzyć Karolinie. Wiedział, że była zdolna do kłamstwa, nawet perfidnego – o, tak! – ale była też inteligentna i świadoma faktu, jak łatwo kłamstwo w tej kwestii można by zdemaskować. Już raz to przeszła. Wtedy, w Londynie, gdy się poznali. Adam był zakochany, zauroczony, ale żeby oświadczać się tak szybko? Powiedziała, że jest w ciąży. On się ucieszył. Prawdę wyznała mu tydzień przed ślubem. Kajała się, płakała, mówiła, że przecież to nie do końca kłamstwo, jeszcze mogą mieć dzidziusia... Chciał tego. Wybaczył.

Nagle, jak na filmie, zaczęły mu się przewijać przed oczami sceny sprzed miesięcy. „Gdybym ja miał takiego syna...” – mówił on. „Może szkoda, że nie masz” – odparła ona. Nie ma! No jasne, nie ma! Jak mógł sobie coś takiego ubzdurać! Znów dał się na to złapać, ale kretyn z niego!

Język roślin, dobre sobie! *Wiktoriański ogród!* Tajne znaki, zapisane w układzie irysów, peonii, wiciokrzewu i głogu – mój Boże, jak to się stało, że to kupił. On, umysł analityczny, syn lekarzy, człowiek raczej „szkiełka i oka” niż „czucia i wiary”! Nagle wydał się sam sobie żaloszny. Po tym, jak rzuciła go żona – dla portugalskiego kochanka – po tym, jak stracił majątek, który zawdzięczał Sokolnickim, był tak zamroczony i spragniony akceptacji i czułości, że dał się uwieść tej romantycznej wizji: rodziny, która czekała na niego tu, w Starej Leśnej, od lat. Wizji! To nie była żadna wizja. To była iluzja, sztuczka, kłamstwo.

Kłamstwo Zuzanny. To ona pozwoliła mu, by zaprzyjaźnił się z Wojtkiem, by poczuł coś do niej i do niego. Ona nie wyprowadziła go z błędu, celowo

utrzymywała w przekonaniu, że poznał tę „tajemnicę”, którą ukryła w planach jego ogrodu.

Zalała go złość. Gniew. Wściekłość, jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Złapał kluczyki i wybiegł do auta, nie zamykając nawet za sobą drzwi.

\* \* \*

Zuzanna, w czarnych rękawiczkach, przygotowywała ostatnie cebulki tulipanów. Starannie je badała palcami: sprawdzała, czy nie zasuszyły się zbyt, nie zgniły. Miała je lada dzień wysadzać w kilku ogrodach – w tym w Jolancinie. Kozak przeglądał faktury. Od jakiegoś czasu prezentował się nienajlepiej: chodził w brudnych dżinsach, nieogolony, schudł. Zuzanna po raz pierwszy poczuła przypływ ludzkich uczuć dla swojego szefa: było jej go żal. Wiola Migas, która zawsze miała najświeższe plotki ze Starej Leśnej, twierdziła, że Monika Kozak wyrzuciła męża z domu i rozwód jest raczej nieunikniony.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos samochodu, gwałtownie hamującego przed siedzibą Kozak Gardens.

– To chyba pani... przyjaciel. Przygodzki, znaczy się. – Kozak rzucił obojętnym tonem, choć jeszcze dwa miesiące temu wybiegłby na spotkanie swojego byłego klienta. Choćby to pokazywało, w jak fatalnym jest stanie.

Zuzanna podeszła do okna. Faktycznie, Adam. Stało się coś? Przygodzki wyglądał na wzburzonego. Może coś z Wojtkiem? Z Cecylią? Zuzanna złapała kurtkę i szybkim krokiem wyszła na zewnątrz.

– Co ty tu robisz? Czy coś się...

– Jaką grupę krwi ma Wojtek? – bezceremonialnie przerwał jej Przygodzki.

Było to tak do niego niepodobne, że Zuzanna zdębiała.

– 0 Rh minus... – powiedziała powoli, zachodząc w głowę, w czym rzecz. Przygodzki, blady jak ściana, wybuchnął gardłowym śmiechem. Przestraszyła się.

– Okłamałaś mnie – wycedził.

Zachwiał się, oparł o samochód. Zuzanna podbiegła do niego, odepchnęła ją.

– Adam! Przerażasz mnie! O co ci chodzi?!! – krzyknęła.

Zapadła groźna cisza. Zerwał się wiatr z północy, zaczęło kropić. Nad ich głowami kłębiły się ciemne chmury.

– O to chodzi, że chciałaś mnie zrobić. Chciałaś mnie zrobić w cudze dziecko, mówiłem ci, że marzę o rodzinie, a ty to z premedytacją wykorzystałaś i dałaś mi wierzyć, że Wojtek jest moim synem! – wrzasnął w końcu on.

Zuzanna była jak sparaliżowana. Patrzyła na Przygodzkiego szeroko rozwartymi oczami. Nie mogła rozpoznać w tym mężczyźnie swojego Adama.

– Ja... ja nie powiedziałam ci nigdy, że Wojtek jest twoim synem... – powiedziała cicho po długim milczeniu.

Adam zrobił taki ruch, jakby chciał ją uderzyć, ale chwycił ją tylko mocno za

oba ramiona, ścisnął, potrząsnął. Poczwała, że brak jej tchu.

– Puść mnie! Zostaw! – krzyknęła.

– Nie powiedziałaś... No fakt, nie powiedziałaś. Sam jestem sobie winny, że, głupi dureń, uwierzyłem tobie i tym cholernym planom, tym pieprzonym krzaczkom i kwiatuśkom, którymi mnie omamiłaś...

– Pani Zuzanno, wszystko w porządku? – w drzwiach stanął Robert Kozak.

Lunął przeraźliwie zimny deszcz. Krople mieszały się na twarzy Zuzanny ze łzami.

– Tak, panie Robercie, wszystko jest w porządku! Po prostu spotkałem kolejną krętaczkę, która chciała mnie naciągnąć na gadki o rodzinie, dziecku, a której tak naprawdę chodziło, jak zwykle, o pieniądze! – darł się Przygodzki.

Zuzanna wyswobodziła się z uścisku, odwróciła na pięcie i zaczęła wolno iść w stronę swojego samochodu. Drżącymi dłońmi wysupłała z kieszeni kluczyki, otworzyła, wsiadła, odpaliła silnik. Zapomniała nawet, że zostawiła w biurze torebkę. Wolno ruszyła. Chciała tylko znaleźć się w domu, sama. Chciała, żeby cały świat zniknął.

Przygodzki stał w tym samym miejscu jeszcze przez chwilę. Kozak patrzył na niego bez słowa.

– Nie wiem, o co chodzi, ale gada pan takie bzdury, że aż uszy puchną. Gdybym wiedział, że z pana taki palant, nie wziąłbym od pana zlecenia. Za żadne pieniądze – powiedział po chwili smutno i wszedł do środka, cicho zamykając za sobą drzwi.

Deszcz padał nieprzerwanie przez kolejnych dziesięć godzin. Ale nikt z tej trójki w ogóle nie zwracał na to uwagi.

Zuzanna leżała w swojej sypialni i płakała w poduszkę.

Robert Kozak, w śpiworze, pił z gwinta whisky, z Azą przytuloną do boku.

Adam Przygodzki pakował w Jolancinie walizki. Jechał do Warszawy. Zarezerwował pokój w hotelu. Zamierzał sprzedać willę, może znów przenieść się do Anglii? W każdym razie jednego był pewien: nie zostanie w Starej Leśnej. Przed północą opuścił Jolancin z mocnym postanowieniem, że nigdy już do niego nie wróci.

### XIII

– No nie... – Cecylia spojrzała z niesmakiem na bukiet plastikowych róż, które parę dni wcześniej ktoś musiał wsunąć do dzbana.

Płyta nagrobna została niedawno zamieciona, wymyta i wywoskowana. Nestorka rodu Czapliczów nie miała wątpliwości, do kogo należała pracowita i praktyczna ręka, której można było „podziękować” i za porządki, i za ozdoby. Ani ona, ani Zuzanna nigdy nie zaniósłoby Brunonowi sztucznych kwiatów! Zwłaszcza teraz, gdy do dyspozycji miały wrzośce, chryzantemy, kilka odmian astrów, nie mówiąc o nieśmiertelnikach, z których cmentarne kwiaciarki plotły wielobarwne wieńce. A jeśli ktoś taki wydatek uważał za „kosztowną fanaberię” (Cecylia dobrze знаła takiego ktosia), zawsze można przecież zrobić wiązanekę z jarzębiny, ostrokrzewu i cisu. Choćby korzystając z zasobów ogrodu przy Kurzej Stopce. Krystyna jednak uważała, że sztuczny kwiat będzie stał i rok, nie tracąc koloru ani formy. Rozsądna inwestycja. Z tego samego powodu przynosiła ukochanemu ojcu wielkie plastikowe lampiony, w których można było zmieniać wkład. Rozsądne było także i to, że odwiedzała grób mniej więcej tydzień przed pierwszym listopada, kiedy na cmentarzu było pusto. Dzięki temu mogła mu się spokojnie wyzalić, wypłakać – nie narażając się na wścibskie spojrzenia. Odpowiadało to także Zuzannie i Cecylii. One z kolei przychodziły do Brunona we Wszystkich Świętych.

W tym roku Zuzanna – bodajże po raz pierwszy w życiu – odmówiła towarzyszenia babce w wyprawie na cmentarz, a Cecylia przyjęła to ze zrozumieniem. Wnuczka przeżywała rozstanie z Adamem i nie miała siły na celebrowanie pamięci o zmarłych. Nawet tak bardzo kochanych jak dziadek Bruno. Babka doskonale to rozumiała i na nią nie naciskała.

Kontemplowała teraz z zadowoleniem owoc swoich zabiegów. Wokół tablicy z imieniem i nazwiskiem Brunona rozstawiła gliniane znicze. Tuż pod krzyżem – bordowe chryzantemki, a do siwaka wsunęła wiązanekę z dzikiej róży, jarzębiny oraz rokitnika, nazywanego w jej wschodniej ojczyźnie oblepichą. Kolorowe owoce przyciągały ptaszki. Dzięki temu wokół grobu męża zawsze uwijały się jakieś skrzydlate maleństwa.

– Tak ci będzie trochę weselej – szepnęła Cecylia, a potem, nie tracąc swojego łagodnego uśmiechu, przymknęła oczy i odmówiła w myślach *Wieczny odpoczynek*. – Opiekuj się nami, Brunonku, wyproś tam w górze trochę szczęścia dla Zuzanny i więcej luzu dla Krystyny – dodała na koniec, a pod powiekami natychmiast pojawił się jasny obraz jej zmarłego męża.

Pokiwał głową ze zrozumieniem – tak jakby naprawdę wszystko słyszał i obiecywał pomoc. Cecylię czekała jeszcze wyprawa na grób Olgi Sobczak. Starsza pani Czaplicz była bodajże jedyną osobą na świecie, która odwiedzała tę

skromną, porośniętą trawą mogiłę. Dwa razy do roku, na Wielkanoc i właśnie na Wszystkich Świętych, zapalała tam światełka pamięci i modliła się za duszę nieszczęśliwej kobiety. Pochowana w najdalszej alejce, prawie pod samym lasem, leżała samotnie w kompletnym zapomnieniu. Nawet w listopadzie mało kto zapuszczał się w ten zakątek cmentarza. Jednak tym razem ktoś kręcił się w pobliżu mogiły. Cecylia zerknęła ciekawie na postawną kobietę, w kraciastym płaszczu i kapeluszu, którego rondo skutecznie zasłaniało twarz. Nieznajoma jakby się zawahała, a potem sprężystym krokiem ruszyła w jej stronę.

– Dzień dobry – powiedziała zachrypniętym od papierosów głosem, a potem, wprawiając Cecylię w zdumienie, dodała: – Szukam grobu Olgi Sobczak.

\* \* \*

– I to naprawdę była ta Urszula, jej utracone dziecko?! – Krystyna nie mogła uwierzyć w opowieść matki.

– Tak jest, Urszula Kownacka, córka intendentki z przedszkola naszej Zuzanny.

– Co jej się stało, że nagle zapragnęła odszukać mogiłę matki?

– Wnuczka ją namówiła. Urszula mówi, że choć dawno temu odcięła się od swojej biologicznej matki i kochała zawsze tylko tę przysposobioną, to jednak w najdalszym zakamarku serca została jakaś wyrwa, której nie dało się niczym zapełnić. Teraz, gdy jest prawie osiemdziesięcioletnią panią, dotarła do niej bezsensowność tego dawnego zaciętrzewienia.

– No, ale jak to się stało, że znalazła się na cmentarzu w Starej Leśnej?! – dopytywała Krystyna.

– Mówiłam ci, dzięki wnuczce. Pamiętasz, jak dwa lata temu Wojtek odkrył w internecie stronę z wirtualnymi zniczami? Wpisał tam wszystkie znajome osoby, w tym Olgę.

– A, no tak, i naiwna Zuzanna jeszcze za to zapłaciła – Krystyna skrzywiła się kwaśno na wspomnienie tego wariactwa.

– Naiwna – nienaiwna, to dzięki temu Wojtkowemu wpisowi Julka, czyli wnuczka Urszuli Kownackiej namierzyła prababkę, a jej babcia mogła przyjechać i pojednać się z matką.

– Jakież to pojednanie, skoro tamta nie żyje – mruknęła niechętnie Krystyna.

– Ano właśnie, Krysiu, ano właśnie – westchnęła Cecylia. – Urszula wzięła ode mnie listy, które biedna Olga pisała od niej latami, marząc o więzi, bliskości, odzyskaniu ukochanego dziecka, które straciła przez własną nieroztropność oraz fatalne zrzędzenie losu. Obie miały szanse wszystko naprawić, spotkać się i paść sobie w ramiona. I masz rację, że na to jest za późno. Dzięki lekturze listów Urszula może jednak zagłębić się w świat Olgi, choć nie może już jej przytulić. I to jest jej życiowa przegrana – zakończyła Cecylia, wstając od stołu i odstawiając do

zlewu talerzyk z okruszkami sernika.

– A ty dokąd idziesz? – nastroszyła się Krystyna, w której wywód matki wzbudził dziwny niepokój.

– Umówiłam się z Wiolą. Chciała, żebym z nią odwiedziła grób jej mamy.

„Wszystkim matkujesz, a ja to co!”, westchnęła w duchu Krystyna, potem jednak jej myśli poszybowały w kierunku Zuzanny i wszystkiego tego, o czym marzyła, a co do tej pory się między nimi nie wydarzyło.

Córka od dwóch tygodni właściwie nie opuszczała pokoju. Wychodziła tylko wtedy, gdy musiała jechać do pracy, a po powrocie chowała się u siebie.

A Krystyna czuła się winna. Temu, że uwierzyła Karolinie, że wpuściła ją do domu i otworzyła się przed nią – jak nigdy przed nikim. Dlaczego? Znała odpowiedź na to pytanie. To próżność, tak, próżność kazała jej uwierzyć, że ta szlachcianka od siedmiu boleści zobaczyła w niej kogoś, kogo sama chciała w sobie widzieć: osobę na poziomie, inteligentną, rozsądną, interesującą...

Opowieść Cecylii dobitnie uświadomiła jej, że inwestuje w niewłaściwych ludzi. I w niewłaściwe relacje. Przede wszystkim jest przecież córką, matką i babką. Cały świat może zniknąć, a te więzi nigdy nie zginą. O ile sama ich nie zerwie, a tego przecież nie chciała.

Była jeszcze jedna rzecz, która od pewnego czasu nie dawała Krystynie spokoju. Wspomnienie wizji szczęścia, takiego prawdziwego, pełnego miłości. I ona przecież kiedyś wierzyła w miłość...

– Koniec z tym – powiedziała do siebie. – Koniec. Od dziś wszystko się zmieni.

A potem umieściła na porcelanowym talerzyku podwójny kawałek sernika i energicznie ruszyła ku schodom.

\* \* \*

Zuzanna leżała na łóżku i tępo wpatrywała się w sufit. Nie była w stanie zebrać myśli, to wszystko było takie niezrozumiałe i trudne. W uszach wciąż dźwięczały jej słowa Adama: „Chciałaś mnie wrobić w cudze dziecko”.

Bolało. Tym bardziej że zawsze była dumna ze swojej szczerości i prawdomówności. „Uczciwy człowiek nie ma nic do ukrycia i nie ma się czego wstydić, zapamiętaj to sobie” – powtarzał jej w dzieciństwie dziadek Bruno. Tak, on był człowiekiem krystalicznie uczciwym i szczerym. Niestety, Zuzanna, nie mogła tego powiedzieć o sobie.

Dlaczego tak bardzo bała się powiedzieć Adamowi prawdę?

Nie dlatego, że chciała go zatrzymać. Wtedy, trzynastie lat temu... Boże, nie mogła o tym nawet myśleć. Popełniła błąd, straszny błąd. Myślała, że uda jej się go naprawić. Dla siebie. Dla Wojtka. Dla Adama. Powinna wiedzieć, że czasu nie da się cofnąć, a życie potrafi się zagmatwać jak pętla albo wnyki na ciele dzikiego

zwierzęcia. Im bardziej szarpiesz, im bardziej próbujesz się uwolnić, tym mocniej zaciska ci się sznur na szyi.

Teraz było już za późno. Zadurzyła się w Adamie, zaczęli coś wspólnie budować – mieli szansę na nowy związek. Ale najwidoczniej przez cały ten czas miała na nosie różowe okulary. Idealizowała Adama, bardziej wyobrażała sobie jaki on jest, niż go znała. Znów to samo co na studiach. Stworzyła sobie ładną historyjkę o szlachetnym mężczyźnie ze złamanym sercem, a potem w nią uwierzyła.

Dwa tygodnie temu, w wietrzny październikowy dzień, rzeczywistość powiedziała: „Sprawdzam!”.

Co się okazało? Że Przygodzki nie jest wcale księciem na rumaku. Stała jej przed oczami jego twarz: biała, wykrzywiona grymasem wściekłości, przerażająca i brzydka.

A może... może to było kosmicznym nieporozumieniem, może trzeba było wszystko wyjaśnić, walczyć, rozmawiać?!

Nie. Lepiej nie. Wmówiła sobie jego i tę „miłość” – teraz należy o tym zapomnieć, zająć się życiem, domem, Wojtkiem. Nie narazi się już nigdy na podobne zranienie, nigdy już przed nikim nie otworzy.

Rozmyślenia przerwało jej pukanie do drzwi pokoju. Skrzywiła się niechętnie. Wiedziała, że Cecylii nie ma w domu, a zatem mogła to być tylko matka. Nie miała ochoty słuchać jej połajanek ani znosić pełnego satysfakcji tonu. Bo że Krystyna nie znosiła Adama – nie ulegało dla Zuzanny wątpliwości. Aż nazbyt dobrze wiedziała, czego może się po niej spodziewać w obecnej sytuacji. Odruchowo zaczęła nawet układać w głowie scenariusz takiej rozmowy: „Od początku wiedziałam... mówiłam ci... ale ty nigdy...”. Milczała więc uparcie, licząc na to, że pukanie ustanie. Krystyna była jednak zdeterminowana. Wobec przedłużającego się milczenia jedynaczki po prostu nacisnęła klamkę.

– Zuziu, moja kochana... – wyszeptała.

Zuzanna drgnęła. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz matka powiedziała do niej „Zuziu”. Być może w najwcześniejszym dzieciństwie, ale nie była pewna. Tak nazywał ją tylko dziadek Bruno. Skąd więc ta nagła zmiana? Odwróciła głowę w stronę drzwi.

– Córeczko... – Twarz Krystyny zdradzała wielkie napięcie i... nie, nie widać było na niej satysfakcji. – Nie chcę przeszkadzać, ale postanowiłam ci powiedzieć kilka rzeczy.

Zuzanna usiadła na łóżku. Przyjęła wyciągnięty w jej stronę talerzyk z sernikiem Cecylii. Odstawiła ciasto na stolik nocny.

– Córeczko, mam ci tyle do powiedzenia. – Matka przycupnęła obok niej, a Zuzanna poczuła całym ciałem, że właśnie teraz dzieje się coś niezwykłego, że jest to ta jedna chwila, która zmienia bieg wydarzeń i że odtąd nic nie będzie tak



samo.

Miała dwa wyjścia: odrzucić tę zmianę, opancerzyć się, kazać Krystynie opuścić pokój. Albo... otworzyć się na nowe. Rozum podpowiadał to pierwsze rozwiązanie, ale serce – tak, serce było mądrzejsze, więc oparła głowę na ramieniu Krystyny i szepnęła:

– Słucham cię, mamo.

– To nie jest dla mnie łatwe – powiedziała Krystyna. – Z wielu względów. Ale nie przyszedłam ci opowiadać o moich rozterkach, które zapewne cię nie obchodzą...

Krystyna zawiesiła głos, a Zuzanna poczuła przyływ niechęci. Jednak będzie połajanka.

Matka przez chwilę milczała, a potem zaczęła mówić.

\* \* \*

*Tak, wiem, że wszyscy mają mnie za osobę praktyczną i racjonalną. Chciałam taka być, dokonałam wyboru. Zawsze bolało mnie, że matka – Cecylia – tak mało miała uczucia dla swojego męża, mojego ojca. Uwielbiałam go, uważałam za wcielenie wszystkich cnót. No bo, każdy przyznawał, był to złoty człowiek. To, że matka nie potrafiła go docenić, bolało mnie już wtedy, gdy byłam dzieckiem. Zatem, kiedy skończyłam czternaście, może piętnaście lat – odrzuciłam wszystko, co w jakikolwiek sposób kojarzyło mi się z Cecylią. Te wszystkie jej „magiczne” bzdury, motanki, ziółka. A przecież nie byłam nieczuła na podszepty świata i przeczucia. I na sny. We śnie potrafiłam przewidzieć przyszłe wydarzenia. Zwykle to były błahe sprawy – śniło mi się, że ktoś coś powiedział i faktycznie, mówił to na jawie. Jednak kiedyś zdarzyło się, że ojciec miał jechać w delegację. Miałam sen, że służbowy zaporożec ulega tragicznemu wypadkowi i wszyscy giną. Płaczem, krzykiem, atakiem hysterii wymogłam na ojcu, żeby pojechał pociągiem. Temu zawdzięczał życie: kierowca służbowego auta szarżował na drodze, wyprzedzał na podwójnej ciągłej, wjechał prosto pod rozpędzoną ciężarówkę. Koledzy z pracy Brunona zginęli na miejscu.*

*Miałam też i inne sny. Dotyczące mnie. Gdy miałam pięć lat, przyśniło mi się, że siedzę przy biurku i odrabiam lekcje. Nagle do pokoju wchodzi Cecylia, której towarzyszy chłopiec. Ze dwa, trzy lata starszy ode mnie, łobuzowaty brunet z charakterystyczną myszką na policzku. „To będzie twój mąż, Krysiu!” – powiedziała matka. I tyle. Obraz był tak sugestywny, że go zapamiętałam. Trzy lata później nieznajomy z myszką przyśnił mi się ponownie. Już starszy, bardziej młodzieniec niż chłopiec. W tym śnie stałam na progu małego białego domku, pośrodku górskiej doliny. Sielankowy obrazek, niczym z reklamy szwajcarskiej czekolady. Poczułam dłoń na ramieniu i się odwróciłam. Za mną stał on, piękny*

*i barczysty. „To będzie nasz dom, Krysiu!” – powiedział. Od tego momentu zaczęłam wierzyć, że chłopiec z myszką jest mипrzeznaczony, że jest to miłość, która musi się wydarzyć. Trzeci sen przyszedł lata później. Wyjechałam na studia do Krakowa. Miałam rozliczne talenty, w tym plastyczny, postanowiłam jednak, na złość matce, iść na ekonomię. Liczyłam na to, że z dala od domu, w innym mieście, spotkam mężczyznę swojego życia, tego z myszką na policzku. Ale nikogo takiego nie było. Pojawił się za to Julek – fajny, wesoły chłopak, który mnie adorował. Pięknie grał na gitarze. Pewnego dnia przyszedł pod okno akademika i odegrał „serenadę”. Wpuściłam go do pokoju. Otworzył wino wiśniowe. Śmiałam się. Spędziliśmy razem noc. A potem kilka następnych. Cztery miesiące później ginekolog w studenckiej przychodni potwierdził moje najczarniejsze obawy: byłam w ciąży. Julek zachował się przyzwoicie: poprosił mnie o rękę. Ślub odbył w jego rodzinnym Zakopanem, grała nawet orkiestra góralska, złożona z kuzynów pana młodego. W przeddzień uroczystości miałam kolejny sen. Byłam w nim aktorką grającą główną rolę w historycznym serialu. Reżyser kazał mi spośród tłumu mężczyzn wybrać jednego, który w sposób najdoskonalszy pokaże znak zwycięstwa, literę V utworzoną z palców prawej ręki. Miałam z nim pojechać prosto do świątyni, gdzie, według scenariusza, zaplanowano zaślubiny. I faktycznie, wybrałam jednego ze statystów, który dosiadł się do mojej lektyki. Gdy znaleźliśmy się przed świątynią, usłyszałam sygnał klaksonu. „Co za baran zepsuł ujęcie”, pomyślałam w tym śnie. Wtedy ktoś wysiadł z samochodu stojącego przed wejściem do kościoła, zatrzęsął drzwiami i po chwili zobaczyłam przed sobą mężczyznę unoszącego dłoń w znaku zwycięstwa. Tak, to był chłopiec z myszką, odpowiednio starszy.*

*Z prawdziwego ślubu, tego na jawie, nie zapamiętałam wiele. Nikt nie rozumiał, dlaczego w trakcie składania przysięgi nagle zamilkłam. Nikomu, aż do tej chwili, nie wyznałam, że idąc do ołtarza, zobaczyłam nagle mężczyznę siedzącego w bocznej nawie. Wydawało mi się, że dostrzegam na jego policzku charakterystyczne znamię... Czulałam, że właśnie mijam się ze swoim przeznaczeniem. Przez parę minut liczyłam na to, że nieznajomy wstanie i krzyknie: „Ona nie może wychodzić za mąż, ona jest przeznaczona komuś innemu. Mnie!”. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Zostałam żoną Julka.*

*Przyszłaś na świat cztery miesiące po ślubie, ku wielkiej radości dziadków – Cecylii i Brunona. Tylko Julek nie wykazywał szczególnego entuzjazmu. Dopiero po paru miesiącach okazało się, że miał kogoś na boku. Gdy skończyłaś trzy miesiące, chłopiec z myszką wrócił do mnie po raz ostatni. We śnie byłam na nartach w Zakopanem. Jechałam po stoku, trzymając przed sobą w nosidle niemowlę. Spieszyłam się, bo nadciągała burza. Szczęśliwie udało mi się dowieźć*

*dziecko do schroniska. Z ulgą usiadłam na ławie pod ścianą. Nagle otworzyły się drzwi. W progu stanął znany mi mężczyzna – z myszką na policzku. Powiedział: „Musimy się spieszyć i jechać dalej!”. Poczulałam ciepło rozlewające się wokół serca. A więc kocha, wrócił! „Poczekajmy – powiedziałam. – Boję się jechać z dzieckiem!” Ale on wyjaśnił, że Zuzanka musi zostać. Nie mogą wyruszyć we wspólną przyszłość we troje. „W takim razie i ja zostaję!” – za nic nie porzuciłabym ukochanej kruchej istotki. „A więc, Krysiu, odejdę. I nigdy już do ciebie nie wrócę” – powiedział smutno nieznajomy.*

\* \* \*

– I tak się stało – zakończyła opowieść Krystyna. – A kilka lat później okazało się, że Julek, twój tata, nie chce budować z nami rodziny. Rozwiedliśmy się, wróciłam razem z tobą do Kurzej Stopki. Gdzieś głęboko w sercu zawsze miałam poczucie, że minęłam się ze swoim przeznaczeniem. Nie wiem, czy chłopiec z myszką na twarzy był istotą z krwi i kości, czy pewnym symbolem. Dziś nie ma to już większego znaczenia. Nie dałam szansy żadnej miłości, która – być może – za którymś zakrętem jednak na mnie czekała. Nie wiem do końca, co się wydarzyło, Zuzanno, w twoim życiu, ale nie jestem ślepa. Jeszcze dwa tygodnie temu widziałam cię tak szczęśliwą, jaką nigdy nie byłaś. To rozświetlone spojrzenie, uśmiech, zarumienione policzki... Nie pamiętam, czy kiedykolwiek tak się czułam. Wiem jednak, że o wielkie szczęście warto zawalczyć. I właśnie to ci chciałam powiedzieć. Żebyś nie brała ze mnie przykładu, córeczko.

Zuzanna patrzyła na matkę oniemiała. Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego, że matka przyjdzie, przytuli ją i otworzy przed nią serce. Że zachowa się nie jak rodzinny zarządca, tylko najbliższa, najserdeczniejsza istota na ziemi. Za dużo tego było, zbyt mocno i zbyt nagle. Dlatego, wbrew swojej wyciszonej naturze, wybuchła płaczem i rzuciła się matce na szyję.

– Tak bardzo cię kocham! – wyszlochała. – Tak bardzo za tobą tęskniłam!

\* \* \*

Palce były czerwone i spuchnięte, skóra łuszczyła się płatami. Kozak jęknął. Najwyraźniej maść sterydowa o „szerokim spektrum działania” nie przyniosła spodziewanego efektu. Pierwsze dolegliwości pojawiły się kilka tygodni temu. Każdego dnia się nasilały.

– A tobie co się stało? To jakiś parch? – mało życzliwie zainteresowała się nim niedawno Moniczka, która przysłała do garażu w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie dotyczącej, oczywiście, przelewów internetowych.

Wtedy Robert postanowił zapisać się do lekarza. Młody doktor kręcił głową, oglądał dłonie pod światło, pod lupą, w końcu stwierdził u pacjenta

„niesprecyzowaną reakcją o podłożu alergicznym”, wzruszył ramionami i przepisał maść. Która nie zadziałała.

Telefon, skryty w czeluści śpiwora, zawibrował niepokojąco. Przyszedł eśemes od Zuzanny: „Przepraszam, jestem chora. Zwolnienie podrzuci po południu mój syn. Pozdrawiam”. Kozak zaklął. Tego jeszcze brakowało! Właśnie dziś obecność Zuzanny bardzo by mu się przydała – trzeba było jeszcze dosadzić narcyzów, szafirków, tulipanów, krokusów i hiacyntów w ogrodach kilku klientów. Zuzanna, Jurko i sam Kozak od półtora miesiąca właściwie tylko tym się zajmowali – jeśli na wiosnę ogrody miały pysznić się feerią barw, cebule należało umieścić w ziemi przed początkiem listopada. Było już nieco po terminie, ale czas na sadzenie nadal był dobry. Bez Zuzanny, z opuchniętymi i bolącymi dłońmi, Kozak nie miał co marzyć o skończeniu zadania. Niedobrze. Zaklął jeszcze raz, bo przypomniało mu się, że Zuzanna miała oddać dziś rano gotowy projekt ogrodu nowej klientki. Robert umówił się z nią na popołudnie. Plan był niezbędny do podpisania umowy, a umowa – do wypłaty zaliczki. Zrezygnowany szef Kozak Gardens przygotowywał się bowiem na najgorsze i zaczął już gromadzić pieniądze na osobnym koncie – na wypadek rozwodu. Wysłał do Zuzanny eśemesa, że przyjmuje do wiadomości fakt jej nieobecności, ale podjedzie do niej po plan. W odpowiedzi dostał krótką wiadomość: „Zapraszam. Plan wyda panu moja babka. Jeża 8”.

Kozak nigdy nie był u swojej podwładnej, choć wielokrotnie mijał Kurzą Stopkę, willę pań Czaplicz. Moniczka zazwyczaj naśmiewała się z tego domu, nazywając go kurnikiem. Robertowi wydawał się żałośnie mały, zaniedbany i ubogi.

Teraz miał okazję zobaczyć go od środka. Z ulicy Jelenia, przy której mieściła się jego rezydencja i siedziba Kozak Gardens, na Jeża jechało się pięć minut. Kozak zaparkował przed ogrodzeniem. Wysiadł. Przez chwilę szukał wzrokiem domofonu, bramofonu, urządzenia, za pomocą którego można by zawiadomić mieszkańców o swoim przybyciu. Dopiero po chwili zorientował się, że tutaj po prostu naciskało się klamkę, wchodziło do ogrodu, na ganek i pukało do drzwi. Tak też zrobił. Drzwi zaskrzypiały, otworzyły się, a Roberta zamurowało.

Stanął oko w oko z przybyszem z kosmosu. Postać owa odziana była w jedwabne kimono w kolorze złotym, haftowane w rajskie ptaki, jej głowę zaś otaczała różowa aureola. Kozak zamrugał oczami. A, nie, to nie aureola. Po prostu bardzo puszyste włosy, nie wiedzieć czemu – różowe.

– Co pan na to? Przy tak ponurej aurze przyda się nam wszystkim odrobina koloru, nie sądzi pan? – zapytała postać, zalotnie przeczesując różowy puch dłonią, ozdobioną paznokciami w kolorze lila. – Cecylia Czaplicz. Pan Kozak, jak sądzę? Proszę do środka.

Kozak, któremu aż odjęło mowę, posłusznie wmaszerował do środka.

Rozejrzał się niepewnie. Czegóż tu nie było! Stare meble, kolorowe poduchy, ręcznie malowane porcelanowe filiżanki, kapelusz zdobiony kwiatami z aksamitu, kapelusz zdobiony koralami z jarzębiny, warkocz czosnku, suszone zioła, długie szaliki i koronkowe serwety, kot i chomik. A wszystko w nieładzie, chaosie i nadmiarze. Mimo to wnętrze było przytulne i miłe, jakby zapraszało gościa, by został.

– Proszę do kuchni. Zrobię panu herbatkę z malin, dosładzaną miodem malinowym, to najlepsze na tę paskudną porę roku. I ma piękny kolor! – Cecylia wskazała Robertowi krzesło.

Już za chwilę stała przed nim kruchutka filiżanka – malowana w złote i kobaltowe wzory – wypełniona parującą cieczą. Kozak wciągnął głęboko zapach. Całkiem zachęcający. Upił łyżeczek, drugi. Wypił do dna. Oblizwał wargi.

– O! Może drugą? – ucieszyła się Cecylia, która zdążyła już przynieść kartonowy rulon, zawierający plan Zuzanny.

Kozak kiwnął głową i podał gospodyni pustą filiżankę.

– Oj! – krzyknęła ona na widok jego czerwonych, opuchniętych dłoni.

– A, to nic, alergią jakaś. Plan ogrodu, tak? – Kozak niezdarnie usiłował zmienić temat, ale Cecylia nie dała się zwieść.

Krzepko chwyciła właściciela Kozak Gardens za oba nadgarstki i zaczęła uważnie studiować skórę na jego palcach.

– Hm... Hm... No, taka choroba to medal dla każdego ambitnego ogrodnika. – skwitowała w końcu, siadając naprzeciwko swojego gościa.

– Jaka znowu... choroba? – zdębiał Kozak.

– Tulipanowy palec. Przecież na to pan cierpi, prawda? Sadził pan cebulki tulipanów i uczulił się na ich sok. Zacerwienienie, pękająca skóra – książkowy przypadek. Wiedział pan, że w czasach głodu czasem sprzedawano w Holandii cebulki tulipana jako zwyczajną, kuchenną cebulę? Nieszczęśnicy, którzy dali się oszukać, długo wspominali ten posiłek. Tulipany są trujące, zjedzone powodują wymioty, zawroty głowy i trudności z oddychaniem – wyjaśniła spokojnie gospodyni.

– A... Zuzanna też na to choruje? To zwolnienie i tak dalej... – zastanowił się Kozak.

– Skąd! Moja wnuczka zna się na roślinach, nigdy nie dotknęłaby tulipana bez rękawiczek! Pan też nie powinien, ale pewnie nie miał pan czasu ich wkładać. Na przyszłość proszę to robić. Uczulenie minie najdalej po tygodniu, ale ulgę może pan poczuć już teraz. Utnę gałązkę aloesu, jego miąższ działa łagodząco i kojąco na skórę – powiedziała Cecylia.

Dolała Kozakowi herbaty i na chwilę znikła. Pojawiła się z porcelanowym spodeczkiem, wypełnionym zielonkawą galaretą. Usiadła koło Roberta i spokojnie zaczęła wmasowywać maź w jego dłoń. Rzeczywiście – pieczenie i swędzenie po

chwili ustało.

– A wie pani, słyszałem, że pani jest tak jakby wiedźmą. Zaczynam w to wierzyć. Cierpiące serca leczy pani tak samo skutecznie? – Kozak usiłował się uśmiechnąć.

Różowowłosa pani spojrzała mu badawczo w oczy, a on aż się cofnął, bo zdawało mu się, że zajrzała na samo dno jego duszy.

– Straciłam miłość swojego życia. Może więc dlatego całkiem nieźle idzie mi radzenie innym, jak tego uniknąć – powiedziała powoli i pogłaskała Roberta po dłoni.

A on... rozplakał się. Nagle poczuł się tak, jakby znów miał pięć lat i przybiegł do mamy pożalić się na stłuczone kolano, z niezbitą wiarą, że ona może wszystko – wyleczy siniaka, ukoji ból, sprawi, że świat stanie się lepszy. Zaczął opowiadać – o Moniczce, o tym, jak bardzo ją kocha, jak nieszczęśliwy czuje się, odkąd mieszka w garażu.

Ile się tego nagromadziło i jak dobrze było wylać cały żal przed kimś, kto patrzył na niego z takim spokojem i akceptacją!

Cecylia słuchała. Czas mijał. Kozak się uspokoił. Skończył mówić. Zapadło milczenie.

– Żona pana kocha, panie Robercie. Po tym, co pan mi powiedział, jestem tego pewna. Ale wygląda na to, że pani Monika ma romantyczną duszę. Potrzebuje troski, opieki, dowodu uczuć, czułych wyznań. Moim zdaniem, nic jeszcze nie jest stracone. Pomogę panu, powiem, jak odzyskać jej względy, ale... – Cecylia zawiesiła głos.

Robert spojrzał na nią wyczekująco, z nadzieją.

– Jeśli mi pani pomoże, ozłocę panią, ufunduję kapliczkę, stypendium dla biednych uczniów albo zdolnych czarownic, co pani zechce. Jeśli znów wrócę do domu, a żona się ze mną nie rozwiedzie... – westchnął.

Zaczął wierzyć, że naprawdę ma jeszcze szansę.

– Jedna, drobna rzecz panie Robercie. Proszę pana tylko o jedną przysługę. Proszę zniszczyć ten boks z siatki, proszę więcej nie wiązać psa na łańcuchu. Widziałam tę pana sukę, Azę, tak? Taka piękna, szkoda jej. Na pewno w pana domu znajdzie się miejsce na legowisko dla niej, choćby w holu. – Cecylia uśmiechnęła się łagodnie.

Kozak spojrzał jej w oczy i odwzajemnił uśmiech.

– Nawet pani nie wie, z jaką przyjemnością spełnię pani prośbę – powiedział.

– Świetnie. Trzymam pana za słowo. A więc tak: dziś wróci pan do domu, pójdzie do żony i...

\* \* \*

„O wielkie szczęście warto zawalczyć...” – słowa matki dudniły Zuzannie w głowie. Ale czy ona tego nie wie? Przecież przerabiała to już tyle razy!

Wtedy, gdy poszła do Tomasza, którego nie kochała, żeby powiedzieć mu, że jest w ciąży. Walczyła wtedy o szczęście dla swojego nienarodzonego dziecka. Chciała, by syn dorastał w pełnej rodzinie. Potem zносиła pretensje męża, drobne upokorzenia, to, że wypominał jej romans z Przygodzkim, nie potrafił zapomnieć, że był przed nim ktoś, kogo Zuzanna pokochała. W końcu pożałowała chwili szczerości, ale było za późno. Zatrute ziarno wydało plon – małżeństwa nie dało się uratować. Wtedy znowu walczyła, by uratować więź Tomasza z Wojtkiem – i znowu raz robiła to tylko dla syna. Namawiała Tomasza, by regularnie odwiedzał Wojtkę, błagała, by wychowywał chłopca, pełnił rolę najważniejszego mężczyzny w jego życiu. Ojca.

A powrót do Kurzej Stopki? Powiedzenie matce, że musi znów wprowadzić się do rodzinnego domu, zmierzenie się z jej lamentami, pretensjami, wymagało od Zuzanny sporo odwagi i samozaparcia. Ale gdyby została w Warszawie, musiałyby wynająć mieszkanie. By je opłacić, zostałyby zmuszona pracować od rana do wieczora, brać prace zlecane – a Wojtkę wychowywałyby nianie albo opiekunki w żłobku. Matki by nie widywał. Przeprowadzka do Starej Leśnej i praca dla Kozaka oznaczała wyrzeczenie się życia prywatnego, niską pensję, wieczne utyskiwania Krystyny – ale przynajmniej stałe godziny pracy. Zuzanna przez całe dzieciństwo Wojtkę pracowała do 15.00, odbierała synka z przedszkola i mogła się nim zajmować do wieczora. Bawili się klockami, kolejką, chodzili na spacer, przed snem Zuzanna czytała mu książki.

A więc walczyła o szczęście! I co?

Zaraz jednak zaświtała jej w głowie myśl, że przez cały ten czas walczyła o cudze szczęście, nie własne. Była świetna w poświęcaniu się dla dziecka, przyjaciółek, mamy w chorobie, dla babci. A co zrobiła dla siebie?

Zaczęła umawiać się z Adamem. To było tylko jej – chwile przyjemności, rozkoszy, poczucie, że jest kochana, pożądana, ktoś ją dostrzega i docenia.

Teraz to straciła.

Przewróciła się na drugi bok. Na nocnym stoliku koło łóżka stał talerzyk po serniku, który wczoraj przyniosła matka. Jej jedyny posiłek od dwóch dni. Od rozstania z Adamem funkcjonowała na niskich obrotach, jakby wyczerpały jej się życiowe baterie. Dzisiaj poczuła, że nie jest w stanie podnieść się z łóżka. Wysłała esemesa do Kozaka, że nie przyjdzie – potem widziała, jak podjeżdżał pod dom, miał wziąć plan, ale siedział na dole podejrzenie długo. Rozmawiał z Cecylią? O czym? O niej?

Wszyscy o niej mówili i chcieli z nią rozmawiać. Cecylia, matka, Kazia i Wiola. Zuzanna miała ich serdecznie dosyć. Tylko Wojtek uparcie milczał. Gdy następnego dnia po awanturze na parkingu Kozak Gardens syn zapytał ją, kiedy

wpadną do Adama, a ona odpowiedziała, że raczej nie będą mieli takiej okazji, bo Adam już nie uważa ich za przyjaciół, na twarzy Wojtka odbił się wyraz przerażenia, zdumienia, gniewu i zawodu. Zuzanna po raz pierwszy poczuła, że nie umie czytać tej twarzy, nie wie, co syn czuje, myśli i przeżywa. Próbowowała z nim o tym porozmawiać, ale zbył ją: „Wszystko jasne. Daj spokój, mamus. Nie jestem dzieckiem”. Od tamtej pory chyba unikał matki. Ciągłe siedział u Antka, wracał późno. Czy próbował kontaktować się z Adamem? Może. Ale Wiola powiedziała Zuzannie, że Przygodzki wyjechał, willa stoi zamknięta na cztery spusty. Podobno wystawiono ją na sprzedaż.

Poczuła, że serce boleśnie jej się kurczy. Może powinna jednak próbować to ratować ze względu na Wojtka?

„Lepiej uciąć to teraz. Adam był pomyłką, zraniłby Wojtka wcześniej czy później, więc chyba lepiej wcześniej”, pomyślała hardo.

Ale w głębi ducha czuła, że próbuje przekonać samą siebie. Bezskutecznie na dodatek.

Im więcej dni i godzin mijało od rozstania, tym bardziej widziała rozmiary własnej winy.

„Nie powiedziałam ci nigdy, że Wojtek jest twoim synem” – znów słyszała własne słowa. Boże, jak mogła tak postąpić. Nic dziwnego, że Adam poczuł się zmanipulowany, oszukany, wykorzystany. Jej intencje były inne, ale...

Przekręciła się na drugi bok. Jakie to łóżko było niewygodne! Nie, nie może tu siedzieć jak sowa w dziupli. Czas się pozbierać, wyjść do ludzi, wrócić do codziennych obowiązków. Musi porozmawiać z Wojtkiem, wszystko mu wyjaśnić. Miała kolejne zlecenie na projekt ogrodu – trzeba się spotkać z klientem, dowiedzieć, co lubi, o czym marzy, ile wie o ogrodnictwie.

Usiadła na łóżku. Zrobiła szybki masaż dolnych powiek – niestety, opuchlizna nie chciała zejść, co czuła pod opuszkami palców. Za długo płakała.

Spojrzała w lustro.

„Jak mogłam mu to zrobić? Dlaczego od razu nie powiedziałam, przecież miał prawo wiedzieć... – pomyślała nagle z przejmującym żalem. – On na to nie zasłużył. Zachowałam się wobec niego okropnie, niegodziwie. Akcja – reakcja, jak mówi Kazia. On potraktował mnie tak samo. A gdybym właściwie postąpiła już na początku, może wszystko ułożyłoby się inaczej? Czy ja nie przegapiam swojej szansy na miłość jak matka? Czy nie idę w jej ślady?” – zastanowiła się.

Z lustra patrzyła na nią zmęczona szatynka o szarej twarzy. Miała rozpacz w oczach. I nagle Zuzanna miała wizje: siebie za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat. Wciąż z tym samym smutkiem. Zobaczyła w przyszłej Zuzannie własną matkę. Teraz już rozumiała, skąd u Krystyny skrzywione usta, zmarszczki w kącikach warg. Tak wyglądają kobiety, które przegrały życie.

– Nie! – krzyknęła głośno. – Nie. To nie będę ja – dopowiedziała po chwili



szeptem.

Z oddali dobiegły ją kroki – ktoś szedł po schodach.

– Zuzanko? Krzyczałaś chyba. Wszystko w porządku? Dziecko, wyjdź wreszcie stamtąd – usłyszała błagalny głos babki.

Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Zaskoczona Cecylia cofnęła się o krok.

– Nie, nie jest w porządku, Buniu. Nic nie jest w porządku. Ale i tak wyjdę. Nie zamknę się na resztę życia, dosłownie i w przenośni. Będę walczyć. Jeszcze nie wiem, co zrobię i jak, ale nie poddam się łatwo – powiedziała.

Cecylia zamrugwała oczami, a potem szeroko się uśmiechnęła.

– No pewnie, że nie! Chodź, kochanie, zrobię ci jabłka w cieście. Nic tak nie przybliży człowieka do sukcesu jak treściwy posiłek.

\* \* \*

...więc dobrze się stało. Umówiłam się z nią w kawiarni naprzeciwko opery, zwróciłam jej za bilety na *Latającego Holendra*. Adam, czy ty mnie słuchasz? – głos matki był zimny i dźwięczny.

– Słucham, oczywiście. Zadumałem się. Mam stresujący okres, podpisuję kontrakt na produkcję śrub dla francuskiego koncernu, załatany jestem – tłumaczył się.

Matka się skrzywiła. Ojciec westchnął, mocno przycisnął nóż do talerza – steki były dość zylaste. Metal zachrząścił na rodowej porcelanie pani Przygodzkiej, z domu Poniatowskiej. Znów grymas na jej twarzy – zniecierpliwienia i zażenowania. Ojciec chrząknął, przeprosił.

– Jeszcze fasolki, Adamie? – Matka zawsze zwracała się do niego oficjalnie, nigdy nie używała zdrobnień, tak samo, jak nigdy go nie przytulała – uważała to za infantylne.

Adam poczuł, że kęs steku rośnie mu w ustach. Pokręcił głową z grzecznym uśmiechem. Jedli przez chwilę w milczeniu.

– Co więc mówiłaś o tej operze? – Cisza zaczęła mu ciążyć, przywoływała wspomnienia wszystkich obiadów, które zjedli przy ogromnym stole z drewna dębowego zupełnie sami, we troje, bez ani jednego słowa.

Nienawidził tego. Przypomniał sobie nagle zupełnie z Kurzej Stopki, przekomarzanie się Cecylii i Wojtka, śmiech... No właśnie, śmiech Zuzanny. Musi wyrzucić te obrazy z pamięci.

– Mówiłam, Adamie, że spotkałam się tam z Karoliną. Jej postawa wobec całej sytuacji jest godna podziwu. Gotowa jest ratować wasze małżeństwo pomimo wszystko – syknęła matka.

– Pomimo czego? – tępo zapytał Adam.

Zaprzagnął wstać, szarpnąć śnieżnobiały, wykrochmalony na sztywno obrus,

żeby wszystkie talerze zleciały na podłogę. Miał dosyć tej kulturalnej ciszy, udawania, że są rodziną.

Matka odłożyła sztuce i spojrzała na niego. Gdyby wzrok mógł palić, Adam zamieniłby się w kupkę dymiącego popiołu.

– Pomimo niedorzeczności z willą i tą kobietą z dzieckiem – poinformowała go sucho.

Adam też odłożył sztuce. Przez chwilę walczył ze sobą, ale oczywiście nic nie zrobił. Sięgnął jedynie po lnianą serwetkę i otarł usta.

– Przepraszam was, moi drodzy. Przypomniało mi się, że mam ważne spotkanie z kierownikiem produkcji, rzecz niecierpiącą zwłoki. Wybaczenie mi, pójdę już. – Wstał od stołu.

Starł się nie dostrzegać rozczarowania na twarzy matki i przestachu ojca. Już go żałował – po jego wyjściu nasłucha się, jakiego to niekulturalnego syna sobie wychowali.

Szybko założył płaszcz i wyszedł w ciemny, listopadowy wieczór. Dał zimny, porywisty wiatr, ciskał w twarz igiełkami deszczu. Adam szedł szybko. Latarnie na ulicy rzucały na chodnik błękitny blask. Nagle z gęstniejącego mroku wychynęła jakaś postać w kapturze, sięgająca Adamowi do brody. Chłopak prawie biegł, zderzył się z Przygodzkim ramieniem, zachwiał, ale nie zaszczycił go spojrzeniem i pognął dalej. Adam obejrzał się za nim, chciał coś krzyknąć, bo zobaczył pasek od plecaka, wlokący się po ziemi, po kałużach.

– Wojtek! – wyrwało mu się.

Chłopak rozpląnął się w ciemności. Co za bzdura, przecież to nie mógł być Wojtek. Odrobinę za wysoki, zbyt szeroki w ramionach – no i co Wojtek robiłby na Powiślu?

„Skąd mi to przyszło do głowy?! I co mnie w ogóle obchodzi cudzy dzieciak!” – zbeształ się w duchu, ale zaraz poczuł rumieniec wstydu, wypływający na policzki.

Wojtek nie był „cudzym dzieciakiem”. Tak, nie był jego synem, ale pozostał wspomniałym chłopakiem. Młodym człowiekiem, który miał Adama za przyjaciela, któremu ufał, a tymczasem on zniknął bez słowa pożegnania, zawiódł go, jak wcześniej ten palant Tomasz, biologiczny tata.

„W gruncie rzeczy nie jestem lepszy od tego łajdaka. Pozwoliłem, żeby chłopak się do mnie przywiązał, uwierzył, że będę przy nim zawsze, na dobre i na złe, jak prawdziwy ojciec, a ja go zostawiłem” – pomyślał.

Nie miał pojęcia, jak inaczej mógłby się zachować. Przecież Zuzanna go okłamała. No, dobrze, nie w żywe oczy, nie z premedytacją – może lepiej użyć słów „zataiła przed nim prawdę”. Ale czy Adam kiedykolwiek dał jej szansę, by mogła tę prawdę wyznać? Był jak opętany tą wspomniałą wizją: ona, on i Wojtek – własne dziecko, krew z krwi i kość z kości, ale na tyle już podrośnięte, by Adam

nie musiał mierzyć się ze wszystkimi zmorami wczesnego rodzicielstwa, które tak przerażały jego kolegów. Zmienianie pieluch. Nieprzespane noce. Ząbkowanie. Oto szczęśliwym zrzędzeniem losu – chciał w to wierzyć – dostał gotową, czekającą na niego rodzinę. Piękne. Ale jednak nieprawdziwe!

Tak naprawdę w tej wizji chodziło mu tylko o siebie. Z małżeństwa z Karoliną wychodził z poczuciem klęski. Wiara w to, że wraca do prawdziwej miłości i własnego syna pomogła mu uciec od nieprzyjemnego uczucia. Od przytłaczającej przegranej.

„No cóż. Życie to nie bajka. Muszę się zmierzyć z tym, co sobie zgotowałem: zamiast zbudować dom, stworzyć rodzinę, zajmowałem się karierą i kobietą, która nigdy nie była dla mnie” – pomyślał cierpko.

A czy Zuzanna była dla niego? Mój Boże, gdyby tylko dał jej szansę... Teraz, oczywiście, wszystko było stracone. Trudno byłoby jej ponownie zaufać. Ale przede wszystkim – jak ona miała zaufać jemu, po tym, jak ją potraktował, po słowach, które w złości powiedział, choć jego też wprawiły w zdumienie? Nigdy do nikogo nie odzywał się w ten sposób. Nigdy nie potraktował żadnej kobiety tak chamsko i okrutnie jak Zuzannę, która była mu przecież bardzo bliska. Może nawet najbliższa w życiu? Przecież tylko przed nią się otworzył.

No i był jeszcze Wojtek. Jego Adamowi brakowało najbardziej. Trudno było się przyznać, ale tęsknił.

„Może nie jest tak, że go pokochałem. To chyba wymaga więcej czasu. Ale na pewno polubiłem. I poczułem się za niego odpowiedzialny. Gdybym wszystkiego nie spieprzył, gdybym wiedział od razu, że to nie mój syn, wydarzenia mogłyby się inaczej potoczyć. Bo życie to nie bajka. Nie czekał na mnie upragniony syn. Ale może z tym chłopakiem stworzyłbym więź jedyną i cenną, może byłem mu potrzebny tak jak on mnie. Nie jest moim synem. Ale jest mi drogi. Tylko co teraz z tym zrobić? Jak to wszystko odkręcić? Nie da się, przepadło!”.

Adam doszedł do mostu kolejowego. Nad jego głową wolno i ciężko toczył się pociąg podmiejski. Nagle przyszła mu do głowy absurdalna wizja: pociąg jedzie do Starej Leśnej, Adam do niego wsiada, za pół godziny jest na stacji, idzie do Zuzanny, pada przed nią na kolana, błaga, przeprasza, ona mu wybacza, Wojtek rzuca mu się na szyję.

„Czy ja bredzę już, czy co? Przecież ten skład jedzie za Wisłę, do Otwocka! To zupełnie inny kierunek!” – znów się na siebie zirytował.

Postawił kołnierz płaszcz i ruszył w stronę auta, które zostawił niedaleko mostu.

Prześladowało go poczucie, że nie ma na świecie takiego pociągu, który zawiózłby go na stację, na której naprawdę pragnął się znaleźć.

\* \* \*

Trzasnęły drzwi. Zuzanna, która siedziała przy biurku Kozaka i nanosiła naprędce zmiany na projekt ogrodu, podniosła wzrok. W progu stała Monika Kozak – promiennie uśmiechnięta.

– Hej, Zuzka! – ucieszyła się. – Jest mój mężuś?

– Nieee... nie ma go. Pojechał po agrowłókninę, musimy zabezpieczyć wrażliwe na mróz rośliny – wydukała zdumiona Zuzanna.

Co się stało? Dawno nie widziała żony szefa tak rozanielonej. Mieli się rozwodzić, a tu – proszę, jaka zmiana tonu!

– Och, szkoda... Chciałam zrobić mu niespodziankę, przywiozłam hamburgera, z krwistym mięskiem, tak jak lubi najbardziej! No nic, zje na zimno, jak wróci – westchnęła i wyjęła z torby papierowe zawiniątko. Zuzanna musiała patrzeć na nią pytająco, bo po chwili Moniczka odchrząknęła znacząco i spoważniała:

– Pewnie się dziwisz, że tak tu wpadam z drugim śniadaniem, a przecież całe miasto huczało o naszym rozwodzie. Mogę ci tylko powiedzieć, że czasem kilka dni albo jedna noc mogą wszystko między ludźmi zmienić! – Uniosła do góry rozmarzony wzrok.

Zaczęła bawić się pierścionkiem – złotym, z ogromnym, błyszczącym kamieniem w kształcie serca. – No cóż, my, kobiety, po prostu chcemy być kochane. Czyż nie? – Podeszła do okna i poprawiła włosy, przeglądając się w swoim odbiciu w szybie.

„Mów do mnie jeszcze!”, pomyślała Zuzanna ponuro, ale postanowiła się nie odzywać.

Nie chciała niszczyć pogodnego nastroju Kozakowej. Nie miała nic wesołego do powiedzenia.

Na parkingu zachrząścił pod kołami roweru żwir. Do środka wszedł bez pukania Wojtek.

– Hej, mam. O, dzień dobry pani – powiedział.

Nie patrzył na Zuzannę i minę miał naburmuszoną, jak często ostatnio. Moniczka szybko się pożegnała i wybiegła. Wojtek opadł na krzesło i uderzał czubkiem buta w ścianę.

– Wojtek. Wojtek! Nie rób tak, zobacz, zostawiasz ślad, pan Robert będzie przez ciebie musiał odmalowywać biuro – poprosiła.

– Taa... Jasne, odmalowywać od razu. Nie dramatyzuj, mam. Masz stówkę?  
– Wojtek się skrzywił.

Nadal unikał wzroku matki.

„Co się z nim dzieje, naprawdę jest ostatnio nie do zniesienia!”, pomyślała Zuzanna z rozpaczą.

– Po co ci tyle pieniędzy? Przecież wiesz, że nie zarabiam Bóg wie ile! – nie

wytrzymała.

W tonie jej głosu pobrzmiwała irytacja. Wiedziała, że syn to wyczuje.

– Po co, po jajco! Na taksę! Mam lekcję gitary, matka Antka nas nie zawiezie, a Adam wyparował, bo pewnie miał cię dość jak wszyscy! – wypalił Wojtek.

Zuzanna pobladła ze zdumienia. Nawet nie poczuła, że jest jej przykro – była zbyt zszokowana tym, co usłyszała.

– Zabraniam ci odzywać się do mnie w ten sposób! I nie pójdiesz dziś na żadną lekcję, w ogóle masz szlaban, dopóki nie przemyślisz swojego postępowania i nie zaczniesz zachowywać się przyzwoicie! – krzyknęła.

Wojtek zerwał się z krzesła.

– I co? Co mi niby zrobisz? Nie chcę tej twojej forsy i nic już od ciebie nie chcę! Dam sobie radę sam! – krzyknął i wybiegł.

Zuzanna za nim – ale wskoczył na rower i odjechał tak szybko, że nie była nawet pewna, czy słyszał, jak za nim woła, żeby wrócił.

\* \* \*

Nie chciał tu przyjeżdżać.

„Niestety, panie Adamie, przykro mi, to konieczne – gdyby chodziło tylko o pokazanie willi klientom, rzecz jasna nie zawracałabym panu głowy. Ale ci państwo są poważnie zainteresowani kupnem i postawili warunek, że muszą z panem osobiście porozmawiać, zapytać o kilka spraw”, przypomniał sobie słowa agentki nieruchomości.

Jechał więc teraz powoli główną ulicą Starej Leśnej, przy której stał kościół, budynek urzędu gminy i największy sklep spożywczy. Dojeżdżał właśnie do skrzyżowania, gdy zobaczył zbliżający się rower. Siedzący na nim chłopak trzymał kierownicę jedną ręką, głowę miał spuszczoną, na oczach kaptur – ale Adam wiedział od razu, że to Wojtek. Wtem rowerzysta uniósł wzrok i jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Adama. Przygodzki dostrzegł na twarzy Wojtka zdumienie, gniew i... radość. Nacisnął hamulec, auto zwolniło. Dzieliło ich jeszcze kilkanaście metrów. I wtedy stały się dwie rzeczy jednocześnie: kątem oka Adam zobaczył w lusterku bocznym rosnącą sylwetkę potężnego vana, którego kierowca najwidoczniej postanowił wyprzedzić wlokącą się terenówkę. W tej samej chwili Wojtek puścił kierownicę, jakby chciał zamachać obiema rękami i zatrzymać toyotę Adama. Rower skręcił w lewo, ku środkowi jedni.

To trwało ułamki sekund. Van uderzył w rower, Adam widział smukłą sylwetkę chłopca, wzlatającą w powietrze.

Potem był chrzęst metalu, gdy rower znalazł się pod kołami vana, huk, gdy ten raptownie zmienił tor jazdy i wjechał w bok auta Adama, a potem – w drzewo.

A później nastąpiła cisza. W tej przerażającej ciszy Adam widział siebie, jak

zwalnia pas, próbuje otworzyć swoje drzwi, ale nie może, bo są zablokowane. Wyskakuje przez te od strony pasażera. Za kierownicą wana gramoli się łysiejący blondyn w przekrzywionych okularach. Adam na niego nie patrzy, nie rozgląda się nawet, czy coś nie jedzie – sady przez jezdnię susami w stronę ciała leżącego bezwładnie na trawniku.

Wtedy słyszy krzyk.

– Pogotowie! Dzwonić po pogotowie! – drze się jakiś zachrypnięty człowiek. Dopiero po chwili orientuje się, że to on krzyczy.

\* \* \*

Piętnaście minut później, gdy karetka odjeżdża, drżącymi palcami wybiera numer Zuzanny.

Wojtek miał wypadek. Wiozą go do Szpitala Zachodniego – mówi.

Zuzanna się rozłącza.

Wskakuje do samochodu i uruchamia silnik.

Pędzi szosą. W oddali widzi migające błękitne światło. Myśli tylko o tym.

\* \* \*

Korytarz wydawał jej się koszmarnie, nierealistycznie długi. Gdzieś na jego końcu majaczyły drzwi z ogromnym napisem OIOM. Biegła, każdy jej krok pobrzmiwał głuchym echem w zielonkawym bezkresie szpitalnych labiryntów.

Dopadła do drzwi, naparła na nie całym ciałem – ani drgnęły. Poczula, że ktoś obejmuje ją z tyłu za ramiona i odciąga.

– Tam cię nie wpuszczą, musimy czekać. – Najpierw usłyszała głos Adama, a potem zobaczyła jego twarz.

Błądą, zmartwioną, jakby szczuplejszą niż ostatnim razem. Patrzyła w jego oczy: zdawało się, że ich źrenice są ogromne z przerażenia.

– Co się stało? Adam, co z Wojtkiem? – chciała krzyknąć, ale przez ściśnięte gardło wydobył się tylko ledwo słyszalny szept.

– Widziałem to. Puścił kierownicę i wtedy samochód... To moja wina, Zuzanno, moja. Był nieprzytomny, ale miał tętno, oddychał. Wszystko będzie dobrze. Trzeba czekać – powiedział cichym, ale pewnym głosem.

Zuzanna zaczęła płakać. Przycisnęła mocno dłonie do twarzy. Łkała rozpaczliwie. Adam ją przytulił. Objęła go. Po kilku minutach – wydawało jej się, że ciągną się w nieskończoność – uwierzyła mu. Tak, będzie dobrze. Musi być.

– Zrobię wszystko dla Wojtka, rozumiesz? To w ogóle nie ma znaczenia, że on nie jest moim synem. Jest teraz dla mnie najważniejszy, rozumiesz to? – wyszeptał w jej włosy.

– Adamie, to niemożliwe, bo przecież... – zaczęła, ale w tym momencie drzwi oddziału otworzyły się z rozmachem.

Na korytarz wyszedł wysoki lekarz w niebieskim kitlu.

– Państwo Czaplicz? – zapytał.

– Ja... ja jestem Czaplicz, ten pan nie. Zuzanna Czaplicz, mama Wojtka, chłopca...

– Tak, wiem. Pani Czaplicz, obrażenia nie są poważne, życiu syna nic nie zagraża. Było dużo krwi z tętnicy, musieliśmy szyć. Złamana kość piszczelowa, dwa żebra i obojczyk – bez przemieszczenia. Chłopak nie miał kasku, ale nic nie wskazuje na to, żeby miał wstrząs mózgu, choć oczywiście go obserwujemy. Po złamaniach nie będzie śladu za dwa miesiące, gorzej z utratą krwi: musimy mu zrobić transfuzję. Chłopak ma grupę krwi... zerknę tylko w dokumentację: o, AB, Rh minus. – Doktor posłał Zuzannie pogodny uśmiech, nieadekwatny do sytuacji.

– Jak to? Mój syn ma grupę krwi 0... – powiedziała.

– Ależ skąd, robiliśmy badanie, to nasz obowiązek przed transfuzją. AB Rh minus. Dlaczego pani mówi, że 0? – zainteresował się lekarz.

– Taką grupę krwi wpisano po narodzinach do książeczki zdrowia. Nie mam jej ze sobą, powinnam przywieźć? – Zuzanna była skołowana.

– Po narodzinach, to wie pani, można dowolną wpisać. Co prawda oznacza się ją zaraz po urodzeniu, ale zdarzają się przypadki, że grupę krwi ostatecznie ustala się w ciągu kilku miesięcy po narodzinach, wcześniejsze wyniki bywają błędne. To bardzo rzadkie, ale tak mogło się zdarzyć. Pewnie tak się stało w państwa przypadku. Nieczęsta pomyłka, ale bywa. Wracając do meritum: chodzi o to, że akurat borykamy się z niedoborami w banku krwi i właśnie, że tak powiem, w zakresie AB Rh minus jest u nas wyjątkowo cienko, więc jeśli pani ma taką grupę krwi przypadkowo... – kontynuował lekarz.

Zuzanna patrzyła na niego niewidzącymi oczami, Adam zaś wyglądał tak, jakby w tej chwili prowadził w myślach jakieś skomplikowane obliczenia: zmarszczył czoło, coś szeptał pod nosem.

– Czy pani mnie słucha? Pani Czaplicz, czy pani ma może grupę krwi AB Rh minus, bo takiej potrzebujemy, najlepsza byłaby od kogoś z rodziny. Boi się pani transfuzji? Zapewniam, że to bezpieczna procedura – zaniepokoił się doktor.

Dziwni byli ci ludzie: wyglądali tak, jakby oboje na chwilę stracili kontakt z rzeczywistością. Może religia im zabrania transfuzji? I dlaczego byli tacy bladzi?

– Ja mam AB Rh minus. Gdzie mogę oddać krew? – powiedział nagle Adam. Głos miał zdecydowany i spokojny.

– Proszę pana, a kim pan jest? – doktor zaczął tracić cierpliwość.

– Jestem ojcem Wojtka – powiedział Adam i mocno przytulił Zuzannę. – Gdzie mogę oddać krew dla mojego syna?

\* \* \*

Nocą w szpitalu było cicho. I tylko na korytarzu na OIOM-ie słychać było

szepty. Dwie osoby, przytulone, siedziały na twardych krzeselkach do rana.

– Powinnam była ci to powiedzieć trzynaście lat temu. Ale zwlekałam, było mi wstyd. Gdy dowiedziałam się, że się żenisz... Stchórzyłam. To było nieuczciwe, miałeś prawo wiedzieć...

– To nic. Powinienem cię zapytać. Nawet po tym, jak Karolina powiedziała mi o grupie krwi Wojtka, powinienem był po prostu porozmawiać z tobą. Wyjaśnić. Zachowałem się jak krety. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Nie wiem, czemu ci nie powiedziałam wprost, ale nie umiałam. Chyba bałam się zapeszyć, to było głupie, a potem się obraziłam jak dziesięciolatka, choć przecież miałeś rację...

– Kocham cię. Kocham was.

– My też ciebie kochamy, Adam.

– Musimy to wszystko wyprostować.

– Tak. Gdy tylko Wojtek się obudzi.



## XIV

Weterynarz Paweł Stasiński naciągnął wełniane rękawice, po które chwilę wcześniej musiał się cofnąć do domu. Ranek był mroźniejszy niż sądził, ale piękny. Poprzedniego dnia po raz pierwszy spadł śnieg i to od razu obficie. A dziś termometr pokazał minus dziesięć stopni, więc biało-srebrzysta pierzynka tym szczelniej otuliła krzaki, drzewa i domy Starej Leśnej. No i tak miło chrupało pod butami, gdy wszedł na plac przed kościołem pod wezwaniem Aniołów Stróżów.

„Wymarzona aura na Boże Narodzenie”, pomyślał i po raz pierwszy od dawien dawna poczuł przyływ radości. Bo było pięknie, bo szły święta, bo właśnie w tej chwili czuł się „dzieckiem wszechświata” i był bardzo, bardzo ciekawy, co też przyniesie mu kolejny rok. I następne. Mniej więcej od dwóch miesięcy prowadził dodatkowe zajęcia przyrodnicze w szkole podstawowej w Starej Leśnej. Okazało się, że ma do tego spory dryg. A tak niedawno czuł się wypalony i zastanawiał się, co począć ze swoim życiem... Wszystko zmieniło się dzięki dwóm młodym nauczycielkom. Ola i Renata napisały projekt, zdobyły fundusze i w ciągu zaledwie paru tygodni przekształciły zagraconą szkolną kotłownię w pracownię przyrodniczą z prawdziwego zdarzenia. A potem wciągnęły do swoich działań „pana doktora”. Kto by pomyślał, że całymi wieczorami będzie się przygotowywał do zajęć pod tytułem: „Zrozum swojego kota, porozmawiaj ze swoim psem” albo zbijał kłatkę do hodowli motyli? Z dnia na dzień wracała mu wiara w sens własnej pracy i energia. Okazała się niezbędna, bo w jego domu od tygodnia mieszkała para kociąt, które jakiś bezmyślny baran zostawił w pudle przed drzwiami gabinetu weterynaryjnego. Gdy Stasiński dotarł rano do pracy, przemarznięte biedactwa ledwo żyły i musiał się nieźle nabiedzić, żeby puchate, rude kuleczki znów równo oddychały, miauczały i chciały pić mleczko. Oba kociaki, co dość rzadko się zdarza, wyglądały jak małe Garfieldy. Teraz baraszkowały po jego domu, przewracając wazon, doniczki i – niestety – puste butelki, których w ciągu ostatniego roku nazbierało się zastraszająco dużo.

„Do diabła z tym! – myślał Stasiński, wynosząc worek ze szkłem do kontenera. – Muszę zmienić moje życie i zrobię to jeszcze dziś!”

Pierwszym krokiem ku zmianie miała być wizyta u wielbego Fąfary, któremu w pierwszym, niechętnym odruchu odmówił pomocy w organizacji szopki bożonarodzeniowej. Zachwycony powodzeniem dnia Świętego Franciszka proboszcz chciał powtórzyć imprezę, choć w zmienionej, świątecznej oprawie. Poprosił, żeby Stasiński doradził, jak rozmieścić zwierzaki w trzech specjalnie przygotowanych boksach, otaczających właściwą szopkę, w której już parę dni temu wystawiono pięknie odnowioną gipsową Matkę Boską oraz Dzieciątka w żłóbku. Niestety, Jacek Wtorek, pomagający proboszczowi i siostrze Honoracie wynosić figury ze schowka, poślizgnął się na lodzie i rozbił Świętego Józefa

w drobny mak.

– No trudno. – Fąfara wzruszył ramionami. – Najwyżej w tym roku będzie bez Józefa.

Oczywiście, zanim wypowiedział to zdanie, głosem dziwnie ściszym i odświętnie łagodnym, musiał zdusić spontaniczne „do jasnej cho...”, które mogło zadudnić nad całą Starą Leśną. Ale nie zadudniło.

Paweł Stasiński nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w kościele. Chyba na ślubie córki kuzynki, jakieś cztery... może, pięć lat temu. A, mniejsza z tym, czas leci szybko, „szybciej od armatniej strzały, tak powiedział jakiś tam sobie filozof” – zacytował w myśli fragment starego listu, który tego ranka przypadkiem wpadł w jego ręce. A było tak. Jeden z kocich rudzielców wskoczył na regał z książkami, strącając cały rząd od lat niedotykanych dzieł zebranych Juliusza Słowackiego w granatowych okładkach.

„Po co ja to w ogóle trzymam?”, pomyślał i zauważył, że z jednej książki wypadła pożółkła koperta. List, który znajdował się w środku, miał datę sprzed pięćdziesięciu lat, kilka dni po narodzinach Stasińskiego, i wyszedł spod pióra jego pradziadka. Pisał on tak do swojej córki, czyli do babci przyszłego weterynarza:

*„Kochana Stasiu! (bo babci było Stanisława)*

*Doszły mnie radosne wieści: oto mamy w rodzinie kolejnego wspaniałego chłopaka. Jest to dla mnie jakby prezent na urodziny – bo 20 lipca 1887 przyszedłem na świat. Rzecz jasna nie sam, lecz tegoż dnia i roku urodzony zostałem w samo południe, w sławnym mieście południowo-wschodniej Polski, Czortkowie, a więc na Podolu, gdzie klimat jest wschodnio-kontynentalny. Musiało być zatem w tym dniu ciepłutko, więc ja, leżąc goluteńki, w ciepłej atmosferze popijałem mamine mleczko, a tata mój chyba z radości, że przyszedł mu na świat drugi z rzędu następca tronu, musiał też popijać „mleczko”, ale przypuszczalnie „zakrapiane”, czego niezbitym dowodem mój odziedziczony czerwony nosek. Takie to są dziwne dzieje tych dawnych czasów sprzed osiemdziesięciu laty w litewskiej rodzinie. Czas leci szybciej od armatniej strzały, tak powiedział jakiś tam sobie filozof i przeleciało 80 latek jak z bicia trzasnął. Pozostały więc refleksje, jak ten czas polecieć dalej, bo jak dotąd – to nieźle, ale przed nami stoi zawsze jakaś niewiadoma... Od Bozi wszystko zależy! Dlatego modłę się o błogosławioną przyszłość i w Bogu pokładam pewną nadzieję.*

*Snując te wspominki, pragnę Tobie, a zarazem i sobie powinszować kolejnego męskiego potomka. Niech nam mały Pawełek rośnie, niech ma szczęśliwe dobre życie – jakim było i moje, i jakim przez parę lat jeszcze będzie, jeśli Bozia pozwoli. Wybiorę się do was może na Wielkanoc, to poznam się z prawnukiem Pawelkiem. A gdybym się miał z nim nie poznać, to... przekaż mu kiedy ten list. Powiedz, że pradziadek zawsze się do niego uśmiechnie z nieba, jeśli tylko*

*podniesie wzrok do góry.*

*Piszę na wesoło, bo czemu się martwić? Niech się martwi koń, bo ma duży łeb, moja główka taka sobie mała żyje nadzieją. Streściłem ci przeto, moja Stasiu, myśli i na tym kończę ten list beztroski, całując twe wzniosłe czoło, jako ojciec, dziadek i pradziadek herbu „Doliwa”, co się czasem kłania poczciwemu Bachusowi, jak tylko ma forszę”.*

Od rana Stasiński przeczytał list co najmniej sto razy. Nie był szczególnie czuły na takie „sentymentalne brednie”, ale wiadomość od pradziadka mocno go poruszyła. W rezultacie pomyślał, że jednak pomoże Fąfarze. A co mu tam.

Z tych rozmyślań wyrwał go radosny okrzyk.

\* \* \*

– Dzień dobry, panu doktorowi!

Najpierw zobaczył Irenę Sławińską, szczelnie otuloną puchatym sztucznym futerkiem w kolorze płomiennym (idealnie dobranym do jej aktualnej radosnej fryzury, którą dzień wcześniej Wiola Migas utrwaliła trzema warstwami lakieru). Właścicielka „Pociągu do Pappardelle” promieniowała szczęściem. Wyglądała, jak to ona, dość ekscentrycznie, ale – weterynarz musiał to w duchu przyznać – ładnie. Chyba... młodziej? Tuż za nią dreptał Wiesław Koczocik w uszance. Nakrycie głowy było odrobinę za duże i biedny aptekarz musiał zatrzymywać się co parę kroków, bo czapka spadała mu na oczy. Absolutnie nie mógł sobie pozwolić na wywrotkę, ciągnął bowiem za sobą spore dziecięce sanki, na których piętrzyła się piramida z pudełek podrygujących niebezpiecznie na każdej nierówności.

– A dzień dobry – uśmiechnął się Stasiński. – Czyżby i państwa proboszcz zagonił do roboty przy budowaniu szopki?

– Niezupełnie. Mamy zaprezentować... naszą kolekcję – odpowiedzieli razem, choć Sławińska zaczęła odpowiedź, a aptekarz włączył się na ostatnie dwa słowa, przy czym ona położyła akcent na „naszą”, a on na „kolekcję”.

A potem popatrzyli na siebie tak, jak spoglądają wyłącznie ludzie, których łączy głębokie porozumienie. Cóż z tego, że każde miało w głowie i sercu coś trochę innego. W tym wypadku liczył się rachunek końcowy, a był taki, że oboje dostali to, na czym im najbardziej zależało: ona nareszcie miała kogoś, z kim mogłaby wypić popołudniową kawę i mówić z dumą: „mój Wiesław”, natomiast on dostał pełną akceptację oraz wydziergany na drutach szalik. A ponadto rzadkie elementy kolekcji. Pani Irena nie była jednak w ciemną bita. Nie oddała niczego, ot tak.

„Droga do aktu własności lokomotyw przebiega tuż przed ołtarzem”, oświadczyła zalotnie za którymś razem, gdy Wiesław zaproponował jej dożywotnie

dostawy suplementów najnowszej generacji, w zamian za miniaturowe wagoniki. Wtedy zrozumiał, że to nie przelewki. Jednak z dnia na dzień, z każdą kolejną porcją makaronu (wyłącznie ze zdrowych składników), myśl o ewentualnym ożenku była mu coraz mniej niemiła.

– Po raz pierwszy rozłożymy wszystko naraz i zrobimy pokaz po pastercie, w salce parafialnej. To będzie niespodzianka dla dzieciaków, które zmobilizują się, żeby wyjść w nocy z domu. Genialny pomysł mojego Wiesława. – Sławińska rzuciła aptekarzowi pełne uwielbienia spojrzeenie.

Stasiński uśmiechnął się pod nosem. Cóż. Każdemu w życiu należy się porcja szczęścia. Może więc i on się doczeka.

„Prawda, pradziadku?” – wyszeptał, podnosząc wzrok w stronę białego cumulonimbusa.

I dokładnie w tym momencie zza chmury wyszło słońce i na weterynarza posypało się srebrzystośnieżne konfetti.

\* \* \*

Powiedzieć, że Robert Kozak był zadowolony, to nic nie powiedzieć. Był po prostu chodzącą euforią. Tego ranka Zuzanna zamierzała prosić go o parę dni wolnego, pomiędzy Gwiazdką a Nowym Rokiem. Zastanawiali się nawet z Jurkiem, czy nie skombinować zwolnień lekarskich na ten czas – gdyby szef okazał się niełaskawy. Knucie było jednak zbędne: Kozak przyszedł do biura i od progu powiedział, że daje im urlop aż do trzeciego stycznia.

– Musimy też przy okazji porozmawiać o finansach – oznajmił. – Ale o tym indywidualnie, zapraszam do gabinetu najpierw panią!

Zuzanna łypnęła groźnie na szefa: ten skąpiec jeszcze gotów wydrzeć jej parę groszy. Niedoczekanie! Prawo jest po jej stronie i tym razem nie zamierzała pokornie godzić się na wszystko!

Bojowo nastawiona trzasnęła drzwiami i stanęła przy dyrektorskim biurku Kozaka, trzymając się pod boki. Szef rozparł się w fotelu, wywalił buciory na blat i patrzył na nią, zadowolony. Nie chciał jej niczego zabierać. Przeciwnie. Podsunął jej kartkę.

– Pani podpisze!

– Ale... co to?! – Zuzanna nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Podwyżka. O 25 procent. Z wyrównaniem za pół roku wstecz.

Zuzanna w pierwszej chwili myślała, że oszalał, a potem, gdy zrozumiała, że to nie jest głupi dowcip ani podstęp, podeszła i ucałowała Kozaka w oba policzki. Potem, z rozpędu, przeszli na „ty”.

Dla Jurka przełożony okazał się równie łaskawy – chłopak dostał premię, jak się patrzy. I prawie rozplakał się ze szczęścia. Jego rodzina obchodziła święta później, według prawosławnego kalendarza. Biedny Jurko obawiał się, że nie

będzie go stać na wypad do domu, co było tym smutniejsze, że mama ostatnio nie najlepiej się czuła i na początku lutego miała iść do szpitala na badania. Teraz będzie mógł ją odwiedzić! Nie dość, że pojedzie, to jeszcze przywiezie wszystkim prezenty! Kupi też coś ładnego Malwinie. Wypatrzył u jubilera w Starej Leśnej ładne srebrne kolczyki...

Entuzjazm szefa firmy Kozak Gardens przekładał się również, niestety, na dość brawurową jazdę. I to przez teren zabudowany. Srebrzysta Mirella mknęła ze stanowczo zbyt dużą prędkością, a zachwycony pan Robert wyśpiewywał na całe gardło piosenkę o dziewczynie, która dla niego tańczy. W oczach ciągle miał Moniczkę, która poprzedniego wieczoru rzeczywiście wykonała dla niego zmysłowy taniec – może nie przy rurze, ale na tle lustra ich barokowej sypialni. I, przyznajmy to uczciwie, w tych okolicznościach rura była absolutnie zbędna. To właśnie wspomnienie zachwycającego spektaklu sprawiło, że najpierw Kozak obsypał swoich podwładnych gotówką, a potem postanowił dokupić żonie wisiołek do już przygotowanego prezentu gwiazdkowego (wspólny pobyt w SPA, trzy zestawy koronkowej bielizny, perfumy Wild Thing i taka brązowa torebka w literki – zapomniał nazwę firmy, w każdym razie na pewno piękna, bo droga). Wisiołek miał stanowić komplet z pierścieniem z brylantem, który pani Kozakowa nosiła na serdecznym palcu. Dlatego tak się spieszył. Wszystkie wspomniane podarki Moniczka, jak to ona, oczywiście już znalazła. Jak nastolatka biegała z piskiem po domu, klaszcząc i co chwilę rzucając się mężowi na szyję. Ale tego wisiora nie znajdzie, o nie, już jego w tym głowa.

– Szlag! – wyrwało się Kozakowi na widok uniesionego policyjnego lizaka. Normalnie pewnie by próbował przekupić funkcjonariusza albo się wyklócać, teraz jednak uznał, że nie ma to sensu. Dzień był zbyt piękny, by go psuć awanturami. Trudno, pokornie przyjmie mandat i punkty karne.

Zatrzymał się przy policjancie.

– Młodszy aspirant Piskała – oświadczył „pan władza”, uśmiechając się sympatycznie.

– Robert Kozak – odpowiedział Robert Kozak i bez słowa podał funkcjonariuszowi dokumenty.

– A, to pan! – ucieszył się policjant, zaglądając do środka Mirelli, aby upewnić się, czy na pewno ma do czynienia z tym samym facetem, po którego posesji hasa świnia zwisłoucha. – Byłem u pana... Niech się pan nie dziwi, że ja teraz w drogówce. Kolegę zastępuję. Pomaga żonie lepić pierogi...

Kozak pokiwał głową ze współczuciem. Z Moniczką miał wprawdzie krzyż Pański, okazuje się jednak, że może być jeszcze trudniej. Zaraz też poczuł się nieswojo na wspomnienie sławetnej nocy, podczas której wziął proboszcza za włamywacza. Tymczasem rozpromieniony funkcjonariusz zwrócił mu dokumenty i oświadczył, że po starej znajomości udzieli mu tylko pouczenia.

– Niech pan jedzie wolniej i... wesołych świąt!

Kozak ruszył – rzeczywiście znacznie wolniej. Przywołane wspomnienie niedawnych nieszczęść sprawiło, że jego entuzjazm na moment przygasł. Tak, zrobił z siebie wtedy koncertowego idiotę. W dodatku Fafara i Wtorek wciąż mieli go za sadystę bez serca, typowego dręczyciela zwierząt. Całkiem niesłusznie! Aza od paru tygodni biegała na wolności, Jurko zrobił jej ocieploną budę – tuż obok eleganckiej zagrody Ryjka, jednak teraz, w mroźne dni, oba zwierzaki okupowały kanapy w salonie państwa Kozaków.

„Przecież nie jestem złym człowiekiem, jak mam im to udowodnić?! Może powinienem złożyć ofiarę na kościół?!”, rozmyślał Kozak, cały czas uważając, by nie przekroczyć dozwolonych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

I wtedy przysłała do niego odpowiedź. Nie, nie z nieba, tylko z pobocza, na którym jakaś zacna ręka zainstalowała ogromny transparent: „Figury gipsowe i dewocjonalia. Świąteczna promocja”.

\* \* \*

– No więc Moniczka mi powiedziała, że w szopce brakuje Świętego Józefa, to pomyślałem, że kupię nowego – pozornie wyluzowany ton, jaki przybrał, nie zdradzał, że serce drży mu ze wzruszenia.

Fafara w skupieniu oglądał świętego. Figura była – cóż, trzeba przyznać, oryginalna. Pękata, pomalowana z fantazją – dość rzec, że szata świętego cieśli pobłyskiwała metalicznym pomarańczem i jakoś tak się dziwnie układała...

„No cóż, darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby, to i Józefowi nie będziemy zagłądać pod szatę. Grunt, że święta rodzina w komplecie” – pomyślał proboszcz, a potem uściśnął dłoń Kozakowi i poklepał go po ramieniu.

– Bóg zapłać, panie Robercie. Postawimy pańskiego Józefa troszkę bardziej z tyłu, wtedy nie będzie widać, że jest sporo większy od Najświętszej Pani. Naprawdę, bardzo panu dziękuję. I zapraszam na pasterkę! Liczę, że oboje się zjawicie – razem z panią Moniką!

– Jakżeby nie, skoro Ryjek i Aza mają być atrakcją żywej szopki. – Kozak odwzajemnił uścisk dłoni, a potem podszedł do Wtorka, który wykładał żłóbek świeżym sianem, cały czas udając, że nie dostrzega szefa firmy Kozak Gardens. Ten wyciągnął prawicę w kierunku ekologa.

– Co złego to nie ja, panie Jacku.

Nie było wyjścia. Wtorek westchnął boleśnie i bez słowa przyjął uścisk. Gdy jednak Kozak się oddalił, obrzucił figurę niechętnym spojrzeniem.

– Gdzie on to znalazł! W życiu nie widziałem paskudniejszego świętego!

– Siedź cicho, bo sobie przypomnę, kto rozbił naszego starego Józefa. – mruczał Fafara, przyczepiając mrugające światełka do dachu stajenki. – Nie krytykuje się darów. Spróbujemy go delikatnie przeszlifować, żeby tak potwornie

nie błyszczał. Co za idiota wpadł na pomysł, żeby malować figurę do szopki farbą ze złotymi drobinkami! – sapał, złażąc ze stołka, który pod jego ciężarem niebezpiecznie się ugiął.

Sięgnął po papier ścierny i zaczął pocierać szatę Józefa. Rzeczywiście, centymetr po centymetrze powoli matowiała, więc zadowolony proboszcz docisnął odrobinę mocniej i...

– A niech to szlag jasny trafi! – Okrzyk, który wyrwał się z ust wielebnego, był mało pobożny, za to całkiem uzasadniony.

W rękach została mu bowiem cała połać gipsowej szaty Świętego Józefa.

– Tam pod spodem jest druga figura – wykrztusił Wtorek, starając się nie dać po sobie poznać, że wypadek proboszcza sprawił mu pewną przyjemność.

– Nie jestem ślepy – burknął Fąfara, a potem kawałek po kawałku zaczął oddłubywać wierzchnią warstwę świętego.

Postać, która powoli ukazywała się ich oczom, na pewno nie należała do kategorii „dewocjonalia”. Był to łysy mężczyzna, w garniturze, z ręką uniesioną w geście powitania. A może pożegnania – nie wiadomo. Co prawda pasował teraz idealnie rozmiarem do Najświętszej Pani, ale nijak nie przypominał Świętego Józefa.

– Kto to jest, do licha? – zastanawiał się Fąfara.

– Nie mam bladego pojęcia. – Wtorek rozłożył ręce. – Wygląda jak jakiś stary dygnitarz...

– Tyle to i ja wiem. Pytanie, czy może zostać członkiem Świętej Rodziny, czy będzie to już świętokradztwo.

– Nie no, księżo proboszczu, wyhamuj. Parafianie nie darują ci łysego Józefa w garniturze...

– Ty, Jacek, masz czasem strasznie ciasne poglądy – skrzywił się Fąfara. – Nigdzie w Piśmie Świętym nie jest napisane, że Józef ma włosy, to raz. A dwa – poradzimy sobie z garniturem.

A potem wyciągnął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Kazi Leszczyńskiej z prośbą, aby podrzuciła mu szatkę, którą Różyczka nosiła na ubiegłorocznych jasełkach.

– Widzisz? – powiedział po paru godzinach do ekologa, naciągając błękitną sukienkę na garnitur łysola. – Strój nie jest problemem. Bylebym miał pewność, że to nie seryjny morderca, bo tego mi parafianie nie wybaczą...

Niestety, Kazia też nie wiedziała, czyją figurę oblekł proboszcz w strój małej Różyczki. Wątpliwości rozwiązał dopiero pan Stanisław Grzybek. Cukiernik zjawił się na plebanii z zapasem ciast na Wigilię dla samotnych, którą Fąfara organizował co roku, od początku swojego proboszczowania.

– Ho, ho! Dawno nie widziałem tego jegomościa! Toż to premier Cyrankiewicz! – oświadczył.

Zagadką pozostało, dlaczego producent figur do szopki tak przerobił dawnego dygnitarza.

– Może dlatego, że też Józef – podsunął Grzybek, a Fąfara uznał, że w związku z tym zostanie on w tym roku Józefem świętym. Poza wszystkim – kto tam wie, jaki los spotkał dawnego komunistycznego premiera u progu wieczności? Może się nawrócił w stosownym momencie?

– Czego mu z całego serca życzymy, bo po ludzku – co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. A że Pan Bóg miłosierniejszy od człowieka, to wszystko jest możliwe – podsumował dobrotliwie cukiernik, układając swoje wypieki na porcelanowym półmiskach przyniesionych przez matkę wielebnego, panią Aldonę.

\* \* \*

W domu pachniało choinką, cynamonem i konfiturą z róży. I oczywiście kapustą z grzybami. Zuzanna, która zajmowała się przygotowaniem tej potrawy – bo Cecylia się do tego nie dotykała – tradycyjnie ją odrobinę przypaliła.

– Dobra kapusta musi mieć w sobie dymną nutkę – pocieszała wnuczkę babka. Krystyna wywracała oczami, bo jej oczywiście nigdy się takie rzeczy nie zdarzały – pewnym postępem było jednak to, że zostawiła ewentualne uwagi na ten temat dla siebie.

Zegar zadzwonił siedem razy – zaraz mieli siadać do stołu. I jak co roku o tej porze, nic nie było jeszcze gotowe. To znaczy, oczywiście, 12 potraw spokojnie czekało na podanie – natomiast dwie z trzech pań Czaplicz były, jak to się mówi, „w proszku”. Zuzanna biegła rozpaczliwie, szukając drugiej z pary szpilek, którą w przedświątecznym szale najwyraźniej gdzieś cisnęła. A może to sprawka Brezylki? Albo matka postanowiła schować rozrzucone buty i zrobiła to tak skutecznie, że teraz nie znajdą lewego pantofelka do następnej Gwiazdki?

– Nie mam z tym nic wspólnego, moja droga! Nie moja wina, że jesteś taką bałaganiarą – pomstowała Krystyna, próbując narysować na powiece równą kreskę.

A ponieważ robiła to drugi, no, może trzeci raz w życiu, efekt wciąż nie jej nie zadowalał.

– Jeśli nie twoja wina, to czyja?! Ty mnie wychowałaś! – odcięła się Zuzanna, znajdując wreszcie swoją nową lakierowaną szpileczkę w Wojtkowym pokrowcu od gitary.

Tylko Cecylia miała wszystko pod kontrolą. Wystrojona w turkusową suknię do ziemi i dobrany pod kolor turban prezentowała się jak bohaterka jednego z kryminalistów Agaty Christie: wiekowa, bogata hrabina oczekująca gości. Tych spodziewano się więcej niż zwykle. Oprócz Wioli Migas, która co drugi rok spędzała święta z Zuzanną, a co drugi – z Kazią i teraz wypadła kolej na wizytę w Kurzej Stopce, przy stole miał zasiąść oczywiście Adam oraz Stanisław Grzybek. Poskarżył się na ostatnim brydżyku, że czuje się dość samotny w domu



swojej siostrzenicy, do której jeździł na święta.

– Nie ma tam już nikogo w moim wieku i niech sobie pani wyobrazi, pani Cecylko, ci młodzi na Wigilię podają pieczonego indyka!

– U nas, panie Stanisławie, będzie przynajmniej jedna stara kobieta i żadnego drobiu, no chyba że Kulczyba w charakterze gościa! – zaśmiała się Cecylia, zapraszając cukiernika do Kurzej Stopki.

Postawiła tylko jeden warunek: ma nie przynosić żadnego ciasta. Tego dnia będzie gościem i ma się delectować tym, co wjedzie na stół. A przygotowano całkiem sporo. Wigilijne menu w domu Czapliczów składało się zupy grzybowej, pierogów ruskich i z kapustą, smażonego karpia z chrzanem, kapusty z grzybami, kutii, makówek, kompotu z suszu oraz czterech królewskich wypieków: strucli z makiem, strucli ze śliwkami, piernika i przekładańca. To ostatnie ciasto – z kilku smakowitych warstw – wniósł do rodzinnego repertuaru świętej pamięci Bruno. Przez parę miesięcy panie Czaplicz przygotowywały do niego składniki: w sierpniu ucierały z cukrem damasceńską różę, której krzaki rosły za kościołem parafialnym (część płatków Zuzanna kandyzowała – z myślą o wielkanocnych mazurkach). Na początku października smażyły konfiturę z zielonych pomidorów, natomiast w grudniu – skórkę pomarańczy. Daktyle, figi, migdały i włoskie orzechy, potrzebne do tego bogatego ciasta, dostarczał niezawodny Stanisław Grzybek, ze swoich najlepszych źródeł. Co roku z żalem stwierdzał też, że żaden jego wyrób nie może się równać z przekładańcem i piernikiem Cecylii. Co do tego drugiego – wielokrotnie robił podchody, by wyciągnąć od nestorki rodu Czapliczów przepis. Ale ona zawsze go zbywała.

– Już panu mówiłam, panie Staszku. Kobieta musi mieć jakąś tajemnicę! – odpowiadała i biedak odchodził z kwitkiem.

– Z dwojga złego to już lepiej trzymać w sekrecie przepis na ciasto niż ważne życiowe sprawy. – Zuzanna zajrzała do garnka z kapustą.

Ale Cecylia pokręciła głową.

– Nie jestem taka pewna, Zuziu. Według mnie wtedy, przed laty, nie popełniłaś wielkiego błędu. Może to nie był wasz czas, wcale nie mamy pewności, czy wasze wspólne życie potoczyłoby się szczęśliwie... Ta miłość musiała dojrzeć.

– No ale Wojtek... mógł mieć szczęśliwsze dzieciństwo – westchnęła wnuczka.

– Nie przesadzaj. To, które miał, było wystarczająco dobre. – Cecylia dała jej znak, by umilkła, bo chłopak właśnie wpadł do kuchni.

Wciąż miał gips na nodze, ostatni tydzień, ale do perfekcji opanował sztukę szybkiego poruszania się o kulach.

– Kiedy oni wreszcie przyjdą? Głodny jestem! – marudził.

Nie mówił jednak całej prawdy: apetyt na pierogi i kapustę nie był głównym powodem jego zniecierpliwienia. Poprzedniego dnia mignęło mu w szafie ogromne

pudło z konsolą do gier, które Przygodzki przytaszczył do Kurzej Stopki i ukrył w pokoju Zuzanny. Wojtek miał mocno uzasadnione podejrzenia, że jest to ta rewelacyjna niespodzianka, którą zapowiedzieli mu rodzice.

Rodzice... matka i ojciec. Wciąż nie potrafił oswoić się z myślą, że ma prawdziwych rodziców. Już w szpitalu czuł, że wydarzyło się coś niezwykłego. Najpierw myślał, że po prostu się pogodzili – i sam ten fakt uszczęśliwił go na tyle, że z trudem mógł wyleżeć w szpitalnym łóżku. Potem, po powrocie do domu, Zuzanna wzięła go na rozmowę i powiedziała, że Tomasz, jego zmarły przed laty tata, tak naprawdę nie był biologicznym ojcem. I że jest nim Adam.

Wiadomość wstrząsnęła Wojtkiem. Przez całą noc nie mógł zasnąć, dostał nawet gorączki.

– Chyba oszalałaś, żeby mu mówić takie rzeczy! Przecież ja ledwo nie padłam trupem po tych twoich rewelacjach, a co dopiero dzieciak!?! – złościła się na córkę Krystyna.

– Jest wystarczająco duży. A ja... mam, zbyt długo trzymałam to w tajemnicy! Nie cofnę czasu. Uznaliśmy z Adamem, że lepiej powiedzieć Wojtkowi wszystko teraz, gdy tyle się zmienia. W końcu po nowym roku mamy zamieszkać w Jolancinie. I zacząć budować coś nowego, bez chorych sekretów – tłumaczyła Zuzanna.

Krystyna milczała. Nie była w stanie pogodzić się z tym, że córka i wnuk zamierzają opuścić Kurzą Stopkę.

Ufff, wreszcie kreska nad jej okiem uzyskała zadowalający kształt, Zuzanna – w parze szpilek i ślicznej małej czarnej (ofiarowanej jej w chwili nadzwyczajnej hojności przez Moniczkę Kozak) również była gotowa i właśnie wtedy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Tak, dzwonek! – parę dni przed Gwiazdką Przygodzki zainstalował urządzenie, które godnie zastąpiło wiekową kołatkę.

– Za każdym razem czuję się jak włamywacz, bo rzadko słyszycie to stukanie – tłumaczył się Cecylii, niezbyt zadowolonej z nowego nabytku.

– Oj, synku, tu każdy jest mile widziany i nie potrzeba oficjalnego powitania w drzwiach. – przekonywała go wtedy, teraz jednak postanowiła otworzyć.

W progu stała gromada gości. Oprócz Wioli i Grzybka, przywiezionych do Kurzej Stopki przez Adama, zjawiała się także rodzina Leszczyńskich, razem z Malwiną w nowych kolczykach i Jurkiem.

– Nie gniewajcie się. – Kazia rzuciła się Cecylii na szyję. – My już jesteśmy po Wigilii i nie mogliśmy wytrzymać. Musieliśmy przyjechać, żeby się z wami przełamać opłatkiem.

– Wiecie co? – zaczęła nestorka rodu Czapliczów, gdy już wypuściła z objęć ostatniego gościa. – Musimy sobie w przyszłym roku urządzić wspólną Wigilię. Taką jedną, niezapomnianą, żebyśmy mogły odejść z tego świata z przeświadczeniem, że nakarmiłam swoimi bożonarodzeniowymi pierogami

wszystkich albo prawie wszystkich, których kocham.

– Nie ma mowy o żadnym odchodzeniu, Buniu! – zachnęła się Kazia, ale Krystyna tylko machnęła ręką:

– Mama czasem tak sobie mówi, mniej więcej od osiemdziesiątki. Jest zdrowa jak koń i przeżyje nas wszystkich!

– Czego sobie z całego serca życzymy – wszedł jej w słowo Ludwik, mąż Kazi, kurtuazyjnie całując upierścienioną dłoń starszej pani.

– Natomiast ja wam życzę, moi kochani – oprócz, rzecz jasna, zdrowia i humoru – żebyście się zawsze trzymali razem. – Cecylia wzięła ze stołu porcelanowy talerz, na którym piętrzył się stos posmarowanych miodem opłatków i zaczęła nimi częstować wszystkich po kolei, zaczynając od swojej córki. – Kiedy ma się tyle lat co ja, rozumie się już, że większość naszych trosk to rzeczy ulotne i nieistotne. Jaką mamy pracę, poglądy czy ludzie nas podziwiają, czy też przechodzimy przez życie niezauważeni. Liczą się tylko dobre, serdeczne więzi z bliskimi. To nam daje siłę i to jest jedyną walutą, której nigdy nie dotknie inflacja. Dlatego nade wszystko życzę wam, żebyście byli bogaci w przyjaźń i miłość.

– Boże, jak ja się cieszę, że was mam – jęknęła Wiola Migas, przytulając się do rękawa nieco oszołomionego Stanisława Grzybka.

– A wiesz, czego ja ci życzę? – wyszeptał chwilę później Adam, podając Zuzannie swój opłatek do przełamania.

– Tego, czego i ja tobie – odparła, obejmując go za szyję.

A potem stali parę chwil, patrząc sobie w oczy w milczeniu, póki Wojtek nie przerwał im tej „rozmowy bez słów”.

– No, mam, pospiesz się, ja też chcę złożyć życzenia... tacie.

Przygodzki głośno przełknął ślinę. Próbował coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, więc tylko poczochnął czuprynę chłopaka i przygarnął go do siebie. Świąteczka na choince mieniły się kolorami. Brezylka próbowała łapać kolorowe bombki na niższych gałązkach. Nie bez powodu drzewko przywiązano stalowymi linkami do kołków wystających ze ściany. Obok pianina, w wielkiej eleganckiej klatce siedziała Kulczyba, przyglądając się ludziom swoim przenikliwym wzrokiem. Kobiety rzucały się sobie na szyję, mężczyźni – odrobinę zażenowani tymi wybuchami uczuć poklepywali się po ramionach, dzieci (głównie Różyczka) darły na strzępy ozdobne papiery i ukradkiem podjadały cukierki z choinki.

„Moje pierwsze rodzinne święta” – pomyślał Przygodzki i poczuł, że ogarnia go wzruszenie tak silne, że jeszcze chwila, a nie zapanuje nad sobą. Wtedy z pomocą przyszła mu Cecylia, intonując kolędę *Bóg się rodzi*, no i całe towarzystwo ją podjęło...

\* \* \*

Nawet najwięksi malkontenci musieli przyznać: pasterka była w tym roku wyjątkowo udana. Szopka – z komunistycznym dygnitarzem w roli Świętego Józefa – budziła zachwyt i nikt się nie domyślił, kto naprawdę kryje się pod jasełkową sukienką Różyczki. Tym bardziej że całą uwagę skupiały na sobie zwierzęta, a w szczególności, jak zawsze, Ryjek, ale też para uratowanych z hodowli lisich dzieciaków, które w specjalnej klatce przyniosła jedna z parafianek. Udała się także prezentacja kolejki i Fąfara musiał przyznać, że jeszcze nigdy nie widział Koczocika w tak dobrym humorze. Największe wzruszenie wzbudził jednak koncert kolęd, który dały dzieciaki z pobliskiego rodzinnego domu dziecka. Był to prezent niespodzianka dla proboszcza i jego motocyklowej braci. Tydzień przed świętami Heaven Angelsi urządzili dzieciakom fantastyczne Mikołajki. Trzeba było widzieć tych wytatuowanych, brodatych grubasów w czerwonych czapczkach z białymi pomponami – jak zajechali gromadą przed budynek domu dziecka. Fąfara był dumny ze swoich chłopaków: zadali sobie mnóstwo trudu, zdobywając informacje o marzeniach wszystkich maluchów, a potem przez dwa miesiące kwestowali i gromadzili podarki.

„Ale mam ochotę na papierosa” – pomyślał wtedy proboszcz, obserwując obłoczki pary, wydobywające się z ust.

A potem podjął próbę odpędzenia pokusy – co mogło być proste, jako że żadnych papierosów nie miał pod ręką – ale wśród nocnej ciszy rozległ się znajomy głos:

– Zajaramy?

– Gwidon! – ucieszył się proboszcz. – Bracie, nawet nie wiesz, jak się cieszę! Chodź, zostało mi mnóstwo żarcia z Wigilii. Chyba że jesteś najedzony? – spojrział pytająco na przybysza.

– Nie... nie będę niczego jadł. Ale chętnie z tobą zapalę. Jak za dawnych lat.

Fąfara natychmiast się rozgrzeszył. Uznał, że chodzi o wyższą konieczność. Nie uległość wobec paskudnego nałogu, ale namiastkę wspólnoty, która rodzi się między palaczami. A zależało mu na tym, żeby złapać kontakt z dawno utraconym przyjacielem. Choćby na czas wypalenia jednego papierosa. Przyjął wysuniętego w jego stronę papierosa z paczki. Płomień zapalniczki rozjaśnił ciemność. Ten nagły błysk poderwał śpiące na pobliskich drzewach gawrony, które odleciały z głośnym krakaniem.

– Powiedz, Gwidon, czemu nie wpadniesz normalnie jak człowiek. Ja... nic o tobie nie wiem! – Fąfara zaciągnął się papierosem.

– A co byś chciał wiedzieć?

– Masz kogoś? Żonę? Dzieci? Pracujesz?

– Miałem żonę, a dzieci... nie, nie mam. I, owszem, pracuję. Mieszkam niedaleko, w domu po dziadkach. Mam mały warsztacik.

– Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej, siedlibyśmy razem do Wigilii. Moja matka by się ucieszyła.

– Nie obchodzę świąt – burknął Gwidon, strzepując popiół.

Fąfara aż się skręcał z ciekawości. Chętnie wycisnąłby z dawnego przyjaciela wszystkie informacje. Dlaczego nie obchodzi świąt? Dlaczego nie ma już żony i zaszył się na wsi? I skąd w nim ten mrok, którego dawniej nie było?

Uznał jednak, że lepiej będzie milczeć. Niech Gwidon pierwszy mówi.

– Chciałem się czegoś od ciebie dowiedzieć... – zaczął wreszcie.

– Dawaj, brachu! – Fąfara wgniół w śnieg wypalonego do połowy papierosa.

– Co ma zrobić człowiek, jeśli nie potrafi wybaczyć zła, które go spotkało?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Chyba za wiele ode mnie oczekujesz. Ludzie wyobrażają sobie, że wybaczenie to będzie jakieś przyjemne uczucie, ciepłko wokół serca albo nagły przypływ sympatii do dawnego wroga. I że to przyjdzie samo. A tak się nigdy nie dzieje. To jest decyzja, jak z rzucaniem palenia – po prostu postanawiasz, że od tej chwili będziesz się zachowywać, jakby tego zła, które cię spotkało, nigdy nie było. Nie zapomnisz – bo to nie możliwe. Nie zdusisz wszystkich złych uczuć – nikt nie ma nad nimi władzy. Po prostu nie będziesz ich brał pod uwagę. Tylko tyle.

– I aż tyle. – Gwidon splunął pod nogi, a potem, ni z tego, ni z owego klepnął proboszcza z całej siły w plecy, aż biedak zaniósł się kaszlem.

– Były takie chwile, stary, kiedy strasznie mi ciebie brakowało.

– No popatrz, a ja zawsze byłem w tym samym miejscu – zaśmiał się Fąfara.

– Może wpadniesz w sylwestra? – dodał – Wybieram się do znajomych, tu niedaleko, do willi Jolancin, może kojarzysz? Będzie pół miasteczka, można wziąć osobę towarzyszącą, sam rozumiesz, że nie mam ochoty zabierać matki.

– OK, stoi! – Gwidon wskoczył na motor i po chwili ryk silnika znowu wystraszył biedne ptaszyska.

„Już ja w swoim czasie wyciągnę z niego, co mu leży na wątrobie” – pomyślał Fąfara, a potem udał się na zasłużony odpoczynek.

\* \* \*

Śnieg równo padał za oknem. Krystyna spoglądała w zadumie na wirujące płatki. Czuła się samotna i opuszczona. Cecylia odbywała jedną ze swoich licznych świątecznych wizyt, a Zuzanna i Wojtek znów przepadli, jak często ostatnio. Tylko ona nie miała do kogo iść i do niej też nikt nie przychodził. Pozostawało obserwowanie ptaków w karmniku.

Dzwonce i mazurki wyjadały ziarna słonecznika z trawnika, sikorki, modraszki i bogatki korzystały z rozwieszonych na gałęziach drzew kul tłuszczu z ziarnami siemienia, kosy zaś wynajdywały w krzakach rozrzucone specjalnie dla

nich rodziny, ich ulubiony przysmak. Całe towarzystwo biesiadowało spokojnie i zgodnie, a wtem... Krystyna kątem oka zauważyła rudo-biało-burą błyskawicę, wpadającą w sam środek ptasiej restauracji.

– Brezylka! Ty, perfidna złośnico! – huknęła i wybiegła na ganek, by przepłoszyć rozbójnika.

Nic się nie stało – skonfundowana porażką kocica siedziała pod krzaczkiem i udawała, że wcale nie miała zamiaru urządzić polowania. Krystyna westchnęła i już miała wrócić do kuchni, gdy jej uwagę przykuł dźwięk: ciche, równomierne mruczenie silnika. Przed płotem Willi Kurza Stopka parkował sportowy kabriolet, z powodu aury – z zaciągniętym dachem.

– A ta tu czego... – mruknęła Krystyna z niezadowoleniem.

Zza samochodu wychylił się misterny kok płomiennorudych włosów, należący do Karoliny Sokolnickiej. Odziana w płowe futerko i takiegoż koloru kozaki na szpilce lawirowała starannie wśród hałd śniegu.

– Dzień dobry, pani Krysiu! – krzyknęła radosnym głosem i uśmiechnęła się promiennie.

Krystyna nie odpowiedziała, zacisnęła usta i wojowniczo skrzyżowała ręce na piersiach.

– Pomyślałam, że wpadnę, zobaczę, co u pani słyhać... – trajkotała na pozór beztrąsko, ale Krystyna zauważyła od razu jej rozbiegane spojrzenie. „Sprawdza, czy nie ma w domu Zuzanny!”, pomyślała.

– Wspaniale słyhać. Siedzę sobie sama, córka z wnukiem poszli pojeździć z wydm w parku. Wnukowi zdjęli już gips. Zabrali więc sanki i poszli. We troje, z Adamem – poprawiła się natychmiast i z niemalą satysfakcją obserwowała, jak uśmiech Sokolnickiej blednie i znika.

– Nie wpuści mnie pani? Ja... chciałam zamienić tylko kilka zdań. Muszę dowiedzieć się, co się stało, mąż – wciąż jeszcze mój mąż – nie chce rozmawiać. Chyba mam prawo wiedzieć, prawda? – Krystynie zdawało się, że dostrzegła łzy w oczach swojego gościa.

Zrobiło jej się żal Karoliny, mimo wszystko. Gestem zaprosiła ją do środka.

Karolina opadła na krzesło w kuchni, nie zdejmując nawet szykownego futra.

– Poczęstuje mnie pani papierosem? – zapytała. – Rzadko palę, właściwie rzuciłam lata temu, ale ostatnie wydarzenia wyprowadziły mnie z równowagi.

Krystyna bez słowa podsunęła jej paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Co tu opowiadać? Na pewno pani wie, że Zuzanna i Adam wszystko sobie wyjaśnili. Dla mnie to też było zaskoczenie, byłam pewna, że Tomasz był ojcem Wojtka. Okazało się, że córka nie chciała mówić prawdy, bo właśnie ogłoszono pani zaręczyny z Adamem, nie chciała rujnować jego planów. Ale teraz sprawa już rozwiązana, po Nowym Roku mają zamieszkać we trójkę w Jolancinie. – Krystyna

też sięgnęła po papierosa.

Przez chwilę panowała cisza. Karolina nie płakała. Miała zacięty wyraz twarzy. Zmrużyła oczy. Jednym gestem zgasiła niedopalonego papierosa w popielniczkę.

– No więc musi pani mieć świadomość, że ja tak tego nie zostawię. Niech pani trzyma lepiej córkę z daleka od mojego męża. Nie dam mu rozwodu, nie pozwolę, by zatrzymał tę willę, by zamieszkał w niej z jakąś lafiryndą i cudzym bachorem! O, nie! Ja nie odpuszczę, zniszczę ich, zniszczę ją, słyszy pani?! – Sokolnickiej puściły nerwy, wyraźnie dała się ponieść emocjom.

Krystyna natomiast zachowała kamienną twarz. Wstała i pokazała drzwi.

– Proszę już iść. Proszę więcej tu nie wracać. I niech pani tylko spróbuje skrzywdzić moją córkę lub wnuka, a wszyscy anieli święci pani nie pomogą. Żegnam! – powiedziała głosem zimnym, dobitnym i wyniosłym.

Była całkowicie opanowana. Karolina spojrzała na nią z mieszaniną zdumienia i podziwu. Zdała sobie sprawę z tego, że nie doceniła środkowej pani Czaplicz.

Zerwała się z krzesła i wybiegła na ganek. Prawie potknęła się o kurę dostojnie przechadzającą się przed drzwiami.

– A poszła ty! – syknęła i wymierzyła kurze kopniaka.

Nie miała jednak pojęcia, że Kulczyba nie była zwykłą kurą, tylko prawie kogutem – miała niemalże wszystkie jego atrybuty. Rozpostarła więc skrzydła, nastroszyła swój już całkiem spory grzebień i gdacząc wściekle, ruszyła do ataku. Wzleciała na wysokość dwóch metrów i spadła na Karolinę Sokolnicką jak grom z jasnego nieba. Wczepiła się pazurami w misterny kok, a gdy się rozpadł, zjechała po popielatym futerku w dół, drapiąc i waląc dziobem w co popadnie. Dzikie wrzaski Sokolnickiej zaalarmowały Jacka Wtorka, który na ganku sąsiedniej willi Mimoza ćwiczył medytację wyobrazonego miejsca. Myślami przeniósł się gdzieś na Karaiby, nad turkusową lagunę, na zalaną słońcem słoneczną plażę, ale na ziemię sprowadziły go okrzyki z bólu i wściekłości.

– To napad! – krzyknął i wybiegł na drogę, chwyciwszy stojącą koło drzwi wejściowych siekierkę.

Oczom jego ukazał się przedziwny widok: jakieś rozczochrane babsko w rozpiętym futrze naturalnym z norek, co od razu zauważył – umykało z posesji pań Czaplicz, gonione przez jego kurę. A właściwie jego była kurę, Kulczybę.

– Siekiera! Niech pan zabije to paskudztwo! – rozdarła się Sokolnicka, przypadając do Wtorka.

– Co? Co? Zabić? Stworzonko? Stworzonko unicestwić? – zapytał, z obrzydzeniem odtrącając delikatne łapki o czerwonych paznokciach, wystające z rękawów futra. – Morderczyni niewinnych istot! Solidaryzuję się z kurą! – krzyknął.

Sokolnicka spojrzała na niego w osłupieniu. Nagle przestraszyła się tego siwiejącego, długowłosego faceta z siekierą i w różowych legginsach. Co to za miejsce, ta Stara Leśna, pełne oszustów, wariatek i psychopatów!

Truchtem dopadła swojego czerwonego autka, szybko wsiadła do środka, oglądając się z przestachem na rozczochrane indywiduum na drodze, drążącymi dłońmi odpaliła silnik i odjechała, ślizgając się nieco na oblodzonej drodze.

Na ganek wyszła Krystyna Czaplich.

– Dobra, kurko, dobra! – powiedziała pieszczotliwym tonem i rzuciła na ścieżkę garść owsa.

Kulczyba zagdakała z zadowoleniem.

– Kto to był, to krówsko w odzieży z trupów? – zapytał Krystynę Wtorek niezbyt przyjacielskim tonem.

– E, nikt. Kompletna pomyłka. Żeby potraktować per noga potomkinię w prostej linii tyranozaura, trzeba naprawdę być skończoną idiotką! – Uśmiechnęła się Krystyna i zaciągnęła głęboko papierosem.

Miała wrażenie, że świat w jednej chwili stał się piękniejszym miejscem.



Był to jeden z tych cudownych zimowych wieczorów, kiedy w ogóle nie chce się wychodzić z domu. Mroźne powietrze stało nieruchomo. Ciszy nie zakłócał najłżejszy powiew wiatru. Głóg w ogrodzie willi Jolancin mrugał setkami drobnych złotych światełek. Zuzanna i Adam rozwieszali kolorowe lampiony na drzewach i krzakach. W tym roku zaprosili na sylwestra wszystkich znajomych – to ich pierwsza impreza w nowym domu. Bardzo zależało im, by nastrój był szampański. Szalej tarzał się w świeżym śniegu, a Brezylka nurkowała w zasy w poszukiwaniu mysich tuneli.

Z góry dobiegał brzęk oręza. To Wojtek testował kultową grę, swój prezent gwiazdkowy. Właśnie przemierzał wirtualne uliczki osiemnastowiecznego Paryża w poszukiwaniu okrutnego zabójcy.

– Ależ mu zrobiłeś przyjemność! Boję się, że teraz nie oderwiemy go od konsoli. Chyba nawet gitara pójdzie w odstawkę... – westchnęła Zuzanna, która miała ugruntowaną opinię na temat najnowszych technologii.

– Przesadzasz. Chwilowa fascynacja. Za kilka dni mu przejdzie. A tak przynajmniej do Nowego Roku mamy go z głowy! Ty i ja, śnieg za oknami, grzane wino w sypialni, hmmm? – te ostatnie słowa wymruczał już w jej szyję.

Podszedł z nienacka od tyłu i objął Zuzannę mocno, wtulając twarz w jej włosy.

– Ej! Nie teraz! Pamiętasz, że zaprosiliśmy gości? Musimy wszystko przygotować, nawet nie wiesz, ile jeszcze roboty zostało! Na dodatek masz list, który omyłkowo przyszedł na adres mamy do ciebie... Zapomniałam ci powiedzieć, coś z rozwodem chyba, z sądu czy od adwokata. W styczniu się tym zajmiemy. Plan na dziś i jutro: przestawić meble w salonie, ugotować bigos, zmienić pościel, wypastować podłogi – to akurat twoje zadanie i... – wyliczała Zuzanna.

– Pościel? Chyba nie będziemy zapraszać gości pod kołdrę? – szczerze zadziwił się Adam, który nigdy dotąd nie uczestniczył w przygotowaniach do domówki. – Karolina gości wołała zabierać do restauracji, a o czystość w ich apartamencie dbał profesjonalny serwis sprzątający.

– Adamie! Skup się! Wszystko ma lśnić i pachnieć! No dalej, podaj mi niebieski lampion, zawieszę go na różę – poganiała go Zuzanna.

Adam westchnął, już, już miał na końcu języka, że przy Zuzannie ciężko mu się skupić, gdy nagle ona się zatrzymała. Chwilę kontemplowała coś w milczeniu, a potem odłożyła lampion na stół tarasowy.

– Ty wiesz, że masz rację? Najwyżej podłoga będzie niewypastowana. I co z tego? Wariant z grzaniem winem bardziej mi odpowiada. Wypijemy je na zewnątrz, co? Będzie romantycznie. – Teraz ona podeszła do niego, przytuliła się

i głęboko spojrzała mu w oczy.

Po chwili siedzieli w puchówkach obok siebie na leżakach, opatuleni kocami, z ceramicznymi kubkami w dłoniach. Gorąca para o aromacie goździków i cynamonu mile drażniła nozdrza.

– To Bellatrix, gwiazda walecznych kobiet – powiedziała Zuzanna, wskazując jasny punkt na niebie.

Ogród wyglądał tajemniczo i pięknie, skąpany w niebieskawej, gwiazdnej poświacie. Gdzieś znikła Brezylka, a zmarznięty Szalej schronił się w domu i suszył mokre futro przed kominkiem.

– O czym myślisz? – zapytała Zuzanna.

– Bardzo lubię ten ogród. Tak, jakby był kimś mi bliskim, żywą istotą. To on powiedział mi o najważniejszych rzeczach w moim życiu – odparł Adam.

Zuzanna pogładziła go pieszczotliwie po szorstkim policzku.

– A teraz? Co mówi ci teraz? – zapytała lekko.

– Teraz ogród milczy. Nie będzie już tak łatwo. Koniec z wiktoriańskim językiem roślin. Nie chowaj się więcej za kwiatkami. – Adam też przybrał żartobliwy ton, ale Zuzanna zorientowała się, że powiedział to zupełnie na serio.

– No, to nie będzie łatwo. Ale masz słuszość. Nie pozwólmy, by kiedykolwiek jeszcze podzieliły nas niedopowiedzenia i tajemnice. Koniec z tym, przysięgam. Odtąd ważne rzeczy będziemy sobie mówili wprost. Zaczniemy od zaraz: jest mi zimno. Może przeniesiemy się z winem do sypialni? – Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Adam nic nie odpowiedział, ale czekał na to zaproszenie. Wziął Zuzannę za rękę i weszli powoli do środka, czule objęci.

\* \* \*

Wiola biegła ulicą Jelenia, ślizgając się na zamrzniętych kałużach. Była dziewiętnasta! Dzie-więt-na-sta! Została jej ledwie godzina, by odstawić się na bóstwo i ruszyć z odsieczą Zuzannie – obiecała, że pomoże jej wszystko ogarnąć przed sylwestrową imprezą w Jolancinie.

Wiola od dawna zamierzała wziąć wolne 31 grudnia, niestety jak zwykle sprytnie koleżanki z salonu urody U Dalili długo i zawzięcie kreśliły, mazały na grafiku zmian i... tuż po świętach okazało się, że – jak co roku – Wioli przypada straszliwy, sylwestrowy dyżur. To oznaczało jedną klientkę za drugą, mnóstwo dziwnych życzeń („Chcę mieć kok à la Nicole Kidman na gali oscarowej trzy lata temu – pamięta pani?“, „Proszę mi tu dołożyć różowe pasmo, tu seledyn, no, żebym tak odmłodziła z letka“) i, oczywiście, pracę do późna. Teoretycznie ostatnia klientka powinna opuścić salon o piętnastej, ale...

Przeskakując po dwa stopnie Wiola wpadła na piętro, potknęła się i prawie wyrznęła czołem o ogromną cyfrę trzy na drzwiach swojego mieszkania. Przekląła.

„Dlaczego, u licha, zawsze daję się dziewczynom zrobić w tego sylwestra? Dlaczego w ogóle zawsze wszyscy mnie we wszystko wrabiają? – myślała, przekraczając próg i opadając bez sił na podłogę. – Ty, Wiolka, nie masz dzieci i męża, to jest ci wszystko jedno, a my musimy przygotować kolację, pomóc dzieciakom przebrać się – no, sama rozumiesz, należy nam się wolne!”, przypomniała sobie słowa jednej z koleżanek fryzjerek i jej głupi uśmiech.

Naszła ją ochota, żeby zmasać ten uśmieszek wielką gąbką, ale było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Zrobiło jej się smutno.

„Może nie pójdę do Zuzanny. Jakoś się wymówię. Znów tylko ja będę sama... A nie, Kazia coś wspominała, że może w Nowy Rok mój los się odmieni. Tylko żeby mnie nie swatała z jakimiś kolegami Ludwika z instytutu, bo oni wszyscy noszą kraciaste koszule i są taaaaacy nudni!” – na samo wspomnienie znajomych Leszczyńskiego, inżynierów, zachciało jej się wyc.

Nagle wzrok Wioli padł na ścianę za łóżkiem. Wisiał na niej stary naszyjnik z pomarańczowych karneoli i maleńkie, czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało śliczną młodą dziewczynę o kruczoczarnych włosach, urokliwym uśmiechu i wielkich oczach – na szyi miała właśnie ów naszyjnik. Wiola podeszła do wezgłowia i zdjęła oba przedmioty. Naszyjnik położyła delikatnie na kapie. Usiadła i zaczęła przyglądać się zdjęciu z bliska, jakby studiowała każdy szczegół fotografii, choć w istocie znała ją na pamięć. Przecież ten obraz miała wryty w sercu.

– Mamusiu... Byłaś taka radosna i beztroska, nim poznałaś tatę. Czemu dałaś mu się omamić? Gdybyś inaczej wybrała, obie byłybyśmy szczęśliwsze, a ty pewnie byś żyła... – szepnęła, gładząc czule szkiełko.

W tej chwili uświadomiła sobie jednak, że bez ojca nie byłoby przecież jej... Widać tak było pisane – ojciec zniszczył matkę, stworzył córkę, ale też ją zniszczył, wdeptał w ziemię. Wiecznie pijany i agresywny.

– Mamusiu, tak mi ciebie brak! Wiesz, jak mi źle samej? Mamo, pomóż mi!  
– szeptała Wiola.

Przymknęła oczy, opadła na łóżko. Zdjęcie w ozdobnej ramce przygarnęła do serca. Odetchnęła kilka razy głęboko. I nagle poczuła otuchę, jakby ktoś pogłaskał ją po policzku niewidzialną dłonią. Uśmiechnęła się, otarła łzy. Wstała.

– No, nie ma co rozpaczać. Świat nie zaczeka. Rany Julek, ryczałam, jak ja teraz zlikwiduję poduszki pod oczami? Chyba mam trochę lodu w zamrażalniku, zrobię kompresy, opuchlizna powinna zejść – powiedziała do siebie, szczypiąc dolne powieki opuszkami palców.

Pół godziny później stała w łazience i z zadowoleniem kontemplowała swoje odbicie w niewielkim lustrze. Ciemne włosy, ułożone na lokówce, otulały jej trójkątną twarz burzą fal. Dla większego efektu Wiola dodała tu i ówdzie kolorowe pasemko. Rzęsy zagęściła i przedłużyła fioletowymi piórkami marabuta, które trzepotały rozkosznie przy każdym mrugnięciu. Usta pociągnęła błyszczkiem

z drobinami złota. Wyglądała wystrzałow. Wy-strza-ło-wo! Całość dopełniała sukienka mini, ozdobiona cekinami w kolorze fuksji i czółenka na niebotycznych szpilkach.

Już, już miała wychodzić, gdy wzrok jej padł na łóżko. Podeszła do niego. Starannie odwiesiła fotografię matki na stałe miejsce na ścianie. Chciała powiesić też naszyjnik, ale przyjrzała mu się uważnie i założyła.

– Przynies mi dziś szczęście, mam! – szepnęła, dotykając zimnych kamieni, i wybiegła na ciemną klatkę schodową.

Zegar w mieszkaniu numer trzy właśnie wybijał ósmą.

\* \* \*

– Ta czy ta? – Kazia stanęła w progu w samej halce, trzymając przed sobą dwa wieszaki. Na jednym połyskiwała gładka, jedwabna szmaragdowa sukienka, natomiast na drugim wisiała zgrabna mała czarna, z ogromnym dekoltem na plecach. Ludwik spojrział bezradnie na wyciągnięte w jego stronę kreacje.

– Bo ja wiem... wszystko jedno chyba. – Wzruszył ramionami, jednak wzrok żony w jednej sekundzie powiedział mu, że musi się wycofać z tej pochopnej szczerości, w przeciwnym razie najbliższe tygodnie spędzi na kanapie w swoim gabinecie.

– To znaczy, w zasadzie, ogólnie rzecz biorąc, chyba wszystko jedno – próbował wybrnąć – bo w każdej z nich będziesz wyglądać olśniewająco. Natomiast jeśli pytasz o moje prywatne zdanie... – Tu zawiesił głos, ładnie dozując napięcia.

– No... – zachęcała wojowniczo połowica. – O to właśnie pytam!

– No więc jeśli chcesz znać moje prywatne zdanie, wolałbym cię widzieć w tej szalowej czarnej kiecce. Boję się tylko, żeby mi cię ktoś nie porwał – zakończył, a roześmiane oczy Kazi powiedziały mu, że nie tylko wywinął się spod gilotyny, ale wręcz zdobył kilka cennych punktów.

– Też tak właśnie pomyślałam – zgodziła się chętnie, wsuwając sukienkę przez głowę. – A do tego długi sznur pereł, które dostałam po twojej babci.

– Będziesz gwiazdą wieczoru! – Boże, jaki ten Ludwik był z siebie dumny!

Oto doznał olśnienia. Przecież gdyby częściej mówił żonie miłe rzeczy, być może udałoby się uniknąć kilku poważnych scysji! Od dziś będzie ją obsypywać komplementami. Na początek postanowił pociągnąć wątek gwiazdy.

– Tak – powiedział – w tej sukni będziesz lśnić niczym... biały karzeł!

– Coooo?! – Mina Kazi znów ujawniała mordercze zapędy, a doktor Leszczyński pojął, że przeszarżował.

Kto wie, czy przygotowania do sylwestra nie zakończyłyby się awanturą, gdyby nagle do pokoju nie weszła Malwina.

– I jak? – zapytała, kręcąc się dookoła.

Dziewczyna wyglądała zjawiskowo. Parę dni wcześniej spytała matkę, czy może wziąć jej starą sukienkę – podobną do tej, w której Marilyn Monroe stanęła nad kratką wentylacyjną. Kazia, rzecz jasna, pozwoliła, choć nie bez oporów. To w niej przyjęła oświadczyzny Ludwika. Chociaż strój pochodził z czasów „sprzed dzieci”, na Malwinie początkowo wisiał jak na wieszaku i trzeba było sprawnych palców Cecylii, żeby dopasować go do smukłej sylwetki nastolatki. Mimo tej szczupłości nagle okazało się, że Malwiśka ma biust i fantastyczne wcięcie w tali. Sukienka idealnie podkreśliła wszystkie atuty dziewczyny i nic dziwnego, że oboje Leszczyńscy czuli się teraz, jakby widzieli własne dziecko po raz pierwszy.

– Matko Boska, kiedyś ty mi tak urosła! – zawołała Kazia, gdy udało jej się przemóc zdumienie.

– Córko... – wyszeptał Ludwik, biorąc dziewczynę za rękę. – Jesteś tak piękna, że... – przerwał.

– Że co? – zapytała zadziornie Malwina.

– Pamiętaj, że jeśli ten twój chłopak, ten cały Jurko...

– Ludwiku! – Kazia przywołała męża do porządku.

– Jeśli Jurko zrobiłby ci jakiegokolwiek świństwo, to niech wie, że będzie miał do czynienia z twoim ojcem! – zakończył dumnie doktor Leszczyński, odchrząkując, żeby nie było słyhać, jak bardzo jest wzruszony, choć i tak jego niski głos zabrzmiał podejrzenie piskliwie.

– Niech się pan nie obawia. – Nie wiadomo, od jak dawna Jurko stał w progu i przysłuchiwał się tej wymianie zdań. – Daję panu słowo honoru – tu położył rękę na piersi – że z mojej strony nie spotka pana córki nic złego.

Malwina pierwsza parsknęła śmiechem, a potem dołączyła się do niej Kazia. Obejmowały się i chichotały.

– Ależ wy, chłopaki, jesteście zabawni, jak z jakiejś *Dumy i uprzedzenia* – wykrztusiła wreszcie nastolatka. – Mówicie, jakbym była bezwolnym matołkiem, z którym można wszystko zrobić. Umiem sobie radzić sama, a gdyby mi ten łobuz załazł za skórę, to... lepiej niech uważa! – Tu Malwina wykonała półobrót i kopnęła niewidzialnego przeciwnika. Od paru tygodni chodziła na kick boxing i wyraźnie miała do tego talent.

– Moja mądra córeczka! – Kazia cmoknęła dziewczynę w czoło.

Ależ była z niej dumna!

– Widzisz – powiedziała do męża, gdy młodzi wyszli z pokoju. – Dobrześmy wychowali dziecko. Jest silna, ma poczucie własnej wartości i... wiesz, ona naprawdę nie da się łatwo skrzywdzić.

Ludwik pokręcił głową z powątpiewaniem, chciał coś dodać, ale Kazia nie dopuściła go do głosu.

– I myślę sobie – ciągnęła – że gdyby Wiolka miała choć połowę tej pewności siebie co nasza Malwiśka, dawno ułożyłaby sobie życie. Bo tak to już

jest, jak ktoś czuje się ofiarą, to zawsze przyciągnie łajdusa, który to wykorzysta. Właśnie dlatego postanowiliśmy z Zuzanną, że weźmiemy sprawę w swoje ręce. Żebyś się nie zdziwił. Przed dziewiątą wpadnie tu mój kolega z dzieciństwa, Krzysiek Bielski...

– Ten, z którym leżałaś w szpitalu? – zdziwił się Ludwik.

– O proszę, jaka pamięć! – Brwi żony powędrowały do góry.

– Zapamiętałem, bo mówiłaś, że strasznie chorował.

– Tak, ale potem wyzdrowiał, a niedawno spotkałam go w cukierni Grzybka.

Od razu pomyślałam, że kogoś takiego Wioli potrzeba. Spokojnego, konkretnego mężczyzny, żadnego tam wariata...

– I chcesz wyswatać ją z Krzyśkiem?

– Tak... to znaczy nie. Nie będę swatać. Tylko stworzę taką możliwość, może przypadną sobie do gustu. Wiola będzie mieć zresztą kilku kawalerów do wyboru. Przyjdzie także Jan Maria Sochacki.

– Nie! – Ludwik aż się klepnął w udo z wrażenia. – Ten bogacz?

– Nie przesadzajmy. To biznesmen, filantrop. No przecież wiesz, że Sochacki pomoże mi rozwinąć księgarnię! Czyli dobry człowiek. On też nie ma żony.

– Bogacz, kawaler, dobry człowiek... – Ludwik kręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież to od razu brzmi podejrzanie!

– O proszę, powiedział ten, co zna się na ludziach – prychnęła niezadowolona Kazia.

– I kogo jeszcze ściągnęłyście na tego sylwestra?

– Zuzanna zaprosiła Stasińskiego i Wtorka. No nie patrz tak na mnie! Każda opcja jest lepsza niż ten cały... jak mu tam było, Pawlak, wyłudzacz i krętacz.

Ludwik ciężko westchnął. Chciał powiedzieć, że gdyby jego ktoś pytał o zdanie, doradziłby Wioli mniej dziwnych fryzur, błyszczących kiecek oraz gadania. A zresztą, fryzury i kiecki nawet ujdą, jeśli zredukuje paplaninę. Tak o dziewięćdziesiąt pięć procent. Ale nikt go o zdanie oczywiście nie pytał, w dodatku w przedpokoju rozległ się dzwonek, co oznaczało, że przyszedł potencjalny zalotnik i trzeba się było szykować do wyjścia.

\* \* \*

Nowy Rok miał nadejść za pół godziny, gdy państwu Kozakom udało się wreszcie wyjść z domu i ruszyć w kierunku willi Jolancin. Ostatnio stosunki między Zuzanną a jej przełożonym uległy znacznemu ociepleniu. Pan Robert z radością przyjął zaproszenie na sylwestra. Tak bliska komitywa z kimś, o kim nie mówił nigdy inaczej niż „mój przyjaciel, ten milioner”, mile łechtala ego Kozaka. Trzy dni szukał w licznych sklepach monopolowych trunku na miarę tej okoliczności. Gdy wreszcie udało mu się na pobliskim bazarze znaleźć szampana

Dom Pérignon – co prawda z drugiej ręki, ale w prawie nienaruszonym pudełku – był przeschęśliwy.

– Dostałem go za pół ceny, jakiś konował opróżniał swój barek – chwalił się potem Moniczce.

Teraz Dom Pérignon spoczywał bezpiecznie w bagażniku Mirelli, a państwo Kozakowie kłócili się w najlepsze.

– Musisz tak trząść? Znowu mi niedobrze! – jęczała Moniczka, której najwyraźniej nie posłużył świąteczny tort orzechowy, bo od samego rana męczyły ją torsje.

– Trzeba było nie opychać się słodyczami. – Jej mąż jak zwykle nie popisał się wrażliwością.

I zaraz tego pożałował. Jakiegokolwiek uwagi na temat łakomstwa doprowadzały Moniczkę do białej gorączki. Tym bardziej że nie dopięła się w dwóch z trzech sukienek, które kupiła specjalnie z myślą o sylwestrze.

– Ty gburze! Brakuje ci tej, no, empatii!

– Mnie niczego nie brakuje, zapamiętaj to sobie. Jestem ponadstuprocentowym samcem, wśród mężczyzn jestem jak nasz Dom Pérignon wśród szampanów! – obruszył się Kozak.

Pewnie kłóciliby się dalej, gdyby nie fakt, że siedząca na tylnym siedzeniu Aza zaczęła potępieńczo wyć. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał za kwadrans północ. Na szczęście parkowali właśnie pod Jolancinem.

– Dobrze, że już jesteście, czekamy jeszcze tylko na was! – ucieszyła się Zuzanna, która wyszła powitać gości. – Proboszcz Fąfara też będzie, ale koło pierwszej, bo odprawia mszę o północy. Azę wpuśćcie do ogrodu, niech sobie pobiega z Szalejem.

– O, Robercik! – rozpromienił się Jacek Wtorek, podrygujący w przedpokoju w rytm piosenki *Dancing Queen* Abby.

Miał na głowie tekturową czapeczkę, a w ustach rozwijany gwizdek. No i właśnie rozwinął go, wydając przenikliwy pisk. Kolorowa trąbka pacnęła Kozaka w nos. Skrzywił się.

– Plebejskie zabawy! – mruknął pod nosem.

Po raz pierwszy był w Jolancinie, rozglądał się więc dookoła z zaciekawieniem. Salon tonął w półmroku. Meble odsunięto pod ściany, żeby zwolnić parkiet dla tańczących. W takt muzyki wirowały pary: Irena Sławińska z Wiesławem Koczocikiem, Kazia z Ludwikiem, Wiola z Krzysztofem Bielskim. Nawet Cecylia kołysała się, wsparta na muskularnym ramieniu weterynarza Pawła Stasińskiego.

Na stole w rogu pokoju piętrzyły się najlepsze wypieki cukierni Stanisława Grzybka oraz marynaty i nalewki Cecylii. Każdy z gości przyniósł jakiś wyjątkowy smakołyk i nie było już prawie wolnego miejsca. Dumny Kozak bez słowa

uroczyście wręczył gospodarzowi pudło z szampanem, dbając o to, by nazwa znalazła się na wysokości oczu Przygodzkiego. Ten, niestety zajęty obtańcowywaniem Krystyny, rzucił bez troski:

– Postaw to gdzie bądź, za pięć minut odpalamy szampany.

– Wszystkich chyba znacie? – powiedziała Zuzanna, prowadząc pod rękę Moniczkę, która mimo złego samopoczucia odnotowała z niemałą satysfakcją, że gospodini ma na sobie jej sukienkę.

„Dobrze, że nie oddałam jej na PCK” – pomyślała.

– Widzę, że jest nawet Jan Maria Sochacki – ucieszył się Kozak.

Im więcej wpływowych osobistości, tym lepiej.

– Szanowni państwo, uwaga! – zawołał Adam, zerkając na komórkę. – Za minutę północ. Proszę wszystkich dżentelmenów o pomoc. Każdy niech złapie jedną butelkę i na mój znak otwieramy.

Przy bufecie zrobiło się zamieszanie, Kozak w ostatniej chwili wyrwał swój drogocenny trunek Wiesławowi Koczocikowi.

– Jeden, dwa i... trzy! – W kierunku sufitu poleciały korki szampana, tryskały fontanny piany, panie piszczały i podsuwały kieliszki do napełnienia.

Tylko posmutniały Robert Kozak stał i przyglądał się otworowi butelki Dom Pérignon, z którego nie wydobyło się nic. Żaden huk, żadna piana ani jeden bąbelek.

– Coś ty kupił! Skompromitowałeś nas w eleganckim towarzystwie tym... Dom Impotentem! – syknęła Moniczka.

Na szczęście nikt poza Kozakami nie zauważył blamażu, więc Robert powąchał trunek, skrzywił się z obrzydzeniem i wymknął do kuchni, by wylać fałszywego szampana do zlewu. Gdy wrócił, rozochoczone towarzystwo składało sobie życzenia, a Zuzanna z Adamem i Jurko z Malwiną namiętnie całowali się po kątach.

– Pokój temu domowi! – gruchnęło po kilkunastu minutach.

Proboszcz Fąfara zjawił się w towarzystwie Gwidona trochę wcześniej, niż zapowiadał. Tych dwóch wyglądało jak przybysze z innych planet. Wielebny w sutannie, a jego kompan w skórzanych spodniach i motocyklowej kurtce.

– Pozwólcie, przedstawię mojego przyjaciela z młodych lat: Gwidon Kozłowski.

Kolejni goście wykrzykiwali swoje imiona, gdy jednak doszło do Jana Marii, stało się coś dziwnego. Sochacki z powagą skinął głową, a Gwidon w jednej chwili zmienił się na twarzy. Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale Sochacki już się odwrócił i odszedł w stronę tarasu, prowadząc pod ramię Kazię Leszczyńską.

– To jednak nie jest towarzystwo dla mnie – syknął Gwidon w kierunku Fąfary i szybko wyszedł.

Już po chwili dało się słyszeć ryk odjeżdżającego motoru.



– No cóż, dzikus! – powiedział przepraszająco proboszcz. – Trudno, jego strata. Przyniosłem butelkę przedniego wina mszalnego. Dostałem dyspensę mojego arcybiskupa. Musicie spróbować, to naprawdę najlepszy trunek w całej archidiecezji.

– Ostatni raz tak hucznego sylwestra obchodziłam za życia Brunona – zaśmiała się Cecylia. – Moi kochani, mam przeczucie, że przed nami wspaniały rok! Do pełnego szczęścia brakuje mi teraz tylko porcji śpiewów.

– To może *Hej, sokoły?* – zaproponował Kozak.

I już miał zaintonować pieśń, gdy nestorka Czapliczów uciszyła go gestem dłoni.

– Mamy tu fachowca od ukraińskich pieśni. Jurko, zrób przyjemność starszej pani.

– Zaśpiewam naszą starą szchedriwkę. To tradycyjna pieśń noworoczna. – Chłopak wyszedł na środek salonu i zaczął pięknym, mocnym głosem. – *Szczedrij wieczir, dobryj wieczir! Dobrym ludiam na weś wieczir...*

Wszyscy umilkli, zasłuchani, a w oczach Cecylii pojawiły się łzy.

– Nie słyszałam tego od tak wielu lat. Nucił to mój ukochany Daniło – wyszeptwała.

– O! – ucieszył się Jurko. – Mnie tego też nauczył Daniło, Daniło Bojczuk, mój dziadek ze strony mamy.

Cecylia zamarła.

– Boże mój! Gdzie urodził się twój dziadek? – zapytała po chwili milczenia z pozoru spokojnym tonem, ale widać było, że to nazwisko wzbudziło w niej wielkie emocje.

– W Dziatkiewiczach, a co się stało? – zaniepokoił się Jurko.

Muzyka właśnie skończyła grać, ktoś zapalił światło. Cecylia stała na środku pokoju. Była biała jak płótno, miała przymknięte oczy.

– Czyli on nie zginął... Udało więc mu się, uciekł, ale... czemu tyle lat ani słowa! Co z nim, czy żyje? – szeptała.

Jurko wyglądał na przerażonego, podbiegł do starszej pani, podał jej ramię. Wspierała się na nim i próbowała uśmiechnąć.

– Nic, nic, tylko wzruszenie. Czy on żyje, twój dziadek, czy żyje? – powtórzyła pytanie.

– Tak. Dziadzius Daniło ma żelazne zdrowie. Od lat mieszka w Kanadzie, rozmawiałem z nim kilka dni temu i... proszę pani! Pani Cecylio! – ostatnie słowa Jurko wykrzyczał, bo Cecylia zaczęła osuwać się na ziemię. Doskoczył do niego Adam, porwali ją na ręce, była lekka jak piórko, a jej głowa bezwładnie opadła.

– Szybko! Zuza, dzwoń po pogotowie, ona zasłała! – Adam wydał komendę głosem drżącym z przerażenia.

Nie słyszał oddechu, pod palcami nie wyczuwał pulsu.

– Mamusiu najukochańsza! Mamusiu, mamuniu, co z tobą, mamo! –  
lamentowała Krystyna.

Niebo nas Starą Leśną rozbłysło kolorami.

\* \* \*

Upadła. Zamknęła oczy. Pod powiekami eksplodowały kolory: błękit, żółć, pulsująca zieleń. Powietrze stało nad łąką, upalne, przepojone zapachem macierzanki i świeżo skoszonego siana. Słyszała, jak on biegnie, był coraz bliżej. Rzucił się na sprężystą koniczynę tuż koło niej. Pod palcami czuła śliski jedwab sukienki. Jakiś cień przysłonił słońce.

– Wiesz, że nigdy nie przestanę cię kochać? – usłyszała.

Jego twarz była tuż przy jej twarzy, a gorące, suche usta prawie dotykały jej ust.

Zaśmiała się, odwróciła błyskawicznie na brzuch i znów poderwała do biegu.

W oddali błyskała szmaragdowo rzeka. Biegła. On znów za nią.

– Niemądry! – zaśmiewała się zdyszana. – Pewnie, że wiem. Przecież prawdziwa miłość zostaje na zawsze. Zawsze!

Redakcja: Agnieszka Jędrzejczak

Korekta: Julia Topolska, Anna Jagiełło

Projekt okładki: Magdalena Mamajek-Mich

Fotografie wykorzystane na okładce: © gkatz/Shutterstock, © Lyuba Alex/Shutterstock

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel./faks (22) 828 98 08, 395 75 78

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-5275-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "v" is lowercase and has a white outline, while the remaining letters are solid blue. The logo is set against a white background with a subtle drop shadow.

